

**Jajakobyły**

**Spowiedź życia Jerzego Urbana**

**Spowiadali i zapisali**

**Przemysław Ćwikliński  
Piotr Gadzinowski**

## Spis treści

Spowiedź wstępna.....	3
Ja i kobiety.....	17
Ja i pieniądze.....	37
Ja i wydział prasy.....	54
Ja i narodziny „Solidarności”.....	62
Ja i usta władzy.....	74
Jaruzelski.....	90
Ja i Rakowski.....	103
Ja i nasz czerwony gang.....	114
Ja, „zespół trzech” i okrągły stół.....	133
Ja i Wałęsa.....	142
Ja i wybory.....	149
Ja i podróże.....	159
Ja, moje uszy i „NIE”.....	172
Ja i proces o pornografię.....	178
Ja i Żydzi.....	183
Ja i kościół.....	190
Aneks do „Alfabetu”.....	199
Ścisłe tajne / całkiem jawne.....	217

## Spowiedź wstępna

- *Nazwisko?*

- Urban.

- *Czy to prawdziwe nazwisko?*

- Nie. Zostało przerobione przypadkowo w czasie okupacji. W listopadzie 1939 roku uciekliśmy z matką do zajętego przez Rosjan Lwowa. Tam zwił mój ojciec już na początku wojny. Po formalnym wcieleniu Zachodniej Ukrainy do ZSRR zaczęto wydawać radzieckie paszporty. Wtedy urzędnik przepisując dane rodziców pomylił się i zamiast litery „ch“ wpisał „n“. Rodzice nie protestowali, bo w ten sposób z żydowsko brzmiącego nazwiska Urbach zrobiło się wręcz papiesko brzmiące Urban.

Pamiętam, że były wówczas dwie kategorie paszportów. Gorszy dawał władzom możliwość wywózki delikwenta na Sybir, lepszy zezwalał na pobyt w mieście. Rodzice otrzymali lepszy paszport, do czego chyba się przyczyniłem.

Przed wojną mój ojciec był redaktorem lewicującego, związanego z PPS-em łódzkiego dziennika „Głos Poranny“. Natomiast ojciec mojego późniejszego redakcyjnego kolegi z „Polityki“ i dawnymi czasy przyjaciela Dariusza Fikusa był redaktorem i współwłaścicielem grupy pism wychodzących w Poznaniu i związanych z Narodową Demokracją. Kiedyś jedno z pism, chyba „Kurier Poznański“, zamieściło fotografię przedstawiającą mojego ojca wychodzącego z dużą paczką z ambasady radzieckiej. Podpisano, że oto fotoreporter przyłapał na gorącym uczynku radzieckiego agenta. Całość była przyprawiona antysemitycznym sosem. Już w czasach Polski Ludowej Feliks Fikus w prywatnych rozmowach odcinał się od antysemityzmu, ale taki był ówczesny ton wydawanych przez niego pism. Mój ojciec wytoczył staremu Fikusowi proces o zniesławienie gęsto opisywany w przedwojennej prasie. W radzieckim Lwowie żyło nam się ciężko, bo ojciec miał bardzo słabą posadę administratora domu. Wprowadziliśmy się do mieszkania byłego bankiera, gęsto zasiedlonego. W pokoju obok żyła maszynistka, panna z córeczką. Dziewczynka była moją rówieśnicą i strasznie ciekawiło ją, jak to było w tej kapitalistycznej Polsce. Chcąc jej zaimponować raczyłem ją opowieściami o luksusowym życiu moich rodziców, mocno przesadzając te wszystkie zbytki. Przypuszczam, że moje opowieści musiała powtarzać matce, która była zatrudniona w NKWD i doniosła gdzie trzeba, że sąsiaduje z nią wielki burżuj. Dodatkowym impulsem mogła być kartka pocztowa od przyjaciela ojca, Juliana Tuwima, który mając skłonność do snobistycznego blagierstwa napisał, że przybył już do Paryża, wyliczając śmietankę arystokratyczną i towarzyską, jaka zgotowała mu przyjęcie. Ojciec został aresztowany, przesłuchiowano go przez całą noc i śledczy miał przed sobą treść pocztówki od Tuwima. Ale miał też teczkę, w której była gazeta Fikusa i materiały związane ze sprawą. W zasadzie proces powinien obciążać mojego ojca, bo przecież on uznawał tytuł radzieckiego agenta za zniesławiający. Oni jednak uznali, że skoro oskarżano go, sfotografowano, to coś w tym musi być prawdy. Błędego i zdenerwowanego zwolniono już następnego dnia, przydzielono mu nową pracę, a nam lepsze paszporty. Nowy zawód ojciec uzyskał dzięki twórczemu połączeniu jego wojskowej specjalności - „kreślacz“ z brzmieniem

nazwiska. Został urbanistą miasta Lwowa. W ten sposób moje blagierstwo przyczyniło się do poprawy naszego losu.

**- Imiona? Prawdziwe.**

- Mam tylko jedno - Jerzy. Nadano mi je podobno pod impulsem wizyty mojej matki w Anglii. Wtedy rządził król Jerzy V.

**- Dokładna data i miejsce urodzenia.**

- 3 sierpnia 1933 roku w łódzkim szpitalu ewangelickim, co wówczas oznaczało niemieckim. Wraz ze mną została zabrana do domu niemiecka siostra - opiekunka do dziecka. W ciągu kilku tygodni z potulnej siostry stała się czołową heterą w Łodzi. Puszczala się na wszystkie strony, a sperma ciekła przy mojej kołysce. Zamiast mnie przewijać, przewijało się mnóstwo mężczyzn w moim pokoju. W końcu tak się skurwiła, że rodzice musieli ją oddalić.

**- Czy już wtedy promieniował pan zepsuciem? Niedawno powiedział pan, że pan jest jak AIDS, każdego w swym otoczeniu śmiertelnie zaraża?**

- Niemowlęta wyzute są z wszelkiej indywidualności, ludzie zaś z pamięci o swym niemowlęctwie. Słyszałem, że jako noworodek byłem wyjątkowo ohydny.

Mogę też opowiedzieć legendę o moim szczęśliwym poczęciu. Matka uczyła się prowadzić samochód, wiozła ojca, w pewnym momencie straciła panowanie nad kierownicą. Wpadli do rowu, w rowie wpadli na siebie. Dziewięć miesięcy później przyszedłem na świat.

**- Imiona rodziców. Nazwisko panięskie matki.**

- Jan i Maria Brodacz. Rodzina mojej matki była niezwykle interesująca. Mój dziadek ze strony matki należał do stanu kupieckiego. Pochodził z Białej Podlaskiej, skąd przybył do Łodzi pod koniec XIX wieku. Miał dwie fabryczki w Zgierzu. Jego żona, a moja babka, wywodziła się ze znanego rosyjsko-żydowskiego rodu Frum-kinów. Wielkiego rozmiarami i znaczeniem. Rodzina pochodziła z Mińska. Żydzi mińscy nie podlegali ścisłym podziałom narodowościowym. Nie wiadomo, czy byli bardziej polscy, czy rosyjscy.

Moja babka miała dziesięcioro rodzeństwa, a każde z nich odegrało samodzielną, niemal historyczną rolę. Jedna z sióstr babki, mieszkająca podobnie jak reszta rodziny w Moskwie, była działaczką „eserowców“, czyli Socjal-Rewolucjonistów - partii wsławionej zamachami na carskich dygnitarzy. Podczas rewolucji 1905 roku została wyznaczona do zamachu na moskiewskiego generał-gubernatora. Miała tego dokonać w teatrze, a ponieważ była bardzo krótkowzroczna istniało niewielkie prawdopodobieństwo trafienia. I rzeczywiście jemu nic się nie stało, a ją schwytano i postawiono przed sądem. Na proces jeździła moja babka z Łodzi. Werdykt był niesłychanie surowy. Powieszono ją pomimo masowych protestów zorganizowanych w Europie Zachodniej.

Tamta siostra babki zasłynęła swoim stylem życia. Moi dziadkowie mieli niewielki mająteczek ziemski, dom i 16 hektarów ogrodu, parku, pola. W nim zatrzymywały się w drodze „do“ i „ze“ Szwajcarii tabuny krewniaków i ich przyjaciół rewolucjonistów.

Powieszona później Frumkina wyróżniała się tym, że jadła tylko to, co klasa robotnicza. Specjalnie dla niej trzeba było przygotowywać proste, ubogie jedło. Inna z sióstr wyszła za mąż za wiceministra w rządzie Lenina. Razem z przyszłym mężem jechali tym samym zaplombowanym pociągami, który wiozł Lenina ze Szwajcarii do Piotrogradu w 1917 roku. Jej córkę Bronkę poznałem później we Lwowie. Chorowała, jak to się wtedy mówiło, na suchoty i wkrótce umarła. Jeden z braci Frumkinów, Moisiej Ilicz, był działaczem gospodarczym, wiceministrem finansów w którymś z rządów Stalina. Kiedyś wertując dzieła Stalina natrafiłem na referat poświęcony temu Frumkinowi. W 1937 roku został wydalony z partii, był represjonowany.

Kolejny brat babki był jednym z dyrektorów carskich kolei. Był też w rodzinie działacz polityczny z otoczenia Kiereńskiego, jeszcze inny - uczony po rewolucji został dyrektorem archiwów państwowych w ZSRR.

Kiedy znaleźliśmy się we Lwowie, matka odszukała w Moskwie tego uczonego i dała mu znać, że tam żyjemy. Pamiętam, że przyjechał, stanął w drzwiach i nie wchodząc do środka zapytał, czy nie mamy pała na sprzedaż. Matka dała mu jakąś jesionkę, wziął ją i już się więcej nie pokazał. To nie świadczy o tym, że ten dygnitarz żył w nędzy. Wówczas zasoby, jakie mieli Polacy we Lwowie były dla Rosjan nie lada atrakcyjne, stanowiły jedyny kontakt z zachodnią odzieżą. A że nie chciał przekroczyć progu domu? Cóż, wtedy ludzie piekielnie bali się stosunków z przybyłymi z tamtej strony.

Stalinizm zniszczył tę rodzinę. Już w latach międzywojennych mój dziadek jeździł w interesach do Moskwy i szukał wtedy krewniaków żony. Bez większego skutku. Albo unikali kontaktów, albo już ich nie było. Nazwisko Frumkin jest dziś dość popularne w ZSRR. Moja matka często się z nim spotykała. A to jakiś Aleksander Frumkin pisze w „Prawdzie“, a to inny Frumkin pojawił się jako urzędnik w ambasadzie radzieckiej w Warszawie.

Za każdym razem matka usiłowała się dopytać, doszukać koneksji rodzinnych, ale do tej pory nikt nie chce się do nich przyznać.

**- Posiadane rodzeństwo.**

- Nie ma. Wyskrobane.

**- Obywatelstwo.**

- Polskie.

**- Narodowość.**

- Polska. Moja żydowska rodzina była zupełnie zasymilowana. Dziadkowie, a przypuszczam, że i pradiadkowie posługiwali się polskim językiem, może nie wyłącznie, ale nie używali języka żydowskiego. Już pradiadkowie byli ateistami i inteligentami. Rodzice nie mieli związków z kulturą żydowską, nie znali religii, języka.

Przedwojenna Łódź była miastem wielonarodowościowym, najliczniejsi byli wprawdzie Polacy, ale ich liczebność nie odpowiadała wpływowi. Życie toczyło się w narodowych enklawach. Rodzice, chociaż całkowicie spolonizowani, obracali się w środowisku zasymilowanej burżuazji i inteligencji żydowskiej. Kontakty towarzyskie, małżeństwa,

interesy, skandale - wszystko zamknięte było w tym światku oddzielnym także od społeczności realnie żydowskiej. Ów żydowski mikroświat inteligencji był w większości kosmopolityczny, dziś byśmy powiedzieli, że orientował się ku Europie. To naturalne, że jego więzi z polskim etosem patriotycznym, polskim państwem były słabsze niż polskich środowisk inteligentnych. Mój ojciec odgrywał w tym środowisku odmienną rolę. Był naczelnym redaktorem gazety i jego życie silnie związane było z życiem państwa polskiego.

**- *Wykształcenie.***

- Mam za sobą cztery klasy szkoły podstawowej: pierwszą, drugą, trzecią i piątą.

**- *Co z czwartą?***

- Jakoś się zgubiła. Szkołę średnią szczęśliwie skończyłem zmieniając cztery szkoły. Z gimnazjum im. Narutowicza, gdzie chodziłem do jednej klasy z nieżyjącym już pisarzem Jerzym Kosińskim, wylano mnie już w pierwszej klasie, bo powiedziałem do innych uczniów „ta zgniła buda“. W owym czasie ten łagodny dziś epitet wystarczał, nawet moi koledzy byli oburzeni takim ekscesem. Miałem wówczas inny stosunek do polskiego szkolnictwa niż oni. Pewnie dlatego, że wcześniej przez prawie rok chodziłem do polskiej szkoły w Lublinie, a oni z polskim szkolnictwem mieli do czynienia tylko dwa tygodnie. Poszedłem potem do najwybitniejszej łódzkiej szkoły męskiej - do gimnazjum im. Józefa Piłsudskiego przed wojną, a po wojnie im. Tadeusza Kościuszki. Legenda głosi, że ukończył ją Julian Tuwim. W pewnym okresie szkoła szczyliła się Marianem Spsychalskim. Uczyli nas nieprzeciętni belfrzy, którzy potem wylądowali jako wykładowcy na Uniwersytecie Łódzkim. Matematyczna orientacja mojej klasy stała się potem błogosławieństwem dla wielu kolegów, którzy wylądowali na Zachodzie, w Stanach. Jeden z nich, Tomasz Pietrzykowski, już jako trzydziestolatek został dyrektorem Instytutu Maszyn Matematycznych PAN w Warszawie, potem wyjechał do Ameryki - gdzie dziś jest wybitnym uczonym, choć w międzyczasie został buddystą, ogolił głowę i paradytuje w żółtych szatach.

Z gimnazjum im. Kościuszki wyrzucił mnie matematyk Siewierski, ponieważ po tzw. małej maturze, czyli po czterech klasach gimnazjalnych zorientował się, że nie dość, że mam dwóję z matematyki, to w ogóle nie mam pojęcia o czym mówi się na lekcjach\*. Od dobrych dwóch lat niczego z matematyki nie pojmowałem, siedziałem jak na lekcjach chińskiego. Byłem już wówczas działaczem pionu szkolnego ZMP na szczeblu dzielnicowym. Zapytałem moich kolegów, gdzie jest najgorsza szkoła w całej Łodzi, bo tam chciałem pójść. Znalezione mi ją w dzielnicy Widzew, tam rok chodziłem i odnosiłem pewne sukcesy.

**- *Takie w matematyce?***

- Rozpocząłem tam karierę dziennikarską. Prowadziłem szkolny radiowęzeł. Codziennie rano przeglądałem gazetę i szukałem okrągłych rocznic. Szedłem do dyrektora i mówiłem, że trzeba wygłosić pogadankę na temat np. rocznicy układu przyjaźni z Chinami, urodzin Żeromskiego, czy śmierci Konopnickiej. Siadałem przed mikrofonem i na podstawie gazety, na pół czytając, na pół improwizując sadziłem pogadankę za pogadanką. Stałem się niezwykle cenny dla wszystkich w szkole. Dyrektor umieszczał wykaz moich pogadanek w sprawozdaniach dla kuratorium, uczniowie przychodzili do mnie i prosili, żeby zasunąć pogadankę na czwartej lekcji, bo mają zapowiedzianą klasówkę. Lubili moje pogadanki nauczyciele, bo mieli wolne i mogli coś załatwić na mieście. Nic dziwnego, że cieszyłem się poważaniem i takim drobiazgiem jak moja nauka nikt się nie przejmował.

Niestety, po wakacjach przed ostatnią klasą przenieśliśmy się z rodzicami do Warszawy. Tam trafiłem do gimnazjum im. Stanisława Staszica, które mieściło się naprzeciwko gmachu głównego Politechniki. Nie mając tam żadnych przywilejów ani misji do spełnienia, na półroczu miałem 7 dwój na 9 przedmiotów. Zdawało się, że nie zrobię matury, lecz zbiorowym wysiłkiem kolegów, nauczycieli i matki jakoś udało mi się zdać.

**- Nie dało się wykorzystać wpływów ZMP?**

- W Warszawie byłem na politycznej emeryturze. Opuszczając Łódź odciąłem się od ZMP-owskiej pępownicy. Byłem tylko szeregowym członkiem, nie miałem układów, nic nie znałem. To dramatyczne załamanie kariery sprawiło, że życie stało się puste i tragiczne. Popadłem w największą w swoim życiu apatię. Leżałem na kanapie całymi dniami i wpatrywałem się w sufit. Była to naprawdę czysta depresja.

Chociaż muszę przyznać, że nawet w szczytowym momencie swojej kariery, kiedy byłem kierownikiem Wydziału Szkolnego łódzkiej dzielnicy Śródmieście-Lewa i miałem pod sobą kilkadziesiąt szkół, nie mogłem wykorzystać swej funkcji dla podreperowania mojej sytuacji jako ucznia. ZMP stawało się organizacją represyjną wobec tych, którzy nie uczyli się. Bywałem jako działacz częściej sekowany niż protegowany. Wstępowałem do ZMP jako organizacji kontestatorów, a potem zamieniła się w organizację prymusów i lizusów.

Po maturze, którą zdałem dzięki różnym sztukom i podstępom, nie wiedziałem, co studiować. Wybrałem dziennikarstwo z dwóch powodów. Mój przyjaciel Andrzej Berkowicz zaczął tam studiować i wciągnął mnie do pracy w redakcji „Nowej Wsi“, a mój ojciec miał jakieś znajomości na tym wydziale. Do egzaminu wstępnego przystąpiłem w roku 1951. Był to test ogólnopolityczny. Wydawało mi się, że zdałem świetnie, ale nie zostałem przyjęty. Może nie zdałem, a może nie zmieściłem się w szczupłej puli studentów pochodzenia inteligenckiego. Znalazłem wśród przepisów rekrutacyjnych taki paragraf, który umożliwiał przyjęcie jednego studenta dziedziczącego zawód ojca. Skorzystałem z niego i zostałem przyjęty.

Pamiętam, że przychodząc po raz pierwszy na uniwersytet uznałem, że będzie grzecznie, jeśli jako nowy student przedstawię się rektorowi. Wszedłem do kancelarii rektora Wasilkowskiego i sekretarce powiedziałem, że właśnie zostałem studentem i pragnę Jego Magnificencji złożyć kurtuazyjną wizytę. Chciałem też prosić, żeby rektor zwolnił mnie ze wszystkich zajęć...

**- To była taka zgrywa?**

- Ależ nie! Ja naprawdę myślałem, że tak wypada. A z zajęć chciałem się zwolnić ze względu na pracę w „Nowej Wsi“.

**- Dziennikarstwa pan nie skończył?**

- Wyleciałem po dwóch latach. Nie chodziłem na wykłady, które były obowiązkowe. Zdałem chyba egzaminy, ale nie miałem zaliczeń, które uznałem za niepotrzebne formalności. Wylano mnie też za niechodzenie na gimnastykę.

Zebrała się komisja dyscyplinarna. Przewodniczył Roman Karst historyk literatury, później z kręgów opozycyjnych, Jerzy Ambroziewicz - potem kolega z „Po prostu“, następnie

dziennikarz telewizyjny, trzecim jako sekretarz POP był chyba Tadeusz Pasierbiński do niedawna korespondent „Trybuny Ludu“. Wyrzucili mnie automatycznie, nie broniłem się nawet, bo nie spełniałem formalnych wymogów pozostania na uczelni.

Ale jako pracownik prasy młodzieżowej miałem już chody i poprzez kogoś znajomego w ministerstwie szkolnictwa wyższego dotarłem do ministra Adama Rapackiego, który dał mi zgodę na ponowne podjęcie studiów. Wybrałem prawo. Nie bez znaczenia było to, że wykładał tam znajomy ojca, słynny prawnik Jerzy Sawicki.

### **- Jak się tam panu wiodło?**

- Wyrzucono mnie po roku. Nie zaliczyłem kilku przedmiotów. Nie byłem w stanie wykonać żadnych ćwiczeń fizycznych na Studium Wojskowym, a także nie dałem sobie rady z przynajmniej częściowym opanowaniem regulaminów wojskowych ani składaniem i rozkładaniem zamka karabinu. Miałem też skłonności do żartów, których Studium Wojskowe nie lubiło.

Z wojskiem na studiach związane są dwa dramatyczne wydarzenia w moim życiu. Tam pierwszy i jedyny raz w życiu biłem się. Staliśmy wtedy na warcie z Berkowiczem i czytaliśmy przedwojenne wspomnienia złodzieja Urke Nahalnika. Czytaliśmy w ten sposób, że jeden czytał jedną stronę, wyrywał ją i podawał drugiemu. O jedną z tych kartek pobiliśmy się całkiem serio.

Innym razem pełniłem wartę przed drzwiami tajnej kancelarii. Pozostali wartowali w pokoju obok, gdzie pili, grali w karty, a nawet wciągali panienki przez okno. Dziś nie wiem dlaczego, ze złości, czy radości, po skończonej warcie zerwałem pieczęcie z drzwi Tajnej Kancelarii. Potem, jak gdyby nic, poszedłem na zajęcia. Zdawało mi się, że zniknięcie pieczęci postawi wojsko na nogi, a jak ujrzalem obcych oficerów, domyśliłem się, że to z „informacji“, i przyszli po mnie.

Uciekłem z zajęć wprost do redaktor naczelnej „Nowej Wsi“ Ireny Rybczyńskiej, która była w ciąży i nosiła w brzuchu Agnieszkę Holland. Przybiegłem z błaganiami: „Ratuj, bo mnie wsadzą“ i powiedziałem, co zrobiłem. Rybczyńska zatelefonowała do męża swej przyjaciółki słynnej później dziennikarki Krystyny Zielińskiej, którym był gen. Janusz Zarzycki, figura, bo szef Głównego Zarządu Politycznego wojska. Zarzycki zadzwonił z wyjaśnieniami do Studium Wojskowego, na co usłyszał, że to nieporozumienie, bo nikt żadnych pieczęci nie zrywał. W ten sposób poznałem szczególną naturę wojska, które dba, aby przełożeni nie dowiadywali się zbyt wiele.

Na prawie miałem logikę formalną, której w żaden sposób nie mogłem zrozumieć. Wykładał mi ją Klemens Szaniawski, późniejszy znany opozycjonista, którego zwalczałem. Miał on żonę, Dzikę Szaniawską, córkę przyjaciela moich rodziców, moją koleżankę i słynną w całej Warszawie panienkę. Poprosiłem Dzikę o protekcję i z dwoma osobami wszedłem na egzamin. Szaniawski kazał nam na kartce pisać jakieś wzory. Mnie mówił „Dobrze, Urban“, a ich poprawiał, choć ja nie napisałem ani słowa, tylko jakieś bazgroły.

Inaczej zdałem egzamin z angielskiego. Kiedy lektorka pytała moich kolegów, ja łapałem się za głowę ze zgrozą sygnalizując ich błędną wymowę. To wystarczyło.



Studia były wtedy bardzo barwne. Dziennikarstwem kierował prof. Litwin, czystej wody stalinowiec, który kiedyś przyłapał podczas przerwy na sali wykładowej migdalącą się parkę. Zrobił piekielną awanturę, zawiesił ich w prawach studentów, nawet kazał skrobać podłogę i sprawdzać, czy podejrzone plamy pochodziły od spermy. Opisaliśmy to w prasie studenckiej i wtedy wyszło na jaw, że dziekan Litwin żył z tą studentką i dlatego go tak poniosło. Kiedy jej mąż - student - dowiedział się o tym, dał dziekanowi po mordzie. Ten zamiast zachować się jak mężczyzna znowu zrobił z tego sprawę i wyrzucił chłopaka. Opisaliśmy to i wyleciał dziekan.

Spotkałem Litwina już kiedy pracowałem w „Polityce“. Ten skrajny stalinowiec powiedział wtedy: Jak pan może z nimi kolaborować, skoro zamknęli wam „Po prostu“.

Miałem koleżankę z Łodzi, która mieszkała ze swym partnerem w hotelu oficerskim. Kiedyś pochwaliła się przed koleżankami, że kochanek kupił jej złoty zegarek. Wyleciała ze studiów za brak moralności socjalistycznej. Spotkałem ją po latach jako doktora pedagogiki i dyrektorkę zespołu szkół nauczycielskich w Łodzi.

Na studiach często odbywały się zebrania, na których rozpatrywano moralność i poglądy każdego studenta z osobna. Mnie zarzucano drobnomiesz-czański styl życia. Na czym polega? - pytam. Ano na tym, że chodziecie do kawiarni - dopowiadają. Innym razem dostałem reprimendę, że korzystam z drobnomieszczkańskiego środka lokomocji - taksówek. Na zajęcia przyjeżdżałem potem redakcyjnym samochodem służbowym, co z kolei kłuło w oczy kolegów. Ale już dla wykładowców samochód służbowy był świętością i czymś czystym moralnie.

Obiady jadałem w hotelu „Bristol“. Nie tyle obiady, co wielkie melby. Koledzy szli do nędznej stołówki studenckiej, a my z Berkowiczem do „Bristolu“. Rozeszła się plotka, że prominentni studenci mają osobną stołówkę za żółtymi firankami. Trudno się temu dziwić. Studenci wtedy przeważnie cierpieli nędzę. Kiedyś jedna ze studentek zemdląła na zajęciach z głodu.

**- A pan z czego wówczas żył? Ze stypendium?**

- Zarabiałem w „Nowej Wsi“. Miałem pensję i spore wierszówki. Od matki dostawałem też codziennie dziesięć złotych na drobne wydatki - kawę, papierosy.

**- Posiadany stopień wojskowy.**

- Skreślony z ewidencji wojskowej. Po wyrzuceniu z dziennikarstwa głównym powodem pójścia na prawo była obawa przed wojskiem. Kiedy i stamtąd mnie wyrzucono wydawało się, że nie ma dla mnie ratunku.

Od piętnastego roku życia cierpiałem na silne dolegliwości gastryczne. Później zostały rozpoznane jako wrzód na dwunastnicy. Pojechałem do znajomego lekarza w Łodzi i zostałem na obserwacji. Niewiele wykazała, ale w szpitalu dodawałem krwi do próbek moczu. Kilka miesięcy później stanąłem przed wojskową komisją lekarską. Moimi atutami oprócz dolegliwości gastrycznych, bóli, była karta ze szpitala ze stwierdzeniem krwi w moczu. Komisja zdecydowała, że udam się do szpitala wojskowego na obserwację. Tego wieczora umówiłem się z narzeczoną na bankiet do Stowarzyszenia Dziennikarzy. Popadłem w rozpacz i oświadczyłem komisji, że jestem zdrow jak ryba. Nie wiedziałem, że w wojsku

wszystko rozumie się opacznie. Wezwano wartownika z karabinem i pod konwojem odesłano mnie do szpitala. Tam poddano mnie badaniom przewodu pokarmowego, które wymagały zjedzenia dla uzyskania kontrastu specjalnej papki z wapna lub kredy. Po wypiciu kubka tego gipsu zatkało mnie, kontrast utknał gdzieś w środku, a ja nie mogłem się wypróżnić. Dostałem straszliwych boleści i gorączki. Nikt nie wiedział, co się ze mną stało. Wyglądałem na ciężko chorego. Pomimo tego chcieli sprawdzić mój mocz i wysłali mnie do toalety pod nadzorem lekarza. Symulowałem, że nie mogę się wysikać. W końcu wykorzystałem nieuwagę zmęczonego lekarza i dodałem do moczu trochę krwi z przygotowanej wcześniej fiolki. Wtedy rozviałem wszelkie wątpliwości i skreślono mnie z ewidencji wojska.

Nigdy nie dowiedziałem się, jaką postawiono diagnozę. W wojsku - jak wiadomo - informacje są ściśle tajne. Gdybym miał raka, to po wyjściu ze szpitala wykitowałbym z powodu tajemnicy wojskowej.

**- Ale pan tylko się obrzydliwie dekował?**

- Bardzo nie chciałem iść do wojska. Byłem gotowy zdezerterować, ale nie iść do armii. Wolałem już więzienie. Więzienie to dolegliwość bierna, a wojsko - dolegliwość czynna.

**- Stan cywilny.**

- Żonaty.

**- Który raz?**

- Trzeci.

Pierwszą żonę poznałem w roku 1957 w Krakowie na Uniwersytecie Jagiellońskim w komitecie partyjnym, skąd usiłowała rządzić miastem. Sytuacja była wtedy rewolucyjna, w mieście istniały chyba trzy ośrodki władzy, jeden był na Uniwersytecie. Na czele komitetu stał obecny profesor Marian Stępień, później sekretarz KC PZPR, działacz „Kuźnicy“, naczelny miesięcznika „Zdanie“. W komitecie był również późniejszy profesor Marek Waldenberg, a stałym rezydentem, członkiem egzekutywy wojewódzkiej - jeden z głównych bohaterów tygodnika „NIE“ Benio Tejkowski.

Moja pierwsza żona miała ambicje naukowe, była polonistką, asystentką profesora Henryka Markiewicza, a także ambicje polityczne - pełniła funkcję członka egzekutywy komitetu uczelnianego PZPR. W tym czasie na UJ manifestowano przeciwko powołaniu Zenona Nowaka - prominentnego działacza frakcji natolińskiej, betonowej w PZPR, na stanowisko wicepremiera. I tak od wiecu do wiecu zaprzyjaźniłem się ze swą późniejszą żoną.

Do Krakowa przyjechałem w towarzystwie Ireny Lewandowskiej, dziś znanej tłumaczki z języka rosyjskiego, wówczas dziennikarki „Sztandaru Młodych“, potem żony poety Witka Dąbrowskiego. Irena występowała w roli przyzwoitki i sekretarki, bo w wynajętym apartamencie hotelu „Francuskiego“ założyłem pierwsze w Polsce biuro matrymonialne. Wcześniej zamieściłem odpowiednie ogłoszenia w prasie krakowskiej, a potem napisałem o tym reportaż. W czasie wolnym od pracy w biurze poznałem swoją żonę, z czego wzięła się legenda, że była jedną z klientek biura.

Sprawa fikcyjnego biura matrymonialnego miała swój ciąg dalszy. Wywołała burzliwą dyskusję w prasie, czy wolno używać takich metod do zbierania materiałów dziennikarskich. Tłumaczyłem, że wszystko pozmieniałem: nazwiska, realia, tak, że nawet kobiety, które przychodziły do hotelu „Francuskiego“ nie poznały siebie w reportażu. Dałem tym początek całej szkole reportażu wcieleniowego, uczestniczącego, w których później zasłynęli Janusz Rolicki i Jacek Snopkiewicz.

**- *Wróćmy jednak do pana pierwszej żony.***

- Z moją pierwszą żoną mieliśmy romans. Latem pojechaliśmy na wakacje. Na Mazury. Wkrótce okazało się, że dziecko jest w drodze. Chciałem się żenić, ale nie chciałem dziecka. Uważałem, że to nie fair, iż zostało sporządzone bez porozumienia ze mną. Moja narzeczona powiedziała, że bierze je na własną odpowiedzialność i jeśli nie chcę, to nie mam żadnych zobowiązań. Chciała urodzić, wychować, choć okoliczności nie sprzyjały temu. Robiła doktorat, którego ostatecznie nie obroniła, mieszkała w Krakowie, a ja w Warszawie z rodzicami. Byłem bez pracy, bo Gomułka zamknął „Po prostu“. Nie były to luksusowe warunki, mówiąc pompatycznie, dla zakładania rodziny. Ale cóż ja mogłem na to poradzić? Rodzina sama się założyła.

**- *Jak długo trwał związek i dlaczego się rozpadł?***

- Dwanaście lat. Bezpośrednim powodem rozpadu był mój romans z sąsiadką, żoną bliskiego wówczas kolegi redakcyjnego, dziś znanego dziennikarza „Gazety Wyborczej“, odgrywającego istotną tam rolę. Żona domyślała się wszystkiego i zapytała, czy jej nie zdradzam. Ja, zamiast iść w zaparte, przyznałem się do wszystkiego. To był dla niej cios nie tylko uczuciowy, ale i prestiżowy. Zdradziłem ją bowiem nie z anonimową panią z miasta, lecz z osobą, z którą wspólnie spędzaliśmy czas. To rzeczywiście było paskudne z mojej strony. Cios ten spowodował u żony szok, leczyli ją różni psycho-terapeuci, pod których wpływem rychło się znalazła. Mocą decyzji psychoterapeutów pojedналиśmy się. Tę moją - mówiąc po staroświecku - kochankę porzuciłem, nie bez dramatów z jej strony.

**- *A mąż kochanki? Pozostał przy zdrowych zmysłach?***

- On był zupełnie zdrow. Miał romans z inną dziewczyną i liczył, że odbiwszy mu żonę ożeni się z nią. Niestety, zawiodłem i te nadzieje.

Potem moja żona stwierdziła, że powinniśmy spróbować kontynuować małżeństwo, ale mieszkać osobno. Wynająłem pokój na Saskiej Kępie u jednej studentki szkoły teatralnej. Mieszkanie należało do jej wuja, który wyjechał na placówkę. Kontynuując małżeństwo z doskoku, mieszkalem na Saskiej Kępie i co wieczór balowałem w towarzystwie studentek i studentów szkoły aktorskiej. Prowadziłem coś w rodzaju salonu kawalerskiego.

**- *Kto tam bywał?***

- Całe mnóstwo osób. Mieszkanie należało do wuja Joanny Ziółkowskiej, a przychodziły m.in. Ewa Dałkowska, Barbara Wrzesińska, Elżbieta Kępińska z Mieczysławem Rakowskim.

Potem przenieśliśmy się do wynajętego mieszkania w Alejach Jerozolimskich, nad „Pewexem“. Tam już prowadziłem dom rozpusty. Trwała jedna wielka libacja, zmieniały się tylko panienki.

Wciąż jednak pozostawała nierozwiązana sprawa zejścia się z żoną, czy definitywnego rozejścia. Przedstawiła mi na piśmie warunki zejścia się, jak sądzę, zatwierdzone przez jej psychoterapeutów. Odpowiedziałem na to podobnym dokumentem, ogromnych rozmiarów, statutem z licznymi rozdziałami i paragrafami ujmującymi w normy prawne całe pożycie małżeńskie. Była to parodia warunków sformułowanych przez żonę.

Wtedy obraziła się na mnie i dokument pokazała swym terapeutom. Ich diagnoza była jednoznaczna. Uznali, że trzeba mnie leczyć. Jeździłem nawet w tej sprawie do Tworek...

Po nowej awanturze ostatecznie została zerwana myśl o powrocie do domu. I właśnie wtedy zakochałem się.

Po okresie kiedy w ciągu roku zaliczyłem więcej dziewczyn niż przez całe życie, kiedy zadawałem się z kilkoma dziewczynami na raz, bo każda zaspokajała inne potrzeby: kumpla, dupy, dziewczyny do reprezentacji, po tym wszystkim wziąłem i zakochałem się.

Ale żeby opowiedzieć dokładnie okoliczności zakochania się, muszę cofnąć się do czasów, kiedy mieszkalem jeszcze z żoną, ale było to już po odkryciu przez nią zdrady. Sypiałem wówczas z pewną studentką, która miała przyjaciółkę, szwagierkę mojej następnej żony. Wchodzimy zatem w krąg najpierw trzech, potem czterech przyjaciółek, z których zrazu znam tylko jedną, tę z którą sypiam. Potem przyjaciółkę mojej przyjaciółki. I ona to pewnego wieczoru zadzwoniła, żebym wpadł do mieszkania jakiegoś docenta z Politechniki, gdzie właśnie jest ze swoją jeszcze inną przyjaciółką. Wpadłem, a tam odbywało się ich pierdolenie z tym docentem, po czym, już bez docenta, we trójkę przenieśliśmy się do mnie. Położyliśmy się w jednym łóżku. Spałem i gdzieś nad ranem, prawie przez sen, coś się wydarzyło z tą przyjaciółką, przyjaciółki mojej przyjaciółki. No i tak się w niej zakochałem.

**- Ona była szwagierką pańskiej drugiej żony?**

- Nie, była świeżo rozwiedziona żoną Jana Pietrzaka. Ogromnie fascynująca dziewczyna. Potrafiła budzić się w środku nocy i notować równanie Wszechświata, które jej się przyśniło.

Z zawodu była socjologiem, zajmowała się metodologią tej nauki. Zachowywała się na co dzień niezwykle. Postrzelona, rozrywkowa, śpiewająca i tańcząca.

Był to romans niszczący, ponieważ byłem w niej prawdziwie zakochany, a ona miała mnie zupełnie w dupie. Bywało tak, że na którejś z prywatek pijana tańczy nago, nagle pyta, kto ma na nią ochotę, zgłasza się pewien reżyser. Ten od „Akademii Pana Kleksa“ - Krzysztof Gradowski, był kiedyś taki, wychodzą razem, a ja zostaję i cierpię. Tak to bywało.

Postanowiłem z nią zerwać. Romans zerwałem, ale przyjaźń pozostała. Pewnego dnia mówię jej, oczywiście na stopie towarzyskiej, że wyjeżdżam do Nieborowa pisać książkę. Ona na to, że ma ochotę pojechać ze mną. Protestuję i wyjeżdżam sam. Tam biorę pokój, idę spać, a rano pokojówka przynosi dwa śniadania. Dla kogo drugie? - pytam. Dla pani, która jest z panem i śpi w pokoiku obok. Rzeczywiście tam był obok niewielki pokoik hallem połączony z moim. Okazało się, że do Nieborowa przyjechała ze swym profesorem, z którym romansowała. Drażniła mnie tym profesorem, a jego mną. Udawała, że idzie ze mną spać, potem szła do niego. Znowu z nią zerwałem.

Takie przepychanki trwały parę miesięcy. Ona kompletnie mnie nie kochała, ale starała się utrzymać w swej stajni. Gdy z nią zrywałem zabiegała o mnie, kiedy się przyklejałem, dręczyła mnie swoimi różnymi przygodami erotycznymi.

### ***- Kiedy to się wreszcie skończyło?***

- Skończyło się, kiedy wreszcie poznałem swoją przyszłą drugą żonę. Gościłem ją u siebie w domu i moja przyjaciółka, była żona Pietrzaka, od razu przybiegła, żeby wykosić rywalek. Wtedy musiałem ją nieomal siłą wyrzucić z domu. Potem dzięki protekcji Andrzeja Garlickiego dotarłem do profesora Henryka Jabłońskiego - wówczas ministra szkolnictwa wyższego i załatwiłem mojej puszczalskiej miłości zezwolenie na stypendium w USA. Tam poznała wybitnego socjologa amerykańskiego Collemana, który rychło po jej przyjeździe opuścił swoją żonę i dzieci i ożenił się z nią. Oboje żyją w wielkim szczęściu do dziś.

Moja druga żona była w tej paczce, ale przez całe miesiące znałem ją tylko z opowieści. Uchodziła w nich za osobę romansową, alkoholową i w ogóle pikantną, co drażniło moją wyobraźnię.

Z wielkim trudem uzyskałem jej numer telefonu. Zacząłem do niej wydzwaniać, prosząc o spotkanie. Wszystkie propozycje odrzucała. Miała męża, syna bardzo znanego pisarza, który prawie otarł się o Nagrodę Nobla, a znajomości ze mną unikała, co jeszcze bardziej rozpałało moją wyobraźnię.

Aż pewnego wieczoru na przyjęciu u krytyka literackiego, potem opozycjonisty, Michała Komara zjawiała się i ona. Przyszła razem z mężem. Przyjęcie trwa, w pewnej chwili ona mówi, że denerwuje ją głośne tykanie budzika, który stał na kredensie. Łapię za budzik, żeby zwrócić na siebie uwagę, i wyrzucam go przez okno. Żona Komara strasznie się obraziła. To był szczególny budzik. Musiałem go odkupić. Odkupywałem, ale ciągle nie taki, w końcu sprowadziłem podobny z zagranicy. Ale cel swój osiągnąłem. Zwróciłem na siebie uwagę.

Tego wieczoru jej mąż, domator z usposobienia, wyniósł się wcześniej, a ja wyjąłem ją z prywatki i zawiozłem do siebie. I tak zaczął się nasz romans.

### ***- Zakończony małżeństwem?***

- Zanim to nastąpiło mieliśmy razem jechać do Kazimierza nad Wisłą. Jej mąż do Paryża, a my - do Kazimierza!

Oprócz męża moja przyszła żona miała też oficjalnego kochanka, który pracował z nią w Komisji Planowania. Kochanek też nosił znane nazwisko, był wnukiem jednego z najsłynniejszych przed wojną organizatorów gospodarki, dziś rzeklibyśmy biznesmenów.

Po drodze do jej domu zauważyłem, że nie mam pieniędzy na Kazimierz. Potrzebne było pięć tysięcy złotych. Zadzwoiłem do matki, ona zadzwoniła do swej przyjaciółki pani Tuwimowej, osoby zamożnej, która pożyczyła potrzebną sumę. Przez to spóźniłem się do mojej narzeczonej. Kiedy zjawiłem się w jej mieszkaniu, zastałem tam też jej amanta, a moja wybranka z rozpacz i rozterki wlała w siebie butelkę koniaku i leciała z rąk. On chciał zatrzymać kochankę w domu, ja pragnąłem z narzeczoną wyjechać. Zaczęliśmy wrywać ją sobie, dosłownie rozszarpać. W końcu ustąpiłem pola i wycofałem się z mieszkania. Pojechałem do przyjaciółki mojej przyszłej żony i wyzaliłem się. Przyjaciółka pojechała po

moją narzeczoną, przywiozła ją do siebie i kazała jej wybierać: ja - albo on. Pojechaliliśmy do Kazimierza.

***- I pobraliście się?***

- Jeszcze nie. Nie była zdecydowana na małżeństwo ze mną. Za bardzo była przywiązana do męża i kochanka. Z tym ostatnim umówiła się na wyjazd do Bułgarii, ale uzależniła to od mojej zgody. Dałem jej wolny wybór, wobec czego pojechała do Bułgarii, a ja zacząłem cierpieć katusze. Po jakimś czasie wprowadziła się do mnie.

Pobraliśmy się, żeby uzyskać mieszkanie, które załatwił nam przyjaciel „Polityki“ prezes Centralnego Związku Spółdzielczości Mieszkaniowej Stanisław Kukuryka.

***- Kiedy to małżeństwo rozpadło się?***

- Po dwunastu latach (podobnie jak poprzednie), w 1984 roku. Wtedy ja miałem wrażenie, że ktoś mi przyprawia rogi. Byłem już rzecznikiem rządu, a moja żona dziennikarką. Obie moje żony po wyjściu za mnie szły na łatwy chleb i zostawały dziennikarkami. Pierwsza chciała być naukowcem, a trafiła do telewizji, gdzie każdy się zmieści. Druga była informatykiem i też uznała, że lepiej być dziennikarką.

***- Czy korzystały z pańskiej protekcji?***

- Tak.

***- Jak zatem doszło do rozstania z drugą żoną?***

- Kiedy ja pracowałem dla dobra państwa polskiego, w domu trwał nieustanny bankiet. Prowadziliśmy już dwa różne życia. Odnosiłem wrażenie, że znany publicysta „Polityki“ niedawno zmarły Zbysław Rykowski wraz ze swym publicystycznym partnerem Wiesławem Władyką przyprawiają mi rogi. Jeśli chodzi o trzeciego kompana z ich paczki - red. Jonasa, nie byłem pewien.

Kiedyś poszedłem ze swoją drugą żoną do wspomnianego Rykowskiego na prywatkę i tam spotkałem fascynującą dziewczynę ubraną w etolę z nurków i tenisówki. Tak mnie zafrapowała, że zgodziłem się zjeść przygotowaną przez nią sałatkę jarzynową z ryżem, której normalnie nie znoszę. Ona wtedy była oficjalną narzeczoną Rykowskiego i grała rolę pani domu.

Moja wybranka emocjonalnie związana była z opozycją. Spotykanie się ze mną musiało być gwałtem na samej sobie. A także ekstrawagancją towarzysko-polityczną dużego kalibru. Wyprowadziłem się z domu, zamieszkałem w hotelu rządowym i ożeniłem się z trzecią żoną, bo było to niezbędne do uzyskania mieszkania.

***- Plotka ówczesna głosiła, że powodem rozstania z drugą żoną były rozbieżności natury ideologicznej?***

- Nie, to nie grało żadnej roli.

***- Posiadane dzieci.***

- Jedno. To poczęte na Mazurach w 1957 roku. Jest płci żeńskiej, ma obecnie trzydzieści parę lat. Żona byłego działacza opozycji, drukarza konspiracyjnych czasopism. Jej ślub był wydarzeniem politycznym, ponieważ samotnie reprezentowałem na nim stronę reżimową. Zgromadzona tam licznie opozycja zbiorowo nie odklamała mi się. Dopiero potem, na ulicy, już pojedynczo, wylewnie się ze mną witali.

**- Utrzymuje pan kontakty z córką?**

- Oczywiście. Sprawy polityczne przestały nas dzielić.

**- Posiadane wnuki.**

- Dwoje. Płci obojga, ale każde innej.

**- Posiadane ordery i odznaczenia.**

- Złoty Krzyż Zasługi przyznany w XX-lecie „Polityki“. Dowiedziałem się wtedy, że mam dostać srebrny krzyż, ale powiedziałem, że srebrnego nie przyjmę. Dano mi złoty. Dekorował mnie mój dawny prześladowca tow. Artur Starewicz w towarzystwie sekretarzy KC PZPR Andrzeja Werblana i Ryszarda Frelka. Uroczystość odbyła się w dyskotecce warszawskiego klubu „Riviera-Remont“. Wszyscy tam zebrani sekretarze KC mówili, że Polska Ludowa się kończy skoro Starewicz przypina Urbanowi krzyż zasługi. Gdyby wtedy dowiedzieli się, że cztery lata później zostanę rzecznikiem rządu, pewnie oszaleliby z wrażenia.

Mam także Krzyż Oficerski Orderu Odrodzenia Polski - dostałem go już jako rzecznik, Order Sztandaru Pracy II klasy - przyznany mi pod koniec lat osiemdziesiątych, kilka odznaczeń resortowych.

W stanie wojennym otrzymałem odznakę za zasługi dla obronności kraju.

**- Odznaczenia zagraniczne. Doktoraty honoris causa wybitnych uniwersytetów.**

- Żadnych doktoratów nie posiadam. Z odznaczeń zagranicznych mam tylko bułgarski order Cyryla i Metodego.

**- Kary, areszty, wyroki sądowe.**

- Stawałem przed sądem dziennikarskim za artykuł w „Polityce“ ośmieszający dra Marcinkowskiego - fanatycznego działacza antyalkoholowego z Krakowa. W 1983 roku usunięto mnie ze Stowarzyszenia Dziennikarzy. Nie zapadł wyrok skazujący w procesie o rozpowszechnianie pornografii, jaki toczył się w warszawskim Sądzie Wojewódzkim w lipcu 1991 roku. Uniewinnienie.

- W 1952 roku podczas pobytu w Zakopanem wlepiono mi mandat za zakłócanie ciszy nocnej. Milicjant powiedział mi, że jak zapłacę całą pensję, to się oduczę wydzierać po nocy. Miałem zapłacić 300 złotych. Powiedziałem mu, że to tylko pół pensji i strasznie się rozzłościł, że aż tyle zarabiam.

Ponieważ nie zapłaciłem nawet tego w wyznaczonym czasie, przyszedł do domu rodziców komornik i opieczetował radio marki „Pionier“. Sposób zajęcia tego wartościowego przedmiotu był bardzo dziwny, bo zaplombowane radio grało i można go było używać do woli.

**- *Przynależność do partii i organizacji społecznych, związków twórczych.***

- Jestem szeregowym członkiem Socjaldemokracji Rzeczypospolitej Polski, współzałożycielem ruchu społecznego „NIE“. Należę też do ZAIKS-u, Związku Literatów Polskich oraz Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej.

**- *Data pierwszej komunii świętej i ostatniej spowiedzi.***

- Komunię przyjąłem gdzieś pomiędzy 1941 a 1943 rokiem na wsi podolskiej Budzanów, gdzie wówczas mieszkaliśmy z rodzicami, oczywiście na aryjskich papierach.

Spowiedź -jak panom wiadomo - poprzedza komunię świętą. Zwłaszcza Pierwszą Komunię. Od tamtej pory nie przyjmowałem już komunii, nie spowiadałem się. Aż dopiero dziś.

**- *Pamięta pan swoje spowiadane grzechy?***

- A jakże! Księdzu Ufryniewiczowi jako główny grzech podałem odprawianie przeze mnie nabożeństw w naszym mieszkaniu. Przebierałem się za księdza i odprawiałem msze. Ksiądz był bardzo zakłopotany. Nie wiedział, czy mój czyn wynika z pobożności, czy zamilowania do świętokradztwa.

**- *Zatem przystąpmy do szczegółowej spowiedzi. Do wszystkich grzechów głównych.***



## **Ja i kobiety**

### ***- Czy lubi pan kobiety?***

- Lubię... Co nie oznacza, że umiem się z nimi przyjaźnić. Nigdy nie przyjaźniłem się z kobietami, z którymi nie łączyły mnie stosunki erotyczne. Przyjaźniłem się natomiast i nadal przyjaźnię z mężczyznami, z którymi nie łączą mnie stosunki erotyczne. Jest tu więc jakaś różnica, chociaż z drugiej strony jestem człowiekiem, który nie dzieli ludzi wedle płci na gorszych i lepszych, ciekawych i nudnych, głupich i mądrych. Poza płaszczyzną erotyczną nie dostrzegam różnic między mężczyzną a kobietą. Pracownik czy pracownica, lekarz czy lekarka, kelner czy kelnerka - wszystko mi jedno. Jestem zwolennikiem traktowania kobiecości jako równoważnej z człowieczeństwem, a nie jako jednej z odmian człowieczeństwa. Nadaję się więc na feministkę, a nie jestem feministą.

### ***- Cieszy się pan powodzeniem u kobiet?***

- Nie. Wynika to zarówno z mojej kiepskiej urody, jak i z tego, że nie mam umiejętności towarzyskiego czarowania ani prowadzenia konwersacji. Nawet z kobietą nie potrafię rozmawiać, jeśli nie mamy o czym mówić. Często w życiu nie podrywałem, bo paraliżował mnie brak pomysłu, o czym by tu z obiektem zapalów gadać. Zwykle zachowuję chłód i dystans, udaję, że nie zwracam uwagi na kobiety, które mi się podobają, z lęku, że się ośmieszę, dostanę kosza, korona mi z głowy spadnie. Kobiety boją się mnie ze względu na moje skłonności do szydzenia i dowcipkowania ich kosztem. A to jest moja samoobrona.

### ***- A łatwo się pan zakochuje?***

- Trudno i rzadko. Ale kiedy już się zakocham, to na pewien czas niemal tylko tym się zajmuję, idzie w kął lub ustaje inna moja działalność. Kiedy zakochałem się mając 20 lat w ogóle przestałem robić cokolwiek. A kiedy zakochałem się w wieku lat 50, to jako rzecznik rządu nie zawiesiłem oczywiście konferencji prasowych, ale moje zainteresowanie polityką światową i polską mocno zmalało na rzecz zalotów.

### ***- Ma pan swój sposób na zdobycie kobiety?***

- Nie mam. W konwencjonalne stosunki towarzyskie staram się włożyć trochę ciepła i uwagi. Daję jej się wygadać, o sobie mówię w sposób kontrolowany. Ludzie zanudzają sobą. Uważam, że wtedy mam prawo walić historyjkę o sobie, kiedy jest zwarta i prowadzi do pointy.

### ***- Czy ma pan jakieś ulubione techniki seksualne?***

- Lubię różnorodność technik i brak skrupowania. Wiem, że kiedy po stosunku mam ochotę znaleźć się w osobnym pokoju, to kopulacyjna forma nawiązania znajomości nie udała się, pociągu nie ma.

***- Pierwszą pańską kobietą w życiu była owa ewangelicka piastunka, która wyleciała z posady za puszczenie się...***

- Biorąc pod uwagę moje późniejsze losy, musiała wyrzucić wpływ na moją niemowlęcą podświadomość. Skupiała przecież w sobie wszystko co najgorsze: zawodowo zajmowała się dziećmi, do tego zakonnica, dobrze, że chociaż dziwka.

**- *Później była córka maszynistki z NKWD we Lwowie.***

- Nie sądzę, żeby wzbudzała we mnie utajone czy jawne skłonności preerotyczne. Pamiętam ją jako jedno z rówieśnych mi dzieci, którym chciałem zaimponować. Imponowałem również dzieciom na wsi podolskiej, gdzie mieszkałem w czasie wojny. Nie było to trudne, wystarczyło opowiedzieć o takich rzeczach jak kino, samochód, pociąg, wagon sypialny. Te dzieci nigdy czegoś takiego nie widziały. Ówczesne dzieci czytając obecnie moje wspomnienia okupacyjne obrażają się i nazywają to łgarstwem. Naprawdę już nie pamiętają tej biedy, izolacji i prymitywizmu, w których dorastali. Przyjaźniłem się z dziewczęciem o imieniu Józia, którą potem, w dorosłym życiu odwiedziłem. Była trzydziestoparoletnią kobietą, zamężną, odgrywającą odpowiedzialne role żony milicjanta oraz bufetowej w miejscowej knajpie.

Po wojnie, już w Łodzi, po szkole cały czas spędzałem z Janką, córką przyjaciół moich rodziców. Wyglądała bardzo chłopakowato. Moim domowym nauczycielem angielskiego był sędzia Szreter. Pan starszy, gruby, sędzia Sądu Najwyższego, ledwo co wrócił z emigracji w Anglii. Był pedałem, co rozpoznawałem po tym, że na każdą lekcję przynosił wielkie pudło ciastek kosztujących więcej niż wynosiło jego honorarium. Sędzia starał się skupić moją uwagę na angielskich słówkach, ściskając mnie w kroczu i głaszcząc po udach.

Pewnego dnia Szretera tak zachwyił widok Janki, że brzuchem przyparł ją do ściany. Na co ona z rozpaczą w głosie krzyknęła: „Ależ ja jestem dziewczynką“. Odskoczył jak oparzony.

**- *Kto pana uświadomił seksualnie?***

- Uświadomiony zostałem bardzo późno, bo w wieku lat 11. Dokonał tego w parku im. Sienkiewicza w Łodzi mój kolega Aleksander Nasielski, wówczas działacz ruchu esperantystów, później aktywista ZMP, a następnie adwokat w Sydney. Obecnie - biznesmen polonijny w Polsce. Produkuje papier toaletowy z moją podobizną.

**- *Ten sam, który oczyścił z podejrzeń polskiego marynarza oskarżonego o gwałt na australijskiej sportsmence?***

- Prasa australijska z upodobaniem cytowała mowę obrończą Nasielskiego, zaczynającą się od słów: „Rzecznik oskarżenia powiedział, że oskarża mojego klienta w imieniu królowej brytyjskiej. A ja chciałbym zapytać, czy królowa widziała tę chudzinę mojego klienta i tę ogromną, muskularną kobietę, którą rzekomo był zgwałcił...“. No i wygrał sprawę.

**- *W jaki sposób pana uświadamiał? Opowiadał?***

- Udzielił mi zupełnie podstawowych informacji. Dotychczas wiedziałem bowiem, że kobieta sypia z mężczyzną, ale nie wiedziałem dokładnie w jakim celu, ani jak to się odbywa. Ale szczegółowo uświadomiłem się sam, z pomocą podniszczonej książki pt. „Vitae sexualis“. Na szczęście tylko tytuł był po łacinie... Dowiedziałem się z tej książki więcej niż moi rówieśnicy mogli sobie wyobrazić. Orgazmy, zboczenia, oziębłość i inne ciekawostki.

**- Czy wiązał pan nadzieje z tą sferą życia?**

- Przypuszczalnie - jak każdy 11-latek - zamierzałem z tej wiedzy osobiście skorzystać jak najszybiej. Te sprawy bardzo podniecały moją ciekawość.

W tym mniej więcej czasie przeżyłem wstrząs. Kiedy wróciłem z rodzicami do Łodzi, wciąż nie opuszczał nas wojenny nawyk gnieźdzenia się w jednym pokoju, chociaż nasze przedwojenne mieszkanie było duże i przestronne. Spałem więc w tym samym pokoju co rodzice. Pewnej nocy wysłuchałem zatem dyskusji rodziców, którzy wypominali sobie i omawiali różne zdrady. Dowiedziałem się, że moja matka sypiała z różnymi panami, których znałem i oczywiście nawet do głowy mi nie przyszło, że spełniają funkcję moich zapasowych tatusiów. Padło np. nazwisko inżyniera, nomen-omen Lizaka, z którym mieszkaliśmy w tym samym lwowskim kołchozie mieszkaniowym za władzy radzieckiej.

Bardzo przeżyłem to, zawalił się pewien obraz rodziców, a kiedy powiedziałem im, że wszystko słyszałem, zostałem zbyty tym, że to mi się tylko śniło.

**- Wszystkie szkoły, do których pan chodził, były koedukacyjne?**

- Tylko podstawowe.

**- Kiedy i w jakich okolicznościach odbyła się inicjacja?**

- Zanim to nastąpiło, wydarzyło się coś bardzo niejasnego. Spędzałem w 1947 roku wakacje na ziemiach odzyskanych, w górach pod Wałbrzychem. Góry były zupełnie opustoszałe, całymi dniami po nich łąziłem i opalałem się. Pewnego razu położyłem się, zdrzemnąłem i wtedy nadeszła niemiecka dziewczyna... Nie potrafię powiedzieć, czy coś było czy nie, czy tylko mi się śniło. Później wiele razy opowiadałem o tym, ale nie wiem, która wersja jest prawdziwa. W każdym razie odniosłem wtedy wrażenie upału, senności i erotycznego podniecenia.

**- Jakie dziewczyny się panu podobały?**

- Wszystkie i żadne. Takim objawem tęsknoty za życiem erotycznym, objawem stadnym, było codzienne chodzenie na deptak. Miałem wtedy 13-14 lat i każdego dnia o piątej po południu biegałem na deptak. Była to część Piotrkowskiej, gdzie spotykała się młodzież z całej Łodzi. Julian Tuwim wspomina o tym w „Kwiatach polskich“: „Sto razy tam i sto z powrotem, pomiędzy Główną i Nawrotem...“. Chodziło się na ogół w dwóch, trzech, dziewczęta chodziły także po dwie, trzy. Szło się za nimi i to podstawiało nogę, to ciągnęło za warkocz, to zaczęło sztubackimi odzywkami. Trwało to godzinami... Sukces, który zdarzał się rzadko, polegał na tym, że dziewczynki zgadzały się na odprowadzenie ich pod dom.

Deptak wzywał mnie aż do 15 roku życia. Było to niezwykle uczucie jakiegoś zewu graniczącego z nałogiem. Odrabianie lekcji, wizyta u dentysty - nic nie wchodziło w grę w porze deptaku. Nałóg ten polegał chyba na lęku, że nie będąc na deptaku stracę jakąś szansę lub coś się tam zdarzy beze mnie. Te same impulsy sprawiały, że 10 lat później niemal co noc biegałem do nocnej knajpy „Kameralna“.

**- Ale w końcu przestał pan chodzić na deptak?**

- W obliczu takich spraw jak polityka i budowa socjalizmu, deptak wydał mi się błahy i szczeniacki. Tym bardziej, że w owym czasie budowanie socjalizmu przesycane było erotyką.

**- Ogniste ZMP-ówki, akcje rozkulaczania zakończone w stodole na sianie,**

***0 to chodzi?***

- We wstępnym okresie ZMP było organizacją młodzieżowej kontr kultury, buntu pokoleniowego, wyzwania wobec rodziców, nonkonformizmu, ekstrawagancji obyczajowej, kontestacji. Pisze o tym Jacek Kuroń w „Wierze i winie“... Potem dopiero, w latach 1949-50 ZMP stało się stowarzyszeniem prymusów

1 lizusów. Kiedy mając 15 lat wstąpiłem do ZMP, organizacja kontynuowała tradycje ZMW i była awangardowa także pod względem erotyzmu, była miejscem nawiązywania pierwszych więzi seksualnych.

Byłem członkiem prezydium Zarządu Dzielnicowego Śródmieście-Lewa. Lokal zarządu składał się z dwóch pokoiów na parterze kamienicy oraz z nieczynnej już wtedy sali przedwojennego kino-teatru. Personel „dzielnicy“ stanowili trzej pracownicy polityczni plus sekretarka. Po zakończeniu urzędowania, późnym wieczorem na biurku przewodniczącego zwyczajowo „przelatywało“ się sekretarkę. Ja niestety w tym nie uczestniczyłem, opowiadali mi tylko nazajutrz wrażenia. Dlaczego? Bo byłem młody i wstydziłem się. Poza tym oni mnie nie zapraszali. W soboty natomiast w sali kino-teatru odbywały się zabawy taneczne. Mnie sadzano przy kasie, jako jedyne, który jej nie ukradnie.

**- Dlaczego?**

- Bo inteligent. Na zabawę przychodziły dziewczęta i od razu szły na taki niewielki balkon kinowy zawieszony u sufitu. Tam panienki się rozbierały, po czym wkładały sukienki na gołe ciało, żeby się lepiej przytulać w tańcu. Ówczesna damska bielizna, te wszystkie gumowe pasy, podwiązki, pończochy, staniki, bardzo obfite uzbrojenie, rozpałało moją wyobraźnię, ale nadal byłem nieśmiały.

**- / ciągle nic?**

- Ano nic. Brałem bardzo aktywny udział w akcji likwidowania krzyży harcerek z harcerek mundurów i uroczystego przypinania w ich miejsce znaczków nowej organizacji harcerek. Zostałem wydelegowany do żeńskiego gimnazjum, a gdy się tam zjawiłem, zewsząd zleciały się dziewczyny, zaczęły się gapić, piszczeć i uciekać. Bo wtedy chłopak w żeńskiej szkole to była sensacja. Idę więc cały czerwony korytarzem, wchodzę do auli, no i zaczynam spełniać swoją powinność. Przypinam znaczki na szpilce do mundurków i nagle widzę przed sobą bladą dziewczęcą twarz, a potem puste miejsce. Okazało się, że wbiłem szpilkę w dziewiczą pierś jednej dziewczynki, która zemdlą.

**- Z bólu czy z rozkoszy?**

- Powiedzmy - z wrażliwości. Drugi raz podobnego efektu doznałem wiele lat później, gdy robiłem dokumentację do filmu, który sobie obmyśliłem. Miał to być dokumentalny fUm o

niemowlętach; o tym, że społeczeństwo noworodków okazuje podobne cechy i sposoby zachowania jak społeczeństwo dorosłych. Kto głośniej krzyczy, ten pierwszy dostaje jeść itd. Dokumentację kompletowałem w klinice położniczej przy ul. Madalińskiego, w socjalistycznym przybytku porodów bezbolesnych osiąganym przy użyciu kolorowych tapet i perswazji. Spędziłem ze trzy noce na porodówce, gdzie w końcu zaprowadziłem też reżysera, Bogusia Rybczyńskiego, żeby sobie obejrzał to, co później miał kręcić. Wchodzimy na porodówkę i widzimy położną, która trzyma w ręku kobiece łożysko. I tak jak czułem Bogusia ramieniem, nagle czuję pustkę. Rybczyński stał się w ten sposób pierwszym w dziejach, męskim pacjentem kliniki położniczej.

**- Czy ten Rybczyński ma coś wspólnego ze Zbigniewem Rybczyńskim, reżyserem który dostał Oscara za „Tango“, a teraz przebywa w Stanach Zjednoczonych?**

- Chyba nie, Boguś był bratem pierwszej mojej naczelnej redaktor, Ireny Rybczyńskiej, matki Agnieszki Holland. Kiedyś przywieziona z Płocka partnerka seksualna Bogusia umówiła się ze mną na randkę. Była to widocznie prowokacja, bo ja tu sobie pocynam z dziewczyną Bogusia, a nagle dzwonek do drzwi, w których staje Boguś. Ona musiała mu powiedzieć, gdzie jest... Rybczyński chciał uratować godność rogacza, dał mi więc 100 złotych i powiedział coś, że dziękuje mi za usługę...

**- Wróćmy do czasów, kiedy jest pan w ZMP. Rozpoczął pan wreszcie życie płciowe czy nie?**

- Na razie mamy rok 1948 i cały czas żyję w erotycznej atmosferze, ale nic z tego dla mnie nie wynika. W czasie wakacji wyjeżdżam do miejscowości Charzykowy na Pojezierzu Pomorskim na obóz ZMP dla aktywu szkolnego. Jestem instruktorem, co oznacza, że wykładam marksizm i inne podobne przedmioty.

Atmosfera jest bardzo naerotyzowana, wszyscy walą się po krzakach jak cholera, tylko ja nie robię nic oprócz wykładów marksizmu. Ale oto pewnego dnia duża ruda dziewczyna objawiając ku mnie wiadomą skłonność, zakłada się ze mną o to, z czego dziś będzie kompot do obiadu, z jabłek czy ze śliwek. Zakład jest amerykański, co znaczy, że zwycięzca dyktuje pokonanemu warunki. Zbliży się pora obiadowa, podają kompot - ze śliwek! Wygrałem! Ruda pyta, co ma zrobić, a ja, żeby wyprała mi skarpetki, co ją tak rozczarowało, że dała mi w twarz.

Był to drugi raz, kiedy dostałem w twarz na tle spraw męsko-damskich. Wcześniej przyłożył mi szkolny poeta Robert Gluth, który zakochał się w Jance, o której już mówiłem, i podejrzywał mnie, że z nią romansuję.

**- Ale na obozie do niczego nie doszło, oprócz incydentu z kompotem śliwkowym?**

- Co do spraw łóżkowych, to rzeczywiście nie, ale za to innych wrażeń było mnóstwo. Był pożar wsi, który młodzież z ZMP pomagała gasić. Ja -jak zwykle - zostałem przy kasie. Chodziliśmy także do sąsiedniego obozu harcerskiego, gdzie urządzaliśmy prowokacje polityczne skierowane przeciw staremu harcerstwu. Coś się też wydarzyło, ale nie wiem co, ponieważ jako gówniarz, nie zostałem wtajemniczony. Sytuacja musiała być poważna, bo przyjechał przedstawiciel Zarządu Głównego ZMP Mirosław Kluźniak, późniejszy korespondent polskich gazet m.in. w Indiach. Komendantem obozu był Tadeusz Kaczmarek, który wiele lat później został wiceministrem kultury. Spotkaliśmy się i rozmawialiśmy jak

minister z ministrem. Zapytałem go, co to była za afera na obozie w Charzykowych, ale on już nie pamiętał, o co chodziło.

Z osób, które potem odegrały jakąś rolę w życiu publicznym, na obozie była Joanna Majerczyk, o której Kuroń pisze jako o gwiazdce opozycji. Była też Irena Lewandowska, potem żona poety Witka Dąbrowskiego, ta sama, z którą w 1957 zakładałem biuro matrymonialne w Krakowie.

Pamiętam, że Lewandowska epatowała nas gaszeniem niedopałków o dłoni. Piliśmy wódkę za siedemnastą republikę, potępialiśmy Jugosławię, bo to było akurat to lato, kiedy ogłoszono, że Jugosławia jest „be“. Ja wypłynąłem na jezioro i nie miałem siły wrócić. Takie to było lato.

**- Z „tych“ rzeczy jednak nici...**

- Z moim przyjacielem Berkowiczem poszliśmy na kurwy, takie tanie, uliczne. Wypiliśmy dla kurażu ćwiartkę. On zawarł porozumienie ze spacerowiczką, która mogła być naszą matką, jeśli nie babką, no i poszliśmy do niej, do bardzo ubogiej izdebki. On próbował - nic. Ja próbowałem - nic. Nie była bowiem ponętna ani czysta, my zaś zdenerwowani tak, że nie mogłem znaleźć w kieszeni 100 zł uzgodnionych należności.

Jako członek zarządu dzielnicowego miałem pod opieką szkolne koła ZMP. Kiedy zaczął się rok szkolny, wygłaszałem pogadanki w szkole podstawowej dla pracujących. Chodziła tam młodzież starsza i wyrosnięta, a ja podpierając się pogadankami drukowanymi w miesięczniku ZG ZMP „Nasze Koło Pracuje“, opowiadałem o walce o socjalizm na wszystkich frontach. Pamiętam, że wygłaszałem pogadankę zaczynającą się od słów: „Od błękitnych fal Bałtyku po wysokie szczyty Tatr, jak Polska długa i szeroka, wre praca...“. Miałem to wkute na pamięć. W późniejszych latach podobne pogadanki pisałem za pieniądze. Były publikowane w wydawnictwie drukowanym w formie notesu pt. „Notatnik prelegenta“.

Z kołem ZMP w tej szkole dla pracujących pojechałem na wycieczkę za miasto, gdzie wreszcie nastąpiła inicjacja seksualna. Polegała na tym, że jedna z wyrosniętych uczennic w moim wieku, imienia nie pamiętam, z własnej inicjatywy zaciągnęła mnie w krzaki i po prostu zerznęła. Był to stosunek pośpieszny, byle jaki, podczas którego byłem zajęty głównie pilnowaniem, żeby nikt nas nie zobaczył. Krzaki były bowiem skąpe, a dookoła pełno ludzi.

Po powrocie moi rodzice właśnie gdzieś wyjeżdżali na kilka dni, wobec czego zaprosiłem tę dziewczynę do siebie i mieszkałem z nią jak mąż z żoną. Mogłem mieć wtedy 15 albo 16 lat.

Bardzo dumny prowadziłem ją pod rękę przez całe podwórze aż do oficyny, gdzie było nasze mieszkanie. Współżyłem z nią już bez tamtego pośpiechu, ale starannie, usiłując pobrać podstawowe nauki. Po powrocie rodziców sąsiedzi i dozorczyńni o wszystkim donieśli, wybuchła awantura, matka ostentacyjnie zwlekała pościel z mojego łóżka, wietrzyła materac, a w końcu sprowadziła swoją przyjaciółkę, wielką idiotkę, która odbyła ze mną poważną rozmowę wychowawczą. Próbowała uświadomić mi, że z zapraszania pańienek mogą wynikać różne nieszczęścia, takie jak choroba weneryczna, dziecko, a nawet małżeństwo.

Koniec końców obiecałem, że więcej nie spotkam się z tą dziewczyną, co przyszło o tyle łatwo, że specjalnie mi się nie podobała. Raziło mnie w niej, że nie umiała ze mną

rozmawiać. Kiedy chciała coś wyrazić, to śpiewała stosowny cytat z ówczesnych piosenek. - ***To był taki styl?***

- Nie, to był jej samodzielny pomysł na załatwienie bezradności. Sądziła, że operowa, bo śpiewana forma rozmowy jest bardziej wzniosła.

***- Ta niezbyt udana inicjacja zahamowała pana zainteresowania erotyczne?***

- Może nie zainteresowania, ale na pewno realizację zamierzeń. W tym czasie, a może nawet nieco wcześniej, pod nieobecność rodziców, po raz pierwszy urządziłem w domu Sylwestra. Miałem dać chatę i szkło, a mój kolega, nie pamiętam już który, miał sprowadzić panienki. Obydwaj wywiązaliśmy się ze zobowiązań. Panienki były dwie, obie utalentowane, jedna śpiewała, a druga gimnastykowała się. Obie bardzo mi się podobały, ale wieczór sylwestrowy szybko się skończył, one poszły do domu, a ja zostałem jedynie z marzeniami o nich. Zapewne onanizowałem się. Co z tego, skoro nie wiedziałem nawet, do jakich szkół chodzą.

Do zarządu dzielnicowego przychodził przedstawiciel Urzędu Bezpieczeństwa występujący pod pseudonimem Zygmunt. Ja z nim nie miałem kontaktu, ale mój przyjaciel Berkowicz został przez niego poproszony, żeby mnie z kolei poprosił, abym odszukał jedną z panienek, które były u mnie na Sylwestra.

***- Gimnastyczkę czy śpiewaczkę?***

- Gimnastyczkę. UB posiadało informację, że gimnastyczka jest w nielegalnej Sodalicii Mariańskiej. Moim zadaniem było odnalezienie panienki i wyciągnięcie co się da o Solidacji. Radość moja była podwójna: raz, że dostałem tak odpowiedzialny rozkaz, dwa, że wszechpotężny urząd dał mi adres gimnastyczki.

Niezwłocznie pojechałem pod wskazany adres, na miejscu okazało się, że jest to wielka fabryka. Poinformowano mnie, że ojciec dziewczyny jest tam portierem, a oboje mieszkają nad portiernią. Pytam więc strażników, czy taka a taka jest w domu. Oni mówią, że jest, ale zajęta i żebym poczekał parę minut. Ma teraz gości. I rzeczywiście, po jakimś czasie ze schodów stoczył się fagas, dopinając portki. Wstrząśnięty i zażenowany - uciekłem, nie spełniwszy swej pierwszej w życiu misji policyjno-politycznej.

***- Jak zareagował Zygmunt?***

- Nijak. Współpraca się urwała. Z innymi panienkami z Łodzi już się nie zadawałem. Wkrótce wyjechałem do Warszawy, gdzie byłem obcy i tym bardziej nie miałem żadnej okazji zadawać się z panienkami.

***- W ogóle???***

- Chodziłem do męskiej szkoły, miałem kłopoty z nauką, nie ma się czemu dziwić... Z kobietami odzyskałem styczność dopiero na studiach dziennikarskich, na szczęście koedukacyjnych.

Podobała mi się nieżyjąca już Krystyna Grosicka. Przychodziła do mnie do domu, by wspólnie uczyć się ekonomii. Tu dodać muszę, że nigdy w życiu niczego się nie uczyłem, za żadną cenę, jeśli więc zrobiłem wyjątek dla ekonomii, to tylko przez wzgląd na Grosicką. W

mojej wyobraźni narastało przekonanie, że jej wizyty nie mają charakteru wyłącznie naukowego, a gdy kiedyś przyszła z półlitrem, doszedłem do wniosku, że pragnie mnie ośmielić. Po wypiciu kieliszka czy dwóch, nabrawszy śmiałości przeleciałem z nią schematy reprodukcji rozszerzonej Róży Luksemburg i bez większych wstępów zwałem się na Grosicką. Oburzyła się i zaczęła ze mnie szydzić, że nie wiem, jak podbija się kobietę. Ja nie rozumiałem, że takie bezceremonialne parobczańskie dobieranie się odrzuca dziewczynę. Sądziłem, że na dziewczynę należy rzucać się ciałem jak na leżak. Czerwona i wściekła Krysia uniosła się kobiecym honorem, który zdeptałem, i poszła sobie. Nazajutrz poinformowała wszystkich na wydziale, że usiłowałem ją zgwałcić. Była to bardzo mocna przesada-jak się okazało - dla mnie nieszkodliwa, a dla niej i owszem. Zwołano bowiem zebranie poświęcone godności kobiety. Konkluzją było stwierdzenie, że godności kobiety uwłacza, jeśli ta przychodzi do mężczyzny z wódką. Grosicką złożyła samokrytykę, oboje nadal pozostaliśmy w tej samej paczce, jednak już nigdy się do niej nie dobieierałem, podobnie jak do żadnej innej na studiach.

**- Trochę to mało, jak na burzliwy studencki seks...**

- Niestety, musiałem się zadowolić rolą kibica. Tylko obserwowałem...

**- Kto z kim się kochał?**

- Dziś już nie pamiętam... Krallówna zapewne ze Szperkowiczem, ale mnie przy tym nie było.

**- Jeśli na studiach nie, to może chociaż w redakcji coś się panu przytrafiło?**

- W redakcji też nie. W „Nowej Wsi“ odbywały się liczne pijaństwa redakcyjne, podczas których jedynym obiektem erotycznym były dwie maszynistki, wiejskie dziewczuchy. Zjedna zacząłem się nawet całować i pieścić po wódcę, ale ona od razu zapytała, czy mam własne mieszkanie, co mnie zupełnie zmroziło. Z drugą z nich żył mój przyjaciel Berkowicz, był to prawdziwy romans, a nie tylko gimnastyka. Maszynistka ta wiodła życie samotnej matki z trojgiem dzieci, wszystkie niedorozwinięte, i mimo że nie miała więcej niż 25 lat, straszyla okropnie szerniałymi zębami i lukami po zębach. Naczelną Rybczyńska naradzała się ze mną, jak ten romans zlikwidować. Oboje bardzo szczegółowo omawialiśmy poszczególne warianty rozstania, lękając się że Berkowicz wsiąknie i - jak to się mówi - zniszczy sobie życie.

Ale na szczęście sobie nie zniszczył.

**- A wyjazdy służbowe? Na delegacjach też pan nikogo nie poderwał?**

- No więc właśnie! Pewnego dnia zadzwonił do mnie mój szkolny kolega Waclaw Sadkowski, obecny redaktor naczelny „Literatury na Świecie“, mówiąc, że właśnie został redaktorem nowego dodatku kulturalnego do „Sztandaru Młodych“, który nazywa się „Przedpole“ i proponują mi, żeby m napisał reportaż z wakacyjnego obozu szkoły baletowej.

Obóz był w miejscowości Wiśnicz, słynącej z wielkiego zamku, w którym mieściło się jeszcze większe więzienie o zastrzonym rygorze. Pojechałem do Wiśnicza i od razu zobaczyłem Ją. Była pełna wdzięku, błyskała białymi zębami, śmiała się i chodziła tak lekko, jak tylko może chodzić przyszła baletnica.



Pamiętam, że chodziła z koleżanką na jakieś ksiuty z wikarym z miejscowego kościoła. Chodziły z tym księdzem w zarośla pod więzienie, a potem zastanawiały się, czy wikary da się uwieść czy nie.

**- *Który to był rok?***

- Lato 1953. Kilka tygodni później poprosiłem swojego kolegę, który najlepiej znał się na dziewczynach, Mieczysława Górskiego, żeby pożyczył aparat fotograficzny, poszedł do szkoły baletowej, przedstawił się jako współpracujący ze mną fotoreporter i zaprosił dziewczynę imieniem Alina do parku celem zrobienia jej zdjęć potrzebnych do mojego reportażu.

Ona przybiegła w te pędy, bo jak każda artystka swą przyszłą karierę chciała podeprzeć fotografiami w prasie. Górski pstrykał aparatem bez filmu, a my odbyliśmy swoją pierwszą w Warszawie randkę.

I tak zaczął się długi i bardzo burzliwy romans. Przychodziłem po Alinę do szkoły, wszystkie popołudnia spędzaliśmy razem najpierw w „Telimienie“, potem u mnie w domu. Tak się ze sobą zżyliśmy, że wreszcie wyjawiała mi swą tajemnicę, taką mianowicie, że jest... mężatką. Wyszła za męża za chłopaka, który natychmiast poszedł do wojska, męża od roku czy dłużej nie widziała i w ogóle nie czuła się mężatką.

**- *Spaliście ze sobą?***

- Aż wstyd przyznać, ale nie. Ja nie wiedziałem jak od czułych słówek przejść do sedna, ona pewnie czekała na moją inicjatywę. Byłem nieporadny w obcowaniu z kobietami, nie umiałem rozwiązać takich kwestii technicznych, jak: gdzie to zrobić i kiedy.

Wreszcie, po pół roku platonicznego romansowania, wyjechaliśmy razem w góry. Zamieszkaliśmy w Szklarskiej Porębie, w pensjonacie Związku Literatów, który mieścił się w starym domu laureata Nobla - Gerharda Hauptmanna. Występowaliśmy jako małżeństwo, dostaliśmy piękny pokój. Okoliczności były romantyczne: spadł śnieg, dom został zawiany aż po pierwsze piętro.

Niewielkie grono siedziało przy kominku w salonie i piło na umór. Z gośćmi balowała kucharka, która twierdziła, że była kochanką Leona Schillera. Kierowniczką przetrzymywała w swoim pokoju młodego kochanka.

**- *A między panem i Aliną było coś, czy nie?***

- Było. Sypialiśmy ze sobą, ale dziś, z perspektywy człowieka doświadczonego wiem, że było to współżycie nieudane i po prostu nieporadne.

**- *Kto zawinił?***

- Chyba ja. Zresztą po powrocie do Warszawy znów przestaliśmy ze sobą sypiać. Alina skończyła szkołę, zaczęła pracować w operze, pomogłem jej rozwieść się z mężem. Bawiąc się i hulając wprowadziłem ją do tzw. środowiska. Młodzi attache ambasad, samochody służbowe, nocna „Kameralna“, tygodnik „Po prostu“, Marek Hłasko...

**- *Żadnych skoków w bok?***

- Gdzie tam! Uchodziliśmy za parę tak zakochaną, że aż roztkliwiała otoczenie. Pewnego dnia okazało się, że Alina jest w ciąży. Prerażony pobiegłem do starszego i doświadczonego kolegi, który naraił mi lekarza, niejakiego doktora Browara. Aborcja wówczas była przestępstwem, bo obowiązywało jeszcze stalinowskie prawo karne. Opiliśmy z doktorkiem sprawę, uzgodniliśmy cenę i umówionego dnia zawiozłem Alinę do jego prywatnego gabinetu. Z zabiegu jednak nic nie wyszło, bo tam akurat murarze tynkowali fasadę domu i zaglądali do gabinetu przez okno. Wobec tego pojechaliśmy do mnie, rodziców całe szczęście nie było. Dr Browar w tych antyseptycznych warunkach dokonał zabiegu na moim biurku. Z początku Alina czuła się dobrze, lecz w nocy zaczęła gorączkować, trzeba było wzywać pogotowie. Komplikacje, antybiotyki, ale wszystko skończyło się szczęśliwie.

Utrzymywaliśmy stosunki z dr. Browarem, człowiekiem o jedno pokolenie starszym, zamoznym i rozrywkowym. Jako lekarz był jednak bardzo nachalny, leczył i moje dolegliwości żołądkowe i czyraka, który wyrósł mi na szyi, działał w każdej specjalności. Był ordynatorem oddziału noworodków w szpitalu pod Warszawą. W końcu nie wiedziałem jakiej jest specjalności, pediatrą czy ginekologiem. Jego żona prowadziła salon kosmetyczny „Izis“, który po dziś dzień istnieje przy Placu Konstytucji. Browar był ulubionym lekarzem kobiet, które przychodziły do niego trochę jak do uzdrowiciela, bioterapeuty czy znachora.

Romans z Aliną powoli wygaszał. Pojechaliśmy jeszcze nad morze do Łeby, gdzie następnego dnia z Juraty przyjechał na motocyklu dr Browar. Nic o tym nie wiedząc, byłem jedną częścią trójki...

**- *A co z Aliną?***

- Nie widziałem jej całe dziesiątki lat. Pewnego dnia zadzwoniła do mnie z Pragi, gdzie mieszkała jako żona dyplomaty, prosząc, żebym załatwił letnią praktykę jej córce, która studiowała dziennikarstwo. Przyjechała córka, załatwiłem jej praktykę w Biurze Prasowym Rządu.

**- *Był pan już rzecznikiem rządu?***

- Tak.

**- *Córka podobna była do mamy?***

- Nie bardzo. Ładna, ale nieciekawa. Alina zadzwoniła jeszcze raz, z przesadną wdzięcznością dziękując za tę trzeciorzędną i nie fatygującą przysługę oraz zapraszając na kolację do „Victorii“. Była ona, była córka z mężem, byłem ja. Pod wpływem wódki roztkliwiłem się.

**- *Po rozstaniu z Aliną poznał pan swoją pierwszą żonę?***

- Nie od razu. Przez rok bolało mnie serce, ilekroć na ulicy widziałem przytulającą się parę. Bardzo potrzebowałem jakiejś kobiety, ale nic się nie trafiało. Mimo, że byłem już całkiem dorosły, uchodziłem za dosyć znanego dziennikarza, bywalca knajp... Nikt! Żadnej panienki choćby do towarzystwa, choćby na jedną noc, nikogo nie potrafiłem sobie wtedy

zorganizować. Paraliżowała mnie nienaturalna wstydlivość i nieudolność. Byłem przekonany, że miłość i seks - to się samo powinno zrobić, samo przyjść, bez żadnej aktywności z mojej strony.

**- Czy był pan wówczas sentymentalny?**

- Aż do przesady. Ale nie był to sentymentalizm, który sprzyja romansom, zabarwia je swoim ciepłkiem, tanim, lecz pokupnym. Mój sentymentalizm był paraliżujący i bardzo infantylny.

**- Jesienią 1957 roku poznaje pan kobietę, która wkrótce wychodzi za pana za mąż. Co pan skorzystał na pierwszym małżeństwie, a co stracił?**

- Żona miała usposobienie neurasteniczne. Gdy ją czymś urażałem - co było regułą - milczała przez kilka dni, przeżywała to w myślach, po czym podejmowała ze mną rozmowy naprawcze. Trwały one wiele godzin, przeważnie w nocy. Byłem gruntownie przećwiczony w analizie psychologicznej małżeństwa. Żona uczyła mnie dostrzegać zjawiska w ich wzajemnym powiązaniu, przez co dowiedziałem się, że każdy drobiazg we współżyciu jest wyrazem rzeczy dla współżycia kluczowych.

**- A dziecko?**

- Dziecko było, być może, głównym podłożem konfliktów. Pojawienie się na świecie córki nie było ze mną zawczasu uzgodnione, ale może to był tylko pretekst, bo w ogóle nie lubię dzieci. Do tego nie było mieszkania, pracy, życie było trudne, starałem się uciekać od dziecka jak najdalej. Oddaliśmy je nawet gdzieś na wieś na- garnuszek. Zapewne to wszystko spowodowało, że po dziś dzień moje stosunki z córką nie są proste ani szczególnie bliskie.

**- Dziś też nie lubi pan dzieci? Nawet własnych wnuków?**

- Dziś też nie lubię dzieci. Nie znaczy to, że nie lubię ich aktywnie. Wnuki oglądam z przyjemnością raz na kwartał, ale nie odczuwam żadnej potrzeby, by je widywać częściej.

**- Czy w pierwszym małżeństwie był pan egoistą?**

- Byłem egoistą i jestem egoistą. Zresztą w małżeństwie zawsze ścierają się dwa egoizmy, tym większe, im większe wymagania stawia sobie związek dwojga ludzi. Mój egoizm objawiał się najczęściej tym, że pragnąłem, aby mi dać święty spokój.

Żona miała skłonność do życia jakby na moją odpowiedzialność. Uważała więc konsekwentnie, że ja jestem wszystkiemu winien. Byłem zatem obwiniany za to, że żona nie zrobiła doktoratu, że zmieniła zawód, że nie osiągnęła w nim sukcesów.

**- Czy pan ją zmusił do zmiany zawodu na dziennikarstwo?**

- Broń Boże. Była asystentką na uniwersytecie i według przepisów w ciągu ośmiu lat powinna była napisać doktorat, a ściślej - swoją pracę magisterską o Orzeszkowej przerobić na doktorat o Orzeszkowej. Bo moja pierwsza żona jest jedynym człowiekiem na świecie, poza Orzeszkową, który przeczytał wszystko, co Orzeszkowa napisała. Samo to już chyba wystarczy, żeby zaliczyć ją w poczet męczenników. Trud ten poszedł jednak na marne i świat nie doczekał się dysertacji doktorskiej o Orzeszkowej.

Kiedy więc żona nie otwierała przewodu, zgodnie z przepisami, miano nie przedłużać z nią umowy o pracę. Napisała wówczas do „Polityki“ artykuł o feudalnych stosunkach, jakie panują na uczelni. Była to bardzo głośna publikacja, żonie zaproponowano pozostanie na uniwersytecie w obawie przed skandalem, jakim byłoby wyrzucenie autorki krytycznego artykułu. Partia chciała jej pomóc, bo też nie lubiła tych dożywotnich mandarynów, którymi są profesorowie. Żona, oczywiście, nie chciała zostać na uczelni w ten wymuszony i niehonorowy sposób. Poszła więc na łatwy chleb do telewizji. Wzięła ją tam moja kuzynka, która robiła jakiś magazyn. I tak potem wędrowała z redakcji do redakcji, była też w „Polityce“ i pismach marginesowych. W 1981 roku pracowała w „Tygodniku Solidarność“...

***- Z kim państwo utrzymywali stosunki towarzyskie?***

- Najpierw z ludźmi z „Po prostu“ - z Lasotą, Bratkowską, potem z Ernestostwem Skalskimi i niejakimi Ołdakowskimi, a później pojawiło się już środowisko „Polityki“: Fikus, Radgowski... Plus moi starzy przyjaciele: Ber-kowicz, Dziewanowski, Górski.

***- A kiedy pan po raz pierwszy zdradził żonę?***

- W Łodzi, na jakimś wyjeździe. Berkowicz przyprowadził wtedy do „Grand Hotelu“ panią. Moja była wnuczką jednego z wielkich, niemieckich fabrykantów łódzkich, pracowała wówczas w Radzie Narodowej. Pamiętam, że było mi z nią w łóżku bardzo niewygodnie, przez całą prawie noc spacerowałem więc po hotelowym korytarzu.

***- Nie miał pan wyrzutów sumienia?***

- Może i miałem, ale nie tak wielkie, żebym je dziś pamiętał. Zresztą to żona pierwsza zaczęła...

***- Nie czuł pan żalu?***

- Kolosalny. Obiecałem rewanż, ale to się tylko tak łatwo mówi. Jak trzeba, to nie ma z kim.

***- W środowisku, w którym się pan obracał, zdrada małżeńska była czymś normalnym? Jak to było wtedy traktowane?***

- Tak samo jak dziś i jak zawsze. Wewnątrz związku zdrada była dramatem i przedmiotem długotrwałych analiz. A na zewnątrz - w zależności od ludzi. Jedni sprawami damsko-męskimi zajmowali się ostentacyjnie, a z częstego zmieniania partnerów czy partnerek czynili styl życia, znak firmowy, sztandar. Inni - przeciwnie.

***- Kto ze znanych panu osób był powiedzmy świętoszkiem, a kto playboym?***

- Świętoszków nie znałem. A playboye? No, np. Giełżyński, Berkowicz, Górski... Później Rafał Olbromski, autor grafomańskich powieści erotycznych, Schoen-Wolski z telewizji...

***- Gdzie toczyło się życie towarzyskie?***

- Takim głośnym miejscem była kawiarnia Państwowego Instytutu Wydawniczego. Siadywali tam politycy preopozycyjni, stary Staszewski, młody Michnik, Jan Józef Lipski.

Przychodził też Słonimski, choć jego kawiarnią był „Marzec“, czyli późniejsza „Antyczna“. W PIW-ie kotłowali się artyści, literaci, dziennikarze i... dziewczynki. Gdy dziś na to patrzę, były to osóbkki bardzo młode, w wieku, który skłaniał już do oderwania się od własnych domów, ale jeszcze nie uprawniał do rozpoczęcia dorosłego życia na własny rachunek.

**- *To były kurwy?***

- One zbliżały się do prostytucji, na ogół nie przekraczając granicy między rozrywkowym stylem życia i profesjonalizmem. To znaczy, że nie brały pieniędzy, choć żyły z tego co dostawały. Tym różniły się od prostytutek, że prostytutka poluje na klienta, a seks traktuje jak usługę, za którą trzeba zapłacić należność. Dziewczynki z PIW-u natomiast uczestniczyły w życiu towarzyskim, a branie pieniędzy było oderwane od współżycia seksualnego i nie było przedmiotem wstępnych uzgodnień. No i wybierały raczej partnerów. Bywało, że z jednym żyły, a od drugiego wyciągały pieniądze. Do ich fasonu należały opowieści jak poszły, nie dały a wzięły.

- Atmosfera była bardzo libertyńska i pikantna. Dziewczyny funkcjonowały jako entourage elity i to elity raczej nie finansowej, lecz intelektualnej.

**- *Skąd się wywodziły te dziewczynki?*** - Z domów społecznie poślednich. One chciały uciec z „plebsu“. Stworzyły swoisty styl bycia: przychodziły przed południem i czekały, gdzie i co się rozwinie, u kogo będzie jakaś wódka, kto zaprosi na obiad, gdzie będzie można przenocować itd.

**- *Czy kojarzyły, kto jest kim?***

- Ach tak! Świetnie się na tym znały. Przysłuchiwały się dyskusjom politycznym i intelektualnym, w PIW-ie były ich uniwersytety, w sposób zastępczy kształciły się i to solidniej niż w szkołach i na uczelniach. Słowem - poznawały nowe światy wrażeń, tryb życia i wartości inne niż te, z którymi dotychczas miały do czynienia.

**- *Kto się cieszył ich szczególnym - nazwijmy to - szacunkiem?***

- Zawsze kto inny - zależało to od wciąż zmieniających się możliwości finansowych, mód, tzw. układów towarzyskich. Jedni bywalcy wypadali z gry, inni do gry wchodzili.

Był tam np. rotmistrz Rzeszotarski, bardzo tajemnicza postać, zawsze otoczona rojem adiutantów i panienek. Sympatyczny człowiek, zarządzający mnóstwo rozrywkowych imprez i wpadający na niecodzienne pomysły. Raz kupił w komisie identyczne sukienki dziesięciu dziewczynom, mówiąc że musi umundurować swoją gwardię przyboczną. Rzeszotarski był waluciarzem - co sam sprawdziłem - powiązany z MSW. Przypuszczalnie zajmował się skupowaniem na czarnym rynku dolarów dla rządu. Z tego względu przez jakiś czas korzystał z jako takiego bezpieczeństwa, które pewnego dnia skończyło się, posadzili go, a potem gdy wyszedł, był człowiekiem skończonym, biednym i zszarzałym.

**- *Jakie były losy dziewczyn z PIW-u?***

- Niektóre wychodziły za mąż za bywalców kawiarni, inne znajdowały mężów na zewnątrz, jeszcze inne przechodziły na kurewskie zawodowstwo.

Pamiętam dziewczynę imieniem Kajka; wyszła za pewnego matematyka i poetę, który jej zrobił dziecko. Potem chodziła i szukała męża po nocnych knajpach.

Była tam też Lolita, która swą ksywę wzięła od tego, że wcześniej zaczęła. Lolita wyszła za jakiegoś niebywale bogatego Amerykanina, tak bogatego, że o nim i jego żonie zaczęły krążyć legendy po Warszawie.

Jedną z tych dziewczyn była Ewa Frykowska, pierwsza żona Wojtka Frykowskiego, tego samego, który w willi Polańskiego zginął z rąk bandy Mansona. Frykowski rzucił Ewę dla Agnieszki Osieckiej, co może wskazywać na przemienność jego upodobań.

**- Ewa Frykowska była barwną postacią, nawet jak na dziewczynę z PIW-u...**

- Z okazji 10-lecia „Polityki“ w redakcji odbywała się uroczystość, czyli ochłaj, który zaszczycił swoją obecnością sam towarzysz Starewicz. W pewnej chwili przyszedł Jarecki z Frykowska, więc zaczęto ich wypychać za drzwi, żeby panienska lżejszego autoramentu nie skaziła podniosłych uroczystości. Usiłowania spełzły na niczym, Frykowska weszła i na mój widok zawołała do całej zgromadzonej publiczności: „Urban, ty chyba w ogóle nie masz ch...“. Na co ja odpowiedziałem: „Jak to nie mam? Tam stoi“ i wskazałem na Starewicza. Za drzwi wyrzucono nie mnie, tylko ją.

Innym razem, rano kiedy leżałem jeszcze w łóżku, przyszedł do mnie Ernest Skalski z Frykowska. Cały dzień żeglowaliśmy po knajpach, a wieczorem byliśmy zaproszeni do Giełżyńskiego na urodziny czy imieniny. Były tam różne mamusie, ciocie i szwedzki stół. Gości ceremonialnie witał Giełżyński w towarzystwie trzech dam, które po kolei przedstawiał: „Moja poprzednia żona, moja obecna żona, moja przyszła żona“.

Frykowska nie była zaproszona, otaczał ją ostracyzm, więc przeszła do pokoju, gdzie był przygotowany szwedzki stół i w spokoju, metodycznie rozebrała wszystkie przekąski na części pierwsze.

Ostatnią o niej wiadomość miałem od Passenta, którego przyjmowała w swojej willi w Szwajcarii. Wyszła za jakiegoś amerykańskiego milionera. On jeździ po świecie, ona zaś wychowuje dziecko i nudzi się w Szwajcarii.

Jak widać, co inteligentniejsze dziewczynki z PIW-u doznawały wpierw awansu umysłowego, potem społecznego, a niekiedy i materialnego. Niektóre wtapiały się w elitę, robiły kariery, a dziś są nobliwymi damami o bardziej interesującej osobowości nizinne damy o przeszłości bardziej konwencjonalnej.

**- A pan bywał w PIW-ie?**

- Chadzałem tam, korzystając z atmosferki tego środowiska. Razem z innymi żyłem wydarzeniami z imprez towarzyskich, w których niekiedy osobiście uczestniczyłem.

Kiedyś całą grupą wyszliśmy ze SPATIF-u i szliśmy dalej pić do barona Schoen-Wolskiego, tego, którego niedawno Terlecki wyrzucił z telewizji. Schoen-Wolski mieszkał wtedy z piękną i egzotyczną Carmen, Mulatką, która jest chyba po dziś dzień żoną Grzegorza Lasoty i mieszka w Wenezueli. Po drodze dołączyła do nas Kajka, o której już wspomniałem. Potem piliśmy, aż sąsiedzi wezwali milicję, bo było głośno. Obecne na imprezie damy zaprosiły

przybyłych funkcjonariuszy do środka, poczęstowały wódką, a w końcu powiedziały, że nie mogą patrzeć na te ohydne mundury, więc milicjanci posłusznie się rozebrali. A ponieważ była zima, zostali w samych tylko służbowych kalesonach z troczkami. Przed domem opuszczony radiowóz nie odpowiadał na wezwania, wysłano zatem inny radiowóz, żeby zobaczył, czy załozie pierwszego nie grozi jakieś niebezpieczeństwo. Milicjanci z drugiego radiowozu również trafili do naszego mieszkania i kolejna partia stróżów porządku została spita i rozebrana.

Pointą tego przyjęcia było to, że po raz pierwszy i ostatni w życiu byłem przez kobiety dosłownie rozrywany. Od Schoen-Wolskiego wyszedłem z żoną i Kajką, która uważała, że na imprezę przyszedłem z nią. Obie panie zaczęły mnie ciągnąć, każda w swoją stronę...

**- Czy w tym środowisku korzystano z usług zawodowych prostytutek?**

- Nie, to znaczy na ogół nie. Nie było to w stylu, ale po pijanemu różnie bywało.

**- Kawiarnia PIW-u skończyła się po marcu '68 ze względów politycznych?**

- W jakimś stopniu tak, ale skończyła się przede wszystkim dlatego, że ludzie się starzeli.

**- Po odejściu od pierwszej żony zamieszkał pan w mieszkaniu nad „Pewexem“ w Alejach Jerozolimskich. Prowadził pan swoisty dom otwarty. Czy miał pan wtedy powodzenie u kobiet?**

- Mówiłem już, że nigdy nie miałem powodzenia. Nawet w tym okresie aktywności erotycznej, kiedy sypiałem z dużą liczbą dziewczyn. Mój dom był rozrywkową przystanią, do której przybijały dziesiątki dziewczyn, z których niektóre szły ze mną do łóżka. Nie było jednak żadnego dłużej trwającego romansu. Jedną bardzo piękną dziewczynę, z którą przez jakiś czas się pokazywałem, porzucił mąż, a ona - ciągle w nim po uszy zakochana - związała się na krótko ze mną. Była też zakochana we mnie korektorka, jedna z trzech, które wtedy przychodziły do mojego mieszkania. Z dwiema sypiałem, z jedną sypiał Olszowski.

**- Skąd się brały wszystkie te dziewczyny? Kto je dostarczał?**

- To było mieszkanie na tyle w dobrym punkcie, że nikt ich nie musiał dostarczać. Niektóre same przychodziły, niektóre z moimi kolegami, niektóre przyprowadzane przez koleżanki. Można było zawsze zadzwonić, umówić się na wódkę, przenocować.

**- Kto u pana bywał?**

- Ze znanych dziś osób - to nie pamiętam. Ale, np. często wpadała Wrzezińska, dla której byłem dyspozycyjnym kolegą.

**- Co to znaczy?**

- To znaczy, że zawsze mogła na mnie liczyć, kiedy chciała iść na wódkę. Często byłem dobierany na trzeciego, np. gdy Wrzezińska szła do knajpy z jakimś Niemcem i nie bardzo mogła się z nim dogadać. Zabierała mnie, żeby mieć z kim porozmawiać.

**- Jak pan miał czas na pracę, skoro balował pan całymi wieczorami?**

- Nie wyobrażajmy sobie tego przesadnie, przecież to nie był nieustanny karnawał. Balowałem zwykle wieczorami, a że miałem wtedy jeszcze niezłą kondycję, to godziłem życie towarzyskie z pracą. Zawsze byłem bardzo pilny, teksty oddawałem w terminie, miałem nawet czas na liczne chałtury.

- ***Czy już wówczas był pan popularny?*** - Już w czasach „Po prostu“ stałem się znanym dziennikarzem, zaliczano mnie do czołówki tego zawodu. W tym okresie, o którym mówimy, pracowałem w „Polityce“, co w zasadzie wystarczało, żeby być tzw. wziętym dziennikarzem.

- ***Sam pan mówił o swoich kłopotach z seksem. Czy małżeństwo coś pomogło?***

- W moim pierwszym małżeństwie, w drugim zresztą też, seks był dosyć skonwencjonalizowany, niebogaty w formy i raczej skrępowany. Seks bardziej swobodny i wyzwolony uprawiałem z pewną studentką, którą poznałem u Meretików.

- ***Wtedy, nad „J\*ewexem“, prowadził pan coś w rodzaju salonu towarzyskiego. Jakie inne salony były wówczas popularne w Warszawie?***

- Ze słyszenia znałem salon Ireny Szymańskiej związany z kawiarnią „Czytelnika“. Tam decydowano o tym, który pisarz ma talent, kogo wydać, kogo lansować.

Życie towarzyskie oparte było na stałych knajpach, do których przychodziło ciągle to samo grono. Knajpy spełniały zupełnie inną funkcję niż dzisiaj. Pewni ludzie chodzili do nich w zasadzie codziennie i na ogół samotnie, bo mieli pewność, że spotkają tam swoich przyjaciół. Dużą rolę odgrywały: nocna „Kameralna“, dzienna „Kameralna“, SPATiF, nocny „Bristol“...

W latach 50. i 60. istniało w Warszawie coś, co nazywaliśmy środowiskiem. Ponieważ społeczeństwo było mało zhierarchizowane pod względem dochodów, jakby płaskie, silniej wyodrębniały się elity, którym nadawano szczególne znaczenie. Korzystały one z większej swobody politycznej i obyczajowej. Pisarze odgrywający przesadnie dużą rolę, aktorzy, liczący się krąg dziennikarzy, niektórzy naukowcy - wszyscy oni inaczej się ubierali, częściej wyjeżdżali za granicę, mieli nieco więcej pieniędzy, więcej mogli mówić. Żywo zajmowali się życiem umysłowym, polityką, swoimi sprawami koteryjnymi. Słowem - każdy z tych kręgów żył swoim życiem, miał własne związki, kluby, lokale, kasy, domy wypoczynkowe, a jednocześnie wszystkie kręgi przenikały się nawzajem, tworząc owo środowisko.

- ***Czy politycy także należeli do środowiska?***

- Do połowy lat 50. elita polityczna była zorganizowana na wzór zakonu, odizolowana i samowystarczalna. Tylko specjalnie oddelegowani funkcjonariusze partyjni wtopieni byli w tę elitę literacko-artystyczną.

- ***Na przykład kto?***

- Takim typowym i najbardziej znanym emisariuszem był Jerzy Borejsza. Dalej Paweł Hoffman, Stefan Żółkiewski, Adam Schaff. W pewnym czasie taką funkcję spełniał Rakowski, ale on w zasadzie należał już do powstałego później kręgu partyjnych intelektualistów, którzy w obręb szeroko rozumianej elity wchodziłi niejako w sposób naturalny.



**- Czy wśród polityków byli słynni playboye?**

- Rakowski był obiektem nieustanej miłości pań, miał niezliczoną liczbę romansów, bo on tylko z kobietami potrafi zawierać prawdziwe związki przyjaźni. Starewicz uchodził za dziwkarza, ale ja go towarzysko nie znałem.

**- Na początku lat 70. żeni się pan po raz drugi. Czym to małżeństwo różniło się od pierwszego?**

- Drugie małżeństwo nie miało tak skomplikowanej konstrukcji wewnętrznej i było pozbawione nocnych rozmów. Moja druga żona nie korzystała z pomocy psychoterapeutów. Była informatyką, pracowała w jednym z ministerstw.

**- Ale została dziennikarką. Dlaczego?**

- Myślę, że sprawił to mój przykład. Byłem głównym źródłem naszych dochodów, korzystałem ze swobody zawodowej. Te właściwości dziennikarstwa mogły stać się pokusą dla osoby, która codziennie musiała chodzić na ósmą do pracy i siedzieć w niej do czwartej.

**- Jak jej poszło?**

- Słabo.

**- Dlaczego nie mieli państwo dzieci?**

- Tak ze sobą uzgodniliśmy. Ona uzasadniała to tym, że jako nastolatka musiała opiekować się młodszą o 10 czy 12 lat siostrą i to zastępcze macierzyństwo mocno ją zniechęciło do prawdziwego. To mogła być prawda, ale nie wykluczam, że chciała tylko przystosować się do mnie i do moich oczekiwań, a ja - jak już mówiłem - nie lubię dzieci.

**- Czy miał pan konflikty małżeńskie z powodów politycznych? Może żona miała za złe, że jest pan rzecznikiem rządu?**

- Należała wprawdzie do „Solidarności“, ale była apolityczna. Jeśli były konflikty, to dlatego, że ją zaniedbywałem do późna siedząc w pracy. Dopiero przed samym stanem wojennym, kiedy stukali nam w okno i krzyczeli „Urban, ty ch...“, zaczęła to przeżywać, ale bardziej jako niedogodność życiową niż okazywanie wrogości do mnie.

**- Jak wyglądało państwa życie towarzyskie?**

- Miałem mało czasu na życie towarzyskie, niemniej ono było i toczyło się w kręgu kolegów z nowego miejsca pracy. Przyjaźniliśmy się z Cioskami, z którymi mieszkaliśmy drzwi w drzwi.

**- A jak wyglądała sprawa seksu w kręgach rządowych, gdy był pan rzecznikiem?** - Nie spotkałem się z żadną swobodą obyczajową. Ministrowie wiedli przeważnie mieszczański styl życia i zgodnie z jego regułami wszelkie skoki w bok były sprawami osobistymi, głęboko ukrywanymi.

**- Pan nie uchodził w tym towarzystwie za jakiegoś wyjątkowego libertyna?**

- Nikt mnie chyba za takiego nie uważał. Uchodziłem natomiast za kogoś egzotycznego, bo nie wywodziłem się z aparatu partyjnego. Myślę, że z tego powodu traktowano mnie szczególnie - bardziej liberalnie, z większą kurtuazją i delikatnością.

No, ale kiedy odchodziłem od drugiej żony... Każdy z nas liczył się z tym, że jego życie osobiste może być obserwowane i że ktoś komuś doniesie, wobec czego...

**- Chwileczkę! Kto komu doniesie i przez kogo obserwowane? Przez tajne służby?**

- Ja nie wiem, czy MSW śledziło takie rzeczy i czy sporządzało notatki dla Jaruzelskiego, kto jak się prowadzi. Nie sądzę... Środowisko władzy zwyczajnie rozplotkowane, więc to nie było całkiem tak, że ja pytałem o zgodę na porzucenie żony czy zawiadamiałem, że mam zamiar pobrać się z nową żoną... W praktyce musiałem wynieść się z domu i starać się o nowe mieszkanie. Automatycznie stwarzało to stan zależności... Nic dziwnego, że wolałem sam informować, co się dzieje. W sposób odpowiednio wyważony, tzn. nie szedłem z tym do Jaruzelskiego, ale powiedzmy do generała Janiszewskiego, i nie żeby pytać o pozwolenie na rozwód, tylko prosić o załatwienie nowego mieszkania i uspokajać, że postaram się, aby z racji rozwodu nie było publicznego skandalu. Wiem, że Janiszewski szedł do szefa i takie rzeczy były omawiane...

**, - Mówiono czy i w jaki sposób rozwód Urbana może zaszkodzić władzy ludowej?**

- Byłem na widoku publicznym. Mogę sobie jedynie wyobrażać, że to było omawiane w trybie po trosze plotkarskim, bo tacy ludzie jak szef państwa żyją w zamknięciu i izolacji, więc omówienie wydarzeń z życia osobistego podwładnych jest sposobem stykania się z życiem, po trosze zaś dlatego, że potrzebna była decyzja, czy pójść mi na rękę, czy nie pójść.

**- I była decyzja, żeby pójść?**

- Tak.

**- Kiedy jako minister wyjeżdżał pan w teren, nigdy nie podstawiano panu jakichś dziewczyn?**

- Broń Boże! Nigdy mi się to nie zdarzyło.

**- Mówił pan, że nie ma powodzenia u kobiet. Czy to się zmieniło po wejściu do rządu? Było panu łatwiej w tych sprawach?**

- Trudniej, bo byłem bardziej odizolowany od normalnych kontaktów z kobietami. Raz, że od rana do wieczora siedziałem w biurze, a dwa, że będąc popularny zwracałem powszechną uwagę i trudno mi było wychwycić ewentualne zainteresowanie kobiet, czy zaaranżować dyskretną randkę. Niech sobie panowie wyobrażą - wchodzę do kawiarni, wszyscy się na mnie gapią, w tym wszystkie kobiety, bo mnie znają z telewizji. Jak z tego gąszczy spojrzeń wydobyć to, o które chodzi? Gdybym jako człowiek nieznan przyszedł do knajpy i jakaś dama rzuciłaby mi spojrzenie, to w odpowiedzi rzuciłbym dwa spojrzenia i szukałbym pretekstu do zawarcia znajomości, np. pożyczając zapałki.

To prawda, że wyjazdy na ogół stwarzają okazje do przygód. Ale jak ja przyjeżdżam do jakiegoś miasta służbowym samochodem, w towarzystwie kierowcy i oficera ochrony, a od rogatek pilotuje nas radiowóz, to czy mogę mieć swobodny dostęp do kobiet? Potem nie jadę do hotelu, gdzie instalując się mógłbym wpaść do kawiarni i kogoś poznać, tylko jadę do urzędowego gmachu, gdzie oczekuje mnie świta miejscowych notabli. Z ludźmi, w tym z kobietami, mam szansę zetknąć się na jakimś zebraniu, a gdy po jego zakończeniu teoretycznie mógłbym porozmawiać z tą czy tamtą, ktoś mnie szturcha: „Towarzyszu ministrze, musimy już jechać dalej“.

**- To znaczy, że władza nie mogła sobie pozwolić na kochanki?**

- Myślę, że niektórzy ludzie władzy miewali stałe przyjaciółki, ale głęboko ukryte i niedostępne dla oka innych. Nie sądzę, żeby to było regułą. Zresztą, ja byłem w rządzie w czasach, gdy nie istniał już jeden model życia aparatu. Cóż mieli wspólnego pod względem obyczajowym Rakowski, Krawczuk, Wilczek, Urban, różni przybierani do rządu profesorowie z klasycznym stylem życia aparatu?

**- A czy były jakieś „zinstytucjonalizowane“ kobiety do towarzystwa?**

- Nie. W dawnej epoce, w której władza była czymś groźnym, tajemniczym, wyodrębnionym i wszechmocnym, istniał typ kobiet zafascynowanych władzą i ludźmi ją sprawującymi. W szczególności dotyczyło to stalinizmu. Były takie hetery rządowe, np. o Wilhelminie Skulskiej mówiono - „kochanka Biura Politycznego“.

Za moich czasów władza nie była ani wszechmocna, ani tajemnicza, stała się za to przaśna, ziemniaczano-buraczana, nic więc dziwnego, że nie była modna i nie cieszyła się powodzeniem u kobiet.

**- Żadna się panu nie podłożyła? Może któraś chciała coś załatwić?**

- Nie. Po pierwsze - nie było takiej sytuacji. Po wtóre - nie jest to możliwe psychologicznie, bo nie należę do ludzi, którzy mogliby stwarzać tego rodzaju oczekiwania lub propozycje. Nie jestem w końcu takim cha-mem-aparatczykiem, który gdy do niego przychodzi dupa, bo ma coś do załatwienia, to mówi: „Ale pani ładna“ albo coś takiego.

**- A w telewizji? Mówi się, że żaden prezes Radiokomitetu nie musi uwodzić kobiet, bo to one go uwodzą.**

- Mnie nie uwodziły, chociaż były po temu warunki - za gabinetem miałem pokoik z wersalką i pościelą, co było jedynie przedmiotem rozmaitych dowcipów. Nigdy żadna nie dała mi nawet do zrozumienia, że chciałyby coś załatwić przez dupę.

W telewizji miałem natomiast wcześniej, niż zostałem prezesem, jeden bezinteresowny romansik z panienką, która zrobiła mi zresztą na tamtejszej giełdzie damskiej kolosalną reklamę jako znakomitemu kochankowi. Przez jakiś czas opowieści te podniecały ciekawość, ale przez żadną ze stron nie były dyskutowane.

**- Kto to był?**

- Dziennikarka, ale niezbyt znana.

**- Ale będąc rzecznikiem prowadził się pan cnotliwie?**

- No, nie do końca. Podczas jednego wyjazdu na „Soczewkę“ - obóz dla studentów dziennikarstwa - poznałem panienkę. Zawsze staram się mieć kontakt z młodymi dziennikarzami... Potem odszukałem ją, pod byle pretekstem zaprosiłem do biura, a potem zabrałem ją w jakąś podróż i uciałem sobie romans.

**- Czy została dziennikarką?**

- Oczywiście. Ale z jej karierą nie miałem nic wspólnego, bo gdy ją poznałem, właśnie przenosiła się do telewizji.

**- A teraz, po sukcesie tygodnika „NIE“, czy odczuwa pan popularność wyrażającą się wzmożoną sympatią ze strony kobiet?**

- Tak. Mniej jednak przypisuję to sobie, a bardziej atmosferze wyuzdania, która nie wiadomo czemu towarzyszy tygodnikowi i mnie. Kobiety to rajcuje.

**- Kim one są? Np. te, które oświadczają się panu podczas spotkań autorskich?**

- Na ogół oświadczają mi się panie po osiemdziesiątce i chodzi tu o miłość czystą, bo polityczną. Zdaję sobie sprawę, że u niektórych kobiet wzbudzam ekscytację, może nie od razu erotyczną, ale jeśli już jest zainteresowanie, to można nadać mu kierunek męsko-damski.

**- Nadaje pan?**

- Nie, bo jestem stary i przeraźliwie boję się żony.

## Ja i pieniądze

**- Ile pan zarabiał jako rzecznik rządu? Więcej niż w „Polityce“?**

- Pensję miałem wyższą, a zarobki niższe. Była to płaca wiceministra, dopiero pod koniec lat 80., kiedy zostałem członkiem rządu, dostawałem płacę ministra, w pewnym czasie ustaloną jako trzykrotność przeciętnych zarobków w pięciu działach gospodarki narodowej. Poza tym wciąż miałem honoraria - za felietony w „Szpilkach“ i wydawane od czasu do czasu książki oparte na starych tekstach.

**- Czy żądał pan honorariów za udzielanie wywiadów dziennikarzom zagranicznym?**

- Nie, skąd. W Polsce nie ma zwyczaju, by ktokolwiek brał pieniądze za udzielenie wywiadu. A ja nigdy nie brałem pieniędzy za wypełnianie obowiązków rzecznika. Taki zwyczaj istniał w opozycji, która tym sposobem była dofinansowywana z Zachodu. Za każdy telefon do „Wolnej Europy“ i udzielenie informacji rozgłośnia płaciła niewielką sumę, dość jednak znaczną, gdy wziąć pod uwagę ówczesny kurs dolara.

Nie brałem pieniędzy także za to, za co wolno mi było brać, np. za odczyty wygłaszane nieraz we wcale zamożnych instytucjach. Dziś też nie żądam honorariów za bardzo liczne wywiady, których udzielam zachodnim dziennikarzom. Wydaje mi się to sprzeczne z polskimi zwyczajami.

**- Na co wydawał pan pieniądze? Jeździł pan służbowym samochodem, wypoczywał w rządowych ośrodkach czasowych, żywił się w stołówce URM-u...**

- To prawda. Nie miałem wygórowanych potrzeb finansowych głównie dlatego, że mój czas przeznaczony na konsumpcję był mocno ograniczony. Nie miałem czasu na wydawanie pieniędzy.

**- Posiłki w rządowej stołówce były oczywiście za darmo?** - Oczywiście - nie za darmo. Bezpłatnie przysługiwał obiad w dzień posiedzenia rządu, czyli średnio raz w tygodniu. Ja jednak dostawałem jeszcze jeden obiad gratis. Kiedy przed objęciem funkcji rzecznika proponowałem premierowi Jaruzelskiemu swój program działania było w nim podejmowanie raz w tygodniu obiadem jakiegoś dziennikarza. Rocznie dawało to około 50 obiadów za „friko“. Oprócz obiadu przysługiwała codziennie kawa, ciasto i kieliszek koniaku.

**- Gruzińskiego?**

- To był zwykły polski winiak. Kiedy jednak nastał premier Zbigniew Messner, zostałem pozbawiony tego przywileju. Od tego czasu dziennikarzy podejmowałem obiadem z własnej kieszeni. Byłem z tego bardzo zadowolony, bo wreszcie przestałem tłumaczyć się urzędnikom, że jeśli w tym tygodniu zamówię dwa obiady, a w przyszłym żadnego, to będzie to zgodne z przepisami. I mogłem zapraszać na obiady kogo chciałem i kiedy chciałem.

**- Wtedy prawie wszystko było na kartki. Czy miał pan ekstra przydziały, np. kawy?**

- Ja nie dysponowałem niczym, ani groszem. Nie dysponowałem nawet takim funduszem, jakim dysponował dyrektor każdego przedsiębiorstwa.

**- Czyżby Biuro Rzecznika Rządu nie miało budżetu?**

- Nie miało. To, czego potrzebowałem do wykonywania obowiązków, dawał mi szef administracji URM. Dawał lub nie dawał. Jeżeli np. przyjmowałem ważnego gościa z zagranicy, to URM zapewniał rezydencję, samochód, jakieś przyjęcie. Miewałem z tym biurokratyczne problemy. Kiedy przyjeżdżał do mnie np. rzecznik rządu austriackiego, który w Wiedniu przyjmował mnie bardzo wystawnie, to w naszych kuszach możliwościach finansowych szukałem sposobu, by podjąć go bardziej imponująco, niż przewidywały ówczesne standardy. Spotykaliśmy się zatem w Krakowie, gdzie w apartamentach na Wawelu Austriak mógł spędzić królewską noc. Albo zamiast w hotelu rządowym w Warszawie urządzałem kolacje w pałacyku w Otwocku. Wynajęty przeze mnie student przygrywał na fortepianie...

Podczas jednej z takich kolacji w Otwocku, gdzie do posiłku przewidziany był tylko kieliszek wina, łapię kierownika sali i mówię, że przydałaby się jakaś wódka. On dzwoni po nocy do wiceministra z URM-u, który trzymał kasę, i pyta czy można podać wódkę. „Nie można“ - decyduje szef administracji i wraca do łóżka. Na szczęście okazało się, że mogłem kupić wódkę za własne pieniądze, więc poleciłem, żeby łała się strumieniami. Koszt popijawy ściągnięto mi później z pensji.

**- Za co jednak płacił URM?**

- W zasadzie pracowałem bez kosztów. Jedynym przedmiotem moich długich i znużających zabiegów była kserokopiarka, którą w końcu wywojowałem. Ale bywało, że uszczęśliwiano mnie różnymi dobrodziejstwami, nawet nie pytając mnie o zgodę. Jakiś urzędnik wymyślił np. żeby moje biuro dostało zawrotną liczbę magnetofonów. Innym znów razem zmodernizowano salę konferencyjną: zamontowane zostały ciężkie szyny, z których miały zwisać reflektory, ale nigdy ich nie zainstalowano. Zbudowano reżyserkę telewizyjną, żeby można było z niej sterować kamerami, oświetleniem i mikrofonami, ale bez aparatury. Były to zwyczajne wydatki marnotrawne, zgodnie z tradycjami centralnego planowania postanawiane bez obstalunku użytkownika.

**- Jaki panu przydzielono samochód służbowy?**

- Najpierw poloneza, potem fiata mirafiori, a po stanie wojennym, kiedy otoczyło mnie opieką Biuro Ochrony Rządu, wożono mnie peugeotem.

**- Dlaczego dostał pan ochronę? Ze względu na niechęć społeczną skierowaną przeciwko panu?**

- Być może. BOR chroniło członków Biura Politycznego, sekretarzy KC, wicepremierów, marszałka Sejmu. Do tej wąskiej grupy doszłusowałem na zasadzie wyjątku, być może ze względu na niechęć społeczną - po stanie wojennym przychodziło sporo pogroźek... A być może był to tylko pretekst, aby mnie dowartościować. Moja rola w rządzie była większa niż mogło to wynikać z obowiązków wiceministra, i przydzielając mi dwóch oficerów ochrony, gen. Jaruzelski chciał zapewne okazać mi coś w rodzaju szczególnego traktowania.

**- Z jakich jeszcze przywilejów pan korzystał?**

- Mogłem kupować w sklepie prowadzonym przez BOR.

**- Był taki sklep?**

- Był i jest na Bagateli, obecni dygnitarze też z niego korzystają. Ściśle biorąc, były to dwa sklepy, a właściwie nie sklepy, tylko magazyny, z których oficerowie BOR przywozili mi to, co wcześniej wybrałem z listy dostępnych towarów.

**- Co konkretnie? Bułki i mleko?**

- Także. Jedna lista obejmowała towary spożywcze: bułki, mleko, wędliny, mięso, słodycze, alkohol. W drugim sklepie, gdzie trzeba było przyjść, można było kupić artykuły przemysłowe: coś z garderoby, zegarki, sprzęt gospodarstwa domowego. Ale był to bardzo marny sklep, z którego prawie nie korzystałem. Raz sobie kupiłem zegarek, drugi raz - młynek do kawy.

**- Jakie obowiązywały ceny?**

- Urzędowe, tzn. takie same jak w sklepach, tylko że w sklepach prawie niczego nie było. W połowie lat 80. w sklepie BOR-u pokazały się towary importowane: whisky, radzieckie czekoladki, soki owocowe... Na początku ceny były urzędowe, więc stosunkowo niskie, potem - jak w „Pewexie“ tj. w złotych, lecz po czarnorynkowym kursie. Ale w epoce niedoborów to było dość wygodne.

**- A ubrania? Czy miał pan prawo do bezpłatnej odzieży?**

- Nie, nie miałem prawa. Do tradycji należało jednak, że dwie fabryki zaopatrywały rząd w ubrania - krakowska „Vistula“ i zakłady w Bytomiu.

**- To tam, gdzie ubiera się obecnie pan prezydent Wałęsa.**

- Nadal wszystko jest tak samo. Nie była i nie jest to sformalizowana umowa. Po prostu dzwoniłem do dyrektora, pytałem czy mogę sobie uszyć garnitur na miarę. Potem przyjeżdżał krawiec, brał miarę od kilku wysokich urzędników, przywoził próbki materiałów, a po jakimś czasie gotowe ubrania. Zwykle zamawiałem od razu kilka garniturów. Za to oczywiście płacono z własnej kieszeni, a obowiązywały ceny sklepowe. Powtarzam jednak, że szycie w fabryce na miarę, a po cenie konfekcji nie był to przywilej formalny. Dzisiaj też mogę tam zadzwonić i - jak przypuszczam - uszyją mi ubranie. Podobnie telefonowałem do „Wólczanki“, gdzie zamawiałem koszule. Te ze sklepów na mnie nie pasują - mam za grubą szyję i za krótkie ręce.

**- Czy w zamian dyrektorzy oczekiwali od pana jakiejś przysługi, jakiejś małej protekcji?**

- Nie.

**- A czy zdarzyło się panu wykorzystywać stanowisko do załatwienia prywatnej sprawy?**

- Bardzo często pomagałem, przede wszystkim dziennikarzom, dbając o dobre stosunki z tym środowiskiem. Raz czy dwa udało mi się załatwić mieszkanie...

**- Dla kogo?**

- Dla dziennikarzy. Na przykład dla Artura Howzana, ówczesnego szefa dzienników telewizyjnych. Załatwiałem też asygnaty na samochód - tzn. sam niczego nie mogłem dać, ale odpowiedniemu wicepremierowi wskazywałem kilku dziennikarzy, którzy następnie dostawali asygnaty z puli URM-u.

To było zresztą nieszczęście, bo później miałem więcej wrogów niż przyjaciół. Gdy się ludzie zwiędzieli, że ja coś mogę, to przysyłali mi setki podań, których sam nie rozpatrywałem, tylko przekazywałem z rekomendacją lepszą lub gorszą w treści.

**- Ile razy pan sam dostawał asygnatę?**

- Raz. W 1981 albo 82 roku otrzymałem przydział na ładę. Kiedy siedem lat później dawano ostatnie już asygnaty, nie dostałem ze względu na sporną interpretację przepisów. Otóż ożeniłem się z osobą, która jako dziennikarka korzystała z asygnaty na malucha, a od tego czasu nie minęły jeszcze cztery lata, brakowało dwóch miesięcy. Dowodziłem, że żona dostała asygnatę, kiedy nie była ze mną we wspólnym gospodarstwie, a poza tym brakuje jej tylko dwa miesiące... Nic z tego. Później okazało się, że się sfrajerowałem, bo sporo notabli brało te ostatnie asygnaty na hura, bez względu na przepisy.

**- Jeździł pan do rządowych ośrodków wypoczynkowych?**

- To są naprawdę dobre ośrodki. Były - jak wszystkie przywileje - zhierarchizowane, ale ja korzystałem z najwyższego standardu, dla samej góry. Mieszkałem np. w apartamentach w Łańsku, podczas gdy jako zwykły wiceminister powinienem dostać miejsce w położonym 12 kilometrów dalej hotelu.

Płaciło się za to wcale nie symbolicznie, ale porównując standard - względnie mało. Przestałem jednak jeździć do Łańska, bynajmniej nie ze względu na skrupuły, ale po awanturze, która wynikła z tego, że przyjechaliśmy do Łańska zjamnikiem. Psów nie wolno było wwozić, kazano nam się z nim wynosić, musiał spędzić cały urlop na garnuszku u okolicznych mieszkańców. Oczywiście pies, a nie ja. Tymczasem różne osobistości, którym nie ośmielono się zwrócić uwagi, przebywały w Łańsku z psami. Wobec tego doznaliśmy z żoną ujmy na honorze, że jesteśmy inaczej traktowani, obraziliśmy się i nasza noga więcej w ośrodku nie pozostała.

**- Kto był z psem?**

- Ciosek - z pudlem o imieniu Kajtek. Bardzo szczekliwy, niezycliwy ludziom zwierz. Już chyba biedak nie żyje. I podobno Kiszczak był z psem, ale o tym tylko słyszeliśmy.

**- Ośrodki czasowe za granicą.**

- Raz byłem w Bułgarii, ale zaledwie trzy dni, bo odwołano mnie z urlopu. Był rok 1988, zaczęły się strajki, specjalny samolot wysłano po marszałka Sejmu Romana Malinowskiego, no i ja na przyczepkę też z nim wróciłem. Po drodze musieliśmy lądować w Odessie, bo



Ceausescu nie chciał nas przepuścić przez rumuńską przestrzeń powietrzną, ponieważ Jan Pietrzak dzień wcześniej obraził go w kabarecie.

***- I to już wszystkie przywileje?***

- Wszystkie. Zanim znalazłem się w rządzie, już wiedziałem, że większość przywilejów przypisywanych władzy należy włożyć między mity. Nawet w okresie gierkowskim nie były one takie, jak o nich się opowiadało.

Ale co innego przywileje sformalizowane, a co innego - nieformalne. Moja pozycja w systemie władzy rosła, aż stała się bardzo wysoka. Mogłem zadzwonić wszędzie i prosić o wszystko. Ze względu na pozycję i popularność - różne rzeczy mi proponowano.

***- Na przykład?***

- Podróże zagraniczne. Centrala handlu zagranicznego informując o jakichś międzynarodowych targach, przysyłała propozycję wyjazdu. Były atrakcyjne rejsy oferowane przez biura podróży i linie lotnicze. Chociaż więcej takich propozycji miałem, kiedy pracowałem w „Polityce“. W każdym razie jako rzecznik nigdy nie skorzystałem z takiej oferty. Nie miałem czasu i nie uznawałem pieczeniactwa za zajęcie stosowne dla ministra.

Częściej zapraszano mnie w Polskę. Apartament nad jeziorem, żaglówki. Mogłem jeździć na ryby, na grzyby, na polowania i zwyczajnie wyleżeć się na słońcu. Jak mi się wydaje, wynikało to z próżności dysponentów tych dóbr, którzy chcieli sobie zapewnić ciekawe towarzystwo i prestiż. Nie sądzę, żeby chodziło im o moją wymierną wdzięczność, bo po prostu nie byłem w stanie załatwić tego, czego mogli ewentualnie oczekiwać po innych zapraszanych (np. jakichś korzystnych dla danego rejonu decyzji).

Nie korzystałem z tych zaproszeń, ale nie dlatego, że jestem taki czysty i nieprzekupny. Po prostu szkoda mi było czasu. Jeśli chciałem wyjechać na weekend, to nie po to, żeby jakieś przymusowe towarzystwo zawracało mi dupę.

Często wyjeżdżałem do różnych miast, gdzie miałem spotkania publiczne, odczyty itp. Rytuał przewidywał i nadal przewiduje śniadanie w KW (teraz pewnie w lokalnym Komitecie Obywatelskim), potem obiad w najlepszej restauracji w mieście, koniecznie w osobnej salce, a w końcu kolacja w szerszym gronie, z wódką. Zwykle zachowywałem się arogancko, z góry przez mojego sekretarza negocjując z zapraszającymi, że nie życzę sobie tych bankietów. Prosiłem, żeby nie było śniadania - nie jadam, bo tyję. Na obiad się godziłem. Odmawiałem kolacji. W terenie mówiono, że Urban gardzi ludźmi, bo nie chce się z nimi wódki napić.

Dlaczego odmawiałem?

Bynajmniej nie dlatego, że nie chciałem jeść i pić na koszt państwa. Jeżeli cały dzień zachowywałem się oficjalnie i urzędowo, to wieczorem chciałem mieć święty spokój. Nie lubiłem bankietować z ludźmi, którzy mało mnie interesowali, a poprzednio spędzałem z nimi wiele godzin, nie lubiłem tego, co dawali do jedzenia: stopy wędlin, smażone mięsa. Wolałem i wolę iść do knajpy przez siebie wybranej, sam wybrać co chcę jeść, spotkać się ze znajomym, a jeszcze lepiej ze znajomą. Lubiałem i lubię pójść do nocnego lokalu, usiąść w ogólnodostępnej sali, pogapić się na miejscowe dupy.

Lokalne władze śmiertelnie się na mnie obrażały, moje zachowanie traktując jako demonstrowanie purytanizmu i dezaprobaty wobec ich zwyczajów chlania na koszt państwa przez okrągły tydzień, bo często kogoś goszczono. Albo jako gardzenie ich towarzystwem, wywyższanie się.

**- Czy w tym czasie dobrze się panu powodziło?**

- Tak, raczej tak. Moje życie było o wiele łatwiejsze niż tzw. przeciętnego obywatela. Było mniej więcej dostatnie, ale ono dostatnie było zawsze. Nie odrywałem się od standardu, do którego przywykłem. Jeśli do wysokiej pensji dochodziły honoraria za felietony, książki, bezpłatny samochód i benzyna, tańsze urlopy no i zarobki żony, to nie mogło mi się źle powodzić. Nie miałem przy tym pokus prestiżowych, jakie bywają udziałem ludzi sprawujących władzę, a także skłonności żeby się dowartościować i zabezpieczyć na przyszłość. Nie musiałem budować domu, kupować daczy, bo uważałem, że moja pozycja publiczna i towarzyska nie zależy od tego, czy mam willę czy nie. Nie myślałem o zabezpieczeniu sobie przyszłości, bo o przyszłość byłem spokojny. Mam takie możliwości zawodowe, że wiedziałem, iż bez względu na to, dokąd odejdę i co będę robił, nie doznam jakiegoś wyraźnego spadku poziomu życia. Czułem się stosunkowo niezależny od moich przełożonych, w których ręku są decyzje personalne. Budowanie domów przez ludzi władzy budzi zwykle społeczne zaciekawienie przyprawione podejrzeniami o przywileje i konszachty. Ja nie budowałem, bo nie odczuwałem takiej potrzeby.

**- A kto z pańskiej ekipy budował?**

- Wielu budowało. Np. Gorywoda-strasznie długo to u niego trwało. Nie wiem dokładnie kto, bo jako niebudujący nie należałem do kręgu, w którym najczęściej rozmawiało się o budowaniu.

Fama niosła, że buduję w każdej dzielnicy. Po Warszawie krążyły opowieści, że na Żoliborzu buduję dom z trzema piętremi pod ziemią, z basenem i schronem przeciwoatomowym. Innym razem miałem budować willę z podziemnym przejściem do willi Rakowskiego.

Na tym tle dochodziło do zabawnych nieporozumień. Kiedy już mieszkałem w Wilanowie, to podczas spacerów zdarzało mi się zatrzymywać i patrzeć na budujące się domy. Później przychodziły listy, że Urban zamiast pracować zajmuje się doglądaniem budowy swojego kolejnego domu.

Innym razem na balu w hotelu „Forum“ jakaś kobieta powiedziała, że nie daje jej spać, bo strasznie chrapie. Byłem pewien, że ona mieszka w mojej klatce schodowej, tylko nie zdążyłem jej poznać. Okazało się jednak, że ona mieszkała w Aninie. Była przekonana, że zajmuję sąsiednią willę.

Znajoma mojej żony nie mogła nam darować, bo nie powiedzieliśmy, że obok niej budujemy willę. Była tego pewna, bo rozmawiała z robotnikami, którzy w zaufaniu powiedzieli jej, dla kogo budują.

**- Ale dla córki dom pan wybudował.**

- Nic podobnego. Jeszcze w czasie pracy w „Polityce“ pomogłem jej dostać mieszkanie, kawalerkę. To było dostateczne wykorzystanie przywilejów płynących jeszcze nie ze stanowiska, ale z pozycji.

Nie budowałem domu, bo nie tylko nie miałem na to ochoty, ale zwyczajnie brakowało mi pieniędzy. Wydawałem wszystko co zarabiałem, a nawet więcej.

**- Oprócz tego, że władza załatwia dla siebie, to również załatwia dla „swoich“. Co pan dla „swoich“ załatwiał?**

- Zapewne coś załatwiałem, ale szczegółów nie pamiętam. - **A wiza? Paszporty? Tańsze bilety lotnicze?**

- Nie przypominam sobie takich sytuacji, ale też ich nie wykluczam. O tańszych biletach lotniczych nie słyszałem.

**- Czy władza w latach 80. była skorumpowana?**

- Gdyby była, to przy tak gorących staraniach, jakie trwają od dwóch lat, żeby coś znaleźć, kogoś skompromitować, komuś coś udowodnić, to szydło z worka już by wyszło.

Wydaje mi się, że były to ekipy wyjątkowo nieskorumpowane. Przede wszystkim dlatego, że działały pod urazem afer gierkowskich i pod silną kontrolą społeczną. Ludzie władzy byli bardzo lękliwi, bo wciąż podejrzewani o korupcję, wyjątkowe przywileje itd. Każdy zakup nowego samochodu prywatnego był w tych kręgach decyzją polityczną, skomplikowaną i pełną irracjonalnego poczucia ryzyka. Gdyby ktoś dopuścił się nieuczciwości, Jaruzelski wypieprzyłby go na zbity pysk. Nic takiego nie zostało wykryte, co nie znaczy, że we władzach w ogóle nie było aferzystów i złodziei. Jeśli mówić jednak o właściwości grupowej, to jestem zdania, że były to ekipy niezwykle czyste, czego nie można powiedzieć o dzisiejszych ludziach władzy.

**- Chce pan powiedzieć, że są skorumpowani?**

- Uważam, że są, chociaż niczego nie mogę udowodnić. To dopiero wyjdzie na jaw.

**- Skąd przekonanie o korupcji obecnej ekipy?**

- My byliśmy ekipą schyłkową, a oni są ekipą zwycięską. Sądzą, że w sensie moralnym i materialnym należą im się maksymalne korzyści za lata upokorzeń, poniżeń i cierpień. Poza tym mają fałszywe poczucie poparcia społecznego, więc nie lękają się opinii publicznej.

Jest jeszcze jeden powód: my budowaliśmy socjalizm, a oni budują kapitalizm. Wobec tego żyją w ścisłej łączności z obecnym systemem gospodarczym. Ich naturalnym środowiskiem są spółki, fundacje, banki, interesy na dużą skalę. A my byliśmy grupą oddzieloną od sfery interesów, z innego światka. Jaruzelski przestrzegał, pamiętam, nawet przed kontaktami towarzyskimi ze światkiem zagranicznych spółek, sądząc że spowoduje to podejrzenia o korupcję lub faktyczną demoralizację. Może pewna opowieść uczyni tę różnicę plastyczną. Pod koniec 1988 roku stałem się właścicielem informacji, że za trzy dni kurs dolara spadnie o 20-30 procent, po czym po kilku dniach znów wzrośnie powyżej kursu wyjściowego.

**- Skąd pochodziła ta informacja?**

- Ze szczytu władzy nad gospodarką.

**- Można było tak zrobić, żeby nagle obniżyć, a potem podnieść kurs?**

- Wystarczyło rzucić na wolny rynek pewną ilość dewiz, a po zwiększeniu podaży dolarów i spadku ceny, zlecić ich skupywanie.

**- W jakim celu przeprowadzano tę operację?**

- Tego nie rozumiałem ani nie rozumiem. Mogło to dotyczyć zadłużenia zagranicznego, ale równie dobrze mogło być związane ze zmianami na rynku wewnętrznym. Dokładnie nie wiem. Nie interesowałem się tym.

Wiedziałem tylko, że taka informacja jest warta praktycznie każdych pieniędzy. Wystarczyło mieć taką informację raz w życiu, żeby urządzić się do końca swoich dni. Co jednak mogłem zrobić z tą informacją? Moje własne zasoby dewizowe wynosiły wtedy powiedzmy 100 dolarów - nie była to suma, z którą warto było iść do cinkciarza i zarobić 30 dolarów. Związków ze światem finansów nie miałem. Po prostu nie miałem do kogo iść, powiedzieć: „Pożycz mi parę milionów dolarów, zarobimy do spółki“. A jeśli nie ma się takich naturalnych związków, to nie sposób ich sobie stworzyć z dnia na dzień.

**- Wilczka pan nie znalazł?**

- Wilczek mnie nie potrzebował, żeby zarobić, bo wiedział to samo. Na mojego nosa dziś tego typu informacje gospodarcze muszą być wykorzystywane przez ludzi władzy. Zupełnie inne są obecnie związki polityki z biznesem, zupełnie inne cechy i predyspozycje budzą szacunek.

**- Czy może pan dać głowę, że pańscy koledzy nie wykorzystali tej informacji dla pomnożenia swego prywatnego majątku?**

- Pewności nie mam. Powtarzam: subiektywnie uważam, że nasza ekipa na takiej informacji nie zarabiała, a dzisiejsza ekipa - zarabia. To wszystko.

**- Mógłby pan dokonać bilansu ekonomicznego przed i po rzecznikowaniu:**

**0 ile się pan wzbogacił?**

- Trudno mi to dokładnie wyliczyć. W tym czasie zmieniałem żonę, co jest kataklizmem zubożającym każdego, w każdym ustroju. Coś musiałem zostawić poprzedniej żonie, ale na szczęście nowa nie była osobą ubogą. Ale to, czym ona

1 jej rodzice mnie wspomogli, trudno wliczyć w poczet dochodów rzecznika.

Zmieniłem samochód, ale zmieniłbym go także wtedy, gdybym nie był rzecznikiem. Nowe auto kupowałem średnio co cztery lata.

**- Jaką markę na jaką pan zmienił?**

- Ładę na ładę albo dużego fiata na ładę, już nie pamiętam. Kupiłem też coś do mieszkania, np. zestaw stereo.

**- Telewizor?**

- Dopóki byłem rzecznikiem, nie miałem telewizora. Wstawiono mi służbowy odbiornik, który później odkupiłem, a teraz jest on w redakcji mojej żony.

**- Konta bankowe?**

- Dużych zasobów nie miałem ani przed, ani po rzecznikowaniu. Od 1957 roku regularnie płacę podatek wyrównawczy, a to wymaga konta „W“. Prawdę mówiąc, wydawałem wszystko co zarabiałem.

**- Czy wykorzystywał pan służbowy samochód w prywatnych celach? Dziś za to samo krytykuje pan w tygodniku „NIE“ jednego z senatorów...**

- Tak, wykorzystywałem. A krytykuję po pierwsze nie senatora, tylko posła, a po drugie - nie za to, że wykorzystuje swój służbowy samochód w prywatnych celach, ale za to, że nie mając służbowego samochodu żąda go od urzędu wojewódzkiego i eksploatuje w celach, które nie mają żadnego związku z funkcjonowaniem urzędu. To co innego...

W mojej pracy trudno było precyzyjnie oddzielić to co służbowe, od tego co prywatne. Nie łamałem przepisów, które uprawniały mnie do korzystania z samochodu również w sprawach prywatnych, np. wyjazdach na urlop. Kiedy jednak wysyłałem na urlop samą rodzinę moim służbowym wozem, płaciłem za to, ale do czasu. Stawki były tak wysokie, że bardziej opłacało się wynająć taksówkę. Poza tym nie chciałem się wygłupiać i udawać świętoszka...

**Czy był pan kiedyś biedny?**

- W ogóle? Tak. Byłem biedny w końcu lat pięćdziesiątych. Otóż z przerwami przez siedem lat miałem zakaz pracy. Na początku było mi trudno, miałem istotne problemy z przeżyciem.

**- Co to znaczy? Nie starczało do pierwszego, zalegał pan z opłatami?**

- W znacznym stopniu żyłem wówczas na koszt rodziców.

**- Czy był pan przyzwyczajony do życia bez problemów finansowych?** -Tak, byłem do tego przyzwyczajony.

**- Czy nigdy nie odczuwał pan lęku przed ubóstwem? Np. w czasie okupacji przed głodem? Nie boi się pan, że na starość zostanie bez grosza?**

- Przed wojną mój ojciec jako naczelny redaktor zarabiał 2 tysiące zł. Matka od swojego ojca dostawała co miesiąc 200 zł na drobne wydatki. Ojciec był ponadto współwłaścicielem gazety i z tego tytułu miał zapewne jakieś dochody, ale niezależnie od tego, suma 2200 zł przed wojną wystarczała do życia na przyzwoitym poziomie. To było dziesięć razy tyle, ile zarabiał np. skromny urzędnik lub początkujący nauczyciel.

W czasie okupacji byliśmy oczywiście znacznie ubożsi. Okresy niedostatku żywności występowały jesienią 1941 i zimą 1942 roku, czyli po wejściu Niemców do Lwowa. Podobnie było przez parę tygodni w roku 1944, w trakcie oblężenia miasta Tarnopola przez wojska radzieckie. Oblężenie to przeżyłem ja z matką. Ojciec znalazł się wtedy po drugiej stronie frontu, a że był buchalterem w majątku rolnym z gorzelnią, żył bogato i dobrze. Po wojnie moi rodzice znów byli ludźmi bardzo zamożnymi, jak na tamte warunki. Wróciliśmy do Łodzi, ojcu płacono jako redaktorowi naczelnemu, jako posłowi oraz prezesowi spółdzielni dziennikarskiej. Rodzice przejęli to co pozostało po dziadkach, czyli sklep optyczny i mająteczek ziemski. Zwłaszcza sklep przynosił duże dochody. Trwało to do roku 1948, potem nastąpił okres niesprzyjający własności prywatnej. Sklep rodzice oddali za darmo, a oranżerie, sady i inne tereny przyległe do byłej letniej rezydencji mojego dziadka sprzedali po śmiesznie niskiej cenie. Ojciec musiał to zrobić, bo jako posiadaczowi groziło mu wyrzucenie z partii.

***- Z jakiej partii?***

- Z PZPR. Ojciec był w PPS, a po zjednoczeniu trwała akcja dekapitalizowania szeregów partyjnych.

Od roku 1948 żyliśmy więc na średnim naówczas poziomie inteligenckim, tzn. utrzymywaliśmy się z dobrej pensji dziennikarskiej, z honorariów ojca i z lekcji rosyjskiego udzielanych przez matkę.

Kiedy zacząłem pracować w „Po prostu“, zarabiałem dużo -jak na bardzo jeszcze młodego człowieka. Pamiętam, że po likwidacji pisma, wypłacano mi przez pół roku co miesiąc odprawę w wysokości 4 tysięcy zł.

***- Zarabiał pan więcej od ojca?***

- Tak. Dlatego, że dużo pisałem. Ale wkrótce dostałem szlaban i zanim nauczyłem się chałturzyć, żyliśmy ze skromnej uniwersyteckiej pensji mojej żony oraz z tego, co dostaliśmy od rodziców. W latach 70., kiedy pracowałem w „Polityce“, zarabiałem tak dużo, że wystarczało na niemal hulaszczę życie.

***- Dlatego, że wówczas dużo płacono dziennikarzom?***

- Dlatego, że miałem mnóstwo felietonów, wydawałem książki itd. Zarabiałem wtedy 16 czy 18 tysięcy miesięcznie, co na początku lat 70. było wysokim dochodem. Ale ówczesne pojęcie luksusu było inne: nie używało się zachodnich trunków, paliło się krajowe papierosy, knajpy były tanie, samochód miało się taki, jaki był osiągalny na asygnaty, czyli najwyższej skodę.

***- Zawsze dostawał pan samochód z przydziału?***

- Od 1968 roku aż do czasu, kiedy asygnaty przestały obowiązywać. Przez jakiś krótki okres nie miałem samochodu, ale pamiętam w jaki sposób go dostałem. Mój kolega, nieboszczyk Szeliga, zadzwonił do Tadeusza Wrzaszczyka z życzeniami noworocznymi. Jeszcze wtedy nie znałem Wrzaszczyka, ale że siedziałem obok Szeligi, powiedziałem, że przyłączam się do życzeń. A Wrzaszczyk zapytał, czy Urban czasem nie potrzebuje samochodu, bo są asygnaty, których nie da się wykorzystać w przyszłym roku. Był 31 grudnia, a asygnaty

obowiązywały do końca roku. I tak w rekordowo krótkim czasie, w ciągu jednego dnia, stałem się właścicielem malucha, choć wcześniej nie miałem takiego zamiaru. - / ***nigdy nie inwestował pan w ziemię, nieruchomości, antyki?***

- Nie odczuwałem takiej potrzeby. Jeszcze jak pracowałem w „Polityce“, nad świeżo zbudowanym Zalewem Zegrzyńskim można było kupić za bezcen działki rekreacyjne. Odmówiłem.

***- A kto z zespołu „Polityki“ nie odmówił?***

- Większość. Ja nie kupiłem działki, bo nie miałem zamiaru budować tzw. daczy. Nie lubię mieć kłopotów z takimi rzeczami... A nawet do głowy mi nie wpadło, że to może być niezła lokata kapitału, że można wziąć działkę, poczekać i sprzedać.

Antyki? Coś tam kupowałem, ale nie z myślą o lokacie. Na początku lat 60. dostałem mieszkanie ze spółdzielni i kupiłem antyczną sekretkę oraz coś jeszcze. Widocznie było mnie stać, ale antyki były wówczas tanie.

Za czasów „Po prostu“ miałem taki nawyk, że tego samego dnia, którego odbierałem wypłatę, musiałem wszystko wydać. Coś kupowałem albo zwyczajnie szedłem w tango. W tym czasie dostawałem od rodziców pieniądze na kawę i papierosy, a jeść dostawałem w domu.

Zdarzyło się w 1956 czy 57 roku, że miałem w kieszeni 12 tysięcy zł. Było to chyba honorarium za jakąś broszurę. Szedłem ulicą i zobaczyłem w „Desie“ piękny komplet secesyjnej biżuterii - srebro inkrustowane diamentami. Miało to kształt splecionych konarów... Bardzo mi się to srebro spodobało, kusiło mnie, żeby wejść i kupić, tym bardziej, że była to wyjątkowa okazja. Nie kupiłem jednak, bo zwyczajnie nie miałem komu tego dać. Właśnie rzuciła mnie dziewczyna, a nie byłem tak dobrym synem, żeby te błyskotki kupić matce.

Innym razem, w Katowicach, znów miałem 12 tysięcy, akurat tyle, żeby kupić bardzo ładny, biedermeierowski gabinecik damski - szezlong, biureczko, fotele. To była rzadkość, bo antyki zwykle nie nadawały się do małych mieszkań. Ale też nie kupiłem, bo mieszkanie miałem już wtedy umeblowane.

***- Czy zdarzyło się panu zrobić coś wyłącznie dla pieniędzy? Bez względu na ambicję, moralność czy uczciwość?***

- W czasie, kiedy byłem obłożony zakazem pracy w dziennikarstwie, napisałem książkę, która wyszła jako dzieło jednego z moich kolegów. Pisałem też felietony za innego kolegę, który nie umiał pisać.

***- Którzy to byli koledzy?***

- Nie mogę przecież zdradzić nazwisk. Zajmowałem się różnymi chałturami tylko dla pieniędzy, np. dla „Unitry“ opracowałem dokument, który dziś byśmy nazwali marketingową analizą rynku. Projekt nowych metod sprzedaży, reklamy itd. Pracowałem też w reklamie radiowej, pisałem - co strasznie nudne - teksty do radiowego koncertu życzeń, np.: życzenia

imieninowe śle mamusi córka z zięciem i szwagier z pociotkiem. Mnóstwo idiotycznych rzeczy robiłem tylko dla pieniędzy.

**- A czy czasem odnosił pan wrażenie, że to co oddawał pan do druku, jest kiepskie?**

- Oczywiście, także dzisiaj niemal co tydzień mam to odczucie.

**- Pisał pan przemówienia?**

- Systematycznie - nigdy. Ale pisywałem i jako dziennikarz, i jako rzecznik. Rzadko, i nie brałem za to pieniędzy, choć raz z KC dostałem honorarium, ale nie pamiętam już za co.

**- Dla kogo pan pisał?**

- Raz np. napisałem przemówienie pewnej robotnicy, było to w 1981 roku, podczas plenum KC. Bardzo udana mowa i dosyć słynna, a że wygłoszona przez robotnicę z władz partii, to wywołała duże emocje.

**- Jak się nazywała ta robotnica?**

- Nie mogę powiedzieć. W grudniu 1970 roku miałem inne ciekawe zamówienie. Jako tzw. druga ręka („pierwszą ręką“ był Kazimierz Kąkol) miałem napisać przemówienia i odezwy „na wszelki wypadek“, czyli na wypadek zaostrzenia się sytuacji w kraju, stanu wyjątkowego czy wkroczenia wojsk radzieckich. Żaden z tych dokumentów nie został nigdy opublikowany ani wygłoszony.

**- Kto to panu zlecił?**

- Zamówienie pochodziło z samej góry, a przekazał mi je Rakowski.

**- Dlaczego wybrał pana?**

- Nie wiem, przypuszczam, że miał do mnie zaufanie i wiedział, że sobie z tym poradzę.

**- Zapłacono panu?**

- Nie. Traktowałem to jako imponującą i ważną, bo tajną działalność państwową. Było to też bardzo ciekawe intelektualnie - wyobrazić sobie bieg wydarzeń i próbować komponować to, co władza w nieznanych okolicznościach powinna publicznie powiedzieć.

**- Przenieśmy się w czasie o parę lat: jest rok 1990, jest pan dyrektorem agencji „Unia Press“ należącej do RSW, czyli skazanej na likwidację. I nagle wydaje pan „Alfabet Urbana“, zarabiając miliard złotych. Z człowieka zamożnego staje się pan człowiekiem bardzo zamożnym...**

- Pomysł napisania „Alfabetu“ wyszedł od wydawcy Romana Górskiego, jednego z trzech właścicieli oficyny BGW. Wcześniej go nie znałem, ale gdy zadzwonił, chętnie umówiłem się z nim na obiad w „Marriocie“. Zaproponował zrobienie takiej książki, przyniósł listę nazwisk bohaterów „Alfabetu“, ja dodałem swoje nazwiska i podpisaliśmy umowę. Maszynopis miałem oddać w miesiąc po zawarciu umowy. Trochę pisałem w Warszawie, a



potem wyjechałem nad morze, gdzie przez trzy tygodnie po cztery godziny dziennie pracowałem nad książką. Bez jakiegokolwiek dokumentacji, posługując się tylko własną pamięcią, a to marne źródło - w końcu pracę skończyłem i po następnym miesiącu „Alfabet” pojawił się w sprzedaży.

**- *Wydawca był przekonany o sukcesie, a pan?***

- Przypuszczałem, że to pójdzie, ale nie wiedziałem, że w takiej skali.

**- *Ile egzemplarzy „Alfabetu” ostatecznie sprzedano?***

- 750 tysięcy.

**- *Czy wcześniej czytał pan „Alfabet Kisiela”?***

- Nie. Oglądałem jakiś fragment w telewizji, ale nie czytałem. Najpierw mnie to nie interesowało, a potem nie chciałem niczym się sugerować.

**- *Na co przeznaczył pan pieniądze?***

- Kupiłem dwa samochody, dla żony i dla siebie. Obydwa BMW, bo parka lepiej się chowa. Resztę pochłonęły przygotowania pisma „NIE”.

**- *Nic pan nie odłożył?***

- Trudno powiedzieć. Pieniądze przychodziły od wydawcy sukcesywnie, potem zaczęło wychodzić „NIE” i przychody z wydatkami kompletnie się pomieszały.

**- *Jaka była reakcja na „Alfabet”?***

- Środowiska artystyczne zbliżone do niegdysiejszej opozycji uznały to za dziejową niesprawiedliwość. Tak błyskotliwy sukces rynkowy rozstroił tych ludzi zupełnie, bo wtedy właśnie nadeszły czasy, kiedy wydawcy nie mieli pieniędzy, nie zawierali umów z autorami i nie płacili im honorariów. A ja - wbrew temu wszystkiemu - napisałem, wydałem i tyle na tym zarobiłem.

**- *Przez jakiś czas mówiło się o procesach, które szykują poszkodowani bohaterowie „Alfabetu”. Miało się zawiązać jakieś tajne stowarzyszenie...***

- Procesów nie było, nie było też żadnego sprzysiężenia. To tylko Atlas, którego nie należy brać serio, odgrażał się, że takie stowarzyszenie założy.

**- *A czy przypadkiem nie był z panem w zмовie?***

- Nic podobnego.

**- *Czy wydawca zapewnił panu ochronę prawną?***

- Podpisał, że zobowiązuje się pokryć koszty ewentualnych procesów. Książkę przed wydaniem przeczytał prawnik, bardzo dotkliwie ją cenzurując. Cenzura podyktowana była

obawą przed procesami o zniesławienie, zostały więc wykreślone te fragmenty, w których wchodziłem w prywatność moich bohaterów, naruszając tym dobra osobiste, nie znajdujące uzasadnienia w jakimś interesie publicznym. Np. usuwano wzmianki kto jest pedałem i temu podobne.

**- Którą postać najbardziej ocenzurował prawnik?**

- Na przykład Jerzego Waldorffa, ale nie powiem o co chodziło. Ze względów reklamowych sprawa przed sądem bardzo by się przydała, wydawca chciał procesu, dawał nawet 50 milionów każdemu pokrzywdzonemu, który zgłosi pozew.

**- Kontu zaproponował te pieniądze?**

- Puszczął taką wieść w miasto, w środowisko. Jego ludzie szukali, nawiązali jakieś kontakty, ale ostatecznie nic z tego nie wyszło.

**- Czy pomyślał pan, żeby pójść wtedy za ciosem i napisać np. wspomnienia?**

- Nie chciałem pisać wspomnień, bo wiedziałem, że wszyscy piszą wspomnienia. Ja mam bardzo słabą pamięć, a „Alfabet“ napisałem właśnie zamiast pamiętników. Wydawca namawiał mnie na drugą część „Alfabetu“, ale obawiałem się, że wyjdzie z tego chała.

**- Czy już pierwszy numer tygodnika „NIE“ przyniósł zysk?**

- Myślę, że tak, chociaż dokładnego bilansu jednego numeru nigdy nie sporządzono. Podsumowany został pierwszy miesiąc ukazywania się pisma i wyszło na spory plus.

**- Ile miał pan z tego na czysto?**

- Przez pierwsze trzy miesiące wydawcą była spółka „Presspo“ z Poznania. Ale umowa wygasła, a „NIE“ przynosiło zyski, więc od początku 1991 roku jestem pełnym właścicielem tygodnika.

**- Jaką pan sobie wyznaczył pensję?**

- To wydawca określił wówczas wysokość moich poborów - 5 milionów plus liczne honoraria. Dziś mam pensję siedem dwieście. Sam ją sobie wyznaczam. Plus honoraria.

**- Jaki zysk dziś osiąga pismo i do czyjej kieszeni trafia dochód?**

- Do mojej kieszeni. Zysk jest bardzo duży, podejrzewam, że jeden z większych, jakie w ogóle w Polsce się osiąga i to nie tylko z tytułu działalności wydawniczej.

Ale są to dochody inne nie tylko ilościowo, ale jakościowo. Przedtem brałem pieniądze za własną pracę, dostawałem honorarium i mogłem z nim zrobić, co mi się podoba. Teraz natomiast tych ogromnych zysków nie oglądam na oczy ani nie dostaję na rękę. One są gdzieś w księgowości, w nieustannym obrocie, powoli spływają z kolportażu, szybko zostają z powrotem wypłacane z różnych tytułów.

**- Ale na pańskie osobiste konto też trafiają?**

- Nie, proszę panów. Moje osobiste konto jest dokładnie puste, głównie z powodów podatkowych. Płacę 40 procent podatku od zysku i jak każdy przedsiębiorca, staram się wydatki opędzać na koszt firmy.

**- Pańska spółka „URMA“ wydaje nie tylko rentowne „NIE“, lecz także nierentowne „Dziś“ kierowane przez Mieczysława F. Rakowskiego.**

- Nie ma w tym nic dziwnego. To normalne i zgodne z prawem, że dochód tygodnika „NIE“ jest umniejszony o deficyt miesięcznika „Dziś“.

**- Kto wpadł na pomysł wydawania „Dziś“, pan czy Rakowski?**

- Pomysł był Rakowskiego, wykonanie jest Rakowskiego i miesięcznik jest Rakowskiego.

**- Ale pieniądze są pańskie?**

- Czytelników „NIE“. Zmierzamy do tego, żeby „Dziś“ też było dochodowe, a w każdym razie, żeby nie przynosiło strat.

**- W PRL pan nie inwestował i wydawał więcej niż zarabiał. Czy coś się zmieniło w RP?**

- Rozległą sferę potrzeb zaspokajam automatycznie i bez żadnych problemów. Bieżące wydatki na życie, ubrania, podróże - to wszystko przestało się liczyć! A ponieważ ogólnie wiadomo, że jestem człowiekiem zamożnym, niespecjalnie dbam, żeby mieć wypchane kieszenie. W dowolnej restauracji mogę zjeść i wypić dziś, a rachunek uregulować jutro. Wiadomo, że jestem całkowicie wypłacalny. Nie ma u nas kart kredytowych, ale ja jestem swoją żywą kartą kredytową.

**- Czy spotyka się pan z prośbami o wsparcie materialne? Tak jak do Wokulskiego przychodzą do pana ludzie, którzy mają genialne pomysły, a tylko brakuje im gotówki?**

- Bez przerwy. Z codzienną pocztą dostaję prośby o pieniądze. Jest tego tyle, że przestałem już zwracać uwagę i odkładam hurtem ad acta. Spotykam się także z próbami nabrania mnie na sponsora. Sposób „na sponsora“ zwykle lepiej wygląda niż ordynarne zebranie o pieniądze.

Przyszły kiedyś studentki, proponując taki oto interes. Ja im sfinansuję wakacje we Francji, a one będą tam jeździły na rowerach ubrane w koszulki z napisem „NIE“. Powiedziałem im: „To kupcie mi mercedesa, a ja w zamian powieszę wasze fotografie nad łóżkiem.“ W obu przypadkach efekt reklamowy będzie taki sam.

Innym znów razem przychodzi plastyczka i chce, żebym zapłacił za wydanie katalogu jej wystawy, a ona za to napisze w tym katalogu, że to ja go wydałem.

**- Rozumiemy, że nie bywa pan sponsorem...**

- Nie. Wiem, że są ludzie z dużymi pieniędzmi, którzy koniecznie szukają takich wydatków, które podniosą ich prestiż. Realizacja filmu, urządzenie wystawy... Ja w ten sposób nie muszę się dowartościowywać, znam inne, mniej kosztowne metody.

**- *Jaki interes ma pan na T-shirtach z napisem „NIE“?***

- Zgłosiliśmy się do firmy marketingowej, która doradziła nam taki sposób reklamy. Mamy z tego dostać 25 procent zysku, ale nie o zysk tu chodzi, lecz o to, żeby „NIE“ było obecne na ulicy i chodziło na ludzkich ciałach.

**- *Teraz ma pan na oku nowy interes...***

- Tak, finalizujemy właśnie pierwszą transakcję handlową. W „NIE“ zamieściliśmy niedawno tekst o aparatach optycznych, które w prosty i skuteczny sposób wskazują, czy kobieta ma dni płodne czy bezpłodne. Wystarczy tylko polizać... Znaleźliśmy producenta tych urządzeń, kupiliśmy prawo wyłączności na Polskę i teraz handlujemy wynalazkiem, który zwłaszcza katoliczkom rozwiąże konflikt sumienia.

**- *Czy w związku z dużymi dochodami oraz nowymi warunkami finansowymi w Polsce, zaczął pan wreszcie inwestować w ziemię, nieruchomości, dzieła sztuki?***

- Bardzo dużo zarabiam dopiero od kilku miesięcy i jeszcze nie mam takich problemów. Ale nie przypuszczam, żebym potrafił inwestować pieniądze, bo się na tym nie znam. Nie chciałbym wkładać pieniędzy w coś, nad czym nie panuję. Od kiedy tygodnik „NIE“ odniósł sukces, przychodzą do mnie ludzie z wielkimi pieniędzmi i proponują, żebym uruchamiał nowe pisma. Dawali od dwóch miliardów złotych do dwóch milionów dolarów. Za taką sumę można już próbować zrobić gazetę...

**- *To byli ludzie z branży prasowej?***

- Nie. Nie znali się na prasie, wobec czego myśleli, że skoro odniosłem sukces wydając „NIE“, to cokolwiek bym wydawał, będzie to dobre i przyniesie oczekiwane powodzenie. Po pierwsze - na „NIE“ miałem pomysł, a to nie oznacza, że mam nieskończenie wiele pomysłów na inne pisma. Po wtóre - tygodnik „NIE“ sam redaguję, a nie można osobiście redagować więcej czasopism niż jedno.

Szczerze mówiąc, to mam pomysł na gazetę codzienną, która mogłaby stać się najpopularniejszą w Polsce i mógłbym nawet zgromadzić potrzebne do tego kilka milionów dolarów. Jako redaktor i wydawca cieszę się już rozgłosem także poza Polską... Mógłbym zatem zacząć tworzyć koncern prasowy, ale byłoby to niebezpieczne politycznie. Wszystkie siły rządzące by się sprzysięgły, żeby to udusić. Poza tym - zwyczajnie nie chcę stać na czele koncernu i ze szczytu jakiegoś wieżowca śledzić ceny papieru, najnowsze osiągnięcia poligrafii, kierować setkami dziennikarzy. Już to raz przeszedłem w Komitecie ds. Radia i Telewizji i nie mam ochoty na powtórkę. Po co mi te kłopoty? Nadal chcę wydawać „NIE“, dużo zarabiać i dobrze żyć. To wszystko.

**- *Nie myśli pan o własnej stacji radiowej?***

- Nie mam się co wygłupiać, nikt mi przecież nie da teraz pasma w eterze. Ostatnio na pewnym przyjęciu jeden z najbogatszych biznesmenów polskich mówił do mnie tak: „Od dziesiątków lat zajmuję się interesami a tyś sobie przyszedł jak burza i w ciągu paru miesięcy stałeś się jednym z nas, a nawet wielu wielkich przegoniłeś. Ale my, ludzie interesu dopadniemy cię!“ - „Dlaczego?“ - Przestraszyłem się. - „Przecież ja działam w swojej branży

i wam nie przeszkadzam.“ - „Nie o to chodzi. Tyle zarabiasz, że musisz zacząć inwestować. I wtedy przyjdiesz do nas. I zaczniesz tracić tak jak my.“

***- Jak to się dzieje, że zawsze spada pan na cztery łapy, i to nie tylko w znaczeniu materialnym?***

- Mam pewne umiejętności zawodowe, które są silniejsze niż przeciwności polityczne. Mam dużo szczęścia. Mam również zalety charakterologiczne polegające na tym, że jeśli coś się wali w gruzy, to nie siadam załamany i biadolę, tylko zaczynam pracować budować egzystencję w takich warunkach, jakie są akurat dane. Nie ja to wymyśliłem, żeby budować w Polsce kapitalizm. Przeciwdziałiałem temu ze wszystkich sił. Nie udało mi się. Wykorzystuję więc te warunki ustrojowe, które wbrew mnie powstały.

Jestem ogromnie szczęśliwy, że zarabiam tak dużo pieniędzy. Zawsze o tym marzyłem i nie sądziłem, że kiedykolwiek to osiągnę. Jest to źródłem większego zadowolenia niż wejście do rządu i sprawowanie władzy.

***- A czy nie miewa pan takich myśli, że w ustroju, o który pan walczył i którego pan bronił, taki sukces nie byłby możliwy?***

- Ależ byłby. Wtedy pieniądze robiło się łatwiej niż dzisiaj, tylko ja nie byłem na to nastawiony.

## **Ja i wydział prasy**

**- Wydział Prasy KC PZPR - to była wszechwładna instytucja decydująca o losach gazet i dziennikarzy. Pan musiał się z nią stykać najpierw jako dziennikarz, a później jako urzędnik państwowy. Kiedy był pan w Wydziale Prasy pierwszy raz?**

- W roku 1957, za czasów „Po prostu“, kiedy Hanka Bratkowska, zastępca redaktora naczelnego, w znacznym stopniu faktyczny kierownik pisma za Lasoty, została mianowana zastępcą kierownika Biura Prasy KC PZPR - tak to się wtedy nazywało.

Ten awans Bratkowskiej spowodował w zespole szaloną burzę. Jedni byli za tym, żeby Hanka przeszła do Biura Prasy, bo mogłoby to poszerzyć wpływy redakcji. Inni uważali to za uzależnienie się od władzy. Konflikt wiązał się z pewną bardziej ogólną kontrowersją; otóż część zespołu, w tym Bratkowska, była związana z liberalną grupą puławską w partii, część zaś sprzeciwiała się kontaktom z partią. W końcu kazano wybierać Bratkowskiej - albo pismo, albo funkcja w KC. To, że poszła do Biura Prasy kosztowało ją utratę głosów w wyborach na redaktora naczelnego, którym ostatecznie został Turski.

**- Pan głosował na Bratkowską?**

- Ja w ogóle nie głosowałem, bo byłem wtedy za granicą. Jest więc rok 1957, wchodzę do Biura Prasy, a Hanka siedzi na biurku Starewicza, ówczesnego kierownika Biura. Siedzi i macha nogami. Jest w jakimś bardzo awangardowym stroju jak na owe czasy i miejsce. Ma na sobie bardzo kolorowe rajstopy czy getry. Wchodzący musieli doznawać szoku... Ja zapamiętałem te nogi oraz ciężkie, gdańskie biurko, na którym siedziała.

Wydawało mi się ono wspaniałe, budzące respekt, a nawet grozę. Stało w tym gabinecie przez następne 30 lat kiedy tam, wpięrow sporadycznie, a potem częściej, bywałem.

Podczas likwidacji KC próbowałem załatwić znajomemu możliwość kupienia tego biurka, ale transakcja nie doszła do skutku. Nie pamiętam już dzisiaj czy cena była za wysoka, czy też cały gabinet przejęła SdRP... Biurko razem ze stołem, krzesłami i szafą z rzeźbionymi lwami było dość kiepską imitacją mebli gdańskich, pseudoantyczną tandetą, a cały ów gabinet wyleniła graciarnią (szczególnie w porównaniu z salonami URM-u, w których urzędowałem).

Dziś myślę, że ten mój sposób widzenia biurka odpowiada sposobowi widzenia Wydziału Prasy - od potęgi do nędzy, od potężnej i groźnej instytucji w 57 roku do tandety i bezwładu pod koniec lat 80.

**- Jak się zmieniało znaczenie Wydziału Prasy przez te wszystkie lata?**

- Znaczenie było niezmiennie aż do początku lat 80., kiedy z gabinetu wyszedł Kazimierz Rokoszewski, kierownik Wydziału Prasy w latach 70. Nie umiem odtworzyć historii wydziału, który zmieniał nazwę, zakres swojego działania, ale zachowywał tę samą wielką władzę nad polską prasą.

**- Wróćmy do spotkania z Bratkowską, która machała nogami...**

- Była to wizyta plotkarsko-towarzyska. Wkrótce jednak zetknąłem się z B.urem Prasy jako instytucją. Bezwzględna instytucją. Było to podczas likwidowania „Po prostu“. Odbyła się narada ze Starewiczem, który sformułował zarzuty przeciw „Po prostu“ i wrzeszczał na cały zespół. Wtedy zdjęto cały numer, ten który po przerwie wakacyjnej złożyliśmy i usiłowaliśmy wydać. Miała to być dyskusja nad tym numerem, nad linią pisma, a faktycznie zamieniła się w imprezę pełną oskarżeń. Starewicz polecił nam przygotować nowy numer...

**- ...który już się nigdy nie ukazał.**

- Tak, numer ponownie został w całości zatrzymany, jak to się wówczas mówiło.

Trzeci raz byłem w tym gabinecie dopiero po dziesięciu latach, gdzieś w roku 1966, kiedy gospodarzem był Stefan Olszowski. Znałem go od niepamiętnych czasów. Przychodził do „Po prostu“ jeszcze jako działacz studencki, przedstawiciel Polski w Międzynarodowym Związku Studentów w Pradze.

**- Olszowski był kierownikiem Biura Prasy w 1968 roku. Dużo mówi się o jego roli w wydarzeniach marcowych...**

- Tak. Uważam, że on wtedy odgrywał bardzo istotną rolę, jeśli nie decydującą, to na pewno jedną z kluczowych. Moczar i inni byli sztandarowymi postaciami grupy marcowej, a Olszowski pozostał w cieniu. Jednak w tym, co się działo, decydującą rolę odegrała prasa, a w niej dziennikarze bezpośrednio związani z ośrodkami dyspozycyjnymi w MSW.

**- Kto na przykład?**

- Mysłək, Kur, Gontarz... O tym ostatnim napisałem w „Alfabecie“. Gontarza znałem z wódek u dziennikarzy. Był to jeden z młodych reporterów

związanych ze „Sztandarem Młodych“. Mniej lub bardziej należał do towarzystwa, zawsze lubił dawać do zrozumienia, że ma związki z bezpieczeństwem. 55

W roku 68 ten trzeciorzędny dziennikarz odegrał ogromną rolę, stał na czele marcowej nagonki. Potem stał się nieudany, ale wziętym dramaturgiem, pisał też scenariusze do filmów Filipskiego, Poręby i innych reżyserów z ruchu marcowego. Następnie, kiedy sezon na niego minął, a nawet wyrzucono go z partii za występy w MSW, gdzie demaskował syjonistów, został głównym ideologiem „Grunwaldu“ oraz redaktorem takich pisemek jak „Rzeczywistość“. Nosił się trochę jak wódz otoczony grupką pretorianów, uznawał siebie za poważnego aspiranta do objęcia władzy w Polsce. Zawsze starał się udawać, że ma ogromne wpływy. Faktycznie utrzymywał kontakty - i chyba miał tam źródła finansowania - z niektórymi ambasadami bliskowschodnimi...

Słowem - postać mroczna i tajemnicza. Ostatni raz widziałem go na pogrzebie mojego znajomego, Szymocha. Stał w obszernym płaszczu na uboczu, otoczony swoimi adiutantami.

**- Kto to był - ten Szymocha? W „Alfabecie“ nic o nim nie ma...**

- Bardzo barwna postać. Facet, który w latach 70. przyjechał z Katowic i założył w „Victorii“ kabaret. Ale nie kabaret literacko-polityczny, tylko coś w rodzaju variete. Takie tingle-

tangle... Robił wielkie interesy widowiskowe, ale jeszcze większy szum wokół nich. Gdy go poznałem, dostałem właśnie zamówienie na napisanie książeczki o konflikcie między nim a Prutkowskim. Napisałem tę książeczkę do „Ekspresu Reporterów“, ale ona się nigdy nie ukazała. Wskutek zabiegów Prutkowskiego.

Samo zbieranie materiałów było barwne, a od tego co się dowiedziałem o Prutkowskim, włos stawał na głowie. Prutkowski zaprosił mnie do siebie do domu wraz ze striptizerkami, ale nie dałem się dupami przekupić. Wobec tego zabrał mnie do swojego kabaretu w „Adrii“ i tam znowu przysłał mi do stolika inne striptizerki.

Szymocha w porównaniu z Prutkowskim był wręcz świetlaną postacią. Wyglądał mi na Żyda. W opisanym przeze mnie konflikcie był tą stroną, której należało bronić.

Dowiedziałem się, że Prutkowski politycznie szantażował cyrkowców. Groził im wstrzymaniem paszportów, jeśli nie będą występowali u niego w kabarecie. Ze szkoły średniej „wyjął“ panienkę, którą zrobił swoją dziewczyną. Sam miał już pod sześćdziesiątkę. Kiedy go rzuciła, wytoczył jej niesamowity proces o zwrot wszystkich prezentów, które jej podarował. Wszystko miał spisane i wyliczał w sądzie: bluzka, dwie pary majtek, itd.

**- Czy istotnie Prutkowski miał takie wpływy polityczne, że z jednej strony mógł spowodować wstrzymanie paszportów dla cyrkowców, a z drugiej - zablokować panu wydanie książki?**

- On po prostu poszedł do swojego przyjaciela, zastępcy szefa wydawnictwa i zażądał wstrzymania wydania. Mnie wydawca powiedział, że nie chce procesów, że jak można o Prutkowskim takie rzeczy, a w ogóle, że to nie nadaje się do druku. I zwyczajnie książki nie wydali. Prutkowski był facetem bardzo wesołym, z wszystkimi pił, z wszystkimi był na ty, miał mnóstwo zaprzyjaźnionych generałów z wojska i milicji. Jakie miał wpływy dokładnie nie wiadomo... Ale jak wszędzie ma się kumpli i łatwy dostęp do dziewczyn, to przy odrobinie tupetu łatwo można było utrudnić komuś wyjazd za granicę. A Prutkowski miał szalony tupet... Jeżeli mówił cyrkowcowi, że nie dostanie paszportu, to cyrkowiec zapewne nie sprawdzał czy on rzeczywiście jest w stanie wstrzymać mu paszport. I ja też tego nie wiem. Ale wiem, że o ile trudno było załatwić paszport dla kogoś, komu nie chcieli go dać, o tyle łatwiej było załatwić, żeby paszportu nie dali. Choćby napisać donos...!

**- Skończyliśmy na Olszowskim i roli, którą odegrał w roku 68...**

- Olszowski sterował wówczas kampanią prasową skierowaną przeciwko syjonizmowi. Wiem, że chodziło się do niego zapisywać do nurtu marcowego. Cała prasa była wtedy podzielona na „swoich“ i „nieswoich“. „Swoim“ stawało się właśnie poprzez zapisanie się u Olszowskiego.

Skąd to wiem?

W roku 68 byłem na etacie w „Życiu Gospodarczym“, którego redaktorem naczelnym był Jan Głowczyk. Głowczyk zgodził się wziąć mnie do siebie; był to jego heroiczny czyn, bo miałem wówczas zakaz pracy. Obiecał mi pomoc Ryszard Frelek, osobisty sekretarz Kliszki. Frelek okazał się człowiekiem świętej cierpliwości w tej sprawie i do dziś nie mogę wyjść z podziwu jak on to wytrzymywał. Przez rok dosłownie codziennie do niego telefonowałem i pytałem co słyhać w mojej sprawie. Frelek nie okazując zniecierpliwienia obiecywał, że na pewno w przyszłym tygodniu po raz kolejny porozmawia z Kliszką. W końcu widocznie z



nim porozmawiał, ale Kliszko niewiele mógł zrobić, bo zakaz pracy dostałem od samego Gomułki. Nawet po trzech latach, które minęły od obłożenia mnie kłutwą, Kliszko - druga osoba w KC, nie mógł podrzeć mojego wilczego biletu. Powiedział jednak, że jeśli znajde redaktora, który zechce mnie przyjąć, to on po cichu udzieli mi swojej zgody pod warunkiem, że nie będę pisać pod nazwiskiem, żeby Gomułka się nie dowiedział.

Redaktorem, który zgodził się mnie wziąć był Jan Głowczyk, człowiek niezwykle przyzwoitości.

**- Wrócić do „Polityki“ pan nie mógł?**

- Nie, bo z „Polityki“ wyrzucił mnie Gomułka i nie było mowy o powrocie. Wróciłem dopiero wtedy, gdy Rakowski wstawił się za mną w osobistej rozmowie z Gomułką.

Praca w „Życiu Gospodarczym“ była bardzo prosta, bo Głowczyk mi mówił, co powinienem jako Jan Rem pisać, np. na temat niezbędnych zmian w strukturze przemysłu maszynowego. Sadzał mnie u siebie w gabinecie, mówił przez kilka godzin, a ja notowałem akapit po akapicie, tezę po tezie. Mówiłem mu: „Janek, gdybyś zamiast mnie wzywał maszynistkę, to mógłbyś pobierać honoraria“. Ale Głowczyk wolał mi wszystko powiedzieć, a potem zachwycał się tekstami, bo były oczywiście doskonale zgodne z jego poglądami i sposobem myślenia.

Przyszedł marzec 1968 roku. Głowczyk żył w śmiertelnym strachu, ponieważ ma żonę Żydówkę, a do tego córkę byłego wiceministra Bezpieczeństwa Publicznego, Mietkowskiego. Na domiar złego z „Życiem Gospodarczym“ związana była cała grupa współpracowników, ekonomistów, z których niektórzy mieli niesłuszne pochodzenie lub powiązania. Wiem, że Głowczyk poszedł do Olszowskiego. Sens ich rozmowy sprowadzał się do tego, że tygodnik powinien stanąć po „słusznej“ stronie, czyli po stronie Olszowskiego, nie zrażając się tym, że po tej samej stronie jacyś skrajni ludzie przesadzają, hałasują czy wręcz faszyzują. Olszowski mówił, że tacy ludzie są niezbędni, bo spełniają funkcję taranu zmieniającego zakrzepłe stosunki. „Potem tę pianę się odcedzi“-powiedział podobno.

Słowem - Olszowski traktował ruch marcowy instrumentalnie. Najwidoczniej był eksponentem tego dominującego w ruchu marcowym nurtu, którego celem było wykorzystanie hunwejbínów do wykończenia starszego pokolenia działaczy, wpierw Puławian, potem także gomułkowców, aby utorować drogę do władzy młodszemu pokoleniu polityków. To był jeden z istotnych celów ruchu marcowego.

**- Czy Olszowski myślał o jakiejś pozycji dla siebie, czy też robił to wszystko dla idei?**

- Nie wiem. Na pewno (jak każdy), myślał o sobie, chociaż z drugiej strony Olszowski swoim kalibrem przerastał tę sferę, która tworzyła pokolenie marcowe aspirujące do wyższych szczebli władzy. Był to człowiek zasad i z charakterem.

Ja bardzo lubię Olszowskiego. Cenię go, chociaż nasze związki były antagonistyczne.

**- Zawsze?**

- Po prostu nie byłem w jego sitwie. Mimo to on, np. jako minister spraw zagranicznych potrafił zdobyć się na różne gesty kurtuazyjne wobec mnie. Jak byłem rzecznikiem, a on sekretarzem KC do spraw propagandy starał się mnie odsuwać od wszelkich wpływów, ale powiedzmy na posiedzeniu rządu, jako minister spraw zagranicznych w swoich sprawozdaniach podkreślał moją rolę jako rzecznika oddziaływującego na zachodnie mass media.

W osobistych kontaktach był bardzo przyjacielski i kurtuazyjny.

**- Dlaczego nie został ukarany za marzec, skoro odgrywał w nim tak istotną rolę?**

- Marzec przegrał jako ruch ideologiczny, tendencja i kierunek. Przegrała też grupa Moczara. Wygrał natomiast młody aparat, który szukał dla siebie awansu. Kiedy zdobyli swoje stołki w większości przestali być „marcowcami” i nie mieli już związku z „marcowcami ideologicznymi”, czyli nacjonalistami i represjonistami.

**- Czyli związek Olszowskiego z Moczarem był czysto instrumentalny?**

- Tak sędzę. Po marcu Olszowski pojechał na sekretarza do Poznania, co niekoniecznie musiało być zesłaniem; było praktykowane, że młody działacz musi przejść przez województwo, żeby wejść do kierownictwa partii.

Skończyliśmy na roku 1966, kiedy w wyniku zabiegów Frelka Kliszko zleca Olszowskiemu przyjęcie mnie i załatwienie mojej sprawy.

Olszowski przyjął mnie i już od progu krzyczy, że jestem szmatławym dziennikarzem. „Dlaczego szmatławym?” - pytam. Bo w Krakowie założyłem fałszywe biuro matrymonialne. Chodziło o zabawę reporterską sprzed 12 lat, o której opowiadałem przy okazji opowiadania o okolicznościach poznania pierwszej żony. Bronię się, a on wyciąga całą teczkę moich publikacji. W tym artykuł z „Polityki”, który nazywał się „Dziura” i był bardzo udaną opowieścią o tym, jak na osiedlu, gdzie mieszkałem, usiłowano zrobić na skwerze oczko wodne. Dzieje powstania tego oczka szczegółowo opisałem w oparciu o dokumentację. Umyślnie wziąłem pod lupę najmniejszą z możliwych inwestycji, aby w tej kropliczce pokazać cały proces. Próbowałem odpowiedzieć na pytanie, dlaczego nic nie wychodzi z rozwoju gospodarczego.

Był to tekst bardzo zjadliwy, ale bardzo konkretny. Olszowski krzyczał, że szkaluję, podczas gdy trzeba konkretnie i konstruktywnie. Bronilem się, że przecież jest konkretnie, ale on nie czytał tej „Dziury”, tylko mu doniesiono, że Urban znów szkaluje. Chcąc jednak dostać zgodę na pracę powołałem się na Kliszkę. To jeszcze bardziej rozjuszyło Olszowskiego. Krzyczał, że to tylko od niego zależy i że w jego ręce została złożona cała moja przyszłość. W końcu dał zezwolenie Główniczkiemu na zatrudnienie mnie w „Życiu Gospodarczym”.

Taka rozmowa dobrze obrazuje zakres władzy szczegółowej Wydziału Prasy, który decydował nawet o losie pojedynczego dziennikarza.

**- Ale pan to już wiedział wcześniej, gdy wyrzucono pana z „Polityki”...**

- Kiedy wywalano mnie z „Polityki” za tekst o doktorze Marcinkowskim, wrogu wódki z miasta Krakowa, kierownikiem Biura Prasy był jeszcze Starewicz. Był on wówczas

przyjacielem Rakowskiego, a mimo to wyrzucił mnie z pracy i jeszcze wymusił na Rakowskim, by ten pokajał się na łamach. Bo tego żądał Gomułka. Moi koledzy z redakcji: Rakowski, Radgowski i Fikus, którzy mieli stosunki towarzyskie ze Starewiczem, usiłowali z nim pogadać, żeby jakoś dał mi żyć, tj. pozwolił na pracę gdzieś w drugorzędnej redakcji, ale on zdecydowanie odmawiał. Gdy ja próbowałem gdzieś postawić nogę, to od razu mnie stamtąd wyganiał. Trzy miesiące pracowałem jako sekretarz redakcji reklamy radiowej. Gdy Starewicz się o tym dowiedział, polecił mnie wyrzucić. Powstawało nowe pismo rodzinne, bodaj „Magazyn Rodzinny“, gdzie szykowałem się dla mnie ryczałt czy etat, ale i stamtąd mnie wygonił.

Wydział Prasy musiał zatem wiedzieć, kogo gdzie przyjmują. Starewicz konsekwentnie egzekwował polecenie Gomułki. Uważałem, że jest wybitną świnią, ponieważ nadgorliwie utrudniał mi egzystencję.

**- Czym pan tłumaczy takie zachowanie - osobistą nienawiścią czy wiernością Gomułce?**

- Myślę, że gorliwością związaną ze słabnącą pozycją Starewicza w kierownictwie partii. Ogłaszałem w towarzystwie, że kiedy Starewicz wreszcie wyleci, to wydam bankiet w Stowarzyszeniu Dziennikarzy.

**- Dotrzymał pan obietnicy?**

- Nie dotrzymałem, bo Starewicz wyleciał po cichu. Został ambasadorem w Anglii. Jego ówczesna żona, z którą notabene przez jakiś czas pracowałem w jednym pokoju w „Polityce“, uczyła się przed wyjazdem dworskich ukłonów, co mnie bardzo śmieszyło.

**- Kto był jego żoną?**

- Maria Rutkiewicz, sekretarka i telegrafistka Nowotki, matka obecnego, słynnego burmistrza Śródmieścia w Warszawie. Burmistrz Rutkiewicz jest jednym z dwojga bliźniąt urodzonych na Pawiaku, skąd ich zresztą wykradziono. To jedna z bardziej malowniczych historii okupacyjnych.

Znałem jego siostrę bliźniaczkę. Była przyjaciółką jednej panienki, z którą miałem króciutki romans.

**- Czy kiedykolwiek spotkał się pan jeszcze ze Starewiczem?**

- Owszem. Kiedy pracowałem w „Życiu Gospodarczym“, ni z tego ni z owego wezwał mnie do swojego gabinetu. Nie był już kierownikiem Biura Prasy, tylko sekretarzem KC. Zaczął mnie napuszczać, abym skrytykował plan gospodarczy nie uwzględniający potrzeb budownictwa mieszkaniowego. Gomułka ściał wtedy budżet, czym dotkliwie ograniczył rozwój budownictwa. Wielu jego współpracowników było przeciwnych decyzji pierwszego sekretarza i szukało instrumentów umożliwiających krytykę prasową pomysłu Gomułki. Chętnie na to przystałem, bo istotnie decyzja Gomułki była fatalna.

**- Po Olszowskim propagandą kierował Jan Głowczyk. Wśród dziennikarzy nie miał najlepszej opinii.**

- Głowczyk był mądrym politykiem, natomiast miał podstawową wadę - był zbyt gorliwym przekaznikiem I sekretarza KC. Nie był w stanie wysłuchać tego, co środowisko dziennikarskie i współpracownicy mają do zaproponowania. Wszystkie narady (a kierował propagandą poprzez nieustanne narady) on sam zagadywał, zameczając słuchaczy wielogodzinnymi monologami z nieskończoną ilością dygresji. Strach było wejść do jego gabinetu, bo nie można było wyjść. Kiedy składałem mu wizyty starałem się tak ulokować, żeby po godzinie miał umówionego następnego gościa, albo przychodzić późnym wieczorem licząc, że sen go zmorzy. Niestety, nigdy nie bywał śpiący i zachowywał zdolność monologowania. Starał się też siał strach wśród podwładnych, unosił się w dość przypadkowych sprawach. Ale był to człowiek wybitnie przyzwoity. Nie sądzę, żeby komukolwiek zrobił realną krzywdę, złamał karierę. Choć mogę się mylić, bo ja na tamtym dworze nie siedziałem.

Kolejny raz do Biura Prasy, a może już do Wydziału Prasy, zostałem wezwany w latach 70. Stałem wówczas przed trzyosobową komisją dyscyplinarną powołaną do oceny moich felietonów ze „Szpilek“ i naprostowania mojej linii politycznej.

**- Kto był w tej komisji?**

- Marian Kruczkowski, nieżyjący już Jurek Wójcik, który wtedy pracował w Kancelarii Sekretariatu KC przy Gierku, i jeszcze ktoś, kogo nie pamiętam.

Dyskusje tego typu w Wydziale Prasy udawało się niekiedy wygrywać. Komisja bywała bowiem nie przygotowana do lekcji. Przypuszczam, że mieli tyle spraw dyscyplinarnych, że nikt porządnie nie mógł przygotować argumentów. Nie sądzę, aby członkowie komisji przeczytali np. te moje felietony, za które mnie sędzili. Wobec tego cokolwiek mi zarzucali ja broniłem się odpowiednimi cytatami ze „Szpilek“. W końcu Wójcik, człowiek uczciwy i prostolinijny, powiedział: „Pał diabli te wasze felietony, nie o nie tu w istocie chodzi, ale o całą waszą postawę“. „Jaką postawę?“ - pytam. „Że wyście w roku 56 byli proizraelscy, a teraz jesteście proarabscy“. Zdziwiły mnie te zarzuty, powiedziałem, że w 56 roku pisałem reportaże z Izraela, za które byłem oskarżony o wzniecanie antysemityzmu. Wydawnictwo „Iskry“ zerwało nawet ze mną umowę na książkę o Izraelu z tego powodu.

Tu on z kolei się bardzo zdziwił. Po zakończonym posiedzeniu komisji zaprosił mnie do swojego gabinetu i wyjął donos -jedeny powód postawienia mnie przed komisją dyscyplinarną. Był to donos od jakiegoś pułkownika, który pisał, że kiedyś byłem proizraelski, a teraz nie jestem proizraelski, ale za to dużo zarabiam, podczas gdy inni porządni towarzysze z prasy ledwo żyją. Domyśliłem się, że pułkownik mógł pracować w prasie wojskowej i po prostu wkurzały go moje duże zarobki. W świetle moich wyjaśnień Wójcik oburzył się i dał mi ten donos do ręki, co przeczyło przyjętym w partii regułom.

W ten sposób dali mi spokój ze „Szpilekami“, chociaż potem gdy Filier obejmował redakcję, nakłaniano go żeby mnie usunął. Był to wręcz warunek mianowania go naczelnym. Filier odmówił, naczelnym został, a ja dzięki temu mogłem nadal pisać felietony w „Szpilekach“ - w sumie robiłem to przez 20 lat.

Kolejny raz byłem w Wydziale Prasy dopiero w lipcu 1980 roku. Napisałem wtedy do „Polityki“ tekst o strajkach i z tego powodu zostałem wezwany przez kierownika wydziału, Kazimierza Rokoszewskiego.

Rokoszewski nosił przydomek „Umysłowy“ i uchodził za człowieka porządnego, lecz wyjątkowo głupiego. Nadawał się do kierowania prasą, tak jak ja nadaję się do kierowania baletem. Na niczym się nie znał, choć starał się nie stwarzać takiego wrażenia.

W czasie tej rozmowy oburzył się na słowo, którego użyłem w artykule o strajkach. Było to słowo „miarkować“. Rokoszewski uważał, że trzeba je zmienić, bo oznacza ono tyle co „mierzyć“. Tłumaczyłem mu, że tego słowa użyłem zgodnie ze słownikiem w znaczeniu „ograniczać“. Bardzo się wówczas zdenerwował i powiedział, że on wie lepiej. Wspominam o tym dla scharakteryzowania powszechnego przekonania ludzi władzy, że władza polityczna upoważnia nawet do orzekania o znaczeniu słów.

***- Nie Rokoszewski pierwszy chciał uchodzić za wielkiego językoznawcę... Czy pamięta pan jakiś ewidentny przykład zgnojenia dziennikarza przez Wydział Prasy?***

- Sądzę, że takich przykładów jest wiele, lecz żaden mi nie przychodzi do głowy. Wiem, że Wydział Prasy regulował sprawy bardzo szczegółowe. Np. kiedyś Fikus, który był sekretarzem redakcji i sekretarzem partii w „Polityce“, nie dostał przepustki na zjazd partii. Chodziło - jak przypuszczam - o jego kontakty z opozycją, a ściślej z Anką Kowalską z Pax-u.

Innym znów razem chciałem przyjąć do „Polityki“ Janusza Atlasa, którego właśnie wyrzucono ze „Sztandaru Młodych“. Naczelnny „Sztandaru“ interweniował u Rokoszewskiego; uznał, że będzie to miało zły wydźwięk wychowawczy - on wyrzuci Atlasa, a Urban go przyjmuje. I nie mogłem dać Atlasowi pracy.

W okresie kiedy byłem rzecznikiem, Wydział Prasy przestał już być dla mnie władzą, a stał się instytucją partnerską. Współpracowaliśmy przy tworzeniu różnych koncepcji. Dzieliłiśmy zadania. Bywałem u szefa Wydziału i on mnie odwiedzał w URM-ie. Szczególnie gęste to były stosunki kiedy po odejściu Olszowskiego kierownikiem Wydziału został mój zastępca tj. wicerecznik Bogdan Jachacz. Cała groza tej instytucji prysła. Po trosze czasy były inne. Ale też inny jest obraz instytucji, od której człowiek jest zależny, wobec której jest bezbronny, a inny jest obraz instytucji, której się nie podlega, zaludnionej przyjaznymi ludźmi.

Więc w tym gabinecie z gdańskimi meblami, gdzie za czasów Starewicza w ogóle nie miałem wstępu, gdzie za Olszowskiego wchodziłem na miękkich nogach - potem czułem się jak w domu. Popijałem kawki i polecałem sekretarkom, żeby mnie łączyły przez telefon. W tamtych czasach miałem nawet wpływ doradczy na to, kto będzie mianowany lokatorem tego gabinetu.

## **Ja i narodziny „Solidarności”**

***- W jakich okolicznościach dowiedział się pan o strajkach w 1980 roku?***

- Strajki kojarzą mi się z lekarstwami dla generalnego prokuratora Gruzji i donosem do Wałęsy.

Wracalem z wycieczki ze Wschodu. Byłem w Tbilisi ze znajomymi, którzy mieli z Polski paczuszkę z lekarstwami dla prokuratora generalnego. Obawiając się oficjalnego spotkania z cudzoziemcami, prokurator umówił się z nami w zakonspirowanej bramie. W zamian za lekarstwa zdradził nam, że w radiu mówili o strajkach w Polsce. W radiu „Swoboda“, oczywiście... Natychmiast samolotem wróciłem do Warszawy, skąd pojechałem na strajk do Lublina. Była to lipcowa faza protestu.

***- Po powrocie napisał pan w „Polityce“ artykuł „Kto staje, ten dostaje“. Ostry tekst anty strajkowy.***

- Napisałem, że wymuszanie wyższych wypłat spowoduje lawinę podwyżek płac w całym kraju, co z kolei spowoduje spiralę inflacji. Napisałem też, że jeśli już, to większy sens mają postulaty polityczne. Tekst trafił do Rokoszewskiego, wtedy kierownika Biura Prasy KC. W ślad za artykułem zostałem wezwany do KC, gdzie przekonano mnie do usunięcia pointy politycznej. Krytyka żądań ekonomicznych pozostała. Zgodziłem się na skróty myśląc, że w sytuacji rozlegających się postulatów płacowych i wynikających z tego niebezpieczeństw, przyda się głos rozsądku. Dzięki cenzurze politycznej oraz własnemu rozsądkowi od razu znalazłem się w nurcie antystrajkowym. \

***- Jak na to zareagował zespół „Polityki“? Czy dziennikarze z kierowanego przez pana działu krajowego podzielali pańskie zdanie?***

- Strajki i powstanie „Solidarności“ podzieliły zespół na dwie grupy - coraz bardziej fanatycznych zwolenników nowych związków oraz tych, którzy zachowali dystans wobec starej władzy i nowej siły politycznej.

Zaraz po strajkach do Gdańska pojechała ekipa „Polityki“ z Andrzejem Krzysztofem Wróblewskim. Przywieźli wywiad z Wałęsą i opowieść o nim. Wszyscy byliśmy bardzo ciekawi tego człowieka. Na kolegium Wróblewski, który ma duży talent parodystyczny, bardzo plastycznie przedstawił nam -jak to się później mówiło - wodzusia. Z dużym poczuciem humoru Wróblewski odegrał kilka scen, a to jak Wałęsa przyjął dziennikarzy w pozie na wół leżącej, a to jak okazywał swoje samozadowolenie i rozkapryśnienie.

Jeszcze w czasie strajku, w stoczni siedzieli dwaj nasi ludzie: bardzo wybitny dziennikarz Wojciech Giełżyński i bardzo niewybitny dziennikarz, niejaki Stefański. Obaj byli świadkami wygłupów Wróblewskiego na kolegium i natychmiast poinformowali o tym swojego kumpla z otoczenia Wałęsy. Poskarżyli się, że „Polityka“ natrzęsa się ze świętego przywódcy. Tak oto przewodniczący Wałęsa otrzymał pierwszy donos w swojej dopiero rozpoczynającej się wielkiej karierze.

Giełżyńskiego i Stefańskiego wyrzuciliśmy za to z redakcji. Ten ostatni i tak by wyleciał z powodów zupełnie pozapolitycznych.

Innym przejawem najpierw pęknięcia zespołu „Polityki“, a później ostrego podziału, który ostatecznie dokonał się po 13 grudnia, była manipulacja Ernesta Skalskiego. Szykowano nadzwyczajny zjazd dziennikarski, w redakcji odbyło się zebranie członków SDP. Wystąpiłem przeciwko zwoływaniu zjazdu dlatego, że sytuacja zbyt przypominała scenariusz z października '56. Zamiast nakręcania gorączki politycznej - argumentowałem - powinniśmy sprzyjać zmianom w kraju na łamach. Lepsze to niż spory i głośnie ryczenie. Redakcja przegłosowała mój punkt widzenia, a Skalski poleciał do SDP i bez mrugnienia okiem skłamał, że „Polityka“ popiera zjazd. Miało to wtedy duże znaczenie. Nasz tygodnik cieszył się szacunkiem w środowisku.

Tak oto część kolegów wariowała na punkcie nowego. Doznawali jakiegoś nawiedzenia, zachwytu i gorączki, nieprzytomnych oczu... Mnie się to nie bardzo podobało, także ze względu na entourage strajków. Te wszystkie msze polowe, znaczki w kłapie, ogromne długopisy. Już wcześniej w lipcu napisałem list do Rakowskiego, który siedział na Mazurach, że wraz ze strajkami skończyła się w Polsce pewna epoka polityczna, której nie ma co żałować. Zaraz po strajkach w domu Passenta spotkaliśmy się z ludźmi ze szczecińskiej „Solidarności“. Był obecny Jurczyk i kilku jego młodych, rozsądnych, liberalnie nastawionych współpracowników, których zresztą wkrótce wyrzucił. Obmacywałem tę „Solidarność“, która powstała. Miałem mieszane uczucia. Wkrótce zdecydowałem, że jestem przeciw.

Uważając, że nie dogadam się z dziennikarzami z mojego działu, którzy w większości poparli „Solidarność“, złożyłem dymisję. Wanda Fałkowska, Hanna Krall i inni opozycjoniści napisali wówczas do mnie list, w którym prosili, żebym zmienił zdanie. Nie ustąpiłem jednak, wyczuwając w tym geście wygodnictwo i obawę o sprawne funkcjonowanie działu.

Był już rok 1981 i zacząłem się starać o odejście z „Polityki“, gdzie nurt pro-solidarnościowy zaczął dominować. Poprosiłem Rakowskiego, żeby załatwił mi jakąś posadę. Próbował mnie wsadzić do dziennika telewizyjnego na funkcję jednego z ośmiu zastępców redaktora naczelnego, ale KC i osobiście Waszczuk nie zgodzili się na to. Było wtedy nie do pomyślenia, żeby Urban pracował w TV.

**- Czy miał pan wówczas kontakty z opozycją? Rakowski uczestniczył w inauguracyjnej sesji „Doświadczenia i Przyszłości“...**

- Rakowski poszedł na zebranie założycielskie DiP-u, bo był zaproszony. Od razu zrobiła się awantura, że jak to? - członek KC i opozycja? Wszystkie zachodnie rozgłosnie to podały. Rakowski więcej tam nie poszedł, mimo że poglądy DiP-u były dość bliskie naszej redakcji.

„Polityka“ starała się być na styku umiarkowanej opozycji i liberalnego skrzydła władzy. Krallówna miała kontakty z Edelmanem. Fałkowska z opozycyjnie nastawioną adwokaturą. Podemski wojował o niezależność sądownictwa, Wróblewski był ideologiem technokratyzmu, czyli prymatu pragmatyzmu gospodarczego nad czynnikami politycznymi i ideologicznymi. Wcześniej Ma-ziarski dbał o społeczne aspekty ewentualnych przemian gospodarczych, Skalski był bardzo ostrym krytykiem „gierkizmu“. Były to w wielu przypadkach naturalne kontakty z opozycją, niektórzy z redakcji tam po prostu tkwili. Ja nie.

**- Czy utrzymywaliście choćby towarzyskie kontakty z KOR-em?**

- Raczej intelektualne. Nie chadzaliśmy na żadne konwentykle ani nie podpisywaliśmy dokumentów politycznych. Pod koniec lat 70. „Polityka“ miała do KOR-u znaczny dystans. Na przykład wspomniany Giełżyński po wydarzeniach radomskich w 1976 roku napisał ostry tekst potępiający „prowodyrów“.

W „Polityce“ przed Sierpniem uważaliśmy, że zmiany w obozie socjalistycznym są możliwe tylko wówczas, gdy ich motorem jest część samej partii. Liberalizacja prasy oficjalnej, rozluźnienie na uniwersytetach - wierzyliśmy, że tylko to, co jest wpisane w ustrój, może go zmienić. Nie wierzyliśmy natomiast w ruchy zewnętrzne; po pierwsze - były za słabe i wobec górującego nad nimi systemu niewiele mogły zdziałać, a po drugie - ich działalność dostarczała argumentów siłom zachowawczym aparatu władzy, co niekorzystnie odbijało się na znaczeniu sił reformatorskich. Grupy opozycyjne były wykorzystywane przez beton w charakterze straszaka. Był wróg, który czyhał, a więc partia powinna zewrzeć szeregi. To było niebezpieczne dla zmian, trudnych, ale jednak możliwych.

Takie rozumowanie towarzyszyło mi także wtedy, gdy opozycja nabierała znaczenia. Nigdy więc nie dałem się wpisać w takie struktury opozycyjne. Jeszcze w latach 60. zadzwonił do mnie Jan Józef Lipski, umówiliśmy się w kawiarni na uniwersytecie. Przychodzę, Lipski siedzi razem z Jasienicą i obaj pytają, czy nie podpisałbym listu kondolencyjnego do pani Ossowskiej, wdowy po zmarłym w tych dniach profesorze Ossowskim. Oczywiście - odpowiadam - dlaczego miałbym nie podpisać listu kondolencyjnego do wdowy? Dają mi ten list, czytam i widzę, że to jest list w znacznym stopniu polityczny. Nie wypadało mi się wtedy wycofać, podpisałem więc, ale przysiągłem sobie, że nigdy już nie dam się zrobić w coś takiego.

**- Doświadczenia węgierskie i czechosłowackie wskazywały, że wewnętrzne zmiany systemu, nawet gdy inspirowane były przez reformatorów partyjnych, mają niewielki sens i są tłumione przez Związek Radziecki.**

- Doświadczenia węgierskie i czechosłowackie wskazywały, że sens mają tylko te zmiany ustrojowe, które dokonują się spokojnie, powoli, które są umiarkowane i nie mają charakteru gwałtownego sprzeciwu. „Tisze jediesz, dalsze budiesz“. Doświadczenia te przemawiały za drogą, którą jechała „Polityka“. Trochę samodzielności dla przedsiębiorstw, udział adwokata w przesłuchaniu itd. Krok za krokiem, rok za rokiem.

Doświadczenia polskie zdawały się to potwierdzać. „Gierkizm“, aż do roku 1976, uważaliśmy za wielki postęp, przede wszystkim ze względu na odideologizowanie socjalizmu w Polsce. Cała sfera ideologiczna stała się czysto dekoracyjna. To było wspaniałe: mieliśmy zachodnie licencje, zaangażowanie kredytowe Zachodu, mogliśmy wyjeżdżać za granicę. Do tego dochodziło prywatne rolnictwo i swobody Kościoła, które załatwił Gomułka. Nie było tak źle! W latach 70. Polska była najbardziej liberalnym i najweselszym barakiem w obozie socjalistycznym. Droga powolnych reform sprawdzała się.

**- Zgodnie z tym, co pan mówi, że partyjny beton twardo staje przeciw opozycji, po Sierpniu należało się spodziewać zaostrzenia kursu w partii. A tak chyba nie było, przynajmniej do jesieni '81.**



- Po Sierpniu i powstaniu „Solidarności“ nastąpiła głęboka, jakościowo zasadnicza zmiana ustroju. To już był koniec realnego socjalizmu jako pewnego spójnego mechanizmu. Powstał potężny, oddziaływujący na państwo, i w gruncie rzeczy mający w nim coraz większą władzę, związek zawodowy, a raczej wielki ruch opozycyjny. Struktura państwa zmieniła się zasadniczo, chociaż być może nie było tego jeszcze widać. Struktura społeczeństwa stała się pluralistyczna, co było widać gołym okiem. Powstała dwuwładza.

**- *Jak w tej sytuacji reagowała partia? Twardogłowi przeszli do ofensywy czy defensywy?***

- Trzeba odróżnić zachowawcze doły partyjne od twardej góry, będącej przeciwko grupie reformatorskiej, do której należał. Kania i Jaruzelski.

Większa część partii zachowywała się jak siła zagrożona, ale już w małym stopniu zdolna do samoobrony. Dolegliwie dla liberalnego kierownictwa partii dał o sobie znać centralizm demokratyczny. Większa część średniego aparatu żądała od kierownictwa: Zróbcie z tym porządek! A jednocześnie przyjmowała postawy konformistyczne wobec „Solidarności“.

Kiedyś Olszowski, którego trudno było uważać za liberała, pojechał do jakiegoś zakładu pracy. Na zebraniu partyjnym krzyczano: „Kiedy wreszcie zrobicie porządek z tą „Solidarnością“?! Kiedy będziecie bardziej zdecydowani?! Kiedy coś zrobicie?!“ W tym zakładzie trwała otwarta wojna między partią i „Solidarnością“, ta ostatnia zawiesiła jakiś transparent atakujący partię. Na to Olszowski mówi: „Przerwijmy spotkanie i idźcie sami zrobić porządek. Zdejmijcie ten transparent. Kto wam przeszkadza?“. Nikt się nie ruszył. Taka postawa była charakterystyczna dla prawie wszystkich członków partii. W zamkniętych salach lokali partyjnych grzmieli, żeby robić porządek z „Solidarnością“, a później - dostosowując się do sytuacji - umizgiwali się do członków „Solidarności“.

**- *A może po prostu wszyscy mieli dość tej partii i tego ustroju?***

- Wszyscy mieli dość wad dotychczasowej polityki partii i niedostatków ustroju. Stan umysłu przeciętnego działacza - jak to się dziś mówi - z nomenklatury był krytyczny wobec własnego dorobku utożsamianego wtedy z błędami ekipy gierkowskiej. „Gierkizm“ był w partii ostro potępiany, nieraz nawet wyolbrzymiano nadużycia i przestępstwa. Nomenklatura też okazywała niezadowolenie ze spadku poziomu życia, z kryzysu gospodarczego, z zadłużenia, z tego, że władza nie potrafi wyciągnąć kraju z kłopotów. Potencjał niezadowolenia w partii był nie mniejszy niż wśród ludzi, którzy organizowali się w „Solidarność“. Zresztą - jak wiadomo - te środowiska wzajemnie się ząbowały, a podziały - często zacierały. W „Solidarności“ była ogromna liczba członków partii, co musiało oznaczać, że w partii była ogromna liczba członków „Solidarności“.

**- *Te postawy wynikały także z tego, że gdy powstały wolne związki zawodowe, ludzie uwierzyli w zmiany dotychczas w Polsce niemożliwe do urzeczywistnienia.***

- Ba! Ludzie uwierzyli nawet w to, że poprzez nacisk na władzę można zmienić wszystko. Panowało niemal powszechne przekonanie, że wystarczy wyrzucić presję na tę władzę, a poprawi się położenie materialne społeczeństwa. Jeśli sprzeciwimy się wywozowi szynki za granicę, to ją będziemy jeść. Jeśli zażądamy wzrostu płac, to będziemy lepiej żyć. To był absurd.

Co do potrzeb wolnościowych każdego człowieka, to uważam, że rok 1981 spełniał większość bezpośrednich potrzeb wolnościowych. Każdy członek partii, każdy jej funkcjonariusz oraz każdy działacz „Solidarności“ mógł wtedy gadać, co chce. Mógł też organizować się w dowolne konfiguracje polityczne. We wstępnym stadium zmian, w psychologicznym rozumieniu każdy mógł czuć się osobiście wolnym.

**- To dlaczego się nie czuł?**

- Przeciętny oficer, dyrektor czy funkcjonariusz gminnego szczebla nie miał pojęcia, że należy do jakiejś zachowawczej warstwy, przeciwnie - on chciał zmian, reform, chciał żeby było dobrze. Ale nie chciał też, żeby zmiany odbywały się jego kosztem.

Mój do tego stosunek był odmienny, chociaż pośrednio wpływał z tej sprzeczności. Po pierwsze - swego osobistego interesu nigdy nie utożsamiałem z interesem aparatu partyjnego, bo nigdy nie byłem jego częścią. Przeciwnie - ograniczenie władzy aparatu spowodowało moje wyniesienie. Po drugie - zawsze tkwiłem w nurcie reformatorskim, czy to w „Po prostu“ i młodzieńczym buncie roku 1956, czy w „Życiu Gospodarczym“, gdzie przez trzy lata oswajałem się z reformatorską myślą gospodarczą, czy przez dwadzieścia lat pracy w „Polityce“. W naturalny sposób należałem do obozu reform. Nie wewnątrz partii, bo do niej nie należałem, ale wewnątrz szerzej rozumianego obozu władzy. W odróżnieniu od poglądów Rakowskiego, z którym zawsze czułem się blisko związany, nie wierzyłem jednak w skuteczność polityki porozumienia w 1981 roku.

**- Dlaczego?**

- Bo uważałem, że „Solidarność“ jest ruchem, który nie spocznie, póki nie dokona przewrotu politycznego.

**- Dal pan temu wyraz w liście do Stanisława Kani z 3 stycznia 1981 roku. Co spowodowało napisanie tego listu? Liczył pan na wyniesienie?**

- Różne grupy, a także każdy czynny politycznie człowiek, szukały wtedy rozwiązań. List był owocem moich ówczesnych przemyśleń i szukania wyjścia z sytuacji. Sprowadzało się to do tego, że należy zmienić system rządzenia poprzez współwładzę partii i umiarkowanej opozycji w obrębie struktur państwa i prawa. W ten sposób można by uczynić bezprzedmiotowymi czy osłabionymi dążenia sił rewolty, czyli skrajnej „Solidarności“.

**- Czy wzorem, na przykład Rakowskiego, własnymi siłami kolportował pan ten list w partii?**

- Nie.

**- Jak w takim razie znalazł się w roku 1988 w posiadaniu redakcji podziemnego „Mostu“, a potem został przedrukowany przez paryską „Kulturę“ i „Politykę“?**

- Nie wiem, jakiś przeciek... W KC istniał zwyczaj, że jeśli któryś dokument mógł być interesujący, to powielano go i dawano kilku osobom. Nie mam pojęcia, w ilu egzemplarzach powielono mój list ani kto go dostał.

**- A jak zinterpretuje pan przypis redakcji „Kultury“ z czerwca 1989 roku: „Zamieszczając list Jerzego Urbana do Stanisława Kani, żalujemy, że doradcy p. Wałęsy nie mają czasu na**

*czytanie prasy niezależnej. Zaoszczędziłoby to im wielu nieprzemyślanych decyzji i posunięć. Jerzego Urbana całkowicie zlekceważono, traktując go głównie jako cel dowcipów. General Jaruzelski natomiast umiał go znakomicie wykorzystać, o czym się liderzy „Solidarności“ przekonali na własnej skórze“.*

- Nie mam nic do dodania.

**- Proszę pana, czy w styczniu 1981 roku mógłby pan przejść na stronę „Solidarności“?**

- Nie podobnego. Ani w styczniu, ani wcześniej, ani później, ani nigdy! Byłem zaangażowany po przeciwnej stronie, a idee „Solidarności“ były sprzeczne z moim odruchowym światopoglądem.

**- Jaki skutek odniósł list?**

- Kania przyjął mnie i wyjaśnił, że powołanie koalicyjnego rządu jest niemożliwe zarówno ze względu na to, że krok ten byłby uznany przez Moskwę za oddanie władzy, jak i ze względu na to, że Kościół poprzez swoich ludzi nie chciał przejąć współodpowiedzialności państwowej ani uspokoić nastrojów nawet za cenę daleko idących koncesji i podziału władzy.

**- Chce pan powiedzieć, że Kościół był zainteresowany w rozdmuchiwaniu nastrojów?**

- Nie. Kościół był zainteresowany tym, żeby trzymać w ręku klucz do sytuacji bez przyjmowania na siebie odpowiedzialności.

**- Czy to samo robiła „Solidarność“?**

- W jakimś stopniu i do pewnego momentu. „Solidarność“ zależało na tym, żeby poszerzać zakres swoich wpływów i osaczać to państwo tak, żeby ono zdechło. Ale póki nie zdechnie, nie przyjmować żadnej odpowiedzialności. Na początku „Solidarności“ obowiązywała teoria samoograniczającej się rewolucji. To znaczy zmieniać do gruntu stosunki w Polsce, kadry, ale tak, żeby obóz władzy wciąż firmował ustrój tego państwa. Aby był jednocześnie więzieniem i państwem, i „Solidarność“. Zwyczajne niezadowolenie społeczne powodowało radykalizowanie się dołów związkowych i żeby Wałęsa mógł się utrzymać, on i jego doradcy przechodzili na coraz bardziej radykalne pozycje i tak doszło jesienią do zwarcia.

**- A kto przeszkadzał Kani i Jaruzelskiemu w urzeczywistnianiu polityki reform czy -jak chcą inni - ustępstw? Kto nie chciał porozumienia?**

- Nie chciała go „Solidarność“, przynajmniej nie na warunkach proponowanych przez władze. Każde zaś posunięcie reformatorów na rzecz porozumienia było atakowane z lewa.

**- Kto atakował?**

- Większość KC. List towarzyszy radzieckich był zachętą do obalenia kierownictwa, szło ku temu na którymś z plenów, ale grupa wojskowych wystąpiła za Jaruzelskim, dając do zrozumienia, że armia nie dopuści do przewrotu.

**- Czy beton dogadywał się na boku z Moskwą?**

- Można to tylko podejrzewać. „Z Moskwą“ - to nic nie znaczy, przecież tam też były różne grupy...

**- *Przejdźmy do podstawowego pytania: jak doszło do tego, że został pan rzecznikiem prasowym rządu Jaruzelskiego? Czyj to był pomysł? Rakowskiego?***

- Kani. Myślę, że ten list miał pewne znaczenie. Dzięki niemu zostałem przez Kanię zauważony, wyszedłem z cienia. Sam zaś pomysł wynikał z poczucia, że władza pod względem skuteczności propagandy przegrywa ze stroną przeciwną i nie prowadzi właściwie żadnej przeciwstawnej gry. Poza tym ja już w lutym, gdy Rakowski został wicepremierem przy Jaruzelskim, byłem w zespole społecznych doradców wicepremiera.

**- *Kto poza panem należał do tego zespołu?***

- Górnicki, Wiatr, Toeplitz, Passent, tego typu liberalni intelektualiści. Zespół nie miał praktycznie żadnego znaczenia politycznego. Od czasu do czasu zbieraliśmy się z zamiarem intelektualnego zapładniania się i wymiany myśli. Nie miało to nic wspólnego z rzeczywistym sprawowaniem władzy. Ale przez ten zespół zacząłem bywać w Urzędzie Rady Ministrów i odgrywać jakąś tam rolę w rozmowach z „Solidarnością“. Aparat władzy oswajał się z kimś takim jak Urban.

Był sierpień 1981 roku. Blokada ronda i rozmowy „Solidarności“ z rządem pod kierownictwem Wałęsy i Rakowskiego. Uczestniczyłem w tych rozmowach jako doradca. Razem z Górnickim, a z drugiej strony z Bujakiem, Modzelewskim oraz Jeżem z regionu bydgoskiego (dziś już nie żyje), mieliśmy zredagować projekt porozumienia.

Wspólnie ułożony projekt został jednak odrzucony przez delegację związku. Ciosek, Górnicki i ja zebraliśmy się wówczas w gabinecie Rakowskiego, było już nad ranem, wszyscy ziewnęli i po wymianie poglądów stwierdzili, że czas pójść spać, a rano wziąć się za redagowanie oświadczenia w sprawie zerwania rozmów. Moja historyczna rola polegała na tym, że to oświadczenie chciałem napisać natychmiast, tak żeby o szóstej rano nadać je przez radio, kiedy „Solidarność“ będzie słodko spać. Kto pierwszy, ten lepszy. Po przygotowaniu oświadczenia poszliśmy z nim do Jaruzelskiego. Premier urzędował w małym budyneczku połączonym z głównym gmachem URM-u; miał tam gabinet i - jak każdy ważny urzędnik - tzw. pokój wypoczynkowy, gdzie w tym czasie faktycznie mieszkał. Adiutant obudził szefa, który przyszedł do nas w koszuli, szelkach i rannych pantoflach. W tych okolicznościach po raz pierwszy z bliska i na żywo zobaczyłem generała Jaruzelskiego.

Premier zajął się czytaniem oświadczenia, jak zwykle wprowadził kilka poprawek i o szóstej oświadczenie zostało odczytane w radiu. Gdy Onyszkiewicz się obudził, wydrukował ulotki ze swoim oświadczeniem, nieudolnym i idiotycznym, było już po naszym oświadczeniu. Ulotki rozdawano w sklepach, później je wycofano, po obiedzie „Solidarność“ zaczęła układać nowe oświadczenie. Wieczorem w TV wystąpił ktoś z opozycji i ja, każdy przedstawiając swój punkt widzenia.

Tej nocy mieliśmy wrażenie, że nastąpiła zmiana sytuacji, przynajmniej zmiana psychologiczna. Od tego momentu przeszliśmy do ataku. „Solidarność“ została wyprzedzona i zepchnięta do defensywy. Był to swego rodzaju cud - w marazmie, w którym pograżył się aparat władzy, nareszcie ktoś coś potrafił zrobić, szybko zadziałać, wygrać.

I chociaż pomysł był Kani, to Jaruzelski chętnie na to przystał. Zdecydowali się zrobić ze mnie rzecznika, co było posunięciem personalnym bardzo egzotycznym.

***- Czy były jakieś kontrkandydatury na to stanowisko?***

- Nie. Bareckiego usunięto po to, abym ja mógł zostać rzecznikiem. Krytycznie się do niego odnoszono, zarzucano, że był wiernym i grzecznym urzędnikiem, który coś tam redaguje, ale pisze nie najlepiej i nie ma przebojowości potrzebnej wówczas w propagandzie.

Jaruzelski odbył ze mną rozmowę, ale jego dezyderaty ograniczały się do tego, żebym ciekawiej niż dotychczas pisał komunikaty z posiedzeń rządu.

Niemal od razu zacząłem działać jako kontrrzecznik „Solidarności“. Rzecznik związku Modzelewski, a potem Onyszkiewicz, był tym, który codziennie występował z jakimś oświadczeniem, firmując swoim nazwiskiem politykę „Solidarności“ wobec społeczeństwa. Prawie codziennie pisałem zatem oświadczenia na oświadczenia, co ustawiło mnie w roli trochę innej niż wyobrażał sobie premier.

***- Były to oświadczenia czytane w dzienniku TV przez lektora?***

- Na ogół. Niekiedy jednak sam jechałem do dziennika i występowałem ze stanowiskiem. Wynikało to z tego, że Jaruzelski był hobbystą redagowania, precyzowania, cyzelowania i przerabiania każdego słowa nawet w mało znaczącym oświadczeniu. Poprawki kończył często w ostatniej chwili, gdy dziennik już trwał. Jechałem więc na Plac Powstańców, wchodziłem do studia i czytałem. Raz ledwo zdążyłem przed końcem dziennika i czytałem tekst kręcąc kartką dookoła, bo Jaruzelski naniósł poprawki na marginesach.

Premier z niechęcią oglądał moje telewizyjne popisy. Uważał, że źle wyglądam, jąkam się, stękam. Fakt, że nie reprezentowałem sobą typu prezentera TV, jaki był przyjęty... Jaruzelski był niezadowolony, rozpaczał wręcz, a że jest człowiekiem delikatnym, nigdy mi tego nie mówił, ale prosił Rakowskiego, żeby pohamował mnie przed występami w telewizji.

***- Co zmienił pan w polityce informacyjnej rządu do 13 grudnia?***

- Mogłem wpływać na podawanie informacji, których do tej pory zwyczajowo nie podawano. Mogłem mówić odwiedzającym mnie dziennikarzom krajowym i zagranicznym rzeczy, których rzecznik przedtem nie mówił. Zwiększyłem atrakcyjność tego urzędu jako źródła informacji. Z czasem mogłem też wpływać na treść polityki rządu.

Formalnie rzecznik rządu był jednym z dwustu czy trzystu wiceministrów, człowiekiem, który ginął w ogromnych strukturach rządu. Tradycyjnie też nie miał żadnej samodzielności. Miał być jakimś technicznym przekąźnikiem pomiędzy tymi, którzy podają do publicznej wiadomości, a tymi którzy odbierają. Rzecznicy - także na świecie - zwykle prezydują konferencjom prasowym i udzielają głosu, albo mówią w obrębie wąskiego, z góry sprecyzowanego upoważnienia. Dlatego nigdy od rzecznika nie można się wiele dowiedzieć, bo powoduje się głównie lękiem przed przełożonymi.

Moja pozycja wewnątrz aparatu władzy wciąż rosła, także dlatego, że stawałem się publicznie znany. Moje znaczenie rosło ponad role rzeczników nie tylko polskich. Stawałem

się dość ważnym doradcą władzy, projektodawcą, opiniodawcą, uczestnikiem najrozmaitszych zebrań w istotnych sprawach, wreszcie urzędnikiem, który działa w oparciu o zaufanie na samym szczycie. Bez pośredników. Z czasem nabrano do mnie takiego zaufania, dotyczy to głównie generała Jaruzelskiego, że po pierwsze - nie odczuwałem lęku przed tym co powiem publicznie, i po drugie - miałem znaczną swobodę w formułowaniu stanowiska władzy. Nieraz nawet w sprawach, w których nie było ono wcześniej ustalone, sformułowane.

To wszystko jednak odnosi się do okresu po wprowadzeniu stanu wojennego...

**- *Zatrzymajmy się przez moment przy wydarzeniach nocy z 12 na 13 grudnia. Czy poinformowano pana o zamiarze wprowadzenia stanu wojennego? Czy spodziewał się pan takiego rozwiązania?***

- Przebywając codziennie w budynku URM-u czułem, że rzecz zmierza do radykalnego rozwiązania, nie wiedziałem jednak, jaki przyjmie kształt.

Na trzy dni przed wprowadzeniem stanu wojennego zapytałem Cioska, co było na ostatnim Biurze Politycznym. Ciosek odpowiedział: „Nic ci nie powiem, bo Kiszczak ostrzegł, że wsadzi każdego, kto puści parę z gęby“. Trudno było nie domyślić się, że szykowane jest jakieś decydujące posunięcie...

Bardzo łatwo wykoncypowałem, że musi ono nastąpić w najbliższą sobotę, bo zwykle takie rozwiązania wprowadza się na weekend, a przy tym wiedziałem, że w następną sobotę może już być za późno, bo „Solidarność“ zapowiedziała manifestacje uliczne. Nadal jednak w nic nie byłem formalnie wtajemniczony.

We czwartek albo w piątek byłem w MSZ na konsultacjach związanych z przygotowywaną wizytą premiera Francji Pierre Mourois. Później poszedłem do Rakowskiego, żeby mi zatwierdził pieniądze na coctail, który - jak zwykle przy takich okazjach - zamierzałem wydać dla dziennikarzy towarzyszących francuskiemu premierowi. I oto Rakowski, ku mojemu zdumieniu, wszystkie wydatki akceptował bez zastrzeżeń. Mówiłem: „Whisky“, a on: „Ależ tak, bardzo proszę“. No to wiedziałem już, że skoro Rakowski nie kłóci się o każdy grosz, to premier Mourois nie przyjedzie i coctailu nie będzie.

W sobotę, 12 grudnia, Rakowski powiedział mi, że coś się szykuje, ale nie zdradził ani scenariusza, ani charakteru planowanego wydarzenia. Kazał mi jednak napisać kilka artykułów do prasy, które by odpowiadały nowej sytuacji jakiegoś tam bliżej nieokreślonego stanu wyjątkowego. Wezwałem więc kilku dziennikarzy, którzy mogliby pomóc mi napisać te teksty.

**- *Kogo pan wezwał?***

- Nie pamiętam, najpewniej kogoś z „Trybuny Ludu“ i może jeszcze kilku. Zamówiłem te teksty, ale ich autorom powiedziałem jeszcze mniej niż powiedział mi Rakowski, więc z góry zakładałem, że wszystko co napiszą, będzie do dupy. Zamierzałem wobec tego pojechać do domu i sam napisać, co było do napisania.

Kiedy przyjechałem do domu, moja ówczesna żona powiedziała, że dzwonił znajomy, niższy oficer MSW, pytał czy tej nocy będziemy spać u siebie i radził, żebyśmy nocowali gdzie indziej. Powiedział też, że jeszcze będzie dzwonił.

Pierwsze, o czym pomyślałem, było to, że MSW ma informacje o jakichś działaniach „Solidarności” planowanych na tę noc. Od pewnego czasu niepokoiłem się, bo ktoś nocą walił w okna mojego mieszkania na parterze i wołał: „Urban ty ch...”. W każdym razie mogłem wówczas obawiać się jakichś nieprzyjaznych ruchów ze strony „Solidarności”.

Człowiek z MSW zadzwonił ponownie. Powiedział, że tej nocy coś się wydarzy, że ich grupują, że szykują się aresztowania, że spodziewane są niepokoje, że powinienem wynieść się z domu - on mi dobrze radzi. Przerwałem tę rozmowę, umówiwszy się na spotkanie. „Rządówką” zadzwoniłem do Rakowskiego, zakładając, że jeśli mi coś grozi, to i jemu także. Powiedziałem Rakowskiemu o ostrzeżeniu zaprzyjaźnionego człowieka z MSW. Na to Rakowski: „Dzwoń natychmiast do Kiszczaka, jedź i podaj mu nazwisko tego człowieka, bo trzeba go aresztować”.

**- *Zadzwonił pan?***

- Nie. Ostrzeżenie potraktowałem jak przysługę, a nie zdradę. Nie bardzo wiedziałem, przed czym ostrzega mnie kolega z MSW. Wcześniej dyskutowaliśmy o różnych scenariuszach. Przypuszczałem, że być może szykuje się zamach stanu w zamachu stanu. Jeżeli Jaruzelski rozpocznie akcję, to siły porządku będą usiłowały zrobić pucz przeciw Jaruzelskiemu. Albo Jaruzelski wsadzi całą swoją ekipę po to, żeby wystąpić jako ogólnonarodowy przywódca, który powsadzał jednych i drugich, a potem sformował zupełnie nową władzę.

W każdym z tych przypadków miałem się czego obawiać, a ostrzeżenie kolegi miało sens.

**- *Radzieckich się pan nie obawiał?***

- Nie, ponieważ wiedziałem, że szykowane jest rozwiązanie całkowicie polskie. Nie zadzwoniłem do Kiszczaka, żeby zadenuncjować znajomego, tylko pojechałem na spotkanie z nim, na stację benzynową niedaleko od Placu Unii Lubelskiej. Potwierdził, że tej nocy będą aresztowania i że telefonował w obawie o jakąś ripostę „Solidarności” przeciwko mnie. Uspokoilem się więc, że poprzednie scenariusze to tylko fantazja, opieprzyłem go, że zdradził mi tajemnicę przez zwykły telefon i wróciłem do domu pisać zadane przez wicepremiera teksty.

O północy zadzwonił Rakowski, abym przyjeżdżał. Gmach URM był uśpiony, pies milicyjny leżał w wejściu, potknąłem się o bestię. Rakowski rozmawiał przez telefon z Gdańskiem w sprawie brania Wałęsy. Przyjechał ściągnięty przez gońca Tejchma, żeby rozwiązać Kongres Kultury Polskiej... O tym wszystkim pisał Meretik w „Nocy generała”.

**- *Czy nie przyszło panu wtedy do głowy, żeby zrezygnować z pełnienia funkcji państwowej?***

- Nie, zupełnie nie. Wprowadzenie stanu wojennego uważałem za zbawienne.

**- *Jaki scenariusz stanu wojennego uważał pan wówczas za najgorszy dla władzy?***

- Przez pierwszych kilka dni żyliśmy w skrajnym napięciu. Obawialiśmy się, że wprowadzenie stanu wojennego zwyczajnie nie uda się. Liczyliśmy się z tym, że może dojść do skutecznego strajku generalnego czy wręcz powstania i że przegramy tę próbę sił.

**- Czy liczyliście się z większymi ofiarami?**

- Tak. Gdy padły strzały w kopalni „Wujek“ byliśmy przerażeni. Formacje wojskowe zajmowały zakłady pracy i opór mogłby się przekształcić w regularną wojnę domową.

**- Czy Jaruzelski przez ten cały czas utrzymywał kontakt z Moskwą? Czy informował Rosjan na bieżąco?**

- A skąd ja mam o tym wiedzieć?!

**- Jesienią 1981 roku opublikował pan w „Szpilkach“ cykl felietonów nawiązujących do porewolucyjnej historii Francji. Przypominał pan zamach Napoleona. Wniosek z lektury tych felietonów był taki, że jeśli strzelić w odpowiednim momencie, to wszystko się uda. Czy próbował pan przygotować czytelników na stan wyjątkowy, przestrzec przed nim, czy może była to projekcja marzeń?**

- Nie pamiętam, jakie mi wtedy przyświecały intencje. Na pewno nie byłem wówczas, ani nie jestem teraz, człowiekiem, który marzy o strzelaniu. O ile pamiętam, chodziło mi o to, że czasem oddanie jednego strzału w porę zapobiega rzezi na wielką skalę.

**- Czyli był pan jednak przygotowany, że zamach będzie?**

- Trudno dziś powiedzieć, czego się wówczas spodziewałem, czy coś przewidywałem. Ale na pewno nie wiedziałem, że dojdzie akurat do wprowadzenia stanu wojennego. Uważałem, że kierownictwo jest zbyt wplątane w miękką politykę porozumienia. Nie wierzyłem, tak jak wierzył Jaruzelski, że poprzez Radę Trzech uda mu się uspokoić sytuację w Polsce, czy też poprzez uzyskanie trzymiesięcznych nadzwyczajnych uprawnień będzie można zatrzymać falę narastających strajków. Moje przewidywania były raczej pesymistyczne.

**- Czy stanowisko „Solidarności“ tuż przed stanem wojennym było tak jednoznaczne, jak to wówczas opisywała oficjalna prasa? Czy nie spotykał się pan Z dążeniem do porozumienia z tamtej strony?**

- Spotykałem się. Tam zawsze były grupy, z którymi byliśmy w kontakcie, a które deklarowały chęć porozumienia, niepokoiły się tą sytuacją i odcinały od awanturnictwa przewodzącej grupy „Solidarności“.

**- Kto to był?**

- Grupa warszawskich intelektualistów.

**- Geremek? Michnik?**

- Tak.

**- Kto jeszcze?**



- No, ja mam słabą pamięć... Myślę, że była to postawa grupowa. Oprócz intelektualistów warszawskich, jeszcze większa grupa doradców kościelnych. Kościół był wtedy czynnikiem zdecydowanie umiarkowanym. Romuald Kukułowicz występował jako emisariusz Episkopatu. Z tym kręgiem związani byli adwokaci Jan Olszewski i Władysław Siła-Nowicki.

Na początku jesieni 1981 widziało się i wyczuwało radykalizację władz „Solidarności”. Przywódcy ulegali presji wojowniczych nastrojów dołów związkowych, Wałęsa w oczach zmieniał się z gołębia w jastrzębia. Nikt już tam nie myślał, że skoro „Solidarność” nie jest w stanie wziąć władzy, to nie należy jej gwałtownie obalać, bo to prowadzi w ślepią uliczkę. Wszystkie wątki prowadzonych rozmów zostały zerwane, a inicjatywy pojednawcze - odrzucone.

**- *Jakie wrażenie podczas rozmów zrobił na panu Wałęsa?***

- Zachowywał się jak marionetka. Nie podejmował żadnej decyzji, nie zajmował żadnego rzeczowego stanowiska. W sytuacjach kłopotliwych oddawał głos komu innemu, wyrażał stanowisko dopiero gdy dostawał kartkę od kogoś z doradców, od siebie swoim zwyczajem wygłaszał parę ogólnych zdań. Dystansował się od szczegółów.

Często dyskutowałem z Rakowskim i Cioskiem o tym, kto rządzi tym całym „solidarnościowym” interesem. Na ogół twierdzili, że Geremek, a Wałęsa to tylko formalny przywódca. Figurant to może za duże słowo, ale pewien sztandar... Na pewno jednak nie ośrodek decyzyjny. Dziś wiadomo, że było to mylne wrażenie.

**- *Czy miał pan po drugiej stronie jakiegoś osobistego wroga?***

- Z natury rzeczy takim osobistym wrogiem był Onyszkiewicz. Z nim się bezpośrednio pojedykowałem - najdłużej i najczęściej. Odczułem też jego osobistą niechęć, kiedy przyszedł do mnie omawiać sprawy związane z przygotowywanym wtedy I Zjazdem „Solidarności”. Kiedy jednak spotykałem się z nim za stołem negocjacyjnym, był wobec mnie pełen kurtuazji. **- *Jak pan odebrał jego awans na wiceministra obrony?***

- Obojętnie.

**- *A jak go pan dziś ocenia?***

- Tak jak wówczas. Mam go za bardzo inteligentnego, zimnego i bezwzględного faceta. Ale może się mylę, tak jak myliłem się co do Mazowieckiego. Uważałem go za skrajnego chama, a to jest - jak się okazało - całkiem grzeczny pan.

## **Ja i usta władzy**

***- Kiedy w sierpniu 1981 roku awansował pan na rzecznika, zajął pan miejsce Boreckiego, którego odesłano do tworzenia rządowego dziennika „Rzeczpospolita“. Co pan odziedziczył po Boreckim?***

- Przede wszystkim gabinet. Był urządzony w latach 70. dla poprzednika Bareckiego, rzecznika Janiurka. Składał się z gabinetu właściwego, czyli dużego pokoju w stylu spatynowanej elegancji, ze stołem konferencyjnym, biurkiem i fotelami, oraz małego saloniku zwanego pokojem wypoczynkowym. Z osobnym dyskretnym wejściem, którym można by było wprowadzać panienki.

Kiedyś weszła tam - przez sekretariat - Helia Pick z brytyjskiego „Guardiana“, bardzo elegancka dama o wyglądzie konia, wypielegnowana i sterylna. Zanim usiadła na wersalce, podłożyła sobie pod siedzenie białą chusteczkę. Brzydziła się usiąść na moim „komplecie wypoczynkowym“, taki był brudny.

Kazałem wyprać obicia, ale dla administracji URM-u łatwiej było meble wyrzucić niż wyczyścić. Z magazynu URM-u wziąłem skórzaną kanapę, przyniosłem parę obrazów i było już przytulniej. Miało to dla mnie znaczenie, bo w saloniku przed obiadem przyjmowałem dziennikarzy, a po obiedzie ucinałem sobie drzemkę.

***- A współpracownicy Bareckiego, ich też pan wymienił na nowych?***

- Janiurek, Barecki potrzebowali najwyżej dwóch, trzech pracowników tzw. merytorycznych. To byli dziennikarze: jeden, Wysocki, poszedł za Bareckim do „Rzeczypospolitej“, drugi, Czapczyński, mój kolega ze studiów, został.

Na dwie zmiany pracowały dwie sekretarki. Jedna była ostatnią, a więc historyczną sekretarką Gierka. Była to urocza pani, ale o Gierku nigdy nie opowiadała, a ja nie chciałem być niedelikatny, więc ją o niego nie pytałem.

***- Kogo jeszcze przyjął pan do pracy?***

- Zanim zacząłem przyjmować, stworzyłem nową instytucję: Biuro Prasowe Rządu. Miała to być zupełnie nowa struktura, ale prasa ciągle myliła ją ze starą - Biurem Rzecznika Rządu. Biuro Prasowe było samodzielne i miało swojego szefa w randze dyrektora generalnego. W okresie największej aktywności zatrudniało ponad trzydzieści osób.

***- To znaczy, że Biuro Rzecznika nie było samodzielne?***

- Biuro było służebne wobec rzecznika. Zajmowało się odpowiedziami na nieliczne pytania od prasy i układaniem biuletynu rzecznika rządu. Dokładnie nie wiem, bo nigdy się tym szczegółowo nie interesowałem.

Moje Biuro Prasowe robiło nie tylko to, co poprzednie Biuro Rzecznika, ale znacznie więcej. Musiało redagować komunikaty z posiedzeń rządu - pełne rytuału sprawozdania o tym, co rząd przyjął, przy czym ob staje i ha co się zgadza. Potrzebna była precyzja słowa, bo to nie

były zwykle komunikaty prasowe, ale cały skonwencjonalizowany system znaków kierowanych do średniego aparatu władzy.

**- Musiało być panu trudno się do tego przyzwyczaić...**

- Ja się tym w ogóle nie zajmowałem! Premier Jaruzelski spodziewał się, że nadam komunikatom ciekawszy styl. Z początku nawet próbowałem, zmniejszając rytuał na korzyść rzeczowości, ale szybko przestałem się tym interesować. Potem już nawet tego nie czytałem.

A Biuro Prasowe powoli się usamodzielniało. Organizowało tzw. obsługi prasowe imprez z udziałem premiera i wicepremierów. Pracownicy biura zabiegali, żeby działania rządu były eksponowane w telewizji, ustalali czasy emisji, omawiali kalendarz wydarzeń, później przygotowywali konferencje prasowe dziennikarzy krajowych. Przeprowadzali nawet pewną grę propagandową - chodziło w niej o ogłaszanie daleko idących projektów posunięć władzy tak, by później pod wpływem różnych instytucji i organizacji zamieniać je na posunięcia nie tak daleko idące, co wywoływało ulgę i sprzyjało aprobacie rozwiązań.

Biuro Prasowe przeniosło się do osobnego lokalu przy Alei Szucha, czyli Pierwszej Armii Wojska Polskiego, naprzeciwko MSZ, do zabytkowego budynekczku, gdzie zajmowało drugie piętro.

**- A zatem, czym innym było Biuro Prasowe, a czym innym instytucja rzecznika rządu?**

- Tak. Biuro Prasowe podlegało mnie, ale niewiele się nim zajmowałem. Tam rządził Adam Dunalewicz, były działacz studencki. Całe biuro było zresztą złożone z aktywów ZSP. Dunalewicz był najpierw moim asystentem, wyszukał go chyba Ciosek, który jako były przewodniczący Rady Naczelnej ZSP miał takie znajomości.

Później, gdy już biuro działało jak należy, z Dunalewiczem utrzymywałem najczęściej kontakty telefoniczne. Oni tam wyczuwali, że ja chcę mieć święty spokój. **- A kto z panem bezpośrednio współpracował?**

- Moi dwaj asystenci, którzy tworzyli Biuro Rzecznika Rządu. Byli to zwykle młodzi, inteligentni absolwenci uniwersytetu. Niektórych polecił mi Dunalewicz, choćby Marka Rudzińskiego czy Tomasza Boczkowskiego, inni skądś przychodzili..., na przykład Augustynowicz z MSZ. Ich praca polegała zwyczajnie na wyręczaniu mnie. Przygotowywali zatem konferencje prasowe, obowiązkowo śledzili wszystko, co było w prasie, radiu i TV, wygrzebywali zaś to, o co - wedle naszego doświadczenia - mogłem być pytany przez dziennikarzy.

W moim zastępstwie przyjmowali nieraz korespondentów prasowych, umawiali ich na rozmowy z polskimi oficjelami, wydawali zezwolenia, umożliwiali udział w rozmaitych imprezach. Chodzili też za mnie na zebrania, uczestniczyli w zespołach i komisjach. Po prostu dawali mi żyć.

**- W jaki sposób wyciągał pan od nich informacje?**

- W przeddzień konferencji, czyli zazwyczaj w poniedziałki, dostarczali mi listę dwudziestu, trzydziestu tematów, które mogły wchodzić w grę. Mówili, co jest przygotowane i opracowane, a nad czym powinienem jeszcze popracować. Dzwoniłem wtedy do dygnitarzy i

uzupełniałem informacje. Staralem się jednak przyzwyczajać ministrów, żeby rozmawiali z moimi asystentami. Moja metoda polegała na tym, aby zepchnąć z siebie jak najwięcej pracy.

**- Skąd pan brał tłumaczenia prasy zachodniej, którą tak obficie pan zawsze cytował?**

- Z biuletynów Polskiej Agencji Prasowej, która robiła również przegląd prasy zachodniej. Z nasłuchu Polskiego Radia. I wreszcie - źródło najgorsze - z informacji nadsyłanych przez attachaty prasowe naszych placówek dyplomatycznych. Radcy prasowi podawali, wprawdzie w sposób niepełny i przypadkowy, to co nadawały rozgłośnie radiowe i telewizyjne za granicą.

**- A źródła MSW?**

- Podejrzewam, że aparat zagraniczny MSW, czyli wywiad, miał ważniejsze rzeczy na głowie niż prasówki dla Urbana. Dostawaliśmy natomiast codzienny biuletyn MSW, ale rzadko przydawał się w pracy. Potem, gdy powstał tam zespół analiz, docierały do mnie rozmaite opracowania, na przykład o nastrojach społecznych.

**- Czy dziennikarze wcześniej uzgadniali z panem pytania? Czy zdarzało się, że dawał pan dziennikarzom pytania, które chciał pan usłyszeć na konferencji?**

- Większość pytań pierwszy raz słyszałem dopiero na konferencji. Bywało jednak, że moi asystenci uzgadniali z polskimi dziennikarzami, że ci zadadzą pytania, które powinny paść. Rzadko z taką prośbą zwracałem się do korespondentów z krajów socjalistycznych, nigdy - z zachodnich.

**- A więc manipulował pan?**

- Niespecjalnie się z tym kryłem. Tak robią wszyscy rzecznicy na świecie i nie wynika to z zamiłowania do manipulacji. Po prostu na rynku politycznym wypowiedzi rzecznika mają ściśle określoną, zhierarchizowaną wagę. Oświadczenie rzecznika ma wyższą rangę niż wypowiedź, a wypowiedź - wyższą niż odpowiedź na pytanie.

Kiedy więc chciałem coś powiedzieć, nie nadając temu wielkiego oficjalnego znaczenia, starałem się sprawić wrażenie, iż jestem wywoływany. Jeżeli na przykład moja wypowiedź dotyczyć miała jakiejś szczególnej sprawy z zakresu stosunków polsko-radzieckich, kontaktowałem się z ambasadą radziecką i prosiłem akredytowanego w Polsce dziennikarza, aby mnie o nią zagadnął podczas konferencji.

**- Bywało, że te manipulowane pytania zadawano nieudolnie: korespondenci czytali z kartki, nierzadko myląc się i jękając.**

- Zdarzało się i tak. Często jednak umówieni dziennikarze w ogóle się nie odzywali. Wtedy musiałem się gimnastykować, by mimo wszystko powiedzieć swoją kwestię, nieraz jako dygresję czy dopowiedzenie.

Ta sprawa pasjonowała opinię publiczną, byłem uważany za jakiegoś maga, który musi posługiwać się sztuczkami, by odpowiedzieć na wszystkie pytania. Nic dziwnego, że w powszechnej opinii najprostszym wytłumaczeniem tej czarnej magii było przeświadczenie, iż wszystko jest od początku do końca ukartowane.

Aleja nie zadawałem się z diabłem. Moi asystenci byli przygotowani na wiele ewentualności, większość pytań można było przewidzieć, a co najważniejsze - miałem szerokie pełnomocnictwa od premiera. Amerykańscy rzecznicy dostają z różnych komórek władzy pisemne stanowiska w konkretnych sprawach i nigdy poza to nie wyjdą. Bo nie mają upoważnienia od swoich mocodawców.

**- *Różnie bywało z precyzją pańskich odpowiedzi...***

- Oczywiście. Nierzadko wymigiwałem się ogólnikami, nieraz stanowisko rządu w ważnych sprawach improwizowałem, chociaż rząd jeszcze nie zdążył zająć żadnego stanowiska. W ten sposób robiłem politykę.

**- *Czy w związku z tym narażał się pan na nieprzychyłość rządu? Czy władza miała do pana pretensje? Komu pan szczególnie załaził za skórę?***

- W rządzie miałem status człowieka bezpartyjnego, więc traktowano mnie raczej delikatnie i z kurtuazją. Ale nie uniknąłem konfliktów. Zwykle były spowodowane jakimś moim wystąpieniem podczas konferencji, czym zaskakiwałem członków Biura Politycznego albo ministrów. Zdarzało się, że z tego powodu powstawała przeciwko mnie cała kampania pretensji.

**- *Kto ją montował?***

- Nie wiem, aparat partyjny... Prawdopodobnie Olszowski. To było już po wprowadzeniu stanu wojennego; nagle ze wszystkich województw zaczęły przychodzić do Jaruzelskiego skargi. Zarzucano: a/ informowanie polskiej opinii publicznej poprzez zaspokajanie zainteresowań dziennikarzy zagranicznych, czyli lekceważenie społeczeństwa, b/ podawanie informacji tak, że aktyw dowiadywał się o nich z prasy albo z TV, a nie kanałami wewnątrzpartyjnymi. Sens tych oskarżeń sprowadzał się do tego, że burzę przyjęte zwyczaje, czym dyskredytuję aparat partyjny.

Na co odpowiedziałem publicznie, urządziłem całą kampanię w swojej obronie.

**- *Jak traktował pana Olszowski kiedy pełnił pan funkcję rzecznika?***

- Z wielką kurtuazją, uśmiechem i wdziękiem, ale wiem, że bardzo starał się, abym nie miał wpływów. Nie zostałem zaproszony na przykład do sztabu propagandowego przy Olszowskim, który przygotowywał stan wojenny. Zaproszono tam naczelnych redaktorów mass mediów, przedstawicieli stronnictw politycznych i innych instytucji, a rzecznika rządu nie zaproszono.

Ja raz tylko „odgryzłem się“ Olszowskiemu.

**- *W jaki sposób?***

- Kiedy w 1982 roku rozwiązano Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich i powołano Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej sprzeciwiłem się sposobowi przeprowadzenia tej operacji. Uważałem, że rozwiązanie SDP (z czym się zgadzałem) wymaga politycznych uzasadnień, dłuższego procesu, publicznej dyskusji.

Poszedłem do gen. Jaruzelskiego i uzyskałem przyzwolenie na zaproszenie działaczy SDP. Byli tam: Giełżyński, Wróblewski, chyba Paszyński. Wyraziłem ubolewanie z powodu zaistniałych faktów, co stanowiło krytykę Olszowskiego. Dla dalszego biegu wypadków nie miało to jednak większego znaczenia.

Następnym moim krokiem było wprowadzenie przedstawicieli Biura Prasowego Rządu do komisji weryfikacyjnej i powołanie mojego zastępcy, Bogdana Jachacza, na szefa Komisji Odwoławczej.

Pamiętam dwa wydarzenia z weryfikacji. Znajoma dziennikarka telewizyjna, osoba pyskata i trudna do zniesienia we współpracy, została wylana podczas weryfikacji z TVP. Chciała się dostać do swych przełożonych. Uważałem, że po 20 latach pracy w telewizji ma prawo być przyjęta przez któregoś z szefów, niezależnie od wyników rozmowy. Prezesem Radiokomitetu był wtedy Mirosław Wojciechowski, którego Olszowski próbował wykończyć, pozbawił kierownictwa „Interpressu“, a gen. Jaruzelski osłonił i skierował na wyższe stanowisko. Siłą rzeczy byłem z Wojciechowskim w dobrych stosunkach. Zwróciłem się do niego, aby przyjął dziennikarkę lub zlecił swemu podwładnemu taką rozmowę. Uważałem, że powinni przynajmniej przyzwoicie się z nią rozstać. Okazało się to nieosiągalne. Płynęły miesiące i nie było żadnego odzewu. Trzy razy chodziłem w tej sprawie do Jaruzelskiego traktując to jako przykład poniewierania ludźmi. Za każdym razem szef przy mnie wydawał stosowne polecenia, ale one też nie skutkowały. Pamiętam, że w końcu doszło do telefonicznej rozmowy między mną a Wojciechowskim. Powiedziałem mu, że nigdy nie chciałbym być jego podwładnym, chyba że on byłby naczelnikiem więzienia. Śmiertelnie obraził się, a ja niczego nie osiągnąłem. Tam był silny opór przed stawianiem twarzy w twarz z ludźmi, których zwalniali. Być może w grę wchodziły jakieś ambicje.

#### **- Druga sprawa?**

- Biuro Prasowe Rządu rozpisało konkurs na reportaż, aby wypromować teksty o tematyce bliskiej polityce rządu. Jedną z laureatek była Jagienka Wilczak. Negatywnie zweryfikowana w Rzeszowie trudniła się sprzedawaniem lodów. Chciałem pomóc jej w powrocie do zawodu. To wymagało zgody I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego PZPR, przełamania oporu tamtejszego pionu propagandy. Mogła wrócić do dziennikarstwa, ale nie w Rzeszowie, bo to podważałoby prestiż lokalnych działaczy. Zaczęła pracować w „Polityce“.

#### **- Czy kontaktował się pan z przedstawicielami SDP w czasie stanu wojennego?**

- Poza tym jednym spotkaniem z grupą aktywistów SDP obie strony nie szukały kontaktu. Z SDP miałem jak najgorsze doświadczenia jeszcze przed stanem wojennym. Pewnego dnia spotkałem się z Dariuszem Fikusem - sekretarzem generalnym SDP - wiedząc, że do Moskwy udaje się delegacja SDP na sesję Międzynarodowej Organizacji Dziennikarskiej. W jej składzie miał jechać Stefan Bratkowski, który jako prezes SDP mógł objąć funkcję wiceprezesa MOD-u. Władze radzieckie zwróciły się do władz polskich kanałem dyplomatycznym (nie partyjnym), że Bratkowskiego uważają za osobę niepożądaną. Powiedziałem Fikusowi w zaufaniu o tej oficjalnej informacji, prosząc, aby Bratkowski nie jechał, bo inaczej będzie to oznaczać, że władza w Polsce nie ma żadnego wpływu. Mogłoby to służyć jako argument o niepanowaniu naszych władz nad sytuacją w Polsce. Prosiłem o zrozumienie w imię wyższych racji. Fikus obiecał, że przekaże, Bratkowski jednak pojechał do ZSRR, gdzie był sekowany i traktowany jak zdechły szczur, choć po powrocie opowiadał,

że był noszony na rękach i prowadził bardzo poważne rozmowy w najwyższych kręgach. Postawę kierownictwa SDP uznałem za gówniarstwo.

Z Fikusem potem nie kontaktowałem się, poza jednym wypadkiem. Rakowski zadbał, aby skreślić Fikusa z listy przeznaczonych do internowania. Zresztą Rakowski interweniował w wielu sprawach dotyczących środowiska artystycznego i intelektualnego. Fikus ukrywał się, spodziewał się internowania. Pojechałem do jego żony powiedzieć, że może wyleźć, bo nic mu nie grozi.

**- Dlaczego zdecydowano się internować tak wielu ludzi ze środowisk intelektualno-artystycznych? Dlaczego doszło do weryfikacji dziennikarzy?**

- Uważam, że internowanie większości intelektualistów było w ogóle zbędne, małostkowe i niesensowne. Zrobiło to złe wrażenie. Przecież to nie byli ludzie zdolni do zorganizowania oporu. A zamknięcie Kutza, Cywińskiej czy innych, symbolicznie związanych z opozycją artystów, graniczyło wręcz z pomyłką.

Weryfikację dziennikarzy uważam natomiast za integralną część składową i oczywistą konsekwencję stanu wojennego. Akcja weryfikacyjna była przeprowadzona w sposób umiarkowany, chociaż różny był jej obraz w różnych miastach. Zależało to w znacznym stopniu od władz lokalnych. W Warszawie, gdzie siłą rzeczy mogłem proces weryfikacji lepiej obserwować, była to przede wszystkim samoweryfikacja. Ludzie sami decydowali, czy chcą brać udział w propagandzie stanu wojennego, czy nie.

**- Dochodziło jednak do drastycznych sytuacji i to w środowisku, które od dawna pan znał.**

- Nie uważam, że odbywało się to w sposób drastyczny.

**- Czy zdaje pan sobie sprawę, że gdyby dziś doszło do podobnej weryfikacji, ani pan, ani pańskie pismo, nie miałyby żadnych szans?**

- Uważam, że o tamtej weryfikacji można właśnie dziś mówić o tyle z czystym sumieniem, że obecnie nastąpiła i trwa faktyczna nowa weryfikacja. Przewrót polityczny, który się dokonał, bez ogłaszania formalnej weryfikacji spowodował to samo. Z gazet, które przejęły nowe siły, zostali wyeliminowani dziennikarze, którzy nie przemałowali się lub nawet przemałowali, ale ich nie chciano ze względów politycznych. Bardziej jaskrawo i na o wiele większą skalę, weryfikowano pracowników radia i telewizji. Bez oficjalnego wprowadzenia weryfikacji dokonano czystki politycznej, o której publicznie się mówi i ją zachwala. Pewne siły uważają ją nawet za niedostateczną.

Nie znaczy to, że sytuację po stanie wojennym utożsamiam z sytuacją, która nastąpiła po zmianie władzy. Jednakże weryfikowani w stanie wojennym nie mają już moralnego prawa czynić nam zarzutów z powodu tamtej weryfikacji. Uważam, że otwarta i jawna weryfikacja była czymś przyzwoitszym, niż ta czystka, która się obecnie dokonuje. Przyznaję, że sytuacja prasy jest dziś nieskończenie lepsza niż po wprowadzeniu stanu wojennego. Natomiast nie widać istotnej różnicy między obecnym a ówczesnym weryfikowaniem. W stanie wojennym prawie wszystkie pisma zostały zamknięte lub zawieszono, a odżyły na nowo w warunkach ostrego reżimu politycznego. Dziś mamy do czynienia z długofalowymi i skomplikowanymi procesami silnie ograniczającymi swobodę prasy w porównaniu z głoszonymi ideałami, ale nie w porównaniu ze stanem wojennym.

**- *Dziś każdy może sobie założyć gazetę i pisać w niej, co mu się podoba. Pan jest najlepszym przykładem tego, że głoszone ideały są jednak urzeczywistniane.***

- Każdy może mieć gazetę pod warunkiem, że ma odpowiednio dużo pieniędzy i politycznego poparcia. Przypadek tygodnika „NIE” jest - jak wiadomo - wyjątkowy na polskiej mapie prasowej. I nie wiadomo, jak długo temu wyjątkowi pozwoli się funkcjonować. W większości prasa została rozdzielona pomiędzy zwycięskie siły polityczne i im podporządkowana. Niewielka część prasy została sprzedana tym, którzy rzeczywiście mają pieniądze. Dotyczy to głównie tytułów drugo- i trzeciorzędnych.

W prywatnych gazetach sprzedanych apolitycznym posiadaczom także zachodzą procesy przeciwstawne swobodzie słowa. Ci, którzy mają pieniądze, zarobili je nie na działalności prasowej, lecz na ogół na bankowo-handlowej. Sferą ich interesów nie są środki masowego przekazu, nie na nich zrobili i robią swoje pieniądze. Działalność handlowa i operacje finansowe są ściśle uzależnione od dobrych stosunków z władzą na szczeblu centralnym, lokalnym i bardzo lokalnym. Wobec tego następuje i będzie następował, w jeszcze większej skali, proces podporządkowania prasy różnym większym i całkiem drobnym interesom.

Schemat jest taki, że przychodzi ktoś, kto kupił gazetę, bo się dorobił na handlu, powiedzmy, mydłem i mówi do redaktorów: „Kochani, macie całkowitą swobodę polityczną, róbcie co chcecie, krytykujcie kogo chcecie.” Ale potem okazuje się, że różne krytyczne publikacje godzą w interesy właściciela gazety, psują jego stosunki z władzą, wobec tego on sam ogranicza swobodę wypowiedzi.

Mamy teraz do czynienia z okresem przejściowym, w którym często wolno napisać, że premier jest be, ale nie wolno napisać, że burmistrz jest głupi. Bo burmistrz nie przyzna właścicielowi gazety lokalu na sklep z mydłem, który ma zarabiać na tę gazetę. Krytyka sfer rządowych jest możliwa dopiero po skonsultowaniu jej z właścicielem gazety i po uwzględnieniu jego interesów. Prywatna własność prasy w Polsce jest karykaturą zachodniego systemu własności. Tam licząca się prasa należy do wielkich koncernów wyspecjalizowanych w działalności prasowej, telewizyjnej i radiowej. Właściciel jest tak potężny, że w jakimś stopniu politycznie niezależny, nie boi się urzędnika w gminie, żyje z tego, że jego prasa atakuje władzę. U nas gazety i czasopisma są w ręku drobnych, strachliwych nowobogackich. Ważniejsze jednak stanowią „zdobycz wojenną” sił politycznych, które obaliły czerwoną władzę.

**- *Wróćmy do pana posady rzecznika. Czy chciano pana odsunąć definitywnie?***

- Takie zagrożenie było po mianowaniu Messnera na premiera. Messner nie zgodził się, żebym nadal był rzecznikiem, chciał mieć na tym stanowisku swojego zaufanego, a nie Urbana związanego z Jaruzelskim i Rakowskim.

**- *Kto był tym zaufanym człowiekiem Messnera?***

- Sam Messner nie wiedział, kogo chce. Ale Jaruzelski i Kiszczak zażądali, żebym został. W czasie formowania gabinetu, Messnera publicznie zapytano w Sejmie, kto będzie nowym rzecznikiem. Odpowiedział, że nie ma powodu zmieniać Urbana, skoro jest dobry, czyli uległ Jaruzelskiemu. Ale w rozmowach wewnątrzrządowych stanęło na tym, że premier będzie



miał własnego rzecznika o statusie mojego zastępcy, a ja zachowam tytuł i nadal będę współpracował z Jaruzelskim. - ***Jak się nazywał pański nowy zastępca?***

- Aleksander Perczyński. Nie miałem z nim bliskiego kontaktu, podobnie zresztą jak z Messnerem. Urzędowałem sobie po staremu, robiłem konferencje, przyjmowałem dziennikarzy - wszystko toczyło się bez szczególnych konfliktów. Ale od czasu do czasu Messner się zżymał. Kiedy był w opalach, chciałem się włączyć do obrony rządu i premiera, ale on tej oferty nie przyjął.

- ***Przyjmując funkcję rzecznika, został pan człowiekiem władzy. Jak to wpłynęło na pańskie życie towarzyskie?***

- W życiu towarzyskim rozłam nastąpił już wcześniej, chociaż także z powodu polityki. Byłem zaprzyjaźniony z Wróblewskim, Fikusem i Skalskim z „Polityki“, ale kontakty zerwaliśmy, zanim jeszcze zostałem rzecznikiem.

Nie odczuwałem ostracyzmu, jeżeli o to panowie pytają. U nas podziały polityczne w ogóle mają tę właściwość, że przenoszą się na stosunki towarzyskie. Kiedy zatem wszedłem do rządu, zacząłem obracać się w nowym środowisku, gdzie prawie wszyscy mnie akceptowali.

- ***Z jakimi dowodami niechęci czy nienawiści społecznej spotykał się pan jako rzecznik?***

- To nabrało ostrości dopiero w stanie wojennym. Opluwano mi samochód, na ulicy spluwano na mój widok. Przychodziły również listy z pogrózkami i wyzwiskami.

- ***Dawał pan „gębę“ tej władzy, był pan jej propagandową tubą. Czy nie odnosił pan wrażenia, że jest chłopcem do bicia, piorunochronem skupiającym na sobie społeczną niechęć do władzy?***

- Nie mam nadmiernie rozwiniętego kunktatorstwa, nie jestem człowiekiem pozbawionym odwagi cywilnej, nie mam też zbyt wrażliwej skóry. Kiedy atakuję, to tym samym przyzwalam na to, by być atakowanym. Kiedy ośmieszam, to godzę się z tym, że będę ośmieszany. Podejrzewają mnie o masochizm, ale ja nie mam żadnych skłonności masochistycznych.

Brałem udział w walce, a każdy kto to robi- czy to bijatyka, czy wojna - godzi się obrywać.

Po stanie wojennym Rakowski przestrzegał mnie i ostro krytykował mój sposób postępowania. Mówił: „Nie firmuj wszystkiego“. Ostrzegał zwłaszcza przed firmowaniem spraw, których gospodarzem było MSW. Mówił: „Bierz sobie na konferencje rzecznika MSW, bierz rzeczników innych resortów. Nie musisz nadstawiać karku za różne wątpliwe i niepopularne sprawy“.

Przyznawałem Rakowskiemu rację, obiecywałem poprawę, zapraszałem przedstawicieli MSW i innych ministrów, ale głównie z tego wychodziło.

Zacząłem urządzać konferencje prasowe dla dziennikarzy krajowych i tam już z konieczności musiałem oddawać głos całemu aeropagowi dygnitarzy, bo zwyczajnie nie mogłem przewidzieć, o co będę pytany. Nie mogłem przygotować się do pytań typu: losy inwestycji w postaci mostu na Bugu; zasady nowych uprawnień emerytalnych pracowników kultury;

szczególony sposobu obliczania jakiegoś podatku; jakaś transakcja z Bułgarią. Nie do przewidzenia było o co zapytają dziennikarze polscy zjeżdżający się z całego kraju.

Sam odpowiadałem na ważniejsze pytania polityczne, a kwestie branżowe i szczegółowe pozostawiałem zaproszonym ministrom i wiceministrom. Nieraz tłum odpowiadających był większy od gromady dziennikarzy. Padało pytanie i zaczynało się gędzenie. Każdy urzędnik państwowy uważał, że skoro już przyszedł na konferencję, to jest zobowiązany do powiedzenia wszystkiego co wie. Jeżeli na przykład pytanie dotyczyło etapu rozmów rządu z jakąś zachodnią firmą telekomunikacyjną, to facet z ministerstwa łączności zaczynał przemowę od tego, jak rozwinęła się telefonizacja kraju „w analogicznym okresie roku ubiegłego“. Przez pół godziny „szeroko przedstawiał problematykę resortu“. Było to nie do wytrzymania - dziennikarze wychodzili, ja przerywałem, irytowałem się. Wreszcie zacząłem odpowiadać sam, prosząc o wcześniejsze sygnalizowanie pytań.

Nie inaczej było na spotkaniach z dziennikarzami zagranicznymi, gdzie czasem zapraszałem kogoś z MSW, MSZ czy Komisji Planowania. Dygnitarze starannie omawiali sprawę, z którą przyszedli, a potem - na pytania dociekliwe i agresywne - odpowiadali unikami. Wynikało to z dysproporcji między ich pełnomocnictwami a moim mandatem.

Chcąc nie chcąc, powróciłem więc do wykorzystywania aparatu władzy tylko jako źródła informacji i sam pozostawiałem na afiszu, coraz bardziej się na nim rozpychając.

Rzecznik Perczyński zajmował się akredytowaniem dziennikarzy na różne imprezy, umawiał ich na spotkania i wywiady z premierem, ale za cholerę nie chciał publicznie wyrażać stanowiska w sprawach gospodarczych, choć wcześniej umawialiśmy się, że tak właśnie będzie.

***- Dopiero po wprowadzeniu stanu wojennego pańskie konferencje nabrały określonego, cyklicznego charakteru. Czy to pan wpadł na pomysł tych konferencji i dlaczego na początku przeznaczone były wyłącznie dla dziennikarzy zagranicznych?***

- Pierwszy raz przyjechałem do zachodnich dziennikarzy z Górnikiem 13 grudnia, żeby wytłumaczyć im, co to jest ten stan wojenny, o co chodzi i jak to się je. Szalały plotki, nikt niczego nie wiedział, tak więc przez pierwszych kilka dni z zagranicznymi korespondentami spotykałem się niemal codziennie. A potem zwyczajnie dla wygody ustaliłem stały dzień tygodnia i stałą porę - we wtorki w południe. Była to pora wybrana nieprzypadkowo - sam mogłem się wyspać i dawałem pospać innym, a poza tym ekipy telewizyjne miały czas na przygotowanie materiałów z konferencji do wieczornych wydań dzienników.

***- Uczono potem na studiach dziennikarskich, że konferencje prasowe Urbana, choć oficjalnie przeznaczone dla prasy zagranicznej, w istocie kierowane są do polskiej publiczności. - To rzeczywiście prawda. Jak się zachowa prasa zagraniczna, czy coś***

O czymś napisze, czy nie, to była dla mnie rzecz najzupełniej wtórna. Show pod tytułem „konferencja dla prasy zagranicznej“ był trikiem umożliwiającym rządowi mówienie społeczeństwu o sprawach, o których nie wypadało mówić ex cathedra. Przy okazji był to nie lada spektakl polityczny i niezłe źródło informacji. Dlatego nalegałem, żeby stenogramy cotygodniowych konferencji ukazywały się w „Rzeczpospolitej“.

***- Czy były próby cenzurowania tych stenogramów?***

- Nie. Ja te stenogramy autoryzowałem. To raczej cenzura dzwoniła z zapytaniem czy rzeczywiście tak powiedziałem, bo traktowała mnie jako instytucję, na którą można coś zwalić. Często dzwonili do mnie z pytaniem czy można coś puścić. Wiedzieli, że odpowiem: „Można“. Niekiedy mówili, że coś mogliby puścić, pod warunkiem, że Urban zobowiąże się, że będzie z tym polemizował. Ja sam zwracałem się niekiedy do cenzury, aby dopuszczała do publikacji skrajnie dogmatyczne poglądy opozycji. Uświadamiałem im, że skrajności działają na naszą korzyść.

Ale nie wyobrażajcie sobie panowie jakichś wyrafinowanych socjotechnik. Byłem wmontowany w typowy system, jako nietypowy czynnik zakłócający. Lubiłem polemiki.

Raz tylko zareagowałem ostro, kiedy jeden z księży nazwał mnie Goebbelsem. Ale wytoczyłem mu proces o obrazę z prywatnego oskarżenia, wstrzymując jakikolwiek ruch prokuratury. Ksiądz przeprosił mnie.

***- Panu też groził proces o zniesławienie. Informując o schwytaniu amerykańskiego szpiega powiedział pan o kontaktach z nim grupy polskich intelektualistów, rdn. prof. Aleksandry Sokołowskiej, Bronisława Geremka, Klemensa Szaniawskiego...***

- W oparciu o informacje MSW o zdemaskowaniu amerykańskiego szpiega powiedziałem, że z tym dyplomatą spotykały się osoby ze środowiska intelektualnego, opozycyjnego. Potem wycofałem się z tego kurtuazyjnym

1 przeprasającym oświadczeniem.

***- Co uważa pan za największą swoją wpadkę w pracy rzecznika? Czy stwierdzenie, że „rząd sam się wyżywi“?***

- W sensie psychologicznym na pewno tak. W sensie merytorycznym była to wypowiedź trafna. Polemizując z amerykańską tezą, jakoby restrykcje gospodarcze godziły tylko we władzę, a nie w społeczeństwo, popełniłem niezręczność. Nie wziąłem pod uwagę faktu, że w polskim społeczeństwie istnieje uraz na tle sytuacji materialnej władz i moje stwierdzenie zostanie odczytane jako odseparowanie się rządu od losu społeczeństwa, za arogancję. Przy okazji ujawniła się nasza narodowa skłonność do obłudy i oczekiwanie od ludzi władzy, że będą tę obłudę stosować. Wiadomo, że żaden z rządów nigdy nie umarł z głodu. A jednak uznaje się to za nieobyčajne, kiedy rząd się do tego szczerze przyznaje. Po tej wpadce jeździłem po fabrykach, zapraszany przez oburzoną klasę robotniczą i kajałem się za swoją szczerłość.

***- Jak pan dziś ocenia korespondentów zagranicznych, z którymi pan się stykał?***

- Nie ma co ukrywać, że dziennikarze, którzy siedzieli w Polsce od roku 1980 i 81 nie należeli do pierwszego garnituru światowych korespondentów. Niektórzy stali się specjalistami od spraw polskich, przebywali w Polsce „chronicznie“, znali język polski. Inną grupę stanowili wysłannicy, którzy przyjeżdżali do Polski z okazji jakichś szczególnie ważnych wydarzeń. Zwykle byli to debiutanci, którzy po praktyce, dajmy na to na Filipinach, przyjeżdżali do Polski, by jutro zająć się Afryką.

Była więc ogromna różnica między Bernardem Margueritte, Renatę Marsch, Krzysztofem Bobińskim czy Donaldem Forbesem a jakimś przelotnym Hindusem, który przyjechał zapytać o coś marginalnego czy oczywistego. Na szczęście dominowała grupa stałych korespondentów, których znałem także na gruncie towarzyskim.

Dzięki wtorkowym konferencjom wielu dziennikarzy zachodnich zyskało znaczenie i sławę w oczach polskich widzów. W swoich krajach Bobiński, Forbes, Kaufman czy inni - delikatnie mówiąc - nie należą do dziennikarskiej czołówki. Są jednymi z setek, jeśli nie tysięcy korespondentów rozrzuconych po świecie i pisujących na tych stronach gazet, które mało kto czyta. A tutaj, w PRL, z czasem zyskiwali status gwiazdorów telewizyjnych i rzeczników społeczeństwa polskiego wobec jego władz. Związani towarzysko i funkcjonalnie z opozycją wyrażali publicznie jej poglądy i stanowisko. W jakimś też stopniu reprezentowali dużą część polskiego społeczeństwa, wyrażali jego irytacje, niepokoje czy rodzaje zaciekawienia. Uczestnicząc w meczu politycznym pod nazwą konferencja prasowa, byli pokazywani w telewizji, w której obecności zadawali pytania głównie z myślą o polskiej publiczności. Słowem - na obcej ziemi zyskiwali życiową, zawodową i polityczną satysfakcję.

Wtorkowe spektakle były to wewnątrzpolskie przedstawienia z udziałem cudzoziemskich aktorów, a nie tylko prosty sposób uzyskiwania informacji czy interpretacji wydarzeń w celu dalszego ich transportu na Zachód.

**- W tym spektaklu korespondenci ze Wschodu odgrywali zwykle role halabardników.**

- W tym problem. Zajmowali znaczną część krzeseł na sali, a milczeli jakby im za to ktoś płacił. „Zachodni“ pytają żwawo, z nerwem, a „wschodni“ ani be ani me. Sprawiało to wrażenie, że Związek Radziecki czy Czechosłowacja nie są zainteresowane sytuacją w Polsce.

Ze „wschodnimi“ spotykałem się poza protokołem, namawiałem do aktywności, ale bez skutku. Milczenie było spowodowane ich lęklivością i niesamo dzielnością. Najbardziej obawiali się, że zadane przez nich pytanie lub moja odpowiedź zostaną zacytowane na Zachodzie. I co wtedy?

Próbowałem ich rozryszuć. Skoro nie chcą pytać, bo nie czują potrzeby, to może zaczęliby mi pomagać, gdy będę atakowany przez „zachodnich“? Uzgadnialiśmy wobec tego pytania, z którymi mogliby mi przyjść z odsieczą.

Nic z tego. Przynosiło to efekt odwrotny do oczekiwanego. Pewnego razu „zachodni“ bombardują mnie pytaniami o kolejną falę aresztowań, a tu nagle jakiś Czech, czy Niemiec z NRD, ni z tego ni z owego pyta, jakie były plony kartofli w trzecim kwartale ubiegłego roku. Chciał dobrze, myślał, że zmieniając temat pozwoli mi ująć spod kanonady antagonistów politycznych z Zachodu, ale to mnie wprawiło w zakłopotanie. Skąd ja mogłem wiedzieć coś o tych kartoflach? Brutalnie odpowiedziałem mu, że nie wiem, bo wiedzieć nie muszę, od tego jest rocznik statystyczny, którego przy sobie nie noszę.

**- Czy napastliwość i wręcz wrogość okazywana panu na konferencjach przez zachodnich korespondentów przenosiła się na stosunki prywatne?**

- Nie, nigdy. Do dziś utrzymuję kontakty z dziennikarzami zagranicznymi, którzy bywali na moich konferencjach, niekiedy do mnie przychodzą, aby poznać mój punkt widzenia na obecną polską rzeczywistość.

Myszę, że nie mieli powodu prywatnie okazywać mi wrogości, bo żyli ze mnie. Staralem się zapewnić im zawsze coś nowego i ciekawego. Prawie nigdy nie odpowiadałem, że nie mam nic do powiedzenia na dane pytanie. Konferencje w całości były stenografowane i publikowane w prasie, trwały tak długo, jak długo były pytania. Staralem się być do dyspozycji dziennikarzy zagranicznych także poza wtorkowymi spotkaniami. Ponieważ prasie trudno było się dostać do innych przedstawicieli rządu, to uważałem, że rzecznik prasowy jest od tego, żeby zawsze był do dyspozycji. Przyjmowałem zatem każdego dziennikarza, niezależnie od tego, czy reprezentował wielką agencję czy małe piśmko związkowe z fińskiej prowincji. Można było do mnie telefonować i odpowiadałem na pytania zadawane mi telefonicznie.

Byłem cenionym źródłem informacji. Miałem też umiejętność dawania przyjezdnym w pigułce wykładu o Polsce. Indywidualne spotkania w cztery oczy (choć z udziałem tłumacza) w moim służbowym saloniku, przy kawie i ciasteczkach, także stwarzały klimat towarzyskiego porozumienia. W gmachu rządowym przed każdym gościem stawiano talerzyk z drobnymi ciasteczkami. Nigdy nie widziałem, aby je ktoś jadł, a i ja przez 9 lat nigdy ich nie spróbowałem. Podejrzewam natoet, że przez 9 lat podawano w moim saloniku ciągle te same ciasteczka.

Nieraz publiczne starcie w czasie konferencji następowało tuż po prywatnej pogawędce w miłych okolicznościach. Kiedy na przykład Margueritte z pasją pytał dajmy na to: „Jak długo jeszcze wasz zgniły reżim będzie aresztował niewinnych ludzi?!“, to ja ledwo mogłem stłumić śmiech. Świetnie wiedziałem, że on wie, co ja wiem i co powiem, on świetnie wiedział, że jego oburzenie jest teatralne, więc graliśmy te swoje role, on - grzmiącego latami obrońcy demokracji, ja - zjadliwego rzecznika siły i przemocy.

**- Czy spowodował pan wyrzucenie z Polski jakiegoś dziennikarza zagranicznego?**

- Nie. Wyrzucona została jedna dziennikarka, ale to była impreza montowana przez MSW. Zarzucono jej przejęcie zdjęć obiektów wojskowych, które miała od kogoś dostać. To mi wyglądało na zmontowaną prowokację, ale diabli wiedzą... Gdy dziewczynę jednak wyrzucono, a środowisko korespondentów wściekło się, ja lojalnie broniłem decyzji władz, na konferencji pokazywałem zdjęcia jako dowody rzeczowe. Kiedy jednak rozważano, czy kogoś wyrzucić czy nie i pytano mnie o zdanie, mówiłem, że nigdy, za nic, żadnego dziennikarza nie należy wyrzucać, bo narobi więcej szkód niż pożytku.

**- Czy próbował pan poza konferencjami prasowymi manipulować dziennikarzami zagranicznymi?**

- Podjąłem się zorganizować „przeciek“. Gen. Kiszczak w którymś z wywiadów prasowych ujawnił pokrótce sprawę pułkownika Kuklińskiego, amerykańskiego szpiega w polskim Sztapie Generalnym, którego Amerykanie wywieźli wraz z rodziną na miesiąc przed wprowadzeniem stanu wojennego. Kukliński znał doskonale plany i szczegóły przygotowywanego stanu wojennego. Poznali je Amerykanie i nie ujawnili ich swoim sojusznikom z „Solidarności“. Nie ostrzegli ich.

Uważałem, że ta afera, kompromitująca władze USA, jest niesłusznie przez nas ukrywana. Chciałem, żeby została szczegółowo opisana, ale najpierw w prasie amerykańskiej.

Zaprosiłem na kolację Michaela Kaufmana i zapytałem czyjego gazetę „New York Times” ten temat interesuje. Obiecał zapytać w centrali. Nie uzyskał jednak zachęty od swoich szefów. Nie chcieli kompromitować urzędującego prezydenta. Wobec tego zwróciłem się do konkurencji, do dziennika, który już raz dopiekl władzy, do „Washington Post”. Opublikowali materiały, lecz efekt był skromniejszy niż przypuszczałem. Na postawione przez amerykańskich dziennikarzy pytania przedstawiciele administracji waszyngtońskiej dawali wykrętne odpowiedzi. Twierdzili, że nie byli pewni tych informacji, nie chcieli straszyć liderów „Solidarności” itd.

**- To był jawny „przeciek”. A czy udawał pan kiedyś, że jakaś informacja została podana, bo wymknęła się spod pańskiej kontroli?**

- Nie. Jeżeli czegoś nie mogłem podać oficjalnie, to robiłem to przez zaprzyjaźnionych pracowników „Interpressu”. Informowali nie powołując się na źródło.

**- Czy z dziennikarzami krajów socjalistycznych próbował pan przeprowadzić podobną akcję propagandową?**

- Ich produkcja w większym stopniu wędrowała do biuletynów wewnętrznych przeznaczonych dla władz niż do oficjalnej prasy. Od czasu do czasu, zawsze na ich życzenie, organizowałem spotkania dla grupy korespondentów z danego kraju. Informowałem ich bardziej szczegółowo o wydarzeniach w Polsce i przedstawiałem moje oceny sytuacji. Zawsze towarzyszył im przedstawiciel danej ambasady i pewnie najdłuższe raporty nie były dziennikarskiego pióra.

**- Czy stwarzał pan „fakty dokonane” przez ogłaszanie zastrzeżonych informacji?**

- Raz zdarzyło mi się ogłosić coś przed uchwaleniem tego przez rząd, o czym panom opowiadałem. Ale to wynikało z błędu w sztuce rządzenia władz, które nie dostosowują terminarza swych posiedzeń do pory głównego wydania dziennika telewizyjnego.

Innym razem sfery ekonomiczne naciskały na gen. Jaruzelskiego, aby przeprowadzić denominację pieniędzy. Z ich punktu widzenia było to konieczne, bo ułatwiało operacje bankowe. Ja uważałem, że denominacja będzie się kojarzyć ludziom z wymianą pieniędzy w 1950 roku, kiedy obywatele stracili 2/3 swych oszczędności. Powstanie panika, wykupywanie towarów, słowem - skórka nie warta wyprawki.

Poszedłem do gen. Jaruzelskiego i mówiłem, że są plotki o wymianie pieniędzy. Jeśli powiem o denominacji, to tylko je wzmocnię. Proponowałem, żeby denominację odłożyć. On na to: „Macie rację”. Wobec tego spytałem, czy mogę powiedzieć, że denominacji nie będzie. „Jak trzeba, to powiedzcie”. Powiedziałem i wzbudziłem irytację finansistów, że Urban wstrzymał denominację.

Niekiedy otrzymywałem informację z zastrzeżeniem: ujawnić jak zapytają. Wówczas prowokowałem pytanie, jeśli oczywiście odpowiedź była dla prasy wiadomością ciekawą.

Pośród licznych wpadek, takich jak „rząd się sam wyżywi“, jedną wywołałem kierując się bardzo szlachetnymi intencjami. Przed Bożym Narodzeniem plotkowano o podwyżkach cen. Miały chyba podrożeć tylko papierosy i to od 1 stycznia. Nie mogłem ujawnić co konkretnie podrożeje. Żeby uspokoić panikarskie nastroje zastosowałem więc formułę, że nic nie podrożeje „w okresie świąt“. Nie zdawałem sobie sprawy, że okres świąt w Polsce trwa także po 1 stycznia. Potem zarzucano mi kłamstwo, a ja prostowałem odtwarzając w telewizji z taśmy wideo moje wypowiedzi. To i tak nie miało sensu, bo nie liczy się co precyzyjnie mówiłem, lecz wrażenie jakie widz odniósł.

Innym razem strzeliłem poważną gafę, która nie była czytelna dla szerokiego grona odbiorców. Powiedziałem w trakcie drugiej wizyty papieża, że dodatkowe spotkanie Jaruzelskiego z papieżem na Wawelu odbyło się na wniosek strony „papieskiej“, a powinienem powiedzieć „kościelnej“, bo to oznaczało inicjatywę Episkopatu. Odszczekiwałem uroczyście. Codziennie ktoś miał do mnie pretensje, że coś powiedziałem nie tak jak trzeba. Uodporniałem się na to. Miałem dobrą pozycję polityczną i moi krytycy często bardziej się mnie bali niż ja ich. Inaczej zwariowałbym.

**- Czy niesłuszne ataki na takich działaczy jak Kuroń, Michnik były efektem uodpornienia się?**

\_ Wstydzę się tego i wiele razy mówiłem, że źle ich oceniałem. Kuroń

i Michnik stali się uosobieniem zła, bo w MSW długo wpływ mieli ludzie „marca 68“, którzy latami kształtowali obraz Michnika i Kuronia.

**- Był pan dopuszczany do wielu tajemnic państwowych. Sam pan mówił, że jest raczej ekstrawertykiem i snobem, który lubi imponować. Czy nie kusilo pana, żeby podzielić się tajemnicami z prasą, niekoniecznie zagraniczną?**

- Tajemnicy przestrzegałem. Spełniając wszystkie powinności urzędnicze, nie zdradzałem tajemnic służbowych ani państwowych. Gdybym puścił parę z gęby raz i drugi, zostałbym niechybnie odsunięty, a moje nieformalne znaczenie w elicie władzy gwałtownie by się skurczyło.

Proszę sobie jednak nie wyobrażać, że władza ma aż tyle tajemnic. Władza jest trochę jak dziecko, a właściwością dzieci są różne tajemnicze zabawy i sekretne gry. Formalnie biorąc, każdego dnia miałem do czynienia z dziesiątkami tajemnic. Jeśli jednak spojrzeć na nie z perspektywy czasu, to prawdziwych tajemnic w ogóle nie znałem, bo były bardzo rzadkie i dla mnie niedostępne.

Nadruk „tajne“ figurował na większości dokumentów, jakie miałem w ręku i na wszystkich, które przychodziły z MSW. Miewałem z tym kłopoty, bo nie zwracałem papierów w wyznaczonym terminie, nie zawsze przechodziły one przez tajną kancelarię, ginęły w stertach makulatury potrzebnej mi do pracy. Wszystkie depesze od ambasadorów, jakie dostawałem były tajne, ale nie ze względu na treść, tylko dlatego, że znając je można było złamać szyfr dyplomatyczny.

Miałem moc zamieniania tajnego w jawne, bo to co dostawałem z MSW dostawałem przecież po to, żeby podawać publicznie na konferencjach. Istniało takie powiedzonko, że na

Trasie Królewskiej, między budynkiem MSW przy Rakowieckiej a gmachem KC czy URM, jest taki magiczny kamień i gdy obok niego się przejedzie, dokumenty z MSW tracą tajność.

**- A nie miał pan pokusy, żeby sprawdzić jakiś fakt lub plotkę tzw. kanałami rządowymi? Był pan przecież dziennikarzem, no i wysoko stał w hierarchii władzy...**

- Nie miałem żadnych własnych instrumentów weryfikacji faktów. Miałem swój rozum i doświadczenie.

**- A więc można było wprowadzić pana w błąd?**

- Oczywiście.

**- Pamięta pan jakiś szczególny przypadek?**



- Każdy resort zwykle bardzo prymitywnie pojmował własne interesy. Kiedy w jakiejś dziedzinie było źle, udowodniano, że nie jest tak źle, że jest wręcz dobrze.

Kiedyś za zgodą premiera Jaruzelskiego ujawniłem prasie, że resort handlu podał mi nieprawdziwe dane i publicznie zgromiłem ministra. Ale to był wyjątek, na ogół obowiązywał wizerunek solidarności rządu, a ja byłem rzecznikiem tego wizerunku. Pilnowałem, żeby jeden minister nie mówił czegoś zupełnie innego niż drugi minister, żeby nie zwał winy na drugiego. Do moich zadań należało, by rząd mówił jednym głosem, a interpretacje zdarzeń wygłaszane w imieniu rządu były jednakowe.

Nie było jednak na to skutecznego sposobu. Nie chciałem być wąskim gardłem, przez które musi przejść każda informacja pochodząca od rządu, często więc dochodziło do mniej lub bardziej poważnych wpadek.

Tylko w uzasadnionych i zupełnie wyjątkowych przypadkach centralizowałem wszystkie dane wychodzące z rządu. Czarnobyl, zabójstwo księdza Popieluszki, podwyżki cen...

**- Publicznie podzielał pan stanowisko MSW w sprawie śmierci Grzegorza Przemyka, a nieoficjalnie -jak pisze Rakowski w „Jak to się stało“-mówił pan, że należy przynajmniej zawiesić milicjantów z komisariatu przy ul. Jezuickiej i dokładnie wyjaśnić sprawę. Co pan naprawdę wtedy myślał o śmierci Przemyka?**

- Jako rzecznik nie angażowałem się w wersję MSW. Podawałem oficjalne informacje, że śledztwo trwa, potem, że się kończy, że oskarżani są milicjanci i pielęgniarze itd.

Kiedy coraz obficie dostawałem dokumenty i zeznania wspierające wersję, że Przemyka zabili pracownicy pogotowia, dostrzegłem skwapliwość w tworzeniu tej wersji. Uważałem już wtedy, że należy zwyczajnie wsadzić tych z Jezuickiej, którzy ten dramat spowodowali.

Oczywiście rzecznik rządu nie może prowadzić własnego dochodzenia czy wyrażać prywatnych wątpliwości. Mój grzech polegał na tym, że nie przestałem gadać o sprawie Przemyka polemizując z zachodnimi gazetami, które coś plątały. A przecież mogłem przywołać rzecznika MSW i niech by on mówił o tej sprawie.



Mój pogląd na sprawę śmierci Przemyska nie jest jednak i nie był taki, jak dawnej opozycji. Woroszyński, a z nim inni opozycjoniści, z tej śmierci stworzyli sztandarową sprawę polityczną, zarzucali milicji umyślną prowokację czy wręcz umyślne zabójstwo z zimną krwią. W ten sposób sprowokowali MSW do tworzenia wersji mających na celu odrzucenie tego oskarżenia.

Według mnie wzięto chłopca z ulicy przypadkowo, naprawdę - według mojego przekonania - nie wiedzieli, że biorą syna, trzeciorzędnej zresztą, opozycjonistki Barbary Sadowskiej. Nie znam poza tym takich metod, żeby za winy rodziców ścigać dzieci i dokonywać z nimi fizycznej rozprawy. W tym komisariacie, moim zdaniem, musiało dojść do jakiegoś pobicia czy szamotaniny, tak jak to się zdarza we wszystkich policjach na świecie. Charakter obrażeń Przemyska był taki, że ani matka, ani lekarz nie rozpoznali przyczyny ich powstania. Pęknięcie jelita mogło być efektem np. sójki w bok, szarpaniny lub też mogło powstać od uderzenia pałką. Czyli, było to zapewne zrobienie krzywdy nieumyślne, a i nierozpoznawalne.

Sprawa zaczęła ogniskować ambicję obu stron, przede wszystkim w wyniku pochopnych oskarżeń Woroszyńskiego sugerujących dokonanie zabójstwa umyślnego, zaplanowanego i z premedytacją. Utrudniło to władzom milicyjnym proste ukaranie funkcjonariuszy za niedozwolone użycie siły i nieumyślne spowodowanie tragicznych w skutkach obrażeń. Oczywiście, nadpodejrzliwości poety nie traktuję na równi z biciem bezbronnego aresztanta.

## Jaruzelski

**- Kiedy generał Jaruzelski zorientował się, że przegrał, traci władzę i wszystko co robi to tylko latanie rozpadającej się materii?**

- Po wyborach w czerwcu 1989 roku. Ale jeszcze wtedy uważał, że wiele można ocalić. Sądził, że zmiany przebiegać będą ewolucyjnie.

**- Czy żałował, że współuczestniczył w klęsce? Czy krytykował decyzję o rozwiązaniu PZPR?**

- Nie pamiętam, żeby o tym ze mną rozmawiał. To ja głosiłem, że błędem było rozwiązanie PZPR. Wystarczyło przecież zmienić nazwę i program tej partii. Przez rozwiązanie straciła swą siłę ilościową i jakościową.

**- Ale wówczas tendencje do zrzucenia starego kostiumu były bardzo silne i autentyczne. Chciano przy tym ocalić majątek PZPR. Pretensje do Jaruzelskiego i Rakowskiego, że nie zabezpieczyli spraw majątkowych jeszcze dziś zgłaszają czytelnicy „Trybuny“.**

- Patrząc na sprawy majątkowe poprzez późniejsze decyzje władz państwowych widać jasno, że ten majątek w każdym wariantcie zostałby znacjonalizowany. Wadą była niefrasobliwość partii, niedostateczna legalizacja posiadanej własności.

PZPR rozwiązano, bo bano się rozłamu i powstania innej, przeciwstawnej PZPR-owi partii socjaldemokratycznej. Przeceniano siłę Ruchu 8 lipca, który okazał się marginalny. Nawet jeśli założyłby własną partię, to powiększyłby jedynie grono kanapowych partyjek w rodzaju PPS-ów, czy nieistniejącego już PUS-u.

**- O generale Jaruzelskim krąży legenda, że nie był komunistą, tylko polskim patriotą zmuszonym do grania tej roli. Kolejnym wcieleniem Wallenroda.**

- Był komunistą, o ile w Polsce to pojęcie ma sens. W Polsce formacja komunistów - ludzi, którzy uważają, że konstruują ustrój oparty o utopie Marksa i Lenina skończyła się w 1956 roku. Od tego czasu nikt nie samookreślał się jako komunistą. Jaruzelski należał do tych, którzy już w młodości pożegnali się z wizjami światowej rewolucji i przekonaniem, że do tego ustroju należy przyszłość w skali światowej, więc są uzasadnione wszelkie koszty społeczne ponoszone dla realizacji wizji. Uważał, że socjalizm jest jedynym realnym i korzystnym sposobem kształtowania stosunków społecznych w Polsce i istnienia jej państwowości. Ma perspektywy rozwoju, można go przekształcać, jest korzystny dla krajów w tej części Europy. Polska skonfliktowana z ZSRR nie ma szans.

Nazwałbym Jaruzelskiego państwowcem. Jego silny patriotyzm, rozumienie państwa jako najważniejszej instytucji dla narodu stawiał go pod tym względem blisko obozu piłsudczykowskiego. Gotów był pogodzić się z uszczerbkiem idei socjalizmu, ale nie narażeniem państwa.

**- Jednak było to państwo socjalistyczne. I socjalizmu broniono jak niepodległości. W latach 80. coraz więcej Polaków nie zgadzało się na mariaż państwa z socjalizmem.**

- Przed końcem lat 80. nie istniały realne możliwości zmiany ustroju.

**- Czy sprawując władzę często miał general poczucie porażki?**

- W odróżnieniu od swych poprzedników, Gierka i Gomułki, którzy uważali, że pod ich władzą fajno jest, ocena rzeczywistości dokonywana przez Jaruzelskiego była bardzo krytyczna. Czuł jak mu się wszystko rozłazi. Maleje. Jednocześnie wyobrażał sobie, że potrafi przeskoczyć bariery ustroju i rozpocznie się coś nowego. Nowe pojmował jako odmianę ustroju socjalistycznego, który będzie tak sprawny ekonomicznie jak kapitalizm, a pozostawi wrażliwość na krzywdę społeczną, zachowa mechanizm powszechnego awansu społecznego, zabezpieczenia socjalnego i równości szans wyjściowych młodzieży.

Działalność Jaruzelskiego należy widzieć w ewolucji. On wielokrotnie przeskakiwał sam siebie. Zawsze stawał wobec niezdecydowanego Biura Politycznego, Komitetu Centralnego, niemrawej partii. Był przywódcą zmiany.

**- Wówczas zarzucano mu nadmierne kunktatorstwo, brak radykalizmu, odwlekanie decyzji. „Gdzie jest general?” - taki żart krążył po Warszawie nawiązujący do stylu działania przywódcy.**

- Najłatwiej być radykałem na seminarium dyskusyjnym. Jaruzelski ponosił odpowiedzialność za wszystko. Można by mu zarzucić opieszałość, gdyby rzeczywiście od niego wszystko zależało. Ale warunkiem utrzymania reformatorskiego kursu w PZPR była centrowa pozycja Jaruzelskiego. W PZPR liberałowie-reformatorzy stanowili mniejszość. Gdyby Jaruzelski nie lawirował, nie był centrystą - straciłby szybko przywództwo w partii. Choć prawdą też jest, że stosowana przez niego taktyka „obcinania skrzydeł” (skrajności w partii) nie zawsze była konieczna. Uderzała często w ruchy reformatorskie. Jaruzelski intelektualnie popierał nurty reformatorskie, ale w praktyce nie zawsze preferował je przy podejmowaniu decyzji.

**- Jaki był w działaniu? Mówiono o nim, że jest „bojowy”, bo boi się radykalnych kroków i zwleka z decyzjami?**

- Na ogół, z wyjątkiem sytuacji nadzwyczajnych, nie potrafił szybko podejmować decyzji. Odbywał nieskończenie długie narady, wysłuchiwał zdania różnych stron. Był ostrożny. Ale jednocześnie to pierwszy od Stanisława Augusta przywódca Polski, który chciał i umiał słuchać nie tylko siebie. Miał skłonność do uważnego, nieraz przesadnego studiowania cudzych poglądów. Potrafił słuchać innych przez dziesięć godzin i potem okazywało się, że wszystko wychwytał, zanotował, podczas kiedy inni uczestnicy narad, jak uczniowie w szkole, puszczali mimo uszu wielogodzinną gadaninę.

Kiedy przewodził partii zniknęły pojęcia „słusznych” i „niesłusznych” poglądów. A jednocześnie przy tak wielkich zdolnościach do chwytania sedna sprawy i dokonywania analizy okazywał przywiązanie do rozstrzygnięć prostych, nakazowych, rodem z wojska. Popierał stwarzanie mechanizmów systemowych, ale nie wierzył w to, że samoczynnie coś spowodują bez bezpośredniej ingerencji administracyjnej.

**- Kogo słuchał general?**

- Nie miał jednego totumfackiego stale szepczącego mu do ucha. Wysłuchiwał rad wielu ludzi. Do grupy wpływowych zaliczyłbym: Kiszczaka, Czyrka, Bakę, Rakowskiego.

**- Jak ocenia pan Bakę?**

- Miał taką samą wadę jak Sadowski, Balcerowicz, wszyscy wyniesieni do władzy ekonomiści uniwersyteccy. Po wymyśleniu pewnego modelu gospodarczego bardziej zajmują się udowadnianiem, że ich model polityki się sprawdza, a w mniejszym stopniu są zdolni dostrzegać to, co realnie dzieje się w gospodarce. To znaczy - bardziej dbają o dobro swej koncepcji niż o gospodarkę.

**- A Czyrek? W opinii plotkarskiej był bardzo zniechęcony. Jego obciążano wszystkimi nieudanymi, spóźnionymi działaniami kierownictwa partii: PRON-em, Radą Konsultacyjną, kalekim referendum.**

- Czyrek nie był samodzielny politykiem. To fachowiec w wielu dziedzinach, zwłaszcza w zakresie stosunków międzynarodowych. Posiada wielkie umiejętności negocjacyjne. Cechuje go ostrożność, umiar, rozsądek. To musiało podobać się jego szefowi. Czyrek to typ dobrego doradcy, ale nie samodzielny polityk. Ma na to za mało zdecydowania, temperamentu.

**- Ale polityka Jaruzelskiego i jego ekipy była niedobra. Zawsze „jta wczoraj“.**

- Wciąż trwały rozpaczliwe próby poszerzenia bazy społecznej władzy o grono ludzi inaczej myślących. PRON nie udało się, bo opozycja, a nawet półopozycja nie przysłała doń. Dobraczyński był aktem rozpacz, kiedy ludzie rangi Gieysztor nie chcieli objąć przewodnictwa. Rada Konsultacyjna to też była próba zinstytucjonalizowania opozycji, włączenia jej do procesu reform, a poprzez nie do rządu. I też była nieudana.

Opozycja stawiała na swe zwycięstwo w walce o władzę, nie na kooperację. Jak się okazało była to gra trafna politycznie, bo przeczekali i wzięli całą władzę. Ale niefortunna dla kraju. Przez to Polska straciła parę lat. Program reform politycznych i co ważniejsze gospodarczych nie miał poparcia opozycji, która nazywała je fasadowymi i nie wspomagała ich. Reformy nie miały też poparcia zachowawczego aparatu władzy. Przez to wisiały w powietrzu. Nasza polityka była słuszna, ale nie mieliśmy dostatecznego poparcia społecznego.

**- Podczas drugiej części X Plenum KC PZPR czwórka przywódców: Jaruzelski, Kiszczak, Siwicki, Rakowski zagroziła dymisją jeśli plenum nie zaakceptuje warunków „okrągłego stołu“. Czy była to zagrywka wyreżyserowana i przygotowana wcześniej?**

- Nie było reżyserii. Przed plenum rozmowy utknęły, bo opozycja traktowała legalizację „Solidarności“ jako warunek wstępny siadania do stołu. My parliśmy do wyborów i rejestrację „Solidarności“ traktowaliśmy jako cenę za kontrakt wyborczy. Oni pragnęli powrotu do roku 1981, do sytuacji przerwanej przez wprowadzenie stanu wojennego, kiedy są dwie siły: władza i „Solidarność“. Nie wyobrażali sobie, że mogą wygrać wybory. Nie byli nimi zainteresowani. My zaś chcieliśmy szybko przeprowadzić wybory i przekreślić recydywę roku 1981, kiedy naprzeciw siebie stoją dwie siły i ta druga nie może ani władzy przejąć, ani jej obalić, a tylko niszczy struktury państwa i gospodarkę. Przywódcy „Solidarności“ mieli w 1988 r. mentalność podobnie ograniczoną jak generałowie, którzy zawsze sądzą, że nadchodząca wojna będzie powtórką poprzedniej.

X Plenum KC PZPR zwołano po to, aby kierownictwo partii dostało zgodę na rejestrację „Solidarności“. Z sondaży wynikało, że zgody nie będzie. Kierownictwo partii było jednak zdeterminowane. Wiedziało, że dotychczasowe działania: stan wojenny, częściowe reformy, zniesienie stanu wojennego, walka z opozycją za pomocą selektywnych represji, zniesienie tych represji, referendum, I etap reformy, II etap-wszystko nie przyniosło sukcesu. Potrzebne było wyjście z dotychczasowej skóry, z ustroju. Postawiono na jedną kartę.

**- I zaszantażowano partię...**

- To było raczej powiedzenie „albo-albo“. Nie bez powodu do dymisji podawali się szefowie wszystkich instytucji osłaniających partię: wojska, MSW, administracji państwowej. Wcześniej Rakowski wygłosił przemówienie z pytaniami o zasadniczej wadze, którymi postawił plenum pod ścianą. Ten „szantaż“ mógł okazać się nieskuteczny. W partii mógł nastąpić rozłam. Plenum wybrałoby wtedy nowe, twarde, zachowawcze kierownictwo, a stare pewnie na własną rękę, z pozycji dysydentów podjęłoby rozmowy z opozycją.

**- I tak ocaliliby swe polityczne głowy. Pozostaliby w grze na dłużej.**

- Siłą rzeczy przeszliby do obozu zwycięskiego, choć na krótko. Dla nich byłoby to lepsze, dla kraju gorsze, bo zmiany nie byłyby wtedy ewolucyjne, bez ofiar, nastąpiłaby konfrontacja opozycji i aparatu pod nowym kierownictwem.

Tuż przed wprowadzeniem stanu wojennego w 1981 roku, kiedy w różnym stopniu wtajemniczeni rozmawialiśmy o wariantach rozwoju sytuacji, wtedy Ciosek, Rakowski i ja uważaliśmy, że korzystne byłoby wraz ze zdelegalizowaniem „Solidarności“ zdelegalizować PZPR i wprowadzić władzę czysto wojskową neutralną politycznie. Odcinającą się od obu sił i budującą porozumienie na tej platformie.

Jaruzelski nie decydował się na to, a bodaj Ciosek sugerował mu ten wariant. Nie chciał pozbawić się dwumilionowej rzeszy partyjnych stanowiących oparcie dla struktur stanu wojennego. Uważał też, że dokonując czystego zamachu wojskowego mógł by być izolowany od krajów socjalistycznych, zwłaszcza od ZSRR. Mógł zostać potępiony jako przywódca antypartyjnego zamachu stanu. Także powiązania ideologiczne nie pozwalały mu na taki krok.

**- Jak gen. Jaruzelski znosił popularne w stanie wojennym karykatury, wyzwiska, piosenki, szopki. Jak reagował na określenie „Ruski generał w polskim mundurze?“**

- Ten „ruski generał“ bardzo go zabolął. Ale zwykle Jaruzelski ma postawę wzorowego dowódcy. Człowieka, który zawsze okazuje spokój, krzepi podwładnych. To nie jest typ obolałego wrażliwca.

**- Jest pozbawiony spontanicznych reakcji?**

- Przeciwnie. W małym, zaufanym gronie często oburza się, cieszy, śmieje.

**- Naprawdę? Widział pan generała śmiejącego się?!**

- To niesłychanie wesoły i dowcipny człowiek. Lubi plotki, żarty, jest łobuzerski. Klnie. On zupełnie inaczej zachowuje się w życiu prywatnym.

**- Niemożliwe! Kiedy używa takich słów?**

- Jak się na kogoś zdenerwuje. Nie musi być to takie rzadkie, skoro nie mogę sobie teraz przypomnieć konkretnego przykładu. Generał bardzo soczyście reagował na niektóre teksty. Mógł tak zareagować na „ruskiego generała“. Nie pamiętam, ale mógł.

**- Jak się gniewa?**

- Na mnie nigdy nie krzyczał. Okazywał mi niezadowolenie objawiając zmartwienie słowami: „niedobrze się stało“. Generał, gdy się gniewa w charakterystyczny sposób nadyma twarz, zasepia się, zamyśla.

**- Jak znosił upokorzenia? Bojkot międzynarodowy? Obniżenie rangi podczas wizyty we Francji, to słynne wejście przez „kuchenne schody“?**

- To nie jest człowiek próżny, małosłowny. Zawsze ocenia rzeczy chłodno, umieszcza je w realiach politycznych. Wszystkie spadające na niego upokorzenia były cieniami pełnionej przez niego roli politycznej. Po wizycie w Paryżu uważał rozważania o kuchennych schodach za wybiegi przeciwników skonsternowanych tym, że spotkał się z prezydentem Francji. Przejmował się tym, co mu Mitterand powiedział, a on Francuzowi. Mówił o pewnym porozumieniu, jakie wówczas między nimi nastąpiło. Przecież w ogóle przyjęcie Jaruzelskiego było wówczas wielkim ryzykiem ze strony prezydenta Mitteranda. Jego najbliższy współpracownik, premier Francji, zdystansował się od tego spotkania.

To równoważyło obniżenie protokolarnej rangi wizyty, co nie miało formalnie wielkiego znaczenia, bo wizyta nie miała oficjalnego charakteru. Jeśli Jaruzelski zrywał się na coś, to raczej na rozdymanie przez prasę tej sprawy.

**- Ostro reagował na krytyki prasowe?**

- Czytał bardzo dużo. Miał nasłuch radiowe, materiały przygotowywane przez PAP, opracowania z zakreślonymi akapitami. Bardzo serio, wręcz sakralnie traktował słowo pisane. Dostawałem od niego różne biuletyny upstrzone, popodkreślane, z różnymi sugestiami, aby podejmować polemiki.

**- To prawda, że Jaruzelski nie pił wódki?**

- Autentycznie nie lubi alkoholu, tak jak ktoś, kto nie cierpi np. szpinaku. Kiedy ostatnio był na urodzinach mojej żony i wypił dwa kieliszki wina, to potem chwalił się tym osiągnięciem. Ta dolegliwość wyobcowuje go z otoczenia. Generał Siwicki opowiadał, jak w czasach ich młodości, gdy byli młodymi oficerami, wpadał do Jaruzelskiego z flaszką wódki. Namawiał nadaremno. Już wówczas Jaruzelski nie brał alkoholu do ust, co czyniło go zjawiskiem egzotycznym w korpusie oficerskim.

**- Sokorski twierdzi, że widział Jaruzelskiego na miękkich nogach?**

- To chyba fantazja. Po stanie wojennym Jaruzelski zaczął palić, ale on nigdy nie nosił papierosów, bo z założenia nie palił, a tylko realnie zaczął palić. Na posiedzeniach rządu opalał sąsiadów.

Palił jak uczeń. Nie zaciągał się, tylko od razu wydmuchiwał dym. Bardzo energicznie. Pewnego dnia oznajmił, że przestał palić i więcej nie zapalił.

**- Czy zmieniał się w towarzystwie kobiet?**

- Niezwykle silnie reaguje na kobiety. Zachwyca się nimi, adoruje, jest ożywiony. Często zdumiewały mnie jego zachwyty nad urodą kobiety, na którą nie zwróciłbym nigdy uwagi, albo wręcz uznał za ohydny. Jest pełen staroświeckiej kurtuazji wobec kobiet.

Stykając się z generałami, jedząc z nimi obiady, zauważyłem ich ogromne zainteresowanie babami.

- **Swintuszyli mocno?** - Dowcipy były rubaszne. Był to klimat wprost przeniesiony z literatury opisującej życie koszarowe, gdzie kobiety są czymś trudniej dostępnym, zatem podniecającym.

Nie bardzo rozumiałem dlaczego ci generałowie, którzy mają takie samo pole do przygód jak wszyscy mężczyźni w stosownym wieku, sprawiają wrażenie, jakby kobiety były dla nich czymś nieosiągalnym, więc szczególnie podniecającym.

**- Czy Jaruzelski podobał się kobietom?**

- Prowadził życie w zamknięciu, dbał o swój „image“ męża stanu.

**- Ale czy zauważył pan, że kobiety „leciały“ na niego?**

- On musi się bardzo podobać kobietom. Posiada cechy, które mocno przyklejają kobietę do mężczyzny: ogromne ciepło, wrażliwość, kurtuazję, zdolność słuchania. No i potrafi uzewnętrznić oczarowanie. A oczarować go łatwo.

Jeszcze dziś gen. Jaruzelski mógłby mieć dowolną ilość kobiet w dowolnym wieku, ponieważ jest najbardziej atrakcyjnym mężczyzną spośród wszystkich jakich znam, właśnie z punktu widzenia kobiet. Do cech, które wymieniłem trzeba też dodać umiejętność prowadzenia rozmowy. Jest też postacią historyczną, więc budzącą ciekawość kobiet. Istnieje kategoria kobiet, dla których posiadanie władzy czy niecodziennej pozycji jest tym, co w mężczyźnie najbardziej podnieca.

**- Swój sąd opiera pan na przesłankach rozumowych, czy doświadczeniach praktycznych?**

- Widziałem reakcje kobiet. Chociażby moja córka, która będąc po przeciwnej niż Generał stronie barykady, mówiła o Jaruzelskim używając epitetów. Po kilku chwilach rozmowy z nim odeszła oczarowana.

Podobnie silnie reagowały na generała wszystkie moje sekretarki i inne kobiety, które się z nim stykały.

**- Czy generał miał „skoki w bok“?**

- Moim zdaniem nie miał. Rakowski zawsze mówił, że gdyby Jaruzelski miał kochankę, to kraj odniósłby z tego wielkie korzyści. Wówczas Generał nie byłby takim ascetą władzy, pracującym do drugiej w nocy nad papierami. Ale jego dostęp do romansów był niesłychanie trudny. Zawsze był otoczony gronem adiutantów, ochroną osobistą, sprawdzającą kto wchodzi, kto wychodzi. Stałe trasy, stałe godziny urzędowania, brak wolnego czasu.

**- *A inne nałogi? Karty, konie, zbieractwo?***

- Nie zajmował się niczym poza pracą. Jego nałogiem było, i pewnie jest, oglądanie dziennika telewizyjnego. Dziewiętnasta trzdyście to święta pora. Wychodził z posiedzeń, robił przerwy, nie można było wtedy dzwonić. Musiał usiąść przed telewizorem. Reagował impulsywnie. Cieszył się, denerwował. Nałóg stał się strawniejszy, kiedy pojawiły się magnetowidy i można było dzienniki telewizyjne nagrywać. Przypuszczam, że jak wyjeżdżał za granicę, to po powrocie siadał i odrabiał zaległości.

**- *Ulubione danie?***

- Pije dużo kawy. Na jedzenie nie zwraca uwagi. Kiedyś spędziłem z nim całą dobę. Pracowaliśmy i co trzy, cztery godziny podawano te same parówki na gorąco.

Stołując się w Urzędzie Rady Ministrów, czy w Komitecie Centralnym, jadał to, co podawano wszystkim prominentom. Jedynie na specjalne życzenie podawano mu mleko. Jadł też dużo owoców, ale to nie było coś ekstra, po prostu wszystkim podawano owoce, ale większość stołowników nie jadła ich, gdyż owoce są ohydne z natury rzeczy.

**- *Czy wspominał swój pobyt na Syberii?***

- Nie. Opowiadał o szkole oficerskiej w Riazaniu, ale bardzo rzadko. Rzadko wracał do przeszłości. Zawsze było tyle spraw aktualnych. Ożywiał się kiedy plotkowano. Zdawałem sobie sprawę, że żyje życiem więźnia i poprzez wieści z miasta z drugiej ręki uczestniczył w życiu potocznym. Lubilem mu opowiadać o tym, co się dzieje na mieście, o sprawach, od których był oddzielony. Specjalnie dla niego napisałem relację ze ślubu mojej córki, na którym zgromadził się kwiat ówczesnej opozycji.

**- *Jak zareagował po jego przeczytaniu?***

- Z zaciekawieniem i rozbawieniem. Z powodu opozycyjnych koneksji córki uznałem za potrzebne zgłosić kiedyś gotowość dymisji, ale nie potraktował powodu zbyt poważnie. Powiedział, że generałowie nie będą kapitulować przed młodymi panienkami.

**- *Jak odnosił się do współpracowników? Zwłaszcza tych, którzy zawiedli - np. premiera Messnera, który szybko stał się patronem frakcji dążącej do zamrożenia reform?***

- Kurtuazyjnie odnosił się do wszystkich współpracowników, ale to niekoniecznie odzwierciedlało jego rzeczywisty stosunek. Kurtuazja była sposobem podbijania współpracowników, ale też usypiania czujności antagonistów.

Przypuszczam, że Jaruzelski w pewnym momencie rozczarował się do Messnera. Pod koniec kariery Messnera w wąskim gronie mówił o nim bardzo krytycznie. Dzisiaj Messner publikuje wspomnienia, w których lży Jaruzelskiego, co oznacza, że Messner ma słabą



zdolność samooceny. Przecież to Jaruzelski wymyślił Messnera i bez niego Messner nie zaistniałby w ogóle. Do końca Jaruzelski sztucznie go podtrzymywał, osłaniał, i tak przeprowadził dymisję, aby Messner mógł wyjść z twarzą.

***- Messner był jednak jednym z przywódców lobby przemysłu ciężkiego. Jego upadek oczyścił pole manewru dla Rakowskiego?***

- To nie była formacja samodzielna politycznie. Głównym dla gen. Jaruzelskiego motywem uczynienia Messnera premierem, moim zdaniem, była chęć zrzucenia na kogoś odpowiedzialności za gospodarkę i przeniesienia ciężaru władzy z rządu, którym generał przestawał kierować, do Komitetu Centralnego, którego I sekretarzem stał się gen. Jaruzelski.

Messner dał się ubezwłasnowolnić i działał w sposób bardzo dla siebie wygodny. Jeśli rząd chciał podjąć decyzję, to premier przedstawiał opracowaną przez rządowy aparat propozycję pod rozważenie Biura Politycznego KC PZPR. Propozycję opatrzoną tomami analiz, ale tylko sporządzonymi w jednym wariantcie, świadczącym o trafności przedłożeń rządowych. Złożone w większości z dyletantów, Biuro Polityczne czytało lub nie te analizy i aprobowało propozycje. A Messner podparty taką decyzją uzyskiwał formalną uchwałę rządu twierdząc, że ma przesadającą aprobatę polityczną Biura. Kiedy były niepowodzenia Messner wskazywał palcem na Biuro. Podobnie argumentował składając dymisję.

W swoim działaniu Messner powrócił do systemu Jaroszewicza, kiedy to rząd nie korzystał z konstytucyjnych uprawnień, ale był zarządem gospodarczym podejmującym na własne ryzyko jedynie drobne decyzje, a resztę cedując na władzę skupioną w Biurze Politycznym. Chociaż w rzeczywistości często ten rząd-ogon merdał psem, którym było Biuro Polityczne. Ale KC nie posiadało aparatu potrzebnego do dokonywania samodzielnych analiz i przedstawiania alternatywnych propozycji.

***- Podobno generał w swej polityce kadrowej był bardzo konsekwentny. Jeśli kogoś lubił to forsował jego kandydaturę, „robił mu karierę“ nawet wbrew rozsądkowi i kompetencjom. Za to jeśli kogoś nienawidził - to równie gorąco?***

- W istniejącym wówczas systemie przywódca dobierał sobie zespół kierujący. Generała Jaruzelskiego stać było na decyzje ryzykowne, egzotyczne, np. Krasiński, Urban, Krawczuk, potem aprobowanie Wilczka. I miewał decyzje błędne, choć niekiedy lansowane wbrew sferom współdecydującym, np. Czarzas-ty - sekretarz ze Słupska, przy awansie którego tak się uparł, że urządził w Słupsku pokaz osiągnięć dla wszystkich I Sekretarzy KW. Czy nienawidził? Jaruzelski nie okazywał nikomu swej antypatii.

***- Skoro gen. Jaruzelski był człowiekiem tak uroczym w życiu prywatnym, czemu nie zmieniliście jego obrazu w opinii publicznej? Czemu musiał być tak mało sympatyczny?***

- Wiele razy zbieraliśmy się w tym celu i opracowywaliśmy plany zmiany jego obrazu. Ale on uważał, że przywódca państwa musi być trochę tajemniczy i na koturnach. Próbował trochę ten swój wizerunek zmiękczyć, lecz nie umiał być sobą przed kamerami. Nie miał umiejętności prowadzenia swobodnej rozmowy z obcymi ludźmi. Nawet wywiad z grupą młodych dziennikarzy w „Teleexpresie“ prowadzony przez Wojciecha Reszczyńskiego nie spowodował wyjścia generała z jego sztywnej skóry.

**- Pierwszy raz generała trochę rozluźnionego, bez marynarki, telewizywie mogli obejrzeć już u schyłku jego kariery podczas przyjęcia zorganizowanego przez ambasadora USA w ogrodzie jego rezydencji.**

- Tam się dopasował do obowiązującego stylu. Niezwykle przykrym przeżyciem dla generała było rozstanie się z używanym na co dzień mundurem. Złe się czuł w cywilnym ubraniu. Zawsze szyto mu zbyt dopasowane do ciała garnitury, przylegające jak mundur. Nie umiał ich nosić nonszalancko, lekko.

**- To prawda, że sam pisał przemówienia?**

- Pisał je sam i to niesamowicie długo. Dniami i nocami. Korzystał jednak ze współpracowników, którzy podsuwali propozycje sformułowań, ustalali i sprawdzali fakty. Poprawiał, pisał nowe wersje. Oglądanie wersji 17 „C“ przemówienia nie należało do rzadkości. Jeszcze po wygłoszeniu robił poprawki na tekście przeznaczonym do druku i PAP szalała ze złości, bo inne agencje podawały treść wygłoszonej mowy, a Polska wciąż czekała na wersję autoryzowaną. Jego pasją było redagowanie. Kształt słowa pochłaniał go bardziej, niż czyni.

**- Kto, oprócz pana i Górnickiego, należał do zespołu redagującego przemówienia Jaruzelskiego?**

- Ja nie należałem. Zawsze brał w tym udział generał Janiszewski. Skład zmieniał się zresztą w zależności od tematyki wystąpienia. Ministrowie, doradcy, dziennikarze... Pamiętam, że stroną techniczną zajmował się najczęściej Palimaka.

**- A na czym polegała pańska rola?**

- Cała ta bieganina wokół jednego przemówienia robiła na mnie wrażenie surrealizmu i bezsensu. Jako zawodowy twórca słów mam do nich lekki stosunek, do ich układu i wymowy nie przywiązuję aż takiego znaczenia. Nie byłem i nadal nie jestem przyzwyczajony do żmudnego wypracowywania słów. Poza tym była to praca dla mnie nie do wytrzymania ani psychicznie, ani fizycznie. Toteż drugiej czy trzeciej takiej bezsennej nocy, gdy Jaruzelski zwrócił się do mnie z pytaniem, czy lepiej powiedzieć tak, czy lepiej powiedzieć **smak**, mając na myśli szyk zdania, odpowiedziałem: „Towarzyszu generale, o czwartej nad ranem jest mi to najzupełniej obojętne“. Od tej pory przestałem być zapraszany do pracy w zespole. Jaruzelski, człowiek delikatny, poczuł się dotknięty moją odpowiedzią i odebrał ją jako odmowę uczestniczenia w tej „redakcyjnej“ pracy.

**- Przyjąłby go pan do pracy w redakcji?**

- Grzeszył nadmierną pedantycznością. Ale wychwyciłby każdą nielogiczność i błąd językowy. Nazywano go „Redaktorem Naczelnym Polski Ludowej“.

**- Jakim był mówcą?**

- Ma wspaniałą zdolność improwizacji, lecz rzadko z niej korzystał. Kiedyś w czasie negocjacji gospodarczych z delegacją radziecką siedziałem za plecami premiera i Jaruzelski miał ponad godzinne, niesłychanie precyzyjne i płynne wystąpienie, a ja cały czas zastanawiałem się: czyta czy mówi? Mówił.

Ale nie miał podstawowej umiejętności wybitnych mówców. Nie potrafił porwać tłumów, oczarować. Jego następca w Belwederze jak wiadomo gada byle jak, byle co, a ludzi porywa i podbija. Jaruzelski przedstawiał bardzo interesujące konstrukcje myślowe, ale doceniali je tylko polityczni smakosze.

Inaczej było kiedy przeprowadzał rozmowy w cztery oczy. Podbijał swych rozmówców, przekonywał do swoich racji. Do tych rozmów też długo i starannie przygotowywał się. Jaruzelski był, jak na czasy, w których rządził, politykiem zbyt gabinetowym, chociaż wielkim.

Inną jego wadą była skłonność do przeprowadzania bardzo długofalowych rozgrywek personalnych. Nie należałem do kręgu, który generał wtajemniczał w swoje personalne zamiary, jeśli w ogóle istniał taki krąg, ale zauważyłem, że od chwili powstania w jego głowie myśli o pozbyciu się kogoś, do czasu zrobienia tego posunięcia upływały niekiedy lata. Tworzył skomplikowane sytuacje, najdziwniejsze alianse, które krok po kroku przybliżały go do pozbycia się czy wyniesienia kogoś. Często to tkanie pajęczyny było niekonieczne, bo ludzie, których chciał się pozbyć nie mieli zaplecza politycznego, mógł ich utrać małym palcem. Nie mam na myśli takich osobistości, jak Olszowski. Ale np. Szlachcic, który za premierostwa Jaruzelskiego był przewodniczącym Komitetu Normalizacji Miar i Wag i nie miał już wtedy większego znaczenia. A pozbywanie się go trwało latami.

**- *Zarzucono Jaruzelskiemu uległość wobec Radzieckich, wręcz serwilistyczny stosunek.***

- Nigdy nie był serwilistyczny. Miał silne poczucie patriotyzmu, i poczucie godności własnej.

Ale mam wrażenie, że bardzo bał się „radzieckich“ i ten zakodowany, wyniesiony być może z młodości strach, trwał dłużej niż jego racjonalne źródła. Nie zauważył w porę słabnącej pozycji ZSRR w polityce wobec Polski. Wielką ulgą dla niego było przejęcie władzy przez Gorbaczowa, z którym mógł dobrze i prawdziwie porozumieć się. Wtedy wyczuwało się, że znikła jakaś z mora, która go dręczyła.

Szczególnie zmęczony „radzieckimi“ był Jaruzelski jesienią 1981 roku kiedy przychodził do niego niemal co wieczór ambasador Boris Aristow z listą pretensji. To tak, jakby co wieczór musiał siadać w fotelu dentystycznym i poddawać się zabiegowi borowania zęba.

Wprowadzenie stanu wojennego doprowadziło do pozbycia się presji „radzieckich“. Ta - jak to wówczas mówiono - „wojna Jaruzelska“ była w istocie zwycięską wojną o niepodległość Polski. To bardzo ważne, bo tego nikt do tej pory nie powiedział. I mnie tu nie chodzi teraz o odsunięcie groźby interwencji, ale o zasadniczą zmianę statusu Polski i jej władz wobec Moskwy. Słabym skacze się po głowie, przed silnymi ma się respekt - ta ogólna reguła dotyczy także stosunków polsko-radzieckich. Jaruzelski swymi działaniami pokazał, że sam, polskimi środkami, dopasowanymi do polskich warunków jest w stanie zapanować nad sytuacją. Udowodnił, że może rządzić sam, bez zewnętrznych podpórek, rad i napomnień.

**- *To wcale nie jest takie pewne. Tak samo można dowodzić, że Jaruzelski Z rozkazu Moskwy wykonał brudną robotę. W czasie kiedy Moskwa była uwiązana interwencją w Afganistanie i nie mogła sobie pozwolić na otwarcie drugiego frontu.***

- Można tak powiedzieć, ale to nieprawda.

**- Dlaczego?**

- Żadne mocarstwo nie bierze odpowiedzialności za posunięcia innego kraju, posunięcia bardzo ryzykowne, jeżeli nie musi. Mocarstwo nie angażuje się w rozwiązania niepewne, woli się od nich dystansować i zachować dla siebie wolną rękę. Gdyby stan wojenny się nie udał, Moskwa potępiłaby awanturnictwo Jaruzelskiego.

**- No właśnie. Każdy wariant rozwiązania zakładał korzyść Moskwy. Uda się Jaruzelskiemu, to dobrze. Nie uda - winni będą sami Polacy, a w razie zamieszania świat nawet może poprosić Moskwę o interwencję.**

- Z tego co wiem, Moskwa nigdy przed wprowadzeniem stanu wojennego nie wyrażała aprobaty dla takiego rozwiązania.

**- A co proponowała w zamian?**

- Nic konkretnego. Wywierała nacisk. Gderła: zaprowadźcie porządek, zróbcie coś, zahamujcie. W pewnej chwili sugerowała zmianę kierownictwa partii. Niektórzy radzieccy notabie zgłaszali się z radami bardzo naiwnymi. Przyjechał ówczesny szef radzieckiej propagandy. Wzywał nas byśmy dopuścili robotników do telewizji, to wiedzeni instynktem klasowym powiedzą co naprawdę myślą o „Solidarności“ i rozbiją ją w puch.

Po wprowadzeniu stanu wojennego status władz polskich wobec Moskwy zmienił się w tak radykalny sposób, że z dużą, jak na ówczesne warunki swobodą, można było kształtować stosunki wewnętrzne, przeprowadzać reformy; które w innych krajach bloku socjalistycznego były niewyobrażalne. Moskwa przestała nas pouczać. Tak jak w październiku 1956 roku, tak i w grudniu 1981 roku nastąpiła jakościowa zmiana stosunków polsko-radzieckich.

**- Czy gen. Jaruzelski miał opozycję promoskiewską wśród oficerów wojska?**

- Nie wiem. Słyszałem tylko, że istniała grupa osób, które chodziły do ambasady radzieckiej z donosami. O nich mówiło się w wąskim gronie jak o kłopotliwym zjawisku, szubrawcach, grupie nacisku.

**- Kto był wśród nich?**

- Nie potrafię podać nazwisk.

**- Nie potrafi pan, czy nie chce?**

- Nie potrafię, bo to trzeba wiedzieć na pewno, a nie przypuszczać. Jaruzelski wiedział chyba kto, ale ani ja, ani chyba Rakowski nie byliśmy dopuszczani do tych tajemnic.

**- W czasie rządów Jaruzelskiego propaganda tworzyła jego bohaterski wojskowy image. Jego elementem był młody, dzielny porucznik - zwiadowca. W opublikowanej książce wspomnieniowej Piotr Jaroszewicz, wówczas generał wspomina z przekąsem, że Jaruzelski niczym się nie wyróżniał, a jego późniejsze dokonania też nie błyszczą na tle innych.**

- Przypuszczam, że wartość Jaruzelskiego - zwiadowcy nie miała większego wpływu na jego karierę czterdzieści lat później. Czytałem fragment wspomnień Jaroszewicza. To nie jest źródło, na które można się z powagą powoływać. Tam czuje się nienawiść do Jaruzelskiego, który kazał internować Jaroszewicza. Całość nasączona jest typowym dla tej ekipy myśleniem. Najpierw spisek kolegów z Biura obalił dobrego Jaroszewicza, a potem jego przyjaciela Gierka. I to w chwili, kiedy prowadzili politykę mogącą przynieść Polakom wszelką pomyślność.

**- Czy gen. Jaruzelski cieszył się szczególnym mirem w wojsku?**

- Rzadko bywałem w wojsku, nie potrafię powiedzieć. Częściej jestem zapraszany obecnie na różne spotkania autorskie, w tym organizowane przez środowisko wojskowe. Teraz słyszę żale, że oddał władzę. Pozostawił ich, a sam się wywinął.

**- Wygodnie się ustawił?**

- Tak. Ale przecież to on był na wyjątkowo, wręcz skrajnie niewygodnej pozycji jako prezydent. Schyłkowej. Upokarzającej.

**- Czy bardzo zabolalo go głosowanie w Sejmie nad jego prezydencką kandydaturą i przejście tylko jednym głosem ponad wyborczą poprzeczką?**

- Sądzę, że strasznie go to uraziło. Ale czuł, że musi zapewnić niekonfliktowy i niedramatyczny przebieg transformacji systemu politycznego i zachował spokój.

**- Czy zachował spokój, kiedy wybuchły plotki po ukazaniu się w „Paris Match“ fotoreportażu o prywatnym życiu jego córki Moniki?**

- Tam przecież niczego zdrożnego nie było. W porównaniu ze zdjęciami córki emigracyjnego prezydenta Sokolnickiego, która nago pozowała do „Playboya“ i podobnych czasopism, tamte zdjęcia były przyzwoite i ładnie zrobione.

Monika Jaruzelska to mądra i wspaniała dziewczyna, której nie zaszkodziła pozycja ojca. W młodszych latach brykała, usiłowała wyrwać się z roli córki szefa państwa. Chciała wcześniej usamodzielnic się, wyprowadziła się z domu. Były obawy o kidnaping. Nie chciała ochrony. Wtedy wyszukano jej tak przystojnego ochroniarza, że przyjęła ze zrozumieniem taką niedogodność.

**- Niebawem uplynie dziesięć lat od wprowadzenia stanu wojennego. Krążą plotki o próbie pociągnięcia do odpowiedzialności prawnej generała za ów bezprawny zamach stanu. Czy będzie sądzony?**

- Nie dostrzegam koniunktury społecznej na taki proces odwetowy. Poza tym obecny szef państwa wciąż zapowiada, że jeżeli wydarzenia potoczą się nie po jego myśli to ucieknie się do wojska, do użycia siły. Proces o stan wojenny nie byłby chyba dobrą przyprawą takich planów, gróźb, a tym bardziej przygotowań.

**- Podobno teraz generał pisze pamiętniki. Czy zdradzi tajemnice, które tylko on zna, czy zachowa je dla siebie?**

- Myślę, że ma takie wyczucie czasów i potrzeb czytelników, że coś ciekawego opowie i zdradzi tajemnice, które przestały już być tajemnicami. Wiele razy namawiałem go, żeby wydał to szybko, zaraz po rezygnacji z prezydentury. Ale znając jego przywiązanie do wagi słowa może to nastąpić niespiesznie.

## **Ja i Rakowski**

### ***- W jakich okolicznościach poznał pan Rakowskiego?***

- Było to na przełomie lat 50. i 60. - siedziałem w ogródku u dziennikarzy na Foksal, Rakowski podszedł do mojego stolika, przedstawił się i powiedział, że chce mnie poznać. Był w jury jakiegoś konkursu, który ogłosiły łódzkie „Odgłosy“ i bardzo mu się spodobał mój reportaż nadesłany na ten konkurs. Reportaż pokazywał przemiany społeczne poprzez dzieje lokatorów starej kamienicy przy Piotrkowskiej. Rakowski pogadał ze mną chwilę, zachęcając do współpracy z „Polityką“.

### ***- Nie zaproponował od razu etatu?***

- Nie. Zacząłem współpracować z „Polityką“, gdy tymczasem Alicja Lisiecka zaproponowała mi posadę kierownika działu społecznego w „Nowej Kulturze“. Poszedłem do Rakowskiego i powiedziałem, że gdyby mnie wziął, to nie musiałbym iść do „Nowej Kultury“. Po zastosowaniu tej presji wymogłem etat w „Polityce“.

### ***- Była to już bardzo prestiżowa posada.***

- Niewątpliwie. „Polityka“ była najważniejszym tygodnikiem w Polsce. Dwa lata przepracowałem w redakcji i akurat w momencie, gdy „Polityka“ ogłaszała wyniki corocznej ankiety czytelniczej, wybuchła afera Marcinkowskiego, po której wyrzucono mnie z redakcji i dostałem zakaz pracy w dziennikarstwie. W tej ankiecie było pytanie, jakich autorów czytelnicy najbardziej lubią i kogo najchętniej czytują - jeden, jedyny raz w dziejach uzyskałem wówczas pierwsze miejsce na tej liście, ale wyniki plebiscytu nie mogły się już ukazać ze względu na wyrzucenie mnie z pracy.

### ***- O Rakowskim mówi się - karierowicz. Czy istotnie jest aż tak chorobliwie ambitny?***

- Myślę, że jest człowiekiem ambitnym, ale nie jest karierowiczem. Za karierowicza uważa się takiego człowieka, który zmierza do osiągnięcia kariery środkami niegodziwymi, kosztem innych ludzi i przez zachowywanie się wbrew sobie, wbrew przyzwoitości, z uszczerbkiem dla wartości wyższych. Żadnych takich objawów nigdy u Rakowskiego nie zauważyłem. Jest to niewątpliwie człowiek zasad. Swój polityczny profil układał wbrew regułom, które zapewniały szybką i łatwą karierę.

### ***- Mógł sobie na to pozwolić. Będąc redaktorem tak znaczącego i wpływowego pisma musiał popierać władzę. Ewentualny sprzeciw kosztowałby go utratę posady i pozycji.***

- Do pewnego stopnia Rakowski zawsze się z władzą zgadzał, był przecież członkiem partii, którego obowiązywały grupowe zasady lojalności. Ale w obrębie tego establishmentu zajmował pozycję nonkonformistyczną, odrębną. Człowiek o jego zdolnościach i ambicji z łatwością mógł stać się zwykłym aparatczykiem, który już za Gomułki zostałby, powiedzmy, członkiem Biura Politycznego. Partia nigdy nie dysponowała nadmiarem ludzi o pasji politycznej; zdolnych, młodych i odpowiedzialnych. Tacy byli zawsze poszukiwani. Z łatwością mogę sobie wyobrazić Rakowskiego na miejscu Kociołka przy Gomułce, tym bardziej przy Gierku.

**- To znaczy, że nie chciał zrobić kariery politycznej?**

- Wpadał w takie konflikty, zajmował tak często pozycję niezależną, że to eliminowało go w ubieganiu się o wyższe stanowiska partyjne.

**- Dlaczego zatem nie został wyeliminowany ostatecznie wtedy, gdy się sprzeciwiał? Okazji musiało być sporo, choćby w roku 1968 czy 1976...**

- „Polityka“ miała taką pozycję i takie wpływy na świadomość inteligencji, że nie było łatwo wyeliminować redaktora naczelnego.

**- Władzy łatwo było zlikwidować takie pismo jak „Po prostu“, a nielato zdjęć jednego naczelnego „Polityki“? Nie chce nam się w to wierzyć.**

- O taką decyzję administracyjną było naturalnie łatwo, tylko, że równocześnie byłaby to decyzja kosztowna politycznie. Partia amputowałaby sobie ważny instrument oddziaływania na ludzi nieczułych na konwencję „Trybuny Ludu“. Po wtóre - władza naraziłaby się prawdopodobnie na atak Zachodu. Po trzecie - każdy przywódca partii chciał być arbitrem pomiędzy jej skrzydłami. Zupełna amputacja skrzydła reformatorsko-liberalnego spowodowałaby zachwianie równowagi w partii. Wewnątrzpartyjna równowaga polityczna wymagała po prostu istnienia „Polityki“ i Rakowskiego. Tym niemniej Gomułka przecież wylał Rakowskiego...

**- Ale na krótko i praktycznie bez konsekwencji.**

- Tak, decyzję wkrótce cofnięto. „Polityka“ na szczęście nie działała samotnie, lecz była obstawiona sojusznikami z postępowego nurtu w partii. **- Czy Rakowski zabiegał o takich możliwych protektorów?**

- Oczywiście, że zabiegał. To była ustawiczna walka o istnienie pisma. Zabiegał nie tylko o możliwych protektorów, ale również o poparcie działaczy terenowych. Jeździł w teren, często występował publicznie.

**- Kim byli protektorzy Rakowskiego?**

- Rakowski w świątku warszawskim pojawił się jako mąż Wandy Wiłkomirskiej. Był to okres, gdy Wiłkomirska była jedną z czołowych artystek, a Rakowski - skromnym działaczem niewysokiego szczebla. Jako mąż swojej żony został wprowadzony do środowiska artystycznego, intelektualnego, a także uzyskał dobrą pozycję materialną, która już wówczas go wyróżniała i wzbudzała niechęć. Jeździł takim starym oplem, a jeżdżenie zachodnim samochodem czy, powiedzmy, noszenie ubrań kupionych za granicą wyobcowywało go z aparatu. W „Polityce“ był od początku jej istnienia, kiedy było to pismo grupy działaczy. W kolegium redakcyjnym zasiadało dziewięciu członków KC należących do tzw. grupy puławskiej, czyli do liberalnego skrzydła. Po pierwszym naczelnym, Stefanie Żółkiewskim, Rakowski przejął „Politykę“, która wówczas była nie do czytania, tzn. zawierała głównie ideologiczne dywagacje interesujące dla bardzo wąskiego kręgu. Zaczął z niej robić pismo dla ludzi.

**- Właśnie - jakim był redaktorem?**



- Znakomitym - przez to co robił i przez to czego nie robił. Gdy go poznałem, był człowiekiem niepracowitym i niedrobiazgowym. Lenistwo jest wielką cnotą naczelnych redaktorów. Przyjmował na siebie rolę kierownika politycznego pisma, dobierał niezwykle zdolnych ludzi, którzy za niego gazetę na co dzień redagowali. On tylko nadawał kierunek i kontrolował politycznie, w ostatniej chwili czytając najważniejsze teksty. Zajmował się głównie pracą na zewnątrz pisma, podróżami, kontaktami, polityką. W życiu publicznym awansował poprzez awans „Polityki“, czyli robił karierę nie zmieniając stanowiska na wyższe. To najczystsza z karier, bo oparta na własnej pracy, a nie o nominacje.

Poprzez całe dziesiątki lat nie pisał się w hierarchii partyjnej. Z trudem został zastępcą członka KC i tak było przez kilka kadencji, ponieważ ciągle nie było możliwe, żeby mógł zostać pełnym członkiem. W końcu awansował na pełnego członka KC i aż do roku bodaj 1987 nie mógł w hierarchii partyjnej wspiąć się ani o stopień wyżej. Powody? Albo był w ciągłym konflikcie z większością aparatu, albo zajmował odrębną pozycję (na przykład rok 1968), albo go nie lubiano w Związku Radzieckim, gdzie uchodził za człowieka Zachodu, kosmopolitę o skłonnościach socjaldemokratycznych, pragmatyka i technokratę. Wówczas te epitety brzmiały jak najgorzej...

Pamiętam taki epizod z życia Rakowskiego dobrze obrazujący to, co mówię. W latach 60. MFR pojechał do Stanów i tam JFK, czyli urzędujący prezydent Kennedy, zaprosił go na weekend. Spędzili ten weekend nad jakimś jeziorem i prawie cały czas Rakowski pływał żaglówką, sam na sam z Jaqueline Kennedy. Pytaliśmy, czyją wtedy zerznął czy nie. Cała Warszawa tym się pasjonowała. On mówił, że nie zerznął i ja mu wierzę. Gdyby Pierwsza Dama mu dała, z pewnością by się pochwalił.

Gdy wrócił z tej podróży, można sobie wyobrazić, jaka w aparacie zapanowała niesamowita zawiść, zazdrość i wściekłość. Prezydent Stanów Zjednoczonych był osobą nieprzystępną nawet dla samego przywódcy partii, a co dopiero dla takiego szaraczka jak Rakowski. Wzbudzało to niechęć i podejrzliwość.

**- Skąd się wzięły tak ścisłe kontakty Rakowskiego z Zachodem? Zaczęło się chyba od doktoratu ze spraw niemieckich?**

- Robił doktorat na uniwersytecie z socjaldemokracji niemieckiej, ale przede wszystkim dużo jeździł za granicę. Najpierw podróżował wykorzystując pozycję pisma, a później - w latach 70. jako nieformalny emisariusz Gierka, który wysyłał go, jeśli potrzebował kogoś, kto umiałby coś wysondować, porozmawiać, tak żeby nie angażować nikogo oficjalnego. Kogoś, kto byłby tam życzliwie przyjmowany i godny zaufania.

**- Dlaczego był uznawany przez aparat za socjaldemokratę, za sympatyka Zachodu? Czy tylko dlatego, że pływał łódką z prezydentową USA?**

- Po części wynikało to z profilu „Polityki“, która starała się prezentować zachodnią myśl polityczną; która miała rozległe kontakty z Zachodem; która była tam po prostu znana i ceniona. Ukazywały się w „Polityce“ znaczące wywiady z zachodnimi politykami. Pismo równocześnie walczyło z polską zaściankowością, odwołując się do doświadczeń Zachodu w projektach reform w Polsce.

**- Czy Rakowski był snobem politycznym? Zarzucano mu wywyższanie się oraz to, że robi z siebie dygnitarza w zachodnim stylu.**

- On był politykiem w zachodnim stylu i właśnie tym zrażał sobie aparat.

**- Dało się być zachodnim politykiem we wschodnim kraju?**

- Do pewnego stopnia. Jeździł za granicę na niezliczone seminaria i odczyty. Bywał na warszawskich salonach. Jednocześnie wyjeżdżał do Rzeszowa czy Kielc, gdzie starał się wzbudzić zaufanie w kręgach partyjnych. Tam już nie był salonowcem, dopasowywał się do konwencji narad partyjnych. Zabiegał o przekonanie do siebie ludzi i pokazanie, że jest swojakiem.

Wciąż jednak był w aparacie ciałem obcym, a był przecież zmuszony funkcjonować w systemie, który nazwałbym sfeudalizowanym, gdzie ranga osoby brała się z nadania. Kierownictwo partii ogłaszało kogoś czołowym obrońcą pokoju czy najwybitniejszym pisarzem i takim się ów ktoś stawał. Rakowski łamał istniejący porządek świata już chociażby tym, że stwarzał się sam, a kierownictwo partii najwyżej przyjmowało to do wiadomości i akceptowało. Formalnie był przecież tylko jednym z kilkudziesięciu redaktorów naczelných pism teoretycznie podobnej rangii, a jednocześnie stawał się politykiem znanym w Polsce i na świecie. Wyrósł ponad nadaną mu miarę.

**- A w życiu towarzyskim, czy też się wywyższał?**

- Był i jest trochę snobem. Swój gabinet w „Polityce“ obwiesił zdjęciami przedstawiającymi go w towarzystwie światowych mężów stanu.

Kiedyś „Polityka“ urzędowała Sylwestra w jakiejś leśniczówce w środku lasu. Zimno tam było niesłychanie, spaliśmy pokotem na słomie. Rakowski zajechał przed samą północą, widocznie wcześniej musiał się bawić na jakimś ważniejszym przyjęciu w Warszawie. Ogromną wesołość zespołu redakcyjnego wzbudził jego strój - ubrany był w smoking i w koszulę z żabotami, plisami i koronkami, co w leśniczówce wyglądało śmiesznie. Wygłosił wtedy jedno z jego typowych, sentymentalnych przemówień.

Rakowski-redaktor panował jednak niezwykle demokratycznie. Zwykle naczelny decyduje o wszystkim: kogo przyjąć, kogo zwolnić, który tekst odrzucić. Otóż Rakowski bardzo się radził, słuchał podwładnych, wszystko dyskutował. Był też ciągle przedmiotem najrozmaitszych krytyk zbiorowych redakcyjnego kolegium. Głównie o to, że siedzi sobie na Mazurach albo w Bonn zamiast w redakcji. Ale Rakowski był demokratą pełnym respektu tylko dla tych, których uważał za partnerów, których cenił. Pracownicy pomocniczy redakcji byli urażeni tym, że ich nie zauważa, nie pamięta nazwisk itp.

Charakterystyczne dla Rakowskiego były takie cykle emocjonalne. Kiedy na kolegium bliscy i bardziej zaprzyjaźnieni współpracownicy naskakiwali na niego, no to on wysłuchiwał, wysłuchiwał i wiadomo było, że za chwilę naładuje się i wybuchnie, strasznie bluzgając i krzycząc.

**- Klął?**

- Tak. Potem oczywiście rozładowywał się, popadał w sentymentalizm i cała dyskusja kończyła się w atmosferze „kochajmy się“. Podobne cykle emocjonalne występowały kiedy on miał pretensje do współpracowników.

**- Czy można powiedzieć, że był pod czyimś wpływem politycznym?**

- Owszem. Miewał różnych przyjaciół politycznych. W pewnym okresie był to Starewicz, później Werblan. Wcześniej cała grupa z Żółkiewskim i Romaną Granasową. Oni uważali go za swojego ucznia. Ale był też pod wpływem ludzi z „Polityki“. W stosunku do niektórych miał nawet kompleksy.

**- Na przykład?**

- Wobec Radgowskiego, Bijaka. Wiedział, że lepiej od niego piszą, więcej wiedzą, tj. mają wiedzę bardziej wszechstronną i głębszą. I on to uznawał. Nigdy nie był człowiekiem, który pozbywa się ludzi pod pewnymi względami zdolniejszych od siebie. Czy nie lubił ich za to? Przeciwnie - jest pełen pokory, gdy ktoś go w czymś przerasta. Wiedział, że zgromadził wybitny zespół i wykorzystywał go umiejętnie dla celów publicznych.

**- A Jaruzelski? Czy wywierał na niego wpływ?**

- Ogromny.

**- Jakiego rodzaju?**

- Rakowski uznawał, że tak powiem, wyższość umysłową Jaruzelskiego. Nie jest człowiekiem klik, sitw, podskórnych ruchów. Nie ma nic z dworaka. Dlatego zwykle niepokoił szefów swoimi rozmowami albo memoriałami, w których wyrażał odrębne zdanie w różnych kluczowych momentach. I mówił otwarcie rzeczy nieprzyjemne. Jedynie Jaruzelski w pełni cenił i aprobował taką postawę Rakowskiego.

On zresztą był sprawcą wiecznego niepokojenia każdego kierownictwa. Tak było w roku 68, gdy wypowiadał się przeciw stosowanym wówczas metodom propagandowym. Tak było w roku 76, gdy krytykował ostro „proradzieckie“ zmiany w konstytucji. Tak było przed rokiem '80, kiedy napisał wielki memoriał (a potem książkę) zapowiadający kryzys systemu.

Wszystko bardzo silnie przeżywał. Jest człowiekiem pozbawionym cynizmu, dystansu, dwulicowości. Nie znaczy to, że w ogóle nie potrafi stosować taktyki, ale taktyka zawsze jest podrzędna wobec wyrażania zasad w zasadniczych sprawach.

**- Czy tylko cierpiał za te bezkompromisowe zachowania?**

- Wzbudzał przede wszystkim odruchy niechęci i nieufności części aparatu, ale też gruntował swoją pozycję polityczną i intelektualną wśród liberalnej części władzy. No i po kolejnych przemianach politycznych okazywało się, że miał rację, co wzmacniało jego pozycję na „następnym etapie“.

**- Mówił pan, że był bywalcem salonów warszawskich. Czy był playboyem?**

- Owszem, uchodził za playboya i był nim na tle aparatu. Jednakże playboy to człowiek, dla którego życie toczy się na rozrywkowej płaszczyźnie. Więc w istocie rzeczy playboym nigdy nie był. Rakowski - moim zdaniem - ma trochę kobiecą konstrukcję psychiczną. Zmienne nastroje, raz w euforii, raz w depresji. Nawet jego oceny polityczne bywają dyktowane nastrojami. To zapala się do jakichś projektów, to znów rozczarowuje. Podobnie zapala się i rozczarowuje do ludzi. Najlepiej czuje się w towarzystwie kobiet, szczególnie, gdy one w jakiś sposób go adorują. On otwiera się bardziej wobec kobiet niż wobec mężczyzn. Bardzo przyjaźni się z kobietami.

**- Z kim najbardziej?**

- No..., on romansował z ogromną liczbą kobiet.

**- Skutecznie romansował?**

- Niezwykle skutecznie. Ale nie sądzę, żeby Rakowski był zdolny wyłącznie do romansu typu „popierdółka“. On musi czuć jakiś „duszny“ kontakt psychiczny. Obiektem takiego długotrwałego romansu była również siostra Fikusa, bardzo piękna dziewczyna.

**- Kobiety też dobierał kierując się snobizmem? Musiały to być kobiety odpowiednio wysokiej rangi?**

- Przeważnie były to kobiety mające wysoką pozycję na rynku damskim. Z Wrzesińską miał romans... Ja mam złą pamięć, nie pamiętam więc wszystkich przyjaciółek Rakowskiego. No, bardzo długo trwał i trwa nadal romans z Elżbietą Kępińską, jego obecną żoną. To był bardzo burzliwy romans. Ona była żoną aktora Władysława Kowalskiego, on mężem skrzypaczki Wandy Wilkomirskiej. Spotykali się, ukrywali, wszyscy wiedzieli o ich uczuciu, a oni zachowywali pozory. W końcu Kępińska rozstała się z Kowalskim, Rakowski rozstał się z Wilkomirską, razem zamieszkali w wynajętym mieszkaniu. Notabene ja pomogłem wynająć to mieszkanie. Potem Kępińska wyprowadziła się jednak od Rakowskiego, który mieszkał sam, czekając na jej powrót. Kiedy wróciła już zostali razem. Pobrali się dopiero po wielu latach, cichcem... No, strasznie to było skomplikowane i burzliwe.

Howiecki opowiadał, że leciał kiedyś z Rakowskim przez Niemcy do Paryża. MFR był zaproszony do jakiegoś niemieckiego miasta, chyba Monachium, tam uroczysto witała go delegacja. Rakowski został. Howiecki tym samym samolotem poleciał dalej do Paryża, zajechał do hotelu, przebrał się i zaraz pojechał na jakieś spotkanie w kawiarni. Wchodzi do tej kawiarni, patrzy, a tu siedzi Rakowski z Kępińską. Najwidoczniej po uroczystym powitaniu w Niemczech Rakowski wsiadł do następnego samolotu do Paryża.

**- Czy takie bezpruderyjne życie osobiste także wzbudzało niechęć aparatu do Rakowskiego?**

- Chyba tak. Aparat był pruderyjny i zawistny. Gdy Rakowski zaczął romans z Kępińską, to ona była pierwszą amantką scen warszawskich. Uważana była za najbardziej fascynującą aktorkę.

**- I przestała być gwiazdą z powodu Rakowskiego?**

- Nie sądzę. Tak się po prostu układają losy aktorek...

**- Czy widział pan kiedykolwiek Rakowskiego załamanego?**

- Co drugi dzień widuję go załamanego. Znam wszystkie stadia tych depresji. On łatwo wybucha gniewem, ale jest to gniew dla nikogo niegroźny. Równie łatwo popada w sentymentalizm. Wystarczy najmniejszy bodziec dodatni, a już promieniuje euforią. Gdy coś mu nie pójdzie, zagłębia się w depresję.

**- W powszechnej opinii Rakowski jest cholerykiem i raptusem. Jako przykład podaje się często jego wystąpienie w Stoczni Gdańskiej z sierpnia 1983 roku. Czy był pan świadkiem podobnych publicznych wystąpień?**

- Byłem, ale nie przywiązywałem do tego takiej wagi, żeby dziś to szczegółowo pamiętać. Rakowski jest niewątpliwie człowiekiem o dużej miłości własnej, bardzo sobą zajęтым, zawsze dbającym o to, jak go widzą inni.

Z natury jest cholerykiem i liberałem. Gdy był premierem, ostro krytykowała go prasa. Wściekał się jak byle Messner najmniejszą niepoehlebną wzmianką o sobie, niesłuchanie przeżywał każdą zjadliwość pod swoim adresem. Oburzał się, wrzeszczał, kłął, ale nigdy nie był zdolny do tego, żeby wyciągnąć jakiegokolwiek negatywne konsekwencje wobec autora. Nie znosił krytyki swojej osoby, ale nie robił nic, co mogłoby tę krytykę ograniczać.

**- Jaką ksywę nosił MFR? Czy w ogóle go przezywano?**

- Tak. Taką najpopularniejszą ksywką jest „Frako“ - tak go nazywa żona

I tak nazywało go środowisko STS-u, z którym był przez całe lata związany. „Frako“ jest zarówno kombinacją nazwiska i drugiego imienia - Franciszek, jak i nawiązuje do elegancji fraka.

**- Był związany z STS-em?**

- Przez wiele lat. Pociągało go to środowisko, wesołe, artystyczne, intelektualne, ale i polityczne. Przyjaźnił się z Jareckim i innymi ludźmi z STS-u. To również go wyobcowywało z aparatu; jego otoczenie towarzyskie zawsze było inne niż gremium partyjne.

Jak wiadomo środowisko STS-u osiadło we wsi Zgon na Mazurach. Oni wszyscy najpierw wyjeżdżali tam na lato, potem zaczęli się budować. Rakowski w latach 60. zbudował sobie domek w odległości dwóch kilometrów od Zgonu, nieopodal leśniczówki Pranie. Żył tam latem jedną bandą. Rakowski, gdy był naczelnym „Polityki“, spędzał w swoim domku nawet trzy miesiące w roku, co zespół doprowadzało do pasji. Całymi dniami oni tam wspólnie żyli, pili itd.

Po ogłoszeniu stanu wojennego zaczął się tam ostracyzm wobec Rakowskiego. Środowisko STS-u podzieliło się na mniejszość, która została przy Rakowskim oraz na większość, która przestała się z nim zadawać.

**- Dawali mu odczuć, że są przeciwko niemu?**

- Tak, po prostu przestali go zapraszać, przestali u niego bywać.

**- Przeżywał to?**

- Bardzo boleśnie to odczuł. Dochodziło tam do prawdziwych dramatów towarzyskich. Ktoś kogoś wyrzucił z domu, obraził jeden drugiego, nie pamiętam...

**- Rakowski nie był lubiany w Związku Radzieckim. Dawano mu to wielokrotnie do zrozumienia. I nagle MFR zapalał miłością do Gorbaczowa, o czym zresztą pisze w swoich wspomnieniach. Przecież był taki czas, że nawet Gorbaczow go w ZSRR nie bronił. O co w tym chodziło?**

- Kiedy Gorbaczow został szefem partii, nie tylko nie bronił Rakowskiego, ale ciągle wyrażał zdziwienie wobec Jaruzelskiego, że MFR jest jeszcze tolerowany, że wciąż odgrywa istotną rolę polityczną. Wynikało to -jak przypuszczam - z donosów i analiz, które Gorbaczow dostawał na biurko. Przelamanie nastąpiło dopiero wówczas, gdy Gorbaczow przyjechał do Polski w tę długą podróż w 1987 roku i po prostu poznał Rakowskiego, zaprzyjaźnili się i do dziś są zaprzyjaźnieni.

**- O tę przyjaźń zabiegał Rakowski, a nie Gorbaczow.**

- No, mój Boże...

**- Czy Rakowski nie miał jakiegoś urazu na punkcie „radzieckich“? Prawdopodobnie miał, to dlaczego tak chętnie pobiegł za Gorbaczowem?**

- Bo Gorbaczow był i pozostanie fascynującą postacią polityczną, która odegrała olbrzymią rolę we współczesnym świecie. Zresztą Rakowski nie musiał już wtedy przecież wiedzieć, że Gorbaczow jest mu osobiście niechętny.

**- Okres schyłkowy w karierze Rakowskiego. Gorzkie słowa na ostatnim zjeździe PZPR. Miał pan z nim wówczas kontakt?**

- Niemal codzienny.

**- Jak się zachowywał? Jak to odczuwał? Co zamierzał dalej robić? Czy nie miał myśli samobójczych?**

- Nie miał takich skłonności. Przeżył za to wielkie rozczarowanie osobiste, ponieważ sądził, że jest tak niekwestionowanym przywódcą nurtu reformatorskiego w partii, że w rezultacie tego zjazdu powstanie nowa partia socjaldemokratyczna, na czele której stanie właśnie on.

**- Dlaczego tak się nie stało?**

- Bo cała grupa młodych polityków inaczej postrzegała Rakowskiego niż on sam postrzegał siebie. Młodzi uważali, że nową partię trzeba uwiarygodnić, oddając ją w ręce nowego pokolenia działaczy. A Rakowski - twierdzili -jest już politycznie zużyty, pozostanie symbolem stanu wojennego i ekipy Jaruzelskiego.

Pamiętam, że Rakowski zdając sobie z tego sprawę, postanowił ustąpić, ale swoje odejście zapowiedział dopiero w przemówieniu wstępnym na zjeździe. Siedziałem wtedy obok

Siemiątkowskiego, jednego z przywódców „Ruchu 8 lipca“. Kiedy Rakowski powiedział z trybuny, że usuwa się i to samo proponuje innym ludziom ze swojego pokolenia, Siemiątkowski odwrócił się do mnie z entuzjazmem, mówiąc, że to genialne posunięcie i że chyba ja to wymyśliłem. Wyciągnął do mnie rękę, której nie przyjąłem, bo wściekłem się na Rakowskiego, że zdecydował się ustąpić.

Po Zjeździe razem z Rakowskim poszedłem w towarzystwie nowo wybranego kierownictwa SdRP na kolację do „Wilanowskiej“.

**- Upić się z rozpacz?**

- Nie. Raczej mówiło się o tym, jak tę nową partię przebudować... Entuzjazmu było co najmniej tyle samo co rozgoryczenia.

**- Obecnie Rakowski jest szeregowym członkiem SdRP?**

- Takim całkiem szeregowym to nie. Przewodniczy - zdaje się - komisji programująco-analitycznej. Przez jakiś czas miał swój gabinet obok sekretarza generalnego Millera. Teraz już przestał chyba z niego korzystać... Obecnie Rakowski spełnia funkcję typowego polityka-seniora, czyli człowieka, który jest doradcą, analitykiem, publicystą. Tak więc nadal funkcjonuje w partii.

**- Czy wykorzystuje dla partii swoje rozległe kontakty zagraniczne?**

- Tak, jeździ często do Niemiec, ma tam odczyty, zapraszany jest na seminaria dyskusyjne poświęcone przyszłości Europy, niedawno był w Chinach na zaproszenie tamtejszych władz. W polskiej lewicy odgrywa rolę podobną do tej, którą odgrywa Brandt w niemieckiej socjaldemokracji. Obaj są autorytetami osobistymi.

Tak jak przez całe dorosłe życie, wciąż przyjmuje zagranicznych dziennikarzy, jest źródłem opinii o Polsce. Bywa w Moskwie, przed kilkoma miesiącami wybuchła nawet awantura o to, że coś tam powiedział rzekomo niekorzystnego dla Polski.

**- Czy jest zawiedziony obecnymi stosunkami politycznymi i społecznymi w Polsce?**

- Zdecydowanie zawiedziony. Rakowski bardzo wnikliwie widział wszystkie wady realnego socjalizmu, tworzył pewien nurt - do którego i ja należałem - oparty na pewności, iż socjalizm trzeba przebudować, ale od wewnątrz. Wszystko poszło nie po naszej myśli, chociaż myśmy dążyli do zmian. Niektóre z nich są obecnie urzeczywistniane, ale nie w sposób, który jesteśmy w stanie zaakceptować. Zbyt duże ofiary społeczne, za wiele chaosu i braku konsekwencji.

W latach 70., już po objęciu władzy przez Gierka, Rakowski powiadał z entuzjazmem, że historyczną zasługą Gierka jest rozłożenie raz na zawsze realnego socjalizmu. System gierkowski oparty był o tak silne więzi z Zachodem i o taki kompleks strażaków w grudniu 1970 roku, że podmył istotę realsocjalizmu, którą była izolacja i skłonność do obrony ustroju siłą. Gierkizm zarzucił ostatecznie krwawe tłumienie powstań społecznych. A więc Rakowski mówił, że zasługą Gierka jest zniszczenie socjalizmu. W takich chwilach radziłem mu usilnie, żeby trzymał mordę w kubeł, bo wyleci z partii, a to, co o nim opowiadano w

aparacie, że jest wewnętrznym wrogiem, okaże się prawdą. To jego chlapanie jęzorem wynikało z ogromnej impulsywności i zaangażowania w przyszłość Polski.

**- Czy dzisiaj jest politykiem przegranym, odsuniętym, bez wpływów i przyszłości?**

- Zdecydowanie tak. Dziś na Rakowskim wieszają się psy nawet w kabaretach, pokazuje się go jako symbol poprzedniej epoki, co jest kompletną bzdurą. Proszę zauważyć, jaka była polityka rządu Rakowskiego... Obecny stosunek do niego wynika - jak sądzę - z tego, że Rakowskiego nie było przy okrągłym stole. On się od stołu zdystansował, co później miano mu za złe.

**- Zdystansował się?**

- No tak. To jego słynne powiedzenie, że on się będzie zajmował tym, co na stole Polaka, a nie samym meblem. Rakowski jak przypuszczam był w głębi urażony tym, że impreza nie jest w jego ręku, że nie on prowadzi historyczne dzieło porozumienia. Był zły, że okrągły stół hamuje mu reformy. Na czas rozmów i długo potem liczne posunięcia rządu zostały zawieszane i czekały na uzgodnienia z opozycją, podczas gdy on chciał samodzielnie posuwać to dzieło do przodu. Ale nie znaczy to, że Rakowski był przeciw układaniu się przy okrągłym stole.

Obecne niechęci wobec Rakowskiego wynikają również z tego, że największą niechęć odczuwa się do wroga, który podobnie myśli. Rakowski przy wszystkich różnicach był pokrewny opozycji, wywodził się z tych samych kręgów towarzyskich. Tym facetom z opozycji chodziło o to, że ktoś taki jak Rakowski powinien być z nimi.

On sam jest politykiem, który nie boi się publicznych polemik. Miał odwagę i nigdy nie był kunktatorem. Warto wspomnieć, że kiedy ogłoszono stan wojenny, to Rakowski poszedł do Jaruzelskiego z prośbą o zakazanie weryfikacji w „Polityce“. No i w „Polityce“ weryfikacji nie było, Rakowski osobiście rozmawiał z każdym z tej grupy, która chciała odejść z pisma. Bez żadnego wyjątku.

**- Ale też bez skutku. Czy Rakowski rzeczywiście był człowiekiem, który się wywyższa i nie liczy z maluczkimi?**

- Już mówiłem, że bardzo liczył się z opiniami na swój temat. Bardzo serio traktował każdy list, a listów jako premier otrzymywał codziennie dziesiątki. Na każdy starał się odpisać, spędzał nad tym długie godziny. Przejmował się ludzkimi sprawami, nie wszystkimi, ale jak już się przejął, to doprowadzał je do końca. Z tego punktu widzenia nie był obojętny na maluczkich.

W kontaktach służbowych i osobistych natomiast dzieli ludzi na tych, których ceni, którzy mu czymś imponują, w czymś mogą być pomocni, i na ludzi, których nie dostrzega.

Dosyć typowa była historia Basi Olszewskiej, dziennikarki z „Polityki“. Olszewska pracowała w redakcji od niepamiętnych czasów i nadal w niej pracuje. Rakowski na zebraniach, na których oceniało się publikacje, uparcie mówił o niej „Olszowska“. Basia bardzo boleśnie to odczuwała.

**- Mówił tak celowo?**



- Nie, po prostu nie mógł nauczyć się wymawiać prawidłowo jej nazwiska. Po kolejnej takiej pomyłce ktoś poszedł do Rakowskiego i klaruje mu, że człowiek pracuje tutaj od dwudziestu lat, a szef nie ma czasu zamienić z nim choćby kilku słów. No to Rakowski wzywa Olszewską i mówi: „Podobno źle się pani czuje dlatego, że z panią nie rozmawiam. Proszę, o czym by chciała pani ze mną porozmawiać?” Ona speszona mówi, że nie wie, że przeprasza. - „To znaczy, że niczego pani ode mnie nie chce?” - „Nie”. - „No to dziękuję i do widzenia”.

**- Obecnie Rakowski jest zainteresowany swoim miesięcznikiem „Dziś”?**

- Naturalnie, że jest.

**- Codziennie przychodzi do pracy?**

- Nie. Aż tak tym się nie przejmuje. To jest miesięcznik, Rakowski czyta teksty, redaguje pismo, ale codziennie w nim nie bywa. Nie ma takiej potrzeby. Gdyby „Dziś” odniosło sukces, gdyby zapewniało Rakowskiemu prestiż i uznanie, to na pewno bardziej by się nim zajmował. Z kolei to, że się nim mało zajmuje, nie sprzyja sukcesowi.

**- Kto ustalał dla niego pensję redaktora naczelnego?**

- Ja - jako prezes spółki.

**- Ile mu pan płaci miesięcznie?**

- Dwanaście milionów.

## **Ja i nasz czerwony gang**

**- W jaki sposób odbyło się przejście z gierkizmu na kanizm w roku 1980? Nie był pan wtedy blisko władzy, ale coś musiał pan wiedzieć...**

- Wiadomości z KC dostawaliśmy w „Polityce“ za pośrednictwem Rakowskiego. Nie warto jednak, żebym cokolwiek sobie przypominał, bo nie mam nic ważnego do powiedzenia. Byłem wtedy za daleko.

**- Uwierzył pan Gierkowi, kiedy w wywiadzie z Rolickim skarżył się na niewdzięczne potraktowanie przez Kanię?**

- Każdy z przywódców przed Kanią, ustępujący z konieczności, uważał, że wszystko co dzieje się w społeczeństwie, jest specjalnie inscenizowaną zadymą, a zdradza go i zjada tylko część jego ekipy. Gdyby nie niewdzięczność kumpli rządziłby do śmierci. Wszyscy chcą wygryźć znakomitego przywódcę i przez to skrzywdzić naród. Gierek zachował się według tego samego schematu. Nie jest to nic dziwnego, ale też nic ciekawego.

W polskich warunkach - do lat 80. - zmiany znaczących pierwszych sekretarzy partii (wszystkich, oprócz Ochaba), odbywały się w sprzyjających warunkach biologicznych; Bierut zechciał sam w porę umrzeć; Gomułka dostał jakiegoś ataku serca, ja tego precyzyjnie nie nazywam, ale fizycznie był niesprawny, leżał w łóżku, zabrano go do szpitala, mówiono żeby zrzekł się władzy tylko na okres leczenia itd.; Gierek również zasłabł i pojechał do szpitala. Po prostu organizm widocznie nie wytrzymuje procesu utraty władzy. Choć i Gierek i Gomułka należeli do ludzi, którzy okazywali raczej dobrą kondycję fizyczną.

**- Jak wyglądał układ sił w partii po sierpniu '80? Jakie było wówczas znaczenie Jaruzelskiego, czy już tak duże?**

- Nie, tego się nie odczuwało. Jaruzelski dosyć nagle został premierem i wtedy dopiero zaczął mieć znaczenie. Dotąd tradycyjnie się nie wtrącał, był osobą tajemniczą, funkcjonującą przeważnie w wojskowym wymiarze.

**- Tajemniczą, ale dość jednoznaczną. Długo był ministrem obrony narodowej, należał do najważniejszego kręgu władzy partyjnej...**

- Proszę zauważyć - dla tego wąskiego kręgu było typowe, że każdy kto się w nim znajdował, wręcz historycznie trzymał się swojego resortu, swojej dziedziny. Panował taki zwyczaj, że po prostu nie wypadało wtrącać się do cudzych spraw. Wszyscy przestrzegali tej zasady i dzięki niej byli także jedynymi gospodarzami w swojej dziedzinie. Miejscem, gdzie się wtrącano, były posiedzenia Biura Politycznego. Można tam było mówić o sprawach różnorodnych, jeden mówił o sprawach drugiego, tak jak to przewidywał porządek dzienny.

Z tego co wiem (później bywałem na takich posiedzeniach), to i tam wtrącano się rzadko i niechętnie w cudze gospodarstwo, a jeśli już to z wielką kurtuazją i delikatnością. Dużo było w tym celebry.

**- A jak pan ocenia układ sił we władzach, gdy już pan został rzecznikiem?**

- Rzadko zastanawiałem się nad władzą jako zespołem. Dostrzegałem raczej pojedyncze osoby, z którymi miałem kontakty. Jeśli chodzi o próbę charakterystyki zbiorowej tej grupy, to rzucała się w oczy ogromna przewaga Jaruzelskiego nad resztą. Pierwszy sekretarz zawsze górował, bo był źródłem władzy, ale Jaruzelski górował absolutnie: wnikliwością analiz, umiejętnością trafiania w istotę rzeczy, intelektem. Nie tylko dlatego, że podejmował decyzje i wszyscy byli od niego całkowicie zależni. Inni gadali, gadali, a Jaruzelski decydował. Czyli kierownictwo partii było skonstruowane jak zespół doradców pracujących na pierwszego sekretarza i dla pierwszego sekretarza. Zarazem jednak jak zespół udzielnych włodarzy różnych dziedzin życia, działający w ramach uzgodnień dokonywanych w najważniejszych sprawach. Właściwie istotną władzę decyzyjną miał tylko pierwszy sekretarz, w pewnym zakresie premier. Natomiast inni mieli tylko władzę wykonawczą, ale za to dużą i chronioną przed kontrolą.

Za mojej obecności przewinęła się przez zespoły kierownicze ogromna liczba postaci. Kiedy byli przy władzy, patrzyłem na nich jak na ludzi dużego kalibru, kiedy władzę tracili widziałem gwałtowne kurczenie się ich formatu, tak że zdumiewałem się, co ja w nich przedtem widziałem, jak mogłem podlegać ich magii. Czy z tych ludzi nic nie zostaje, gdy tracą władzę, czy mój sposób patrzenia na ludzi tak się zmienia? Zapewne i jedno, i drugie. Oczywiście ta reguła karlenia nie dotyczy intelektualistów.

**- Kogo uważa pan za prawdziwego intelektualistę?**

- Kubiaka, Tejchmę, Wilczka, Bakę, Sadowskiego, Barcikowskiego, Rakowskiego, Krasińskiego...

**- To, że Jaruzelski górował nad aparaczkami, musiało powodować wrogość wobec niego. Czy w roku 1981 Jaruzelski miał wrogów wewnątrz aparatu partyjnego?**

- Oczywiście. Miał wrogów, ale tego nie można było dostrzec. To się wiedziało, ale nie widziało. Zresztą, ja jeszcze wtedy nie byłem na takim szczeblu wtajemniczenia, żeby przy mnie uzewnętrzniano objawy wrogości.

**- Ale wiedział pan o podziałach- na twardych i miękkich...**

- Owszem, ale nie można było tego wypatrzyć. To się wiedziało z plotek...

**- Ten podział wpływałprzecież na pańską pracę! Nie wyobrażamy sobie, żeby pan nie brał pod uwagę tych podziałów i nie musiał się z nimi liczyć.**

- Byli ludzie, do których chodziłem, z którymi utrzymywałem jakieś związki, miałem nić porozumienia, i byli ludzie, do których nie chodziłem. Na tym polegało moje odróżnianie podziałów.

**- Do kogo pan nie chodził?**

- Np. do Milewskiego, ministra spraw wewnętrznych, członka Biura i sekretarza KC. Nigdy nie chodziłem do szefów organizacyjnych partii, z wyjątkiem okresów przed wyborami. Nie miałem do czynienia z sekretarzami rolnymi.

Moje kontakty z partią polegały na tym, że albo chodziłem omawiać sprawę, o której miałem mówić na konferencji, albo uczestniczyłem w pracach któregoś zespołu. Kierownictwo produkowało niezliczoną ilość różnych zespołów, a ja byłem często i chętnie do nich powoływany. Gdyby rzeczywiście wszystkie te zespoły działały, a ja bym w nich uczestniczył, to całe noce i dni musiałbym spędzać na posiedzeniach. Na szczęście powoływanie zespołów było przeważnie rytualnym sposobem oddawania honorów jakiegś potrzebie. Wiele z tych zespołów zebrało się tylko raz.

W nielicznych przypadkach związanych z ważnymi wydarzeniami zespoły miały charakter - jak to określało Biuro - zadaniowy. I wtedy rzeczywiście funkcjonowały: sztab wyborczy, zespół przygotowujący podwyżkę cen, czy coś takiego... Ale zwykle odbywało się posiedzenie inauguracyjne i na tym się kończyło. Był na przykład zespół do spraw propagandy na zagranicę. Zebrał się ze trzy razy, potem o nim zapomniano. Potem powołano nowy nie pamiętając, że poprzedniego nikt nie rozwiązał. W MSZ powstał „zespół szybkiego reagowania“. Raz tylko obradował mówiąc, że trzeba szybko reagować.

**- W których zespołach odegrał pan znaczącą rolę?**

- W tych powoływanych w związku z podwyżkami cen i w związku z wyborami. Funkcjonował zespół prasowy, czyli zgromadzenie głównych notabli od propagandy. Ale jego posiedzenia za czasów Olszowskiego i Główniczka to były odprawy. Czasem bywałem na nich, ale zwykle wysyłałem zastępcę. Przychodziłem natomiast na posiedzenia ogółu redaktorów naczelnych, lecz tradycyjnie milczałem. Dlaczego? Bo nie byłem szefem żadnego systemu propagandowego, żadnej telewizji ani gazety. Nie miałem swojego miejsca w układzie polegającym na ścisłym podziale na tych, którzy siedzą za stołem prezydyjnym, rządzą i mówią, oraz na tych, którzy siedzą na sali, wykonują i słuchają. Byłoby więc nietaktem, gdybym zwracał się do redaktorów z sugestiami, gdyż wtedy uzurpowałbym sobie władzę należną pionowi propagandy KC. Nie byłem dysponentem prasy, radia, TV, ale także nie byłem w roli odbiorcy dyrektyw i podwładnego.

**- Czy ta niezręczność sytuacji wynikała tylko z powodów strukturalno-zwyczajowych, czy też nie miał pan ochoty uczestniczyć w tym, co partia mówi do swoich tub propagandowych?**

- Raczej to pierwsze. Tak jakoś przyjęliśmy - ja i moi zastępcy - że kierowaliśmy prośby do prasy, TV i radia o zwrócenie uwagi na takie czy inne poczynania rządu. Wypowiadaliśmy się wyłącznie jako przedstawiciele rządu, a nie współtwórcy propagandy. Dzięki temu ani szefowie propagandy, ani szefowie gazet, agencji czy rozgłośni nie mieli do mnie pretensji.

**- W jaki zatem sposób wpływał pan na propagandę partyjną? Czy w ogóle miał pan taki wpływ?**

- Tylko pośredni. Przez to, co mówiłem na konferencjach prasowych. To nadawało pewien ton, tworzyło precedensy, sugerowało tematy, pokazywało, że coś można.

**- Czy uważał pan, że propaganda partyjna wlokła się za panem, za pana systemem informowania, opisywania i komentowania polityki?**

- W istocie rzeczy tak, tylko że nigdy, nigdzie, tego tak nie sformułowałem.,

**- Czy najsmielsze myśli i możliwości interpretacyjne wychodziły od pana?**

- W niektórych sprawach. Nie dotyczyło to prawie w ogóle gospodarki, natomiast polityki dotyczyło w dużym stopniu.

**- Jak dziś ocenia pan swoją skuteczność jako rzecznika?**

- To było skuteczne przede wszystkim dlatego, że było słuchane, oglądane i czytane. Konferencje rzecznika śledziło w TV, radiu lub prasie ponad 20 mln ludzi. Badania społeczne pokazywały, że o konferencjach się mówiło. Byłem zatem skuteczny o tyle, że to co mówiłem, w ogóle do ludzi docierało. Większość z tego, co ówczesna władza produkowała w mass mediach nie osiągało nawet tego celu. Wstępniaki, referaty, przemówienia (z wyjątkiem tych, które wygłaszał gen. Jaruzelski) śledził tylko wąski krąg profesjonalnych obserwatorów sceny politycznej. Rytuał partyjny przewidywał staranne komponowanie wstępniaków, których na dobrą sprawę nikt nie czytał, może z wyjątkiem drobnej części aparatu. Potem to się zmieniło, propaganda posługiwała się nowymi formami, ale też z mizernym skutkiem.

Jeśli chodzi o dalej idącą skuteczność moich konferencji, czyli o przyjmowanie moich argumentów, punktów widzenia i wiarygodność informacji, to zależało od orientacji politycznej słuchającego. Cała ówczesna opozycja miała dość skrzywione wyobrażenie o mojej skuteczności, bo oni, ich znajomi, krewni, kobiety - całe to środowisko - miało do mnie stosunek szczególnie wrogi. Opozycja podważała wszystko co mówiłem - od A do Z. Wyobrażała sobie ponadto, że całe społeczeństwo reaguje na mnie tak jak oni.

Te reakcje niechęci, zjadła kontrpropaganda, płynąca to z Wolnej Europy, to z prasy podziemnej - w tym wszystkim intuicyjnie wyczuwałem potwierdzenie mojej skuteczności. Przecież gdyby się mnie nie obawiano, nie liczone z oddziaływaniem, to puszczano by mimo uszu to co mówię, tak jak debaty na plenach KC. Badania wykazywały, że około 28% społeczeństwa deklaruowało zaufanie do tego co mówiłem, a około 50% nieufność. To oznaczało zaufanie 8 milionów. Generalne deklaracje o nieufności nie oznaczały głuchoty na informacje i argumenty w poszczególnych sprawach.

Dla aparatu władzy bez względu na orientację i na stopień twardości czy miękkości byłem kimś w rodzaju gladiatora, który co tydzień bierze się za bary z przeciwnikiem politycznym. Byłem za to chwalony i poklepywany po plecach. W ich rozumieniu wykonywałem po trosze za nich pracę trudną i niebezpieczną. W moim pojęciu była łatwa i bezpieczna.

Jeśli idzie o tzw. milczącą większość, o której dusze obydwie strony wiodły przecież walkę, to powiedziałbym, że wszystko zależało od sprawy, w jakiej występowałem. Skłonność do przyjmowania faktów i argumentów była zróżnicowana, zależna od tego, jaki był stosunek milczącej większości do danego zagadnienia. Jeśli mówiłem dlaczego niezbędna jest podwyżka cen, odrzucano to co mówiłem, bez względu na argumenty. Były jednak sprawy i wydarzenia, gdzie zaufanie było wyraźnie większe.

Problem zaufania społecznego najsilniej wypłynął po awarii w Czarnobylu. To wydarzenie w sposób laboratoryjnie czysty umożliwiło postrzeganie zaufania do władz. Po awarii potrzebna była taka informacja, której się ufa. Nic tego zaufania nie mogło zastąpić. O tym, gdzie są jakie skażenia i czy są groźne, czy niegroźne, wiedziała niewielka grupa fachowców,

a tej wiedzy w prosty sposób laik nie mógł zweryfikować. Czarnobyl był więc czystym testem na zaufanie społeczeństwa do władzy. Wypadł on bardzo ujemnie.

Ta chwila prawdy wykazała, że prawie całe społeczeństwo odrzucało wszystko, co na ten temat mówiłem. W tym czasie odbiorniki radiowe we wszystkich prawie polskich domach były nastawione na Wolną Europę czy inną zachodnią radiostację, skąd płynęła kontrpropaganda.

W tej sprawie Wolna Europa oraz jej informatorzy, czy to z krajowych kręgów opozycji czy półopozycji, czy z zachodnich środowisk naukowych - wykonali robotę haniebną. Podważali wszystko co mówiłem. Uważam, że była to hańba dla naszych przeciwników, bo nie zreflektowali się i nie doszli do wniosku, że w tak poważnej sprawie jak awaria reaktora jądrowego, należy zawiesić walkę polityczną. Nie wolno było z Czarnobyli robić instrumentu do podważania naszej wiarygodności czy zbijania na tym kapitału politycznego. Czarnobyl miał wymiar ogólnoludzki i podważanie tego, co mówiliśmy było niehumanitarne, nieprzyzwoite i niemoralne. My nie kłamaliśmy. Diagnozy i dyrektywy jakie ogłaszaliśmy zostały potem potwierdzone przez Międzynarodową Agencję Atomistyki w Wiedniu. Nasi przeciwnicy jednak twardo podważali wszystko co mówiliśmy siejąc lęk. Dla nich z góry było oczywiste, że kłamiemy. Przyjmowali za prawdziwe wszystko, co przeczyło naszym informacjom. Zachodnie rozgłoszenie powoływały się na pomiary skażeń dokonywane przez anonimowych amatorów i nadawały je w świat. Ludzie zaś wpadali w panikę, wierząc we wszystko, co usłyszeli ze źródeł uznawanych za niezależne i bezinteresowne.

**- *A sobie nie ma pan nic do zarzucenia?***

- Działalność całej władzy i moją w tym okresie uznaję za prawidłową. Powoływaliśmy ekspertów, dość poważne autorytety, nieskażone polityką, żeby ludzie z ich ust dowiadywali się wiarygodnych informacji. Ja publicznie wyjaśniałem, o czym nie informuję i dlaczego. Wydaje mi się, że dość obrazowo mówiłem o rzeczach dla ludzi nie do pojęcia. Powiedzmy: dlaczego można jeść sałatę, a nie można jeść mięsa ze świeżo zabitej krowy; dlaczego nie są niebezpieczne skażenia przyjęte za szkodliwe dla mieszkańców okolic elektrowni atomowych. Po prostu: sałata to kilkadziesiąt centymetrów skażonej powierzchni, a krowa zbiera skażenia z kilkuset metrów; poziom promieniowania szkodliwy dla poddanych mu przez **20** lat jest nieszkodliwy dla poddanych mu przez tydzień. To były rzeczy trudne do wytłumaczenia, zrozumienia i uwierzenia. A kontrpropaganda wszystko podważała. W obliczu zjawiska nowego, nieznanego, strach jest szczególnie wielki i wierzy się tym, którzy straszą, a nie tym, którzy uspokajają bez względu na to, jaka jest prawda.

**- *Kiedy dowiedział się pan o awarii w Czarnobyli?***

- O wzroście poziomu skażeń, bo jeszcze nie o awarii, dowiedziałem się o drugiej w nocy z niedzieli na poniedziałek.

**- *Czyli 28 kwietnia. Późno.***

- Dopiero wtedy, gdy nasze przyrządy pomiarowe zaczęły wszędzie notować skażenie i te pomiary trafiły do Agencji Atomistyki.

**- *Wcześniej żadnej informacji z Moskwy nie było?***

- Oczywiście, że nie było.

**- *A Głowczyk wstrzymał o dobę nadanie informacji o katastrofie?***

- Nie wiem, co on wstrzymał i dlaczego. Wiem, że usilnie prosiliśmy Moskwę, żeby się odezwała, zabiegaliśmy, by radzieccy powiedzieli, co się stało. Proszę zrozumieć - nie znaleźliśmy powodu wzrostu skażeń. Mieliśmy do czynienia z czymś, czego nie znaleźliśmy.

Zostałem poinformowany przez Rodowicza, wiceprezesa Polskiej Agencji Atomistyki, który zdobył mój numer telefonu i zadzwonił w nocy. Zadzwonił do mnie, ponieważ uznał, że jako fachowiec od informowania opinii publicznej powinienem wydać komunikat o skażeniach. W pierwszym odruchu zacząłem pisać taki komunikat: „Jak poinformowała Polska Agencja Atomistyki, na terenie naszego kraju zanotowano wzrost poziomu skażeń...” W drugim odruchu zacząłem zastanawiać się, co mam napisać. Co mam powiedzieć ludziom? Skąd się wzięły skażenia i co z tego wynika? Odłożyłem długopis i zacząłem dzwonić do różnych ważnych osób, ministrów itd. Uzgodniliśmy, że się zbierzemy w KC. Zebraliśmy się: z rozmowy wynikało, że problem jest bardzo poważny. Został zbudzony wicepremier Szałajda, żeby zadzwonił do Moskwy, bo z zachodnich źródeł było już wiadomo, że coś się stało w ZSRR. Mówiono, że bomba, czy coś takiego. No i Szałajda zaczął telefonować do Moskwy.

**- *Z jakim skutkiem?***

- Właściwie żadnym. Dyżurni przy radzieckich telefonach o niczym nie wiedzieli. Czekaliśmy aż radzieccy oddzwonią.

**- *Musiała to być noc z poniedziałku na wtorek. W poniedziałek BBC podało, że była awaria w Czarnobylu. Była to pierwsza informacja na ten temat, jaka dotarła do Polski.***

- Nie pamiętam, czy to była noc z niedzieli na poniedziałek, czy z poniedziałku na wtorek. Na początku myśleliśmy, że coś się stało w Świerku. Ale poinformowano, że tam wszystko jest w porządku. Do KC zjeżdżali się coraz to nowi eksperci, którzy obradowali, sporządzali wykresy, obliczenia. Uruchomiono wojskowe przyrządy pomiarowe. Główny mędrzec od tych spraw, prof. Sowiński, powiedział nagle nad ranem, że skażenia osiągnęły taki rozmiar, że trzeba dać komunikat, żeby pozamykać okna i nie puszczać dzieci do szkoły. Na to ja powiedziałem: „Ależ parne profesorce, jak się da taki komunikat w radiu (bo tylko radio o tej porze wchodziło w grę), to stanie życie w kraju. Nikt nie pójdzie do pracy, stanie komunikacja, zacznie się panika, która wkrótce może się rozlać na całą Europę. Niech pan ma świadomość wagi takiego komunikatu“. On na to: „To jest konieczne“. No to ja napisałem komunikat i zadzwoniłem do gen. Jaruzelskiego. Powiedziałem mu co się dzieje i że trzeba ogłosić ten komunikat.

**- *Był pan pierwszym człowiekiem, który poinformował Jaruzelskiego o tym co się stało?***

- Tak. Jaruzelski: „Co ja mogę powiedzieć, jak trzeba, to trzeba“. Zaakceptował tekst. Dziś już nie pamiętam, czy przesłałem komunikat do PAP-u, czy nie zdążyłem przesłać, w każdym razie zanim został opublikowany, generał, dowódca wojsk chemicznych, powiedział do Sowińskiego: „Panie kolego, pan to się chyba rąbnął o jedno zero...“. Zaczęli liczyć jeszcze raz, przyglądali się wykresom, no i rzeczywiście dopatrzyli się błędu.

- ***Gdyby się nie dopatrzeli albo dopatrzili później, to komunikat poszedłby w eter?*** - No oczywiście. Życie kraju by stanęło, panika poszłaby na całą Europę i ZSRR. Nie rozumiem więc o co chodzi z wstrzymaniem radzieckiego komunikatu przez Główny. Przecież my ciągle czekaliśmy na komunikat i domagaliśmy się go. On mógł opóźnić podanie komunikatu przysłanego przez TASS, na ponieważ przykład TASS go wycofał, lub chciał ustalić wiarygodność. Nie wiem. Gdy ja pisałem polski komunikat do PAP-u, to nic nie wiedziałem poza tym, że są duże skażenia.

Potem został powołany sztab antykrzysowy pod kierunkiem Szalajdy, z wszystkimi specjalistami od skażeń, zdrowia, handlu, transportu itd. Sztab obradował, a moja rola była już tylko bierna. Ponieważ miałem nie najlepsze stosunki z Messnerem i jego rządem, za informacje o Czarnobylu odpowiadał dyrektor gabinetu Szalajdy. Ja w tym czasie w sali „Interpressu“ robiłem różne imprezy z ekspertami dla prasy krajowej i zagranicznej, aby to co rząd podawał do wiadomości uczynić zrozumiałym i wiarygodnym. Szczególnie zabiegałem o to, aby Zachód potwierdzał wiarygodność tego, co my mówimy.

- ***Jak się pan dowiedział, że winnym wybuchu jest Związek Radziecki, a wybuch nastąpił w Czarnobylu?***

- Tak jak wszyscy - z oficjalnych doniesień agencyjnych.

- ***Czyli Moskwa wtedy nie oddzwoniła?***

- Pamiętam, że Moskwa kręciła: najpierw ogłosiła coś minimalizującego całą sprawę. Potem, gdy okazało się, że sprawa jest większa, Moskwa mówiła, że nic o tym nie wie, bo winna jest Ukraina i grzmiała na Ukrainę. Przez długi czas nie mieliśmy z Moskwy żadnych informacji, co publicznie zarzuciłem radzieckim władzom.

- ***W Szwecji wiadano o wszystkim lepiej i szybciej.***

- Nieprawda. Byli o tyle szybsi, że pierwsi wykryli skażenia.

- ***Nie byliśmy zatem Kopciuszkiem lekceważonym przez ZSRR?***

- W początkowej postawie Moskwy objawiała się nieszczerłość znamionująca lekceważenie własnych obywateli i całego świata.

Dla przeciwdziałania ewentualnym skutkom powzięto u nas decyzję o podawaniu płynu Lugola. Nikt na świecie takiej decyzji poza nami nie podjął. Skażenia nad Polską wcale nie były większe niż w kilku innych krajach, potem nawet okazało się, że były mniejsze. Płyn podano na wszelki wypadek uznając, że lepiej zbłądzić nadgorliwością. Nie wiadomo było jak długo potrwają skażenia, a od tego zależało czy płyn jest dzieciom potrzebny, czy zbędny. Później stwierdzono, że był niepotrzebny. No, ale sama decyzja była trafna - lepiej podać niepotrzebnie niż nie podać, gdy potrzeba.

Na Zachodzie w ogóle nie podawano preparatu, udawano, że skażenia są mniejsze niż u nas. Nasza polityka informacyjna była bardziej otwarta niż Anglii czy Francji.

- ***Główne pretensje jakie stawiano władzy były takie, że władza wiedziała o wszystkim wcześniej i lepiej, tylko nie informowała społeczeństwa.***



- Bzdura. W raporcie, który sporządziliśmy po awarii, oficjalnie zgłosiliśmy pretensje do Związku Radzieckiego, że nas nie informował. Radzieccy krok po kroku przeprowadzali samokrytykę w tej sprawie.

Nasze poczynania informacyjne były później badane przez Międzynarodową Agencję Atomistyki i ocenione celująco. Opozycja jeszcze długo powtarzała, że my przekupiliśmy tę Agencję w Wiedniu.

W rocznicę awarii amerykańska dziennikarka telewizyjna Alma Caldragic zaprosiła mnie do obejrzenia ich programu o Czarnobylu. Mój komentarz do niego nagrywano. Opowiadałem w nim do amerykańskiej kamery o sporze między mną a dziennikarzami amerykańskimi dotyczącym sposobu informowania o katastrofie. Mówiłem, że nie podawałem wysokości skażeń w poszczególnych miastach, bo dane szybko się zmieniały. Gdyby je podawać tłumy zaczęłyby bez sensu jeździć z miasta do miasta. Informowanie o średniej skażeń dla całego kraju też zrazu nie miało sensu, bo na niczyj organizm nie działa średnia. Amerykanie mówili: „Obowiązkiem rządu jest mówić wszystko, co rząd wie, a nie traktować ludzi jak dzieci“. Odpowiadałem, że modelowo rzecz ujmując mają rację, ale w tym konkretnym wypadku, kiedy mieliśmy do czynienia z czymś dla ludzi nowym i nieznanym, nie było czasu na edukację społeczeństwa. Opinia publiczna w tej konkretnej sprawie nie była przygotowana do bycia dobrze poinformowaną, do samodzielnego wyciągania wniosków.

Starałem się centralizować wszystkie informacje. Kiedy profesor Sowiński powiedział w telewizji, że bodaj w Mikołajkach skażenie jest 15 tysięcy razy większe od normalnego, to ludzie w Mikołajkach dziwili się, że jeszcze żyją. Była to prawda, ale operowanie takim wskaźnikiem powodowało przerażenie i panikę. Przy podawaniu danych trzeba było się kierować także psychologią, a nie wyłącznie prawdą arytmetyczną. Jeśli ilość wody wzrasta z jednej kropli do piętnastu tysięcy kropli, to wzrost jest arytmetycznie olbrzymi, ale utopić się nie można. Podobnie ludzie nie rozumieli, że jednostki skażenia należy mierzyć w czasie - tak jak np. kilometry na godzinę. Podawano więc, że skażenie jest kilka razy wyższe niż to przewiduje norma, ale już nie podawano, że normę policzono dla mieszkańców osiedli wokół elektrowni atomowych narażonych na promieniowanie przez 25 lat. U nas ludzie byli napromieniowani najwyżej przez parę dni.

Wracając do tej Amerykanki - obiektywna stacja telewizyjna z tych moich dokładnych wyjaśnień w programie zostawiła tylko gołe wyjaśnienie, że nie informowałem o skażeniach, bo ludzie byli do tego nieprzygotowani. Tłem do moich wypowiedzi były dzieci w kolejkach czekające na płyn Lugola. Cały obrazek na temat skutków Czarnobyla w Polsce sprowadzał się do pokazania zapłakanych bachorów, które boją się lekarstwa. Wrzask tych wrywających się dzieci to typowe telewizyjne kłamstwo: obraz pokazuje coś bagatelnego, a czyni wrażenie oglądania przejmującej tragedii. 121

Opozycja krytykowała nas za wstrzymanie informacji, powołując się na sposób informowania w zachodnich demokracjach. A przecież tam było znacznie gorzej niż u nas. W Anglii - wiem to z brytyjskich programów telewizyjnych - nie poinformowano o żadnych zagrożeniach, tylko wydano zakaz uboju i skupu zwierząt hodowlanych. No i taki hodowca owiec krzyczał w telewizorze: „Co się dzieje?! Rząd wydaje zakaz kupowania moich owiec i mówi, że mnie i moim dzieciom nic nie zagraża. Dlaczego Czarnobyl skaził moje owce, a mnie nie skaził? Rząd widocznie ukrywa niebezpieczeństwo, albo pod pretekstem Czarnobyla chce mnie ekonomicznie zniszczyć“.

Nikt tam nie wyjaśnił, że owca przez cały dzień pyskiem zbiera skażenia z łąki, a owczarz i jego dzieci nie. Nikt nie mówił na czas, że są skażenia pól.

**- Oskarża pan opozycję, że w Czarnobyl wnięszała politykę. A przecięż pan robił to samo.**

- Nieprawda. To, co robiłem, to była samoobrona, dezawuowanie źródeł dezinformacji. Miałem nie przekonywać, że Wolna Europa wyniki badań skażeń w Polsce ssie z palca lub opiera się o niepoważne źródła?! Najzwyczajniej trzeba było ludzi skutecznie uspokajać, skoro nie było powodów by ich straszyć, jak to czynił Zachód.

Proszę panów - o stopniu naszej wiarygodności, czy raczej braku wiarygodności, świadczyły telefony od naszych rodzin. Dzwoni do mnie córka i mówi: „Słuchaj, w końcu jestem twoją córką, powiedz mi prawdę, podobno dziś w Poznaniu jest mniejsze skażenie. Mam wziąć dzieci i jechać do Poznania?” Podobny telefon miał Messner. Nawet nasze rodziny nam nie wierzyły i chciały prywatnie uzyskać **prawdziwą** informację, co **naprawdę** się dzieje.

**- Próba Czarnobyla wypadła dla władzy niekorzystnie. Następny test - uprowadzenia i zabójstwa ks. Jerzego Popiełuszki - chyba trochę lepiej. Czy mógłby pan porównać sposób informowania o tych dwóch wydarzeniach, każdym na swój sposób tragicznym?**

- Czarnobyl wypadł dla nas niekorzystnie, niezależnie od tego co w tej sprawie robiliśmy, ponieważ zaufanie do nas było poderwane. Na to złożyło się nie tylko to, co mówiliśmy o Czarnobylu, ale także to co nasi poprzednicy mówili choćby o podwyżce cen, hen! w 1953 roku.

Test Popiełuszki wypadł dla nas korzystnie, bo sytuacja była bardziej jasna. Powiedzieliśmy rzecz zupełnie nową, nie mieszczącą się dotąd w naszych konwencjach: nasi ludzie zabili. I nie dotyczyło to minionego okresu. Zachowaliśmy się w sposób nietypowy dla naszych tradycji i dlatego ludzie wierzyli w to co ogłaszamy. Gdy zachowywaliśmy się w sposób typowy, czyli uspokajaliśmy (np. w czasie Czarnobyla), to było odczytywane odwrotnie. Doświadczenia z przeszłości upewniały, że wszystkie zagrożenia, a szczególnie te z Wschodu, są przez władzę tajone lub zamazywane.

O ile Czarnobyl stwarzał zagrożenie nieznanne, a więc straszne, o tyle zabójstwo księdza spowodowało wprawdzie szok, ale przeciętny obywatel nie miał poczucia, że jego żona i dzieci jutro zdechną w męczarniach z powodu tajemniczego promieniowania.

Jeśli pominąć odmiennosc ludzkich reakcji, to my w obu przypadkach zachowaliśmy się w porządku i nie znam żadnych rozsądnych zarzutów przeciw nam.

**- Uważa pan zapewne, że śmierć ks. Popiełuszki została spowodowana akcją sfrustrowanych oficerów SB?**

- Była szokiem dla mnie. Pozwoliłem sobie wtedy na okrutny żart. Powiedziałem gen. Jaruzelskiemu, że po zabójstwie księdza przydałoby się - dla równowagi - zabić mnie, to uzyskalibyśmy odwrócenie nastrojów i polityczną korzyść. Spojrzał na mnie z przerażeniem, czy rzeczywiście czegoś takiego się lękam.

Przypuszczam, że powodem porwania była (tak jak oni zeznawali) próba przeciwstawienia się ugodowej polityce kierownictwa wobec kościoła katolickiego. Akt ochotniczego terroru miał zepsuć stosunki kościół-państwo. Przypuszczam, że celem działania Piotrowskiego i jego kolegów nie było zabójstwo księdza Popiełuszki. Chcieli go zastraszyć, ale rozwój wydarzeń sprawił, że nie mogli bez morderstwa wybrnąć z dokonanego porwania.

Wtedy jednak byłem przekonany, że rację ma gen. Kiszczak uważając, iż zbrodnia Piotrowskiego jest prowokacją wielkiej skali. Częścią spisku „betonu“ mającego na celu zmieszenie kierownictwa partii i państwa. Zbrodnia miała być - w tej wersji - sposobem sprowokowania reakcji społecznej typu ulicznego, której tłumienie zlikwidowałoby politykę ugody. Może ta hipoteza jest słuszna, ale minęło dużo czasu i nic jej nie potwierdza.

Pamiętam moje komentarze, że ta sprawa podrywa moje zaufanie do sprawności zawodowej resortu. Przecież, gdyby nie dramatyczny finał, to przebieg wypadków: te awarie samochodów, pozostawianie śladów, ucieczka Chrostowskiego - mają wymiar iście szwejkowski.

**- *Mogli celowo zostawiać ślady, aby wskazać resort spraw wewnętrznych...***

- Nie. Ich działania raczej pokazują partanię i płątaninę. I podważają legendę o wszechmocy MSW.

**- *Złapano ich bardzo szybko, zatem jakaś sprawność w resorcie istniała.***

- Złapano ich, bo pozostawili masę śladów.

**- *Czy po śmierci ks. Popiełuszki zmienił pan swój styl informowania?***

- Bardziej krytycznie podchodziłem do informacji z MSW. Kiedy odpowiadałem na pytania związane z dziwnymi wydarzeniami, których bohaterami byli księża, bądź z porwaniami działaczy opozycji w toruńskim, starałem się zachować ostrożność. Zamiast mówić: „nieprawdą jest“, używałem: „nie wiadomo“, „trwa śledztwo“ itd.

**- *Czy czuje się pan odpowiedzialny za śmierć ks. Jerzego Popiełuszki? W czasie konferencji prasowych krytykował pan jego wypowiedzi; „mszę za Ojczyznę“ nazywał pan „seansami nienawiści“.***

- Nie czuję się odpowiedzialny. Śmierć księdza była wymierzona w politykę, której służyłem i szefów, którzy tę politykę prowadzili. Ja przecież realizowałem politykę umizgów wobec kościoła katolickiego. Zresztą gdyby zakładać, że słowne polemiki polityczne mogą podjudzać do mordów politycznych, to w ogóle musiałyby zamrzeć publiczne spory. Atakujących mnie zawsze zachodnich korespondentów, którzy zapytali czy czuję się moralnie współwinny śmierci Popiełuszki, zapytałem: „A gdybym ja padł ofiarą politycznego zabójstwa, to czy panie i panowie czuliby się tego moralnymi sprawcami?“

Polemizowałem z kilkoma szczególnie zaangażowanymi politycznie księżmi, ale to były rzeczy podrzędne wobec polityki państwa. Mieliśmy podstawy sądzić, że ci politycznie skrajni księża są niewygodni także hierarchii kościelnej, która chce porozumienia.

**- W polskiej opinii uchodził pan wtedy za księdzożercę. Czy zna pan wypowiedź Piotrowskiego, iż polemiki Urbana z kazaniem Popiełuszki podlegały jego - Piotrowskiego - polityczną nienawiść do tego księdza?**

- Piotrowski, telewizyjny gwiazdor obecnego reżimu, opowiada jak on i jego koledzy preparowali fałszywe dokumenty i inne dowody świadczące przeciw niektórym księżom. Wyobraźmy to sobie: Piotrowski lub jego ludzie podkładali amunicję w garsonierze Popiełuszki, potem resort Piotrowskiego zawiadamiał mnie, że znaleziono amunicję u tego księdza. Ja o tym mówiłem, gazety pisały, Piotrowski je czytał i tak w nim wzbierało oburzenie na Popiełuszkę, że nie mógł się pohamować przed zabiciem tego księdza. Naprawdę Piotrowski to wrażliwy na propagandę człowiek.

**- Wróćmy do pańskiego „czerwonego gangu“. Co zmieniło wprowadzenie stanu wojennego w układzie liberalowie-konserwatyści? Która strona zyskała?**

- Zyskali twardogłowi. Nastąpiła ogromna aktywizacja, może nie tyle frakcji twardogłowej, która wreszcie znalazła się w swoim żywiole, co nastrojów typowych dla twardogłowia.

Jedno zastrzeżenie - partia nie była podzielona na czarnych i białych. Nastroje liberalne i konserwatywne brały górę u tych samych ludzi w różnych momentach i przy różnych sprawach. Po wprowadzeniu stanu wojennego partia zrobiła się „twarda“, zyskała świetne samopoczucie, uznała w większości, że jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki znikł po wsze czasy przeciwnik polityczny, który partię gonił i nią poniewierał. „Solidarność“ minęła jak zły sen. Stan wojenny postrzegany był jako operacja ślepej kiszki, która bezpowrotnie eliminuje ropiejący fragment organizmu.

Władza została zorganizowana w ten sposób - o czym pisze Rakowski - że powstał dyrektoriat, który co wieczór obradował. Był złożony z Jaruzelskiego, partyjnych wicepremierów, dwóch-trzech członków Biura Politycznego - sekretarzy KC. Moim zdaniem - ale jest to tylko przypuszczenie - istniał też drugi ośrodek dyspozycyjny. Wydaje mi się, że w nocy zbierali się u Jaruzelskiego czołowi generałowie, bo widywałem generalskie wozy jeden za drugim wjeżdżające za ogrodzenie biura szefa.

Na pewno rola partii jako ośrodka decyzji osłabła. Na pewno pojawiło się wojsko jako czynnik wtrącający się w jej kierowniczą rolę. Nastąpiła asymilacja wojskowych w systemie władz cywilnych, od najmniejszego poziomu gmin i fabryk.

**- Czy wy, liberalowie, braliście pod uwagę tę aktywizację betonu? Był to koszt stanu wojennego czy też świadomy zamiar?**

- Nie był to zamiar, tylko prosty efekt tego, że ludzie o twardych skłonnościach uznali się za tryumfatorów politycznych: „No i co - mówili - kto miał rację? Polityka porozumienia nie udała się, my to od początku mówiliśmy.“ Byli oni lepsi do przeprowadzenia stanu wojennego; do tego, żeby wyrzucać, oczyszczać, pilnować. Ktoś musiał stan wojenny praktykować w miastach, gminach, fabrykach. Liberal to liberal - waha się, deliberuje, nie jest dobrym wykonawcą. Nastąpiła godzina twardogłowych, bo było na nich zapotrzebowanie.

Ten proces widziałem na własne oczy, gdy pojechałem do Gdańska. Byłem tam w sprawie pozyskania dyrektora dla Teatru Rzeczypospolitej. Na miejscu zobaczyłem twarde kierownictwo oparte na Marynarce Wojennej. W rozmowach ze mną raz po raz mówili o

kimś, że jest „fiszbachowcem“. Ja, jak wiadomo, zwalczam Fiszbacha, traktuję go w „NIE“ jak zdechłego szczura, ale z powodu jego obecnej postawy. Wówczas byłem silnie skonfundowany, bo w Gdańsku trwała po prostu regularna czystka i polowanie na fiszbachowców. Impet rewanżu kierował się bardziej w stronę fiszbachowców niż „solidarnościowców“.

Byłem zdania, że trzeba przegonić całe to betonowe towarzystwo, zwłaszcza z Gdańska. Wydawało mi się, że właśnie Gdańsk jest szczególnie obolały. Wysunąłem nawet projekt, żeby przeprowadzić całą operację psychologiczną na rzecz Gdańska, mającą na celu zatarcie wrażenia, że stan wojenny obniżył rangę miasta. Gdańsk przestał być drugą stolicą kraju, a miasto już przywykło do tego statusu. Przy tym ta degradacja miała objawy ordynarne i gruboskórne.

**- Co Jaruzelski uchodzący za wodza liberałów zrobił przeciwko betonowi? Wykorzystał ich we wstępnym stadium stanu wojennego, a potem wyrzucił na śmietnik?**

- Nie. Na przykład Siwak obraził Rakowskiego, nie pamiętam o co poszło. Rakowski się wściekł, poszedł z tym do Jaruzelskiego. Jaruzelski obiecał, że wyrzuci Siwaka, ale musi to trochę potrwać. I rzeczywiście zasadzono się na Siwaka, liczono mu przeloty samolotami i wygórowane zużycie benzyny. Były na niego rozpięte sieci, w które wreszcie wpadł. Zwolniono go. Ale eliminowanie Siwaka było procesem długim i delikatnym. **- Ale upadł razem z Kubiakiem. Dla równowagi?**

- Dla równowagi. Były intencje odsuwania twardych, przeciwdziałających reformom. Gen. Jaruzelski dbał o to, żeby przepisy stanu wojennego jak najszybciej liberalizować. On miał taką koncepcję, że jak tylko sama operacja stanu wojennego się uda i wojsko nad wszystkim zapanuje, to trzeba szybko usuwać wszelkie dolegliwości, by zyskać aprobatę społeczną. Ale to nie było takie proste. Odchodzenie od stanu wojennego następowało powoli, a znaczna część aparatu odnosiła się do tego bez przekonania.

**- Czy miał pan jakikolwiek wpływ na tamtą propagandę, nieobiektywną, restrykcyjną, nachalną? „Regan wydusił polskie kury...“**

- Bo wydusił i do dziś nie odżyły. To ja głównie wojowałem z amerykańskimi restrykcjami. Propagandą w ogóle zarządzał Olszowski. Ja nie należałem do jego stajni. Funkcjonowałem poza jego kontrolą, co stanowiło dla niego niewątpliwą zadrę. Odgrywałem rolę osobistego instrumentu Jaruzelskiego. Konkretnie mówiąc nie uczestniczyłem w zebraniach sztabu propagandowego, dopiero po długim czasie zostałem do niego zaproszony. Nie miałem najmniejszego wpływu na to, które pismo - jak to się wtedy mówiło - ma być odwieszona, ani nie brałem udziału w ustalaniu zmian personalnych. Zaledwie w kilku przypadkach kadrowych byłem pytany o zdanie przez Jaruzelskiego.

**- A jak pan oceniał tę propagandę jako dziennikarz?**

- Uważam, że tej propagandy nie można oceniać w zwykły sposób. Cały stan wojenny był ciągiem czysto psychologicznych operacji. Kiedy wojsko występuje w telewizji, a nie strzela na ulicy, to jest to psychologia.

Była to operacja zastraszenia i ... nierobienia nikomu krzywdy. Żeby zastraszyć, to trzeba odpowiednio głośno huczeć w telewizorze i gazecie. Nie traktowałem tego jak propagandy,

ale jak część operacji, która wchodziła w zakres stanu wojennego. Uważałem, że spiker w mundurze mówi twarde słowa, aby nie musiały strzelać czołgi.

**- Jakie obserwował pan oznaki zmniejszania się znaczenia twardegłowych?**

- Na razie obserwowałem pewne dramatyczne zjawisko. Otóż nasze liberalne próby otwarcia trafiały w próżnię. Pamiętam sesję Sejmu 3 maja 1982 roku, na którą Rakowski przygotował bardzo piękne przemówienie do ludzi kultury z zarysem polityki kulturalnej otwartej na różne kierunki i tendencje polityczne. To była naprawdę duża rzecz. No i nikt tego nie słuchał, na nikim to nie zrobiło wrażenia. Gdyby takie przemówienie ogłoszono w innym czasie, to byłaby sensacja.

Pod Sejm przysłała wtedy jakaś demonstracja, interweniowało ZOMO. Prawie cała sala, posłowie i dziennikarze, pobiegli do okien przyglądać się rozruchom, a Rakowski czytał swoje przemówienie w pustkę.

Ta scena była dla mnie symboliczna. Określała pozycję liberałów i ukazywała jak lekceważone są ich starania. Twardogłowi byli natomiast inicjatorami różnych koncepcji zastrzających.

Na posiedzeniach rządu trwały wielkie boje między Baką, który stan wojenny chciał wykorzystać do intensyfikacji reform, Krasińskim, który chciał ceny zbliżyć do wolnorynkowych a całą grupą ministrów od gospodarki.

Jedną scenę pamiętam szczególnie dobrze. Na porządku dziennym posiedzenia rządu był akt prawny o przywróceniu samorządów zakładowych. Jaruzelski oddał przewodnictwo obrad Obodowskiemu, poszedł do siebie, bo właśnie nadchodziła święta dlań pora dziennika telewizyjnego.

Gdy Jaruzelski wyszedł, nastąpił frontalny atak na samorzady. Ministrowie obawiali się, że wrogie siły wykorzystają przywrócenie samorządów, a one same utrudnią reperowanie gospodarki.

A ponieważ uruchomienie samorządów jako decyzja polityczna było wcześniej prawie uzgodnione z czołowymi osobistościami rządu, to ja już zdążyłem napisać o tym komunikat i przekazać go do dziennika TV.

Zwracam się więc w trakcie rządowej debaty do Obodowskiego i mówię mu na ucho, że już dałem komunikat do telewizji, że rząd uchwalił, a tu widzę - idzie ku nieuchwaleniu. Obodowski na to do całej sali: „Proszę panów, my tu mamy decydować, a rzecznik rządu już za nas zdecydował. Nie wiem po co się tutaj wygłupiamy“. Pobiegłem do Jaruzelskiego, który się zamyślił i kazał wycofać komunikat z dziennika. Ale zanim sekretariat premiera zdążył połączyć mnie z redakcją dziennika komunikat już poszedł, został odczytany.

Ten zbieg okoliczności wzięto w rządzie za spisek liberałów mający na celu bezprawne tworzenie faktów dokonanych.

Muszę zastrzec, że ja nie należałem do jakiegokolwiek zмовы czy frakcji liberalnej. Byłem towarzysko i psychologicznie bliższy liberałom, ale moja publiczna rola, głównie polemiczna wobec opozycji była traktowana przez twardej jako właściwa reprezentacja interesów

władzy, a więc partii. Paradoksalna dwoistość: byłem dla nich obcy, ale odgrywałem bardzo aprobowaną rolę.

**- *Upieramy się przy twierdzeniu, że Rakowski został odsunięty. Jeśli uważa pan inaczej, to niech pan odpowie dlaczego przestał być wicepremierem?***

- Po pierwsze dlatego, że (jak już dziś wiadomo) kierownictwo radzieckie, w tym także Gorbaczow, bezustannie dziwiło się, dlaczego ten socjaldemokrata Rakowski wciąż jest przy władzy. Czy nie lepiej, żeby nie był? Nie chcę przez to powiedzieć, że istniał tak oczywisty i bezpośredni dyktat Moskwy w sprawach personalnych, ale te zdziwienia w oczywisty sposób osłabiały pozycję Rakowskiego i czyniły z niego persona non grata dla towarzyszy radzieckich.

Po drugie - Messner nie chciał Rakowskiego. Skoro przyjechał z Katowic profesor księgowości, nikomu nie znany i został najpierw głównym wicepremierem, a potem namaszczonego go na premiera, to oczywiście nie chciał mieć takiego zastępcy jak Rakowski, górującego nad nim doświadczeniem, popularnością i pozycją zagraniczną.

Po trzecie - Messner został szefem rządu po to, aby rząd na powrót sprowadzić do instytucji wykonawczej, zarządzającej gospodarką i administracją. Jaruzelski wycofał się z rządu do KC, a Rakowski był przecież szefem stworzonego przy rządzie Jaruzelskiego całego pionu politycznego złożonego z Cioska, mnie i innych. Polityczna rola rządu - dorobek posierpniowy - w znacznym stopniu traciła rację bytu.

Wreszcie po czwarte - wiadomo było, że gdyby Rakowski został jednak zastępcą Messnera, ambicja tego pierwszego byłaby urażona.

Jak widać, nic nie przemawiało za tym, żeby Rakowski pozostał w rządzie. Jaruzelski powiedział mu, że przez jego przeniesienie do Sejmu pragnie przesunąć punkt ciężkości władzy do parlamentu. Po wtóre - Jaruzelski chciał mieć Rakowskiego schowanego na ewentualne ciężkie czasy. Jak wiadomo z tego zobowiązania wywiązał się kilka lat później.

Kiedy wydawało się, że pozycja Rakowskiego spada, doradziłem mu, żeby oprócz funkcji wicemarszałka Sejmu zażądał wysokiego stanowiska w partii - co najmniej zastępcy członka Biura Politycznego. Poszedł więc do Jaruzelskiego, ale ten powiedział, że to jest niemożliwe.

**- *Dlaczego?***

- Wówczas tego nie wyjaśniał. Potem tłumaczył to obsesją radzieckich na punkcie Rakowskiego i niechęcią znacznej części aparatu PZPR.

Doradziłem więc Rakowskiemu, żeby nie godził się na wicemarszałka, tylko żeby wrócił do „Polityki“, dając tym sobie szansę odgrywania bardziej samodzielnej roli politycznej.

Ale Rakowski nie chciał się na to zdecydować. Rzeczywiście, to dosyć nieprzyjemne wracać na stare miejsce pracy z wyżyn władzy. Po tym incydencie Rakowski zgorzkniał, ustawicznie krytykował poczynania rządu, przesunął się w kierunku takiej lekkiej wewnętrznej opozycji.

**- *A Jaruzelski nie dotrzymał obietnicy o przeniesieniu punktu ciężkości do parlamentu?***

- Jako partyjny wicemarszałek Rakowski miał tradycyjnie duży wpływ na podejmowanie decyzji ustawodawczych. Wcześniej tę funkcję pełnili m.in. Kliszko i Werblan. Trudno jednak powiedzieć, że był to awans.

**- Z tego co pan mówi można sądzić, że od 13 grudnia 1981 roku aż do okrągłego stołu, wszystkie sznurki trzymał Jaruzelski. On mógł „dać” Rakowskiego na wicemarszałka Sejmu, by potem - w razie potrzeby - „dać” go na premiera.**

- Tak to było.

**- Czy i jak pozbywano się twardogłowych? Jak ich eliminowano? Jakie prowadzono rozgrywki?**

- Odbyło się plenum bezpośrednio po śmierci Popiełuszki. Twarde skrzydło przypuściło atak, chcąc usunąć kierownictwo.

**- Kto grał tam pierwsze skrzypce?**

- Przypuszczam, że Olszowski. Myślę tak, ponieważ zaraz potem szybko się go pozbyto. Na tym plenum Jaruzelskiego uratowali tylko generałowie, którzy po kolei wstawali i mówili, że nie pozwolą.

**- Jakich argumentów używali wobec Jaruzelskiego?**

- Nie pamiętam.

**- W jaki sposób radzieccy ingerowali w politykę Jaruzelskiego?**

- Nie spotykałem się z takimi ingerencjami. Mogłem je natomiast obserwować wcześniej, zanim zostałem rzecznikiem. Przychodził do mnie niejaki Zubków z radzieckiego attachatu prasowego i monotonnym głosem czytał mi listę przestępstw polskiej prasy wobec Związku Radzieckiego. On miał tego cały zeszyt.

**- Dlaczego przychodził z tym do pana?**

- Nie wiem. Myślę, że dlatego, iż byłem cierpliwy i lękliwy. Nie śmiałem go wyrzucić. To było na początku 1981 roku. Potem jeszcze przychodził do mnie jako do rzecznika, ale wówczas nabrałem już śmiałości. To było jak borowanie zęba. Poznałem w ten sposób metodę dręczenia, która na wyższym szczeblu wyglądała zapewne podobnie.

Wiem, że w dniach poprzedzających stan wojenny niemal każdego wieczoru przyjeżdżał do Jaruzelskiego ambasador radziecki Boris Aristow. Czasem mijaliśmy się na korytarzu. Rakowski mi opowiadał, że Aristow wiercił dziurę w brzuchu, aż do bólu.

**- Czy jako człowiek z kręgu władzy odczuł pan zmianę na stanowisku sekretarza generalnego KC KPZR? Czy objęcie władzy w ZSRR przez Gorbaczowa dało się odczuć jako skok, nagły postęp?**

- Nie. To przyszło z czasem, nie od razu.



**- Kiedy i w jaki sposób zmieniło się nastawienie Jaruzelskiego do opozycji na tyle, że w końcu zaowocowało to okrągłym stołem? Za tym pytaniem kryje się zarzut, że straciliście osiem lat.**

- Straciliśmy po części sześć lat - 1982-88. Dlatego, że baza partyjna nie udzielała poparcia reformom, a opozycja, której rozumowanie i programy były lub stawały się kierunkowo zbieżne z naszymi, również nie udzielała choćby wycinkowego poparcia (np. dla zmian gospodarczych), ponieważ stawiała na to, że ten system sam się załamie i dopiero wtedy będzie można coś zrobić.

Wobec tego reformatorskie skrzydło z Jaruzelskim wisiało w powietrzu, nie mając poparcia własnego aparatu, od którego przecież zależała realizacja czegokolwiek, oraz nie znajdując poparcia żadnych nowych sił, które dałoby się przyciągnąć do współpracy. Uważam, że za zmarnowanie tych lat współodpowiedzialność ponosi opozycja, której stawianie na generalną zmianę ustroju okazało się wprawdzie trafne, ale ceną tego było kilka straconych po części lat.

Gdyby ona włączyła się jakoś w reformowanie, choćby gospodarki, to transformacja ustrojowa zaczęłaby się wcześniej. Przebiegałaby może wolniej niż to się stało po czerwcu 1989 roku, ale w sposób mniej dziś dotkliwy dla społeczeństwa. Bylibyśmy bardziej zaawansowani.

**- Ale nie doszłoby nigdy do radykalnej zmiany.**

- Doszłoby, doszło, bo przecież to był historyczny, nieunikniony upadek ustroju nieefektywnego. A brak wyraźnej daty przełomu ma, według mnie, mniejsze znaczenie niż dziś przeżywane przez społeczeństwo rozczarowania i dolegliwości.

**- Współuczestnictwo opozycji tylko w jednej dziedzinie władzy (gospodarce) i ponoszona przez to odpowiedzialność, umocniłoby pozycję „czerwonych“.**

- Właśnie stosowanie takiej dychotomii w podziale na czerwonych i białych nie mającej już uzasadnienia w programach, dążeniach, powodowało to opóźnienie.

**- Ale powodował je także skostniały aparat średniego szczebla.**

- Proszę panów, to nie było tak, że aparat był skostniały i dlatego nic nie wychodziło. To jest pochopne i zbyt łatwe uproszczenie. Aparat działał zgodnie ze swoją rutyną i niekoniecznie uświadamianym interesem. Powiedzmy, że wskutek reformy rynkowej, połowa cen była już uwolniona, w tym ceny butów. Oto pojawia się problem obuwia dziecięcego, którego produkcja jest nieopłacalna, bo więcej przy tym roboty, a mniejsze zyski. W efekcie - brakuje butów dla dzieci. Wobec tego aparat gospodarczy stanął przed problemem społecznym: to co, dzieci mają chodzić boso? Jak na to społeczeństwo zareaguje! Uruchamiano więc dozwolony przez reformę instrument dyrektywnego zarządzania przemysłem skórzanym, czyli np. rząd stosował ulgi podatkowe wobec producentów obuwia dziecięcego. A trzeba było być konsekwentnym jak Balcerowicz. Niechby te buty drożały dotąd, aż ich produkcja stałaby się opłacalna. I tak było w każdej dziedzinie.

Rozmawiałem o tym z wicepremierem Szałajdą, który był odpowiedzialny za gospodarkę. Mówiłem, że w gruncie rzeczy wszystko odbywa się po staremu, bo to przecież wszystko

jedno, czy narzuca się plan, czy stosuje kierunkową ulgę podatkową. Odpowiadał: „To prawda, ale ja jutro będę rozliczany za to, że nie ma butów dla dzieci“. Ten sam ośrodek polityczny, który gromił Szałajdę za skostnienie i biurokrację, żądał jednocześnie od niego, żeby były buty dla dzieci, żeby wszystko doraźnie kleić. Ministrowie odpowiedzialni za gospodarkę spotykali się u Szałajdy i zmawiali, by na posiedzeniu rządu występować całym blokiem przeciw myślącym systemowo Bace czy Sadowskiemu.

**- *Mówiło się, że reforma gospodarcza jest oczkiem w głowie Jaruzelskiego. Widać nie była...***

- Ależ Jaruzelski żmudnie popierał takich reformatorów jak Baka czy Sadowski! Moim zdaniem nie do końca jednak ufał mechanizmowi tych reform. Niekiedy się z tym zdradzał. Osobno dyskutowało się o modelu reformy, a osobno o tych butach dla dzieci.

Kiedy Jaruzelski był premierem, rząd traktował jak forum, na którym rzucał uwagi i spostrzeżenia. Wrócił kiedyś bodajże z Olsztyna i mówi: „Słuchajcie, w tym Olsztynie zwiedzałem fabrykę. Widziałem stojące nowoczesne maszyny, wysoko-wydajne, szwajcarskie, kupione za ciężkie dolary. I wiecie co? Nie ma ich kto obsługiwać. Maszyny stoją. Dlaczego? Powiedzieli mi, że była tu taka pani, która potrafiła maszynę obsługiwać, ale odeszła z fabryki i teraz sprzedaje kwiaty. Jak to może być? Słuchajcie, trzeba znaleźć jakiś sposób, żeby uniemożliwić takie rzeczy, że tu maszyny stoją, a kobieta sprzedaje sobie kwiaty“.

Wtedy odczułem, że szef rządu nie rozumie mechanizmu wolnego rynku pracy. Dla niego to była kwestia zarządzenia utrudniającego opuszczenie fabryki lub jakiegoś innego zarządzenia dręczącego sprzedawcę kwiatów. Lub obydwóch zarządzeń naraz. Trudno Jaruzelskiemu było zrozumieć, że to rynek powinien decydować, co się bardziej opłaca - sprzedawać kwiaty, czy stać przy nowoczesnej maszynie. I że to prawa rynku powinny sprawić, aby operator nowoczesnej maszyny zarabiał więcej niż kwaciarka.

Taki sam był gen. Kiszczak, który wywodził się z tejże wojskowej grupy. Miał bzika na punkcie rolnictwa. Bolało go serce, że gdzieś tam ziemia leży odłogiem, bo brakuje ludzi do roboty. Wpadł więc na pomysł, że trzeba posłać tam wojsko, które zajmie się uprawą. Obliczał o ile dzięki temu wzrośnie produkcja rolna, gdy w takim nadzwyczajnym trybie zapewni się wsi ręce do pracy. Albo, że w Krakowie wojsko założy społeczeństwu telefony. Natomiast kiedy perswadowało się, że potrzebny jest mechanizm samoczynnie powodujący opłacalność zaorywania ugorów i zakładania telefonów, bo doraźnymi interwencjami przez 40 lat bezskutecznie reperowało się gospodarkę, gen. Kiszczak odpowiadał, że mechanizmy systemowe to kanarek na dachu, a jego akcje to wróbel w garści.

Nawet ludzie, którzy uważali się za reformatorów i którzy udzielali poparcia reformom, nie bardzo je rozumieli i nie bardzo w nie wierzyli. Luka w czasie między pobudzeniem mechanizmów rynkowych a ich działaniem była zbyt duża, a władza zbyt słaba, by mieć poczucie, że może czekać.

**- *Z kim się pan przyjaźnił z tej grupy reformatorów?***

- Z Cioskiem. Wyjąwszy Rakowskiego, z nikim się poza tym nie przyjaźniłem. W pewnym okresie z Sekułą. Dobre stosunki miałem z Czyrkiem.

**- Z Kiszczakiem też?**

- Rzadkie, ale też. Towarzystwo przebywałem poza tym środowiskiem.

**- W jaki sposób był pan odpowiedzialny za kampanie propagandowe przed podwyżkami cen czy przed wyborami?**

- Byłem członkiem zespołów roboczych. Odgrywałem rolę eksperta, którego warto słuchać. Gdy sprawa była czysto rządowa, taka jak ceny - mój głos bardziej się liczył. Jeśli ogólna, jak wybory - mniej.

Ceny, w sensie propagandowym, za premiership gen. Jaruzelskiego, „robił“ minister Krasiński. To był jedyny, jakiego znałem, prawdziwy polityk gospodarczy. To znaczy taki, który rozumiał, że sprawy ekonomiczne trzeba rozegrać ze społeczeństwem. I bardziej zajmował się tym rozgrywaniem niż ekonomiczną stroną podwyżek cen. Trafnie uznał to za ważniejsze. Tacy profesorowie jak Baka czy Sadowski uważali, że ważny jest model, który - tak jak studentom - wystarczy społeczeństwu wytłumaczyć. Nie rozumieli, że społeczeństwo z reguły nie kieruje się logiką ekonomiczną. Ono w ogóle nie daje sobie narzucić takiego rozumowania, lecz ocenia wedle swoich krótkofalowych interesów.

Jeśli podniesiemy ceny, to będzie więcej towarów, wzrośnie wydajność, a jak wzrośnie wydajność to zwiększą się zarobki, a jak zwiększą się zarobki, to będzie można kupić więcej towarów itd. Aż dojdziemy do gospodarki rynkowej. Tak w uproszczeniu mówili społeczeństwu Baka i Sadowski, tak też mówi Balcerowicz. A przeciętna gospodyni domowa odpowiada na to; „A ja mam troje dzieci i małą pensję“. To była rozmowa gęsi z prosięciem.

Tylko jeden Krasiński umiał prowadzić grę ze społeczeństwem. Zapowiadał większy od zamierzonego wzrost cen, potem się wycofywał wywołując uczucie ulgi. Dawał coś ludziom do wyboru, jednym słowem-robił skomplikowaną grę propagandową. Jednocześnie był to jedyny minister, którego musiałem ocenzurować, gdy się zagalopował.

Lubił przesadzać. Lubił wmawiać ludziom, że czym drożej, tym przyjemniej. Do podwyżek cen podchodził wręcz z misyjnym zapałem. Robił taki program telewizyjny (sam go nawet chyba wymyślił), że minister przychodzi do przeciętnej rodziny i wspólnie omawiają problemy gospodarcze. Dyskutują nad budżetem domowym itd. Pierwszy program z tego cyklu poszedł, dobrze wypadł. Przed emisją drugiego chciałem zobaczyć, jak tym razem poradzi sobie Krasiński. I co widzę?

Przychodzi minister, spostrzega na stole jabłko. „A to co, jabłuszka kupione?“-pyta. „No tak, kupiłam kilka jabłek dla dzieci“ - odpowiada pani domu. „Proszę pani, co to za gospodarka domowa, kto w czerwcu kupuje jabłka?! Takie luksusy!“. Pomyślałem, że go rozszarpia. Nazwać luksusem jabłko - symbol owocu dostępnego, taniego i każdemu niejako przynależnego!

Byli w naszej ekipie tego rodzaju uroczy intelektualiści jak Kubiak czy Krawczuk. Ten drugi był niezmiennie zachwycony wszystkim, co działo się w jego resorcie. Obaj byli bardzo odważni. Krawczuk na prowadzonej przeze mnie konferencji prasowej uznał publicznie drugi obieg prasy i książek za nieszkodliwy, a nawet pożyteczny. Podczas kiedy SB ściagała redaktorów, drukarnie i kolporterów!

**- Jak pan oceniał propagandę, na przykład przed wyborami do rad narodowych albo przed referendum?**

- Sądząc z efektów nie była to propaganda skuteczna.

**- Niewiele ma pan do powiedzenia na temat waszego czerwonego gangu...**

- Panowie chcecie, żebym sypał anegdotami z życia aparaczyka. Nie wiem czy taki typ aparaczyka, pokazywany w propagandzie opozycyjnej, a w skrajnej postaci jak w wyobrażeniach amerykańskich sowietologów, w ogóle istnieje.

Przyjeżdżali do mnie amerykańscy dziennikarze ze schematem aparaczyka w głowie i dziwili się: „Bezpartyjny? Nie pracował w aparacie? Coś takiego!”.

W moich czasach ekipa rządząca krajem składała się i z wyrafinowanych intelektualistów i z półgłówków. Życiorysy były do siebie niepodobne. Był eksponent betonu Świrgoń, którego wymyślił Rakowski. Świrgoń przychodził do „Polityki” jako świątły przewodniczący ZMW na uniwersytecie. A potem mu odbiło pod wpływem gwałtownej kariery.

Jaruzelski mógł godzinami mówić do Kubiaka, ale z tego nic nie wynikało poza tym, że Kubiak pykał fajeczkę i wtrącał inteligentne uwagi. Tymczasem potrzebny był ktoś, kto nie tylko rozumie, o co chodzi Jaruzelskiemu, ale będzie umiał to wprowadzić w życie. Stąd Jaruzelski wciąż szukał takich sprawnych techników władzy, popełniając przy tym straszne błędy personalne.

**- Największy błąd?**

- Czarzasty. Tym bardziej jaskrawy, że popełniony tak późno.

Rzecz jednak nie leżała tylko w doborze kadr. W końcu nasze ekipy z lat 80. w porównaniu z poprzednimi stały bardzo wysoko. Intelktualnie, kulturowo, profesjonalnie. Ale ustrój rzeczywiście dogorywał, a mechanizmy były niesprawne.

Spółeczeństwo popierało reformy w ich początkowym stadium, ale potem przychodziły rozczarowania. Kredyt zaufania wyczerpywał się w skali głębszej, historycznej. Jeśli w przeszłości było już 50 programów, koncepcji i planów reklamowanych jako zbawienne, które jednak nie dały satysfakcjonującego wyniku, to niemożliwe było wywołanie wiary w 51. program. A nawet zainteresowania drugim etapem superintensywnej reformy.

Nowa władza, choć Mazowiecki odkreślił ją grubą kreską od starej, zaczyna podlegać tej samej prawidłowości wyczerpującego się kredytu zaufania. Znowu społeczeństwo mówi o władzy „oni”. ONI obiecali, że po pół roku wyrzeczenia zmaleją, a za dwa lata się skończą i ONI nie dotrzymali słowa. Wałęsa i Bielecki ludzą się sądząc, że poprzednie rozczarowania z epoki stalinizmu nie utrudniają im zabiegów o zaufanie i poparcie. Niedługo o rządzącej obecnie ekipie mówić się będzie - „czarny gang”.

## **Ja, „zespół trzech” i okrągły stół**

**- *Mieczysław F. Rakowski pisze w swojej książce „Jak to się stało” o „zespołe trzech”, grupie doradców politycznych, w której skład oprócz pana wchodził: członek Biura Politycznego Stanisław Ciosek oraz szef wywiadu i kontrwywiadu MSW generał Władysław Pożoga. Jak doszło do powstania tego zespołu?***

- Wiem, że gen. Kiszczak dziś przedstawia to jako swoją inicjatywę, ale on raczej nam tylko patronował przez udział swojego zastępcy, gen. Pożogi. Sama idea powstania zespołu wynikała bodaj z jakiejś mojej rozmowy z Jaruzelskim. Mówiliśmy na bieżące tematy polityczne. Ja, czegoś dowodząc, w pewnej chwili powiedziałem: „To może ja to sformułuję na piśmie“. Być może powiedziałem to w obecności Cioska, a być może referowałem generałowi nasze wspólne myśli, w każdym razie stanęło na tym, że obaj z Cioskiem napiszemy wspólny memoriał.

**- *A Pożoga?***

- Dokładnie nie pamiętam, jak doszło do zaproszenia Pożogi. Przypuszczalnie - ale głowy nie dam - potrzebna była wiedza MSW oraz nie bez znaczenia było to, że udział wysokiego przedstawiciela MSW sprawiał, iż nie działaliśmy wbrew interesom tego resortu.

Wcześniej zarówno ja, jak i Ciosek, sporządzaliśmy różne notatki dla Jaruzelskiego, bo łatwiej było porozumiewać się na piśmie. Generał miał wtedy czas wszystko dokładnie przeczytać, pomyśleć nad tym, zrobić uwagi.

Nic dziwnego, że w końcu doszło do napisania wspólnego dokumentu. Udział Pożogi i Cioska w zespole zmieniał rangę naszych poczynań - oto w tym raczej pokątnym doradztwie brali udział przedstawiciele dwóch potężnych aparatów: partii i MSW.

**- *Kto był mózgiem tego zespołu?***

- Trzy mózgi pracowały...

**- *Raporty zespół przygotowywał na zlecenie Jaruzelskiego?***

- Nie, nie. Najpierw sygnalizowaliśmy temat i czekaliśmy na aprobatę. Był to zespół niekonwencjonalny, działający poza normalnymi komisjami doradczymi, wydziałami KC i całą tą maszyną zazdrośnie strzegącą swoich prerogatyw.

Po uzyskaniu zgody zjeżdżaliśmy się w Magdalence, w tamtejszym hoteliku. Dyskutowaliśmy, ja notowałem i potem sporządzałem dokument na piśmie sygnowany niezmiennie: „Na podstawie dyskusji Cioska, Pożogi i Urbana sporządził Urban“. Potem każdy z nas dostawał egzemplarz, wprowadzał poprawki i kiedy dokument był już ostatecznie zredagowany, Pożoga pokazywał go gen. Kiszczakowi. To była jedyna osoba, która po drodze od nas do Jaruzelskiego to czytała. Gen. Jaruzelski dostawał raport i później go z nami dyskutował.

**- *Dokumenty były poufne, a zespół działał w tajemnicy, tak?***

- Tak. W pewnym momencie ja tę tajemnicę złamałem, z czego wynikł skandal. Pewnego dnia byłem u Rakowskiego, wówczas wicemarszałka Sejmu. W rozmowie obaj krytykowaliśmy politykę Messnera. Powiedziałem, że mam dla szefa przygotowany dokument w tej sprawie. Rakowski zapytał, czy mogę mu dać do przeczytania. Zgodziłem się pod warunkiem, że przeczyta na miejscu. Nie zdążył przeczytać, więc zabrał ów dokument do domu. Przestrzegłem, żeby nikomu go nie pokazywał.

W tym „raporcie trzech“ w sposób ogólny była sformułowana propozycja, żeby zmienić premiera. Oprócz krytyki Messnera było tam stwierdzenie, że potrzebny jest premier-polityk, bez wskazania konkretnej osoby. Cała sprawa miała charakter drażliwy, nie było bowiem w zwyczaju, żeby niżsi funkcjonariusze rządu sugerowali zmianę szefa.

Potem okazało się, że Rakowski skopiował ten dokument i pokazał Porębskiemu, który z kolei pokazał go swojemu przyjacielowi Messnerowi. Przypuszczalnie do Messnera dotarło to również drugim kanałem: Ciosek musiał pokazać raport podległemu mu kierownikowi wydziału KC Gduła, a Gduła, który kiedyś był pierwszym sekretarzem w Wałbrzychu i sąsiedował z pierwszym sekretarzem Katowic Messnerem, polecił z nim do sąsiada. Drugi kanał jest hipotetyczny; Messner potwierdza w swoich wspomnieniach, że dostał dokument od swojego człowieka w KC.

Jak tylko premier Messner wszedł w posiadanie raportu, natychmiast poszedł z nim do gen. Jaruzelskiego. Efekt ich rozmowy był przeciwny do moich intencji. Gen. Jaruzelski, postawiony w niezręcznej sytuacji, zapewnił Messnera, że nadal będzie premierem. Miał (według Messnera) powiedzieć: „Czym ty się zajmujesz, to nie ma żadnego znaczenia, takie tam gówno“. Mnie zaś Jaruzelski ochrzanił za to, że tego rodzaju sugestie formułuje się na piśmie. Miał rację, bo takie papierzyska zawsze wprowadzają stan intryg i niesnasek w ekipie rządzącej.

Jednym słowem Messner został uspokojony i skandalik być może przedłużył jego funkcjonowanie. Wywołał też, oczywiście, nasiloną niechęć prof. Messnera do Urbana, jego rzecznika prasowego. Mnie Jaruzelski powiedział, że gdy Messner pytał, kto miałby zostać tym politycznym premierem, generał odpowiedział: „No, przecież ty jesteś premierem politycznym“.

**- Uwierzył?**

- Nie sądzę. Po wyborach czerwcowych odbyłem dwie rozmowy z Messnerem i sobie tę sprawę szczerze wyjaśnialiśmy.

**- Co mówił?**

- Rozmowy były niby przyjazne, ale on teraz we wspomnieniach strasznie pluje na mnie, że tymi intrygami uniemożliwiałem mu skuteczne działanie. Przesada,

**- Kiedy powstał „zespół trzech“?**

- Po raz pierwszy zebraliśmy się na początku 1986 roku. Sporządziliśmy wtedy dokument proponujący amnestię, wypuszczenie więźniów politycznych. Rozważaliśmy w nim wszystkie za i przeciw, dochodząc do wniosku, że korzyści takiego kroku przeważają.

Zakładaliśmy, że zniesienie kategorii więźniów politycznych (było ich wówczas jedenastu) po pierwsze - bezpośrednio osłabi opozycję, której głównym hasłem było domaganie się wolności dla uwięzionych, a po drugie - ułatwi stosunki z Zachodem, zniesienie restrykcji i znormalizowanie stosunków gospodarczych. Zdawaliśmy sobie sprawę również z tego, że nie ma sensu wypuszczanie więźniów tylko po to, żeby ich wsadzić z powrotem. Chodziło o rezygnację w ogóle z więzienia jako instrumentu walki politycznej. Tą propozycją -jak się później okazało - przyjętą, spowodowaliśmy daleko idące skutki polityczne - uznanie de facto opozycji i jej działalności.

**- Czyli musiał się pan już liczyć z siłą opozycji?**

- Nie z siłą, ale z tym, że zacznie działać bezkarnie. Bo jak ich się za wrogą działalność nie zamyka, to jakby milcząco sankcjonuje się ich funkcjonowanie. Zdarzenia roku 86 potwierdziły trafność propozycji „zespołu trzech“. Amnestię wprowadzono w życie. Bodaj wtedy właśnie Michnik nie chciał wyjść z więzienia, musiano go wynosić... Nie zdarzyło się to wszystko, czego się obawialiśmy, mianowicie, że natychmiast zbierze się Komisja Krajowa „Solidarności“ i zacznie się ostentacyjne odbudowywanie struktur. A my będziemy w głupiej sytuacji, bo jak temu zapobiec.

Po amnestii wydawało się, że opozycja jest rozbita, ponieważ wszyscy z więzień rozjechali się do domów i przez długi czas nic się nie działo.

**- Skąd pan wiedział, że rozjechali się wprost do domów?**

- Z informacji MSW.

**- Me dziwił się pan temu spokojowi?**

- Taki obrót sprawy przyjęliśmy z radością i wzięliśmy to za słabość opozycji. W tym okresie opozycja była rzeczywiście słaba. Nie cieszyła się dużym poparciem społecznym, wynikało to ze szczegółowych badań opinii. Aprobata dla Wałęsy nie przekraczała w pewnym momencie pięciu procent społeczeństwa. Z satysfakcją ogłaszaliśmy te dane.

**- Dokumenty „zespołu trzech“ pisane były tylko dla Jaruzelskiego?**

- Tak. Mniejsze i większe, czasem monotematyczne, czasem szersze, mające za podstawę omówienie sytuacji politycznej. Popelniliśmy nawet mocno niefachowy projekt dokonania przełomu w polityce gospodarczej.

Tendencja tych raportów była jednoznaczna - nasilenie reform, otwarcie, liberalizacja. Niewątpliwie przygotowaliśmy grunt pod to, co później się zdarzyło w tej Magdalence.

Zebrania „zespołu trzech“ były spiskiem pewnej grupy z Jaruzelskim, robionym za plecami aparatu.

**- Ze względu na jego niechęć?**

- Oczywiście. Wsuwaliśmy projekty nie mające szerszego poparcia ze strony, nazwijmy to, aparatu władzy. Odnosiłem chwilami wrażenie, że gen. Pożoga z pewnym lękiem bierze udział w naszych pracach.

Dokumenty te, pisane były językiem polityczno-pragmatycznym, bez jakiegokolwiek ideologii, a więc odmiennym od języka dokumentów wewnętrznych KC i Biura Politycznego.

Mówiłem już o projekcie przełomu gospodarczego, zdaje się, dość naiwnego, bo nie miał dalszego ciągu. Ja zawsze proponowałem, żeby przesunięcia z zakresu polityki wewnętrznej i zagranicznej oraz z zakresu gospodarki zgrywać w czasie i łączyć ze zmianami kadrowymi. Dawało to szansę stworzenia wrażenia, że dokonuje się wszechstronny przełom w naszej polityce, ponieważ społeczeństwo jest u nas przyzwyczajone do symbolicznych dat oznaczających koniec jednego i początek następnego okresu. Nigdy jednak te sugestie nie zaowocowały przyjęciem koncepcji jednoczesności różnych poczynań.

**- Powołanie „zespołu trzech“ każe przypuszczać, że Jaruzelski obawiał się własnej partii? Czy tak było w rzeczywistości?**

- W hierarchii partyjnej i w ogóle w aparacie władzy, ludzie myślący podobnie do tej trójki stanowili zdecydowaną mniejszość. I to mniejszość ulokowaną przeważnie na szczycie. Większość natomiast źle reagowała na wszystkie pomysły popuszczania, co spektakularnie objawiło się w trakcie X Plenum. Brak poparcia szerokiej bazy partyjnej, z którą każda władza musi się liczyć, zwykle opóźniał realizację tego wszystkiego, cośmy proponowali. To na ogół było przyjmowane przez szefa, ale urzeczywistniane zazwyczaj połowicznie i za późno.

**- Dlaczego? General nie był do końca przekonany?**

- Były dwa rodzaje powodów. Pierwszy - zawsze łatwiej się projektuje politykę niż robi ją w rzeczywistej sieci różnych powiązań i uzależnień. Drugie - nie był to jednak system zbudowany na wzór Watykanu, gdzie jest papież i jego aparat wykonawczy. Szef partii musiał zabiegać o poparcie Biura Politycznego, które formalnie miało w ręku kluczowe decyzje. Musiał liczyć się z Komitetem Centralnym, który zbierając się podejmował formalne uchwały. Musiał też mieć na uwadze bazę partyjną, bo bez jej poparcia można było się wywrócić i już nigdy nie podnieść.

**- A czy nie zawiniły tu również wewnętrzne wahania Jaruzelskiego?**

- Myślę, że wahania leżą w jego charakterze. To jest bardzo rozważny i niespieszny polityk. Istotniejsze były jednak czynniki obiektywne, a nie subiektywne. Pewne rozwiązania musiały dojrzeć w czasie. Udało się uzyskać zgodę na legalizację „Solidarności“ na X Plenum w okolicznościach wzrostu siły opozycji, strajków itd., ale to nie znaczy, że takie plenum skutecznie mogłoby się odbyć wcześniej.

**- Wróćmy jeszcze do spotkań „zespołu trzech“. Jak długo trwały? Podawano wam posiłki, alkohol? Były to posiedzenia bardziej towarzyskie czy też ścisłe robocze?**

- Jedno zebranie trwało zwykle kilka godzin przed południem. Jechaliśmy samochodem gen. Pożogi z jego kierowcą, który nas zabierał z domów. W Magdalence na podjeździe czekał już kierownik hoteliku. Zazwyczaj zaczynaliśmy od śniadania, które podawano tam bardzo ceremonialnie. W przygotowanym apartamencie siadaliśmy w fotelach przy stoliku. Była kawa, napoje, także koniak. Zwykle kończyliśmy obiadem, do którego podawano alkohol i



rozjeżdżaliśmy się. To jednak nie były alkoholowe spotkania, choćby z tego względu, że Ciosek pije niewiele, a ja piję wiele, ale nigdy przed wieczorem.

**- Dlaczego Magdalena?**

- Ze względu na spokój, który tam mieliśmy zapewniony. Gdybyśmy umówili się w biurze któregoś z nas, telefony nie dawałyby nam spokoju.

**- Posiedzenia „zespołu trzech „ zbliżały władzę do porozumienia, ale w sposób nieformalny i niebezpośredni. Równocześnie od jakiegoś czasu trwały próby nawiązania bezpośrednich kontaktów z opozycją. Głównym autorem tych prób był chyba Kiszczak?**

- Negocjacje i przygotowania, najpierw do Magdaleny, a potem do okrągłego stołu, biegły wieloma torami. W różnych okresach różne rozmowy miały dominujące znaczenie. Raz to był Czyrek, który rozmawiał z Kościołem i ludźmi przykościelnymi typu Stelmachowski. Raz Ciosek, a z nim Gduła, którzy również rozmawiali z Kościołem, tylko mieli innych rozmówców. Główną rolę negocjacyjną odgrywał rzeczywiście gen. Kiszczak, który zresztą zawsze miał swój program spotkań i rozmów. Jednak przyjął na siebie tę rolę publicznie dopiero wtedy, gdy Magdalena realnie już się szykowała.

**- Jaruzelski wiedział o tych wszystkich wątkach rozmów?**

- Oczywiście.

**- Pana również w to wtajemniczano?**

- Gdybym chciał wiedzieć, to pewnie bym się dowiedział. Ale szczegóły rzadko mnie interesowały. O postępach rozmów dowiadywałem się najczęściej od Cioska, który miał stały kontakt z Czyrkiem i Kiszczakiem.

**- Patrząc z jednej strony na niereprezentatywną Radę Konsultacyjną przy Jaruzelskim, a z drugiej na dość niewielką siłę opozycji, można powiedzieć, że nic nie wskazywało na późniejsze porozumienie. Decydującym momentem przyspieszenia rozmów były strajki w 1988 roku, czyż nie?**

- Nie sposób nie docenić tego faktu. Był to pokaz siły opozycji i znak tego, że odżyła, ale nie udało się im wywołać strajków w tej skali jak próbowali.

**- Od zakończenia strajków do rozpoczęcia negocjacji przy okrągłym stole minęło pół roku. Jaka była pańska rola w tym okresie?**

- Proszę sobie uświadomić, że gen. Kiszczak od razu w sierpniu 1988 wysunął propozycję negocjacji, która w gruncie rzeczy była propozycją zwołania okrągłego stołu. Jeszcze przed strajkami sugerowaliśmy rozpoczęcie negocjacji, lecz na płaszczyźnie gospodarczej. Te projekty rozmów: wicepremier Sadowski - Wałęsa, bliskie już realizacji, nasza strona zawiesiła w momencie wybuchu strajków. Gospodarczy kanał mógł się okazać owocny, bo nie o samą gospodarkę chodziło; przewidywaliśmy jakąś formę legalizacji „Solidarności“, jednak bez naruszania zasady: jeden związek zawodowy w jednym zakładzie pracy. W niektórych fabrykach struktury zakładowe „Solidarności“ działały jawnie, nie napotykając na

żadne represje. Ten stan faktycznego tolerowania i formalnego nieuznawania nie mógł dłużej trwać, bo był to stan nieuznawania rzeczywistości.

**- Czy po strajkach w 1988 roku zmienił pan sposób informowania i podejścia do opozycji na wtorkowych konferencjach?**

- Tak, oczywiście.

**- Przyszło to panu z trudem?**

- Myślałem pragmatycznie, jak powinien myśleć polityk. Podczas konferencji wyrażałem politykę władz, a nie własne pasje, więc gdybym powiedział cokolwiek sprzecznego z intencją władz, natychmiast byłoby to co najmniej sprostowane.

**- Nie pomyślał pan wówczas o dymisji?**

- Nie, skąd. Nie miałem do tego żadnego powodu. Ówczesna polityka władz nie była sprzeczna z tym, co myślałem. Była to polityka, z którą nie tylko zgadzałem się, ale wręcz uważałem, że jest prowadzona nie dość konsekwentnie i za wolno. To zresztą w kółko pisaliśmy.

**- No tak, ale o „zespołe trzech“ mało kto wiedział. Urban był społecznie postrzegany nadal jako szubrawiec, który z tajemniczych powodów nagle zmienił front.**

- To nieprawda, że moja rola była tak ściśle dwoista, tj. że publicznie zajmowałem się tylko walką z opozycją, a za kulisami tylko pojednaniem. Publicznie odzwierciedlałem politykę pojednania. Żadnego frontu nie zmieniłem. Nie zaprzestałem prowadzenia polemiki, inne tylko stawały się pola starć. Polemiki miały - co naturalne - charakter bardziej spektakularny niż pojednawcze oświadczenia polityczne przeznaczone dla bardzo wąskiego kręgu. Szersza rzesza widzów po prostu nie słyszała tych różnych koronkowych sformułowań, a zauważała pilnie - z aprobatą lub oburzeniem - starcia polemiczne.

Aparat, do którego też mówiłem, słuchał więc o potrzebie porozumienia, o tym, że działalność opozycji nie powinna zmniejszać poparcia partii dla reform, o tym, że np. na płaszczyźnie gospodarczej należałoby przerwać walkę.

Nie nosiłem się z zamiarem ustąpienia po to tylko, by zmieniająca się polityka władz reprezentowana była przez nową twarz. To nie była nowa polityka. Ona miała swoją rozwojową sekwencję. Poza tym moja popularność społeczna i stopień aprobaty wzrastał, a nie spadał. Nienawiść środowisk opozycyjnych nie odzwierciedlała odbioru ogólnospołecznego. Decydujące o skuteczności mojego działania były poglądy tzw. milczącej większości w sposób ambiwalentny obserwującej konferencje rzecznika.

Kiedy jednak na wiosnę 1989 r. Rakowski dał mi kopa w górę i przestałem być rzecznikiem, uznałem to za trafne i właściwe.

**- Czy brał pan udział w przygotowaniach do okrągłego stołu?**

- W pewien sposób. Na przykład w pałacu w Otwocku urządziliśmy symulację rozmów, które miały się odbyć przy tzw. podstoliku politycznym. Strona koalicyjno-rządowa

podzieliła się na dwa zespoły: „rząd“ i „opozycję“. Ćwiczyliśmy argumenty i kontrargumenty, które spodziewaliśmy się usłyszeć już w trakcie prawdziwych rozmów.

**- Kto był w „opozycji“?**

- Na przykład ja. W Otwocku doszło do dość kłopotliwej sytuacji, bowiem okazało się, że zespół odgrywający opozycję dobrze się w nią wcielił: miał więcej atutów. Ale to normalne - łatwiej jest atakować władzę niż bronić jej polityki, łatwiej postulować różne nowe rozwiązania niż upierać się przy koncepcjach zachowawczych i ograniczeniach. Łatwiej choćby żądać zniesienia cenzury niż wyjaśniać, dlaczego jest konieczna.

**- Jakie były zagrożenia zerwania rozmów w czasie między sierpniem '88 a okrągłym stołem? Z jednej strony zagrażał aparat partyjny, a z drugiej?**

- No, przede wszystkim opozycja stawiała różne warunki wstępne.

**- W końcu wszystkie przyjęte...**

- No tak... Najbardziej idiotyczną rzeczą było to, że na długi czas rozmowy zablokowało wysunięcie przez opozycję do rozmów Michnika i Kuronia. Dla strony rządowej było to prestiżowo nie do przyjęcia.

**- O czyj prestiż chodziło? Kto upierał się przy niedopuszczeniu do stołu Michnika i Kuronia?**

- Kierownictwo partii.

**- Jaruzelski też?**

- Sądzę, że też.

**- Kiszczak?**

- Sądzę, że cały zespół kierowniczy. Ewentualnych różnic zdań na ten temat nie znam.

**- Ale Ciosek chyba nie?**

- Myślę, że też. Tutaj głównie chodziło o symboliczną rolę tych nazwisk, utrwaloną, wstyd powiedzieć, od 1968 roku. Gdyby teoretycznie założyć, że do obrad przy okrągłym stole przygotowywałyby się polityk tak skrajnie prawicowy jak Chrzanowski, to jego uczestnictwo nie wzbudziłoby żadnych oporów, bo nikt ni cholery nie wiedział, kto to jest Chrzanowski. Michnika i Kuronia zarówno kierownictwo, jak i baza partyjna znała jako tych najgorszych opozycjonistów, na których przez długie lata wieszaliśmy psy. W grę mogły też wchodzić ambicje osobiste, np. Michnik był autorem obraźliwego listu do Kiszczaka. Choć z drugiej strony Kiszczak należy do tych polityków, którzy zawsze umieją wznieść się ponad uprzedzenia.

**- W trakcie trwania rozmów przy okrągłym stole też kilkakrotnie groziło zerwanie negocjacji. Jak pan postrzegał te zagrożenia? Czy istotnie był taki moment, że mogło się to wszystko zawalić?**

- Myślę, że największe zagrożenie wprowadzały sprawy gospodarcze, np. podatek od płac, który później nazwano „popiwkiem“. W gruncie rzeczy kierunkowe decyzje w kwestiach politycznych, a więc relegalizacji „Solidarności“ i rozpisania wyborów, zapadły wcześniej.

**- *Jaki miał pan wówczas wpływ na politykę informacyjną władz? Wtorkowe konferencje już się chyba nie odbywały...***

- Najpierw ja nie miałem być rzecznikiem okrągłego stołu, lecz współpracować niejako z boku. Potem powiedziałem, że muszę być rzecznikiem, czyli bezpośrednio brać udział w rozmowach, bo inaczej niczego konkretnego nie zrobię. Ale tę rolę pełniłem w nikłym zakresie. Okrągły stół podzielił się na liczne podstoliki. Nie mogłem wiedzieć co dzieje się wszędzie, aby od razu informować prasę. Rolę rzeczników pełnili szefowie naszych grup negocjacyjnych. Zostałem więc raczej formalnym rzecznikiem strony koalicyjno-rządowej przy okrągłym stole.

**- *A nie bał się pan, że dla opozycji będzie pan postacią drażniącą?***

- Mieliśmy takie obawy, ale myślę, że przeważyły moje umiejętności polemiczne, wprawa i doświadczenie...

**- *Jak pan ocenia przebieg negocjacji?***

- Przy okrągłym stole obie strony doznały pewnej psychologicznej iluminacji, tzn. ten wcześniej demonizowany przeciwnik okazał się rozsądny i nie tak odległy w dążeniach i w sposobie myślenia. Było to wielkie osiągnięcie okrągłego stołu, wskazujące na to, że gdyby wcześniej istniało tego typu oficjalne życie polityczne, tego typu forum dla dyskusji, projektowania i omawiania, to przeciwieństwa można było znacznie zmniejszyć. Ów zasadniczy podział na władzę i opozycję mógłby wówczas skomplikować się z korzyścią dla kraju. Przy okrągłym stole okazało się z jednej strony, że opozycja ogólnie rzecz biorąc jest rozumna i w bardzo wielu sprawach ma oczywistą rację, a z drugiej - że cały zespół koalicyjno-rządowy jest wewnętrznie rozbrojony, uległy i nastawiony konformistycznie ze skłonnościami do lizusostwa.

**- *Władza podlizywała się opozycji?***

- Takie można było odnieść wrażenie. Okrągły stół szybko przestał być starciem dwóch koncepcji, a wizje Polski konstruowała już tylko strona opozycyjna. Myśmy w pewnych sprawach opierali się, w innych - przyznawali opozycji rację. Słowem - nie potrafiliśmy odegrać zaplanowanej roli drugiego równorzędnego ośrodka myśli politycznej, byliśmy jedynie zdolni do wątej obrony niektórych spraw i pozycji.

**- *Chyba nie było innej możliwości.***

- No cóż... Jedna siła była wstępująca, a druga - schyłkowa. Jedna z hukiem i rozmachem wstępowała, a druga odchodziła bez szczególnych oporów.

**- *Widzi to pan jak starcie dwóch sił politycznych. A gdzie idea? Upadek komunizmu był prawem niemal historycznym...***

- Ta idea nie była już obecna, a przynajmniej głośno o niej nikt nie mówił. Nasza strona nie reprezentowała sobą żadnej idei. Były to już tylko racje pragmatyczno-obronne.

**- Czy opozycja sprawiała wrażenie podzielonej?**

- Przy okrągłym stole? Nie. Może jedynie zróżnicowana - istniały siły nacisku branżowego, np. górniczy, i kierownictwo myślące kategoriami ogólnopolitycznymi i ogólnogospodarczymi.

**- Kto w tym kierownictwie grał pierwsze skrzypce?**

- Trudno powiedzieć. Przy każdym stoliku kto inny: Mazowiecki, Geremek, inni. Kierownictwo składało się z tych samych osób, które uczestniczyły w rozmowach w Magdalence. Nie było jednego lidera, podobnie jak po naszej stronie - tę funkcję spełniało kierownictwo partii.

**- Jak pan ocenia znaczenie okrągłego stołu?**

- Moim zdaniem popełniliśmy błąd, który wynikał z braku wyobraźni politycznej i który w znacznym stopniu leżał u źródeł tak wielkiej przegranej wyborczej. Należało to zrobić inaczej. Po pierwsze - wcześniej, w 1988 roku, bo czas grał na naszą niekorzyść. Po drugie - nie robić okrągłego stołu, który zajmuje się wszystkimi dziedzinami życia w Polsce.

Okrągły stół w gruncie rzeczy przekształcił się w wielką kampanię propagandową opozycji neglżującej wszystkie niemal dziedziny funkcjonowania poprzedniego ustroju. Należało zaś publicznie przeprowadzić szybkie negocjacje, najlepiej dwu-trzydniowe, dotyczące zasadniczego kontraktu, tzn. wyborów, legalizacji „Solidarności“ i ewentualnie pewnych korekt w polityce gospodarczej. Można to było zrobić wcześniej i wcześniej rozpisac wybory, kiedy jeszcze rząd Rakowskiego miał znaczne poparcie społeczne. Rozwleczenie rozmów na miesiące, podział na stoliki i podstoliki - to wszystko postawiło rządzący obóz w pozycji oskarżonego. Telewizja wciąż nadawała to pasmo oskarżeń, długotrwałych i jednoznacznych. Pozwoliło to opozycji zaprezentować się jako rozległej sile programotwórczej, która pragnie Polskę urządzić inaczej, nie znajdując po drugiej stronie żadnych istotnych kontrargumentów.

**- No tak, ale to pan wie dziś...**

- Ja to wiedziałem już przy okrągłym stole. Myśmy politykowali głupio, zakładając, że przy tych stolikach i podstolikach negocjacje utopia się w szczegółach, podczas gdy dyskusja zamienia się w długotrwałą i głęboką wiwisekcję realnego socjalizmu dokonywaną przez stronę opozycyjną.

## **Ja i Wałęsa**

**- W „Alfabcie Urbana“ napisał pan przewrotnie, że to dzięki Lechowi Wałęsie został pan rzecznikiem rządu. Można iść dalej i powiedzieć, że przez Wałęsę przestał pan być rzecznikiem. Jak pan odebrał powrót Wałęsy na scenę polityczną w roku 1988?**

- Uznałem to i uznaję do dziś za fiasko polityki, którą reprezentowałem od stanu wojennego.

**- Czy Wałęsa bardzo się zmienił po tych siedmiu latach?**

- Uważałem, że się zmienił. Dojrzał politycznie. W roku 1980, słusznie lub niesłusznie, ocenialiśmy go jako marionetkę. W 1988 roku stał się samodzielnym politykiem prowadzącym z nami umiejętną grę.

**- Czyli był ceniony przez tamtą władzę?**

- Raczej doceniany. Został doceniony jako partner.

**- Jaki był pana udział w powrocie Wałęsy?**

- Niewielki. Choć może odegrałem pewną rolę podczas przygotowań do dyskusji telewizyjnej Miodowicz-Wałęsa. Ona utorowała Wałęsie powrót, co przewidywałem i usiłowałem utrudnić. Chcecie - to wiercie, chcecie - nie wiercie, ale Miodowicz bez uzgodnienia z kimkolwiek zaproponował, bodaj w „Sztandarze Młodych“, taką dyskusję. Zapewne nie rozumiał jak doniosły i brzemienny w skutki krok robi. Równocześnie Miodowicz zajmował twarde stanowisko w sprawie Jeden związek zawodowy w jednym zakładzie pracy“, co w zasadzie oznaczało monopol związkowy OPZZ. A więc, czynił krok decydujący w torowaniu „Solidarności“ drogi do legalnego działania, a jednocześnie najostrzej się temu sprzeciwiał. Miodowicz kładł się na szynach, aby nie mógł przejechać pociąg, który on pchał własnymi rękami.

Razem z Cioskiem i Pożogą proponowałem wówczas koncepcję modną po obydwu stronach politycznej barykady-żeby wolność związkowa zaczynała się od poziomu zakładów pracy. Mówiliśmy, że nie rezygnując z zasady „jeden związek w jednym zakładzie“, na drodze wyborów można będzie zdecydować, który to związek. Jeśli w jakiejś fabryce zwycięży „Solidarność“, to tym jednym związkiem będzie tam „Solidarność“, jeśli OPZZ, to OPZZ. Jeśli powstanie coś trzeciego - też dobrze.

**- Było to wymyślone teoretycznie czy też poparte badaniami, z których wynikało, że zwycięży OPZZ?**

- Najzupełniej teoretycznie i dość naiwnie zresztą. Chodziło o zachowanie jedności związkowej oraz o jakąś formę legalizacji „Solidarności“ możliwą do przełknięcia przez OPZZ, aby OPZZ nie traciła twarzy. Oczywiście i ja, i moi koledzy, wiedzieliśmy, że sprawa „Solidarności“ to tylko formalnie kwestia związku zawodowego. W istocie rzeczy chodzi o legalne funkcjonowanie politycznej opozycji. Sprawa nie mieściła się więc w obrębie związkowej autonomii Miodowicza i przerastała go.

Kiedy Miodowicz zapowiedział telewizyjną dyskusję, Wałęsa podchwycił to. W występie upatrywał szansę legalizacji i wzrostu swej politycznej roli. Miał rację.

W KC odbyło się zebranie działaczy wysokiego szczebla, w większości członków Biura, gdzie Miodowicza najzwyczajniej opieprzono, starając się uzmysłowić mu, co zrobił i namówić, żeby się wycofał.

**- *Miodowicz był wówczas członkiem Biura Politycznego.***

- Właśnie. I bez uzgodnienia z Biurem rzucił propozycję dyskusji, co przeczyło jego postawie wobec legalizacji „Solidarności“ w fabrykach. Słusznie przewidywaliśmy, że ta nieustępliwość Miodowicza w starciu z żądaniem relegalizacji „S“, które wysunie w telewizji Wałęsa, przyniesie popularność wyłącznie temu ostatniemu. Przestanie być osobą prywatną. Ja nie byłem przeciw odtwarzaniu „Solidarności“, przeciwnie - byłem „za“, ale zdecydowanie przeciw telewizyjnej rozmowie.

Konkluzją zebrania w KC było żądanie od Miodowicza, żeby wycofał się z tej propozycji. Szukano różnych pretekstów.

**- *Pan też szukał?***

- Tak. Potencjalnie dostarczały pretekstu różne warunki, które stawiał Wałęsa; chodziło o to, żeby program szedł na żywo, żeby reżyserował go Wajda itd.

Miodowicz zgodził się wycofać.

**- *A jak tłumaczył się z tego, że w ogóle chciał tej dyskusji?***

- Powiedział, że jest pewien, że ją wygra.

Tak więc stanęło na tym, że Miodowicz będzie grał na odwleczenie. Tymczasem on publicznie potwierdził powtórnie zamiar odbycia debaty telewizyjnej. I jego ludzie zaczęli rozmowy przygotowawcze z ludźmi Wałęsy. Stało się jasne, że Miodowicz co innego mówi swym kolegom z kierownictwa partii, a co innego robi. W sprawie Wałęsy prowadził jakąś własną, niezrozumiałą grę, wyraźnie prąc do dyskusji.

Kiedy było już oczywiste, że do debaty dojdzie, poszedłem do Miodowicza do domu, żeby mu doradzić, co ma mówić, jakie grzechy wygarnąć „Solidarności“ i jak przynajmniej próbować wygrać z Wałęsą. Wszystko notował, ale kiedy ruszyły kamery poszedł po swojej linii, ogromnej ugodowości, omal przymilności wobec Wałęsy. Mówił, że „jeden związek w jednym zakładzie“, a poza tym to my, panie Lechu, kochamy pana.

Miodowicz wypadł w tej debacie fatalnie, Wałęsa - znakomicie. Był ugodowy i rozważny. Wcielone zaprzeczenie tego wszystkiego, co o nim mówiłem przez siedem lat. Ja natomiast doszedłem do wniosku, że Miodowicz jest z natury fałszywy i nierozumny. Postanowiłem nigdy więcej z nim nie grać. Rozumiem, że pewna dwulicowość bywa w polityce niezbędna, ale to, co zrobił Miodowicz, przekraczało wszelkie granice. Pomógł „Solidarności“, w osobie Wałęsy, wrócić na scenę równocześnie nie zgadzając się na to zapalczywie.

Miodowicz tłumaczył to tym, że kierownictwo KC PZPR chce go „wykole-gować“ i szykuje się do uznania „Solidarności“ - co było prawdą. Tyle, że on mógł ten zamysł popierać lub zwalczać, ale nie zwalczać słownie a popierać czynnie.

**- Jak pan odebrał układ Wałęsy z Malinowskim i Józwiakiem?**

- To była genialna rozgrywka. Nie wiem, kto w stajni Wałęsy to wymyślił. Może sam Wałęsa zagrał na rozbitcie 65% koalicji PZPR-SD-ZSL. Wbrew poglądom doradców, że na przejęcie władzy jest jeszcze za wcześnie, porozumiał się z przywódcami SD i ZSL. Okazał tym zdolność do przenikliwej i samodzielnej gry. To było nadzwyczaj zręczne posunięcie. Poprzez kuluarowe rozmowy udało mu się zachęcić do takiej zmiany aliansów, że PZPR straciła większość. Józwiak i Malinowski wyszli na durniów, bo stronnictwa się ich pozbyły, a sojusz nie okazał się długotrwały ani dla nich rentowny. Wałęsa wyrolował szefów stronnictw. Tak kończą sojusznicy Wałęsy.

**- Widywał pan w tym czasie Wałęsę?**

- Nie. Był taki moment, że Wałęsa po wyborach przyjechał do telewizji nagrać program, a ponieważ byłem jeszcze wówczas prezesem Radiokomitetu, po chwili wahania zdecydowałem się pełnić honory gospodarza. Wyszedłem po niego, zaprowadziłem do studia. Ogromnie przyjaźnie mnie potraktował. Mówił mi jakieś miłe słowa, długo pozowaliśmy razem fotoreporterom.

**- A pan - odwzajemniał te miłe słowa?**

- Nie, ale dostosowałem się do klimatu ściskania rąk i uśmiechów. Zresztą to się działo w strasznym ścisku, a ja w ścisku mogę mówić do kłap marynarek najwyżej, bo jestem niski. Rozmawiałem więc nie z Wałęsą, ale z Matką Boską w jego kłapie. - **Czy podczas obrad okrągłego stołu spodziewał się pan jakiejś wolty ze strony Wałęsy?**

- Nie. I ja, i cała nasza strona, traktowaliśmy obóz „Solidarności“ jak jedność. Ufaliśmy natomiast, że Kościół jest i będzie pośrednikiem między nami.

**- A nie był nim?**

- Stwarzał tylko takie nieprawdziwe wrażenie. Okazało się to podczas kampanii wyborczej w 1989 roku, gdy całą swoją strukturę organizacyjną, sale i katedry - Kościół oddał na usługi „Solidarności“.

**- Kiedy zauważył pan wyraźne pęknięcie w „Solidarności“?**

- Proszę panów, w „Solidarności“ zawsze były ujawniane różnice zdań, ale nie uważałem ich za pęknięcie. Jeżeli Michnik wysuwał hasło „wasz prezydent, nasz premier“, a inni, w tym Mazowiecki, uważali, że jest to przedwczesne, że najpierw trzeba skonsumować kontrakt zawarty przy okrągłym stole, to nie było to przecież pęknięcie, tylko naturalne różnice zdań.

Pęknięcie stało się oczywiste dopiero, gdy Wałęsa wysunął swą kandydaturę na prezydenta, zaczął atakować i Jaruzelskiego, i Mazowieckiego, żądać przyspieszenia i przewietrzenia.

**- Czyli od zapowiedzi „wojny na górze“?**



- Tak.

**- Dlaczego zdecydował się na to? Czy było to rozumne i korzystne dla „Solidarności“, jak pan sądzi?**

- Górę wzięły ambicje osobiste. Nie bez znaczenia psychologicznego były dwa fakty: wizyta Havla, który pominął Wałęsę, oraz gigantyczna popularność międzynarodowa i zaufanie, jakie uzyskał Mazowiecki. Wałęsa, który uważał, że on sam obalił komunizm, nagle poczuł się potraktowany jak zdechły szczur przez jakiegoś praskiego intelektualistę, o którym słyszano wcześniej jako o drobnym dysydencie, który pisze komedijki teatralne. Poza tym uważał, że jego własny doradca, miękki redaktorzyzna, Mazowiecki, zabrał władzę nad Polską, należną jemu - Wałęsie. Wałęsa musiał boleśnie odczuć ten swój półprywatny status w Gdańsku. Musiał odnieść wrażenie, że znika jako polityk i staje się zbędny.

**- Takie poczucie musieli też mieć jego ludzie, tacy jak Kaczyńscy.**

- Z wyjątkiem tej małej grupki z Gdańska, Wałęsa nie miał wtedy ludzi! Byli jego współpracownicy skupili się w Warszawie wokół Mazowieckiego i gorączkowo brali urzędy. Dochodziło do tego, że ludzie o pewnej pozycji politycznej brali urzędy bardzo skromne. Jedną ze znaczących postaci opozycji zadowolili się np. posadą dyrektora departamentu w Głównym Urzędzie Cel. Życie polityczne koncentrowało się wokół parlamentu i rządu. Wałęsa tkwił w tym Gdańsku coraz bardziej zapomniany, coraz bardziej symboliczny, jakby już schyłkowy.

**- Jak pan uważa, czy jego byli współpracownicy chcieli się go pozbyć?**

- Myślę, że mieli taką ochotę.

**- Na kogo głosował pan w pierwszej turze wyborów prezydenckich?**

- Na nikogo. Poszedłem głosować na Cimoszewicza, ale trafiłem nie do tego, co trzeba lokalnie wyborczego. Powiedziano mi, gdzie mam głosować, chodziłem, chodziłem, ale nie znalazłem tego miejsca.

**- A w drugiej turze?**

- Znalazłem właściwy lokal, ale zachowałem się bez sensu. Szedłem z zamiarem głosowania na Tymiąńskiego, ale uznałem, że głosowanie na Tymiąńskiego będzie niewłaściwe z punktu widzenia poczucia odpowiedzialności za państwo. W ostatniej chwili wrzuciłem pustą kartkę.

**- Dlaczego uważa pan to zachowanie za pozbawione sensu?**

- W ogóle nie należało iść do urny.

**- Jak pan ocenia tamtą kampanię?**

- Była okropna. Wałęsa gadał jakieś frazesy, składał bezsensowne obietnice, robił jak najgorsze wrażenie. Nie miałem jednak wątpliwości, że to on zostanie prezydentem.

**- *A jak pan przyjął porażkę Mazowieckiego?***

- Było to zaskakujące, odniosłem mieszane uczucia. Kampania Mazowieckiego była dyletancka, kandydat pokazał się jako polityk nie umiejący pozyskiwać mas. Kampania pokazała też, jak szybko to wielkie poparcie, którym cieszył się Mazowiecki, spada pod wpływem dokonanej już obniżki poziomu życia i rozwiniętej arogancji nowej władzy. Arogancja ta nie przybrała wprawdzie jeszcze obecnych rozmiarów, ale już uformowało się samopoczucie nowych właścicieli Polski, pewnych siebie beniaminków krajowej opinii i światowej sceny politycznej. Miałem więc pewną satysfakcję, że ci, co nas pokonali, tak szybko sami dostali po nosie.

**- *Jak wypada porównanie Wałęsy z Piłsudskim?***

- Nigdy nie miałem sympatii do postaci Piłsudskiego, ale gdy przydaje się mu taką skalę porównawczą, to Piłsudski staje się wręcz wybitny.

Wałęsa jest prezydentem nieudolnym, to awanturczym, to biernym. Oto stawia veto wobec ordynacji wyborczej uchwalonej przez Sejm. Sejm zachowuje się kompromisowo i koryguje w zasadzie ordynację podług życzeń Wałęsy. Tym samym ofiarowuje mu sukces, choć niepełny, i pozwala wyjść z twarzą z tej rozgrywki. A co robi Wałęsa? Stawia drugie veto, które musi być odrzucone, choćby ze względów ambicjonalnych parlamentu. Parlament uświadomił sobie, że to nie jest gra o treść ordynacji, ale o pokazanie, kto tu rządzi. Wałęsa zamiast położyć uszy po sobie, zaczyna grozić rozwiązaniem parlamentu, czyli puczem; mówi o dywizjach, które wyprowadzi. To jest polityczny dyletantyzm najwyższego stopnia! Pucz się robi, a nie mówi o nim. Wałęsa ani przez chwilę nie dysponował siłami, które byłyby zdolne taki pucz przeprowadzić. Obóz belwederski równocześnie robił wszystko, żeby zantagonizować wobec siebie policję i wojsko zapowiadając tam czystki.

Wałęsa sam i ustami swoich kancelistów najpierw krzyczy, potem się wycofuje, znów krzyczy na inny temat i znów się wycofuje. Dużo wrzasku i żadnej skuteczności, żadnej koncepcji, żadnej myśli w polityce wewnętrznej. Proszę popatrzeć - żąda nadzwyczajnych pełnomocnictw dla rządu. Znów przegrywa. Zezwala, aby jego ludzie z kancelarii i Porozumienia Centrum uprawiali awanturnictwo, robili afery typu „Telegraf. Udaje naiwnie, że jego to nie dotyczy. Przegrywa w opinii publicznej.

**- *Lepiej jest w polityce zagranicznej. Panuje opinia, że Wałęsa dobrze sobie radzi za granicą.***

- Jest to opinia ludzi, którzy dają się nabrać na programy telewizyjne, w których pokazuje się, że prezydent jest godnie przyjmowany, a ordery i pióropusze towarzyszą jego wizytom. Naprawdę zaś polityka zagraniczna prowadzona jest fatalnie. Nowe władze polskie nie uzyskały od Zachodu prawie niczego. Warunkiem naszego rozwoju gospodarczego miało być i jest nadal poważne zasilenie z Zachodu, którego na razie nie uzyskano i nie zanoszą na to. Premier przywozi od prezydenta USA 25 milionów na budownictwo mieszkaniowe, czyli tak jakby wziął na piwo.

**- *A umorzenie długów?***

- Umorzenie długów to cukierek, który obiecywano także naszej ekipie.

**- Na jakiej podstawie pan tak twierdzi?**

- Nam ciągle obiecywano umorzenie długów. Przyjmowaliśmy to ze sceptycyzmem, bo było obwarowane różnymi warunkami politycznymi i ekonomicznymi, na których spełnienie byliśmy za słabi. Nie mieliśmy tego poparcia społecznego, które dostała w prezencie władza po przewrocie w czerwcu '89.

Umorzenie długów nie jest tak wielkim sukcesem, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że długi nierozzerwalnie są związane z programem gospodarczym nazywanym „dostosowawczym do Międzynarodowego Funduszu Walutowego i Banku Światowego“. Program ten przewiduje podtrzymywanie kursu dolara i określony poziom ceł, co czyni z Polski duży i wygodny rynek zbytu dla zachodnich towarów. Zachód uzyskuje przez to znacznie więcej pieniędzy niż uzyskałby poprzez ściąganie długów. To się po prostu Zachodowi opłaciło, szczególnie że chodzi o długi w ogóle przecież nieściągalne. Zachód jest zadowolony, gdy dostaje część należności.

Wałęsa zmarnował szansę uzyskania znaczącej pomocy z Zachodu, która nazywana była nowym planem Marshalla. Gdyby przejęcie władzy przez „Solidarność“ poprzedzone było negocjacjami między siłą, która w wyniku wyborów mogła przejąć władzę, a Stanami Zjednoczonymi i Niemcami, to udało by się wyszarpać coś Zachodowi w zamian za dokonanie demokratycznego przewrotu. Zachód by za to zapłacił, bo oznaczałoby to przesunięcie jego strefy wpływów z Łaby na Bug. Przesunięcie takie nastąpiło, ale Polska na tym nie zarobiła ani centa. Nikt nie będzie potem płacił za to, co już wcześniej dostał za darmo.

Jednym słowem, Polska rękami Wałęsy daje prezenty, a potem te same ręce wyciąga po jałmużnę.

Polityka wobec Moskwy też jest wielkim fiaskiem Wałęsy. Okazuje on ogromną niefrasobliwość. Błędy w polityce wobec Wschodu Wałęsa odziedziczył po Mazowieckim, którego rząd wysunął samobójczą propozycję, czy nawet żądanie, przejścia na przeliczenia dolarowe w handlu z ZSRR. Związek Radziecki chętnie to podchwycił. Mazowiecki i Wałęsa przegapili szansę polityki wschodniej, która mogłaby polegać na wykorzystaniu rzadkiej w historii możliwości - Polska mogła stać się krajem potrzebnym jako samodzielny sojusznik osłabionemu Związkowi Radzieckiemu, czy teraz już Rosji. Potrzebnym gospodarczo i politycznie.

**- Jest to już nie do odrobienia?**

- Chyba nie, a już na pewno nie takimi metodami, jakie stosuje Wałęsa. Symbolem jego braku mądrości politycznej była wizyta w siedzibie NATO. Co on przez to uzyskał? Nic. W samym NATO potraktowali tę wizytę Wałęsy z zakłopotaniem. „Nie myślcie sobie, że wstapicie do tego klubu“ - dano nam do zrozumienia. Wizyta w NATO nie była może targaniem po szczękach, ale w owym momencie ciągnięciem za wąsy wschodniego mocarstwa - pokazywaniem, że Polska jest gotowa zagrozić jego interesom także militarnym i że aż pali się do tego, żeby wojska NATO prędzej czy później wpuścić nad Bug.

**- Pamięta pan jakieś anegdoty związane z Wałęsą?**

- Ja z Wałęsą nie miałem prawie żadnego związku. Nie jestem w stanie niczego wymyślić. Sięgając jednak wstecz do stanu wojennego, pamiętam, że po wyjściu Wałęsy z ośrodka internowania, oglądałem w URM-ie rachunki płacone za jakieś kosmiczne ilości szampana i innych trunków, jakie wtedy Wałęsa wypił w „internacie“. Rachunki przedstawiono mi z pytaniem, czy je publikować czy nie. Doszliśmy do wniosku, że publikowanie byłoby nie tylko nieeleganckie wobec naszego przymusowego gościa, ale uderzyłoby to w nas. Cały nasz obóz mógłby powiedzieć - to po co tyle tego szampana dawaliście Wałęsie?

**- *Ale sam nie pił, tylko z obstawą, gośćmi...***

- Oczywiście, sam Wałęsa nie zdołałby tego wszystkiego wypić. Biesiadował w towarzystwie, ale on częstował czym chciał i ile chciał.

## **Ja i wybory**

**- Kto wymyślił hasło „niekonfrontacyjne wybory“ (chodzi nam o wybory w czerwcu 1989 roku)?**

- Nasza strona. To była oferta wobec opozycji. Wiedzieliśmy, że jesteśmy słabi i prosiliśmy, aby nas nie bili, nie stosowali całego swojego arsenału.

**- Nie było też chyba potrzeby zaostrzenia konfrontacji. „Solidarność“ dostała swoje 35% dla bezpartyjnych i było pewne, że wezmą wszystko co swoje.**

- Pewności nikt nie miał. Nasza strona sądziła, że znaczną część z tych 35 % przeznaczonych dla bezpartyjnych odzyska się dzięki takim bezpartyjnym jak ja. Wraz z sojusznikami liczyliśmy na 40% miejsc w Senacie.

Druga strona też nie była pewna swego zwycięstwa. Pamiętam rozmowę z Michnikiem. Skarżył się, raczej szczerze, że dostaną w tyłek w tych wyborach. Opowiadał jak Wajda miał pojechać do Suwałk, skąd miał kandydować na senatora. A tam przecież nie było żadnego lokalnego opozycjonisty! Nikogo. Wajda wysiadłby z samochodu i nie miałby dokąd iść. Ludzie go prawie nie znają. Na 49 województw opozycja miała swe struktury organizacyjne tylko w kilkunastu.

**- A jak zachowywał się w tym czasie Kościół katolicki?**

- Uczestniczył w licznych zakulisowych rozmowach, sytuował się jako strażnik kontraktu. Zrazu nie afiszował się jako siła wspierająca którąś ze stron. Jak zwykle wypowiadał się bardzo enigmatycznie.

**- Pan wtedy był ministrem ds. informacji i szefem Radiokomitetu. Kto wymyślił taką funkcję dla pana? Rakowski?**

- Byłem ministrem - członkiem Rady Ministrów odpowiedzialnym za informację. Formalnie ministrem bez teki. Radiokomitet był pomysłem Rakowskiego. Od pewnego czasu mi to proponował, ja nie chciałem, wysuwałem kandydaturę Passenta, ale pchano mnie na ten Radiokomitet wierząc, że coś potrafię tam zrobić. Chciano też zmienić rzecznika rządu. Byłem symbolem walki z opozycją, to skończyło się, i potrzebna była nowa twarz.

**- Uważa pan, że Zbysław Rykowski był takim nowym obliczem?**

- Rykowski nie był rzecznikiem, lecz jednym z moich dwóch zastępców od czasu powstania rządu Rakowskiego. W sposób naturalny przekazałem mu swoje obowiązki. Bardziej nadawał się do publicznych kontaktów niż Dunale-wicz, który był organizatorem, a nie politykiem. Rykowski, znany ze swej publicystyki, był intelektualistą i dbał, aby tradycja wtorkowych konferencji nie zamarła. Ale na moje miejsce szukano innego następcy.

**- Mówiło się o kimś?**

- Chyba tak, ale nie były to poważne kandydatury, bo nie pamiętam ich. Nie udało się nikogo znaleźć.

**- Rakowski wspomina, że już przy „okrągłym stole“ był pan sceptyczny, szyderczy i wróżył klęskę. Przewidywał pan „czarny“ scenariusz?**

- Byłem pesymistą, ale nie aż takim. Prawdą jest, że w tym czasie uczestniczyłem często w posiedzeniach Biura Politycznego KC PZPR, w sztabach wyborczych i propagandowych. Tam, nie sam jeden, wprowadzałem nieco brutalnego otrzeźwienia. Byłem jednym z nielicznych, którzy przeciwstawili się optymistycznym wizjom sekretarza Czarzastego. Zapewniał on o sukcesie podając szczegółowo dane, wyniki sondaży itp.

**- Przecież sondaże ogólnopolskie wcale nie dawały takiej pewności.**

- Był duży odsetek niezdecydowanych, którzy mieli głosować, wedle Czarzastego, zgodnie z rutyną, czyli na nas. Nie byłem jedynym, który nie zgadzał się z tymi optymistycznymi prognozami. O wiele głośniej krzyczał Stanisław Kwiatkowski, który miał własne badania opinii publicznej.

**- Kto wymyślił listę krajową?**

- Nie wiem. Była oficjalną koncepcją kierownictwa partii. Określiłem ją na posiedzeniu Biura jako „listę hańby“. Nie rozumiałem sensu tworzenia jej, kiedy każdy z naszych polityków mógł zostać łatwo przepchnięty w okręg z mandatu partyjnego. Wystarczyło mu dać tylko słabego kontrkandydata.

Głównym powodem upierania się władz partyjnych przy liście krajowej była troska o drobnych sojuszników: Pax, PZKS, ChSS Kazimierza Morawskiego. Ich liderzy nie mieli większych szans w okręgach. To dowodzi, że kierownictwo PZPR nie zdawało sobie sprawy ze skali zagrożenia, jakie niosą wybory i kierując się drugorzędnymi względami lojalności zdecydowało się na wystawienie tak ryzykownej listy. Ale obrońcy listy (zwłaszcza Czarzasty) utrzymywali, że niemożliwym jest, aby ponad 50% wyborców w całej Polsce skreśliło listę.

**- Spotkaliśmy się z opinią, że lista padła, bo byli na niej partyjni liberalowie, przywódcy partii znienawidzeni przez aparat partyjny, np. Czyrek, Rakowski czy Barcikowski.**

- Dla krajowego elektoratu animozje w partii nie miały większego znaczenia. Ale niechęć do Czyrka rzeczywiście miała wymiar ogólnospołeczny, bo antyczyrkowa propaganda partyjna zataczała szersze kręgi. Barcikowski to wybitny umysł, człowiek uczciwy wewnątrz, ale w tym czasie bardzo sceptyczny, kwaśny, wypalony. Z wielkim dystansem do bieżącej polityki. Przeżył wcześniej ciężki zawał, był odsunięty od działalności praktycznej. Taki człowiek z drugiego brzegu.

**- Czarzasty był wówczas pupilkim generała Jaruzelskiego?**

- Generał Jaruzelski starał się odmłodzić kadry kierownicze i stale szukał młodych, zdolnych. Na ogół były to pomysły niefortunne. Pierwszym był Waldemar Świrgoń, sekretarz KC PZPR.

**- Jego wypatrył Rakowski.**

- Tak. Świrgoń w 1980 roku był młodym, dynamicznym liberałem partyjnym. Kiedy jednak od razu został sekretarzem KC przeżył tak wielki wstrząs, że oszalał od władzy.

**- Od nadmiaru?**

- Od samego posiadania. Nie rozumiem tego, ale Świrgoń z sympatycznej osoby stał się postacią zapitą i groźną.

**- Był rzeczywiście tak nieokrzesany i chamski, jak opisywał go Jan Józef Szczepański w „Kadencji“?**

- Nie tylko nieokrzesany. Przede wszystkim radykalnie zmienił swoje pozycje polityczne. Przyjął politykę stupajki.

**- Został jednak wpuszczony w sytuację, w której trudno nie zwariować. Partia skierowała go do środowisk twórczych, opozycyjnie nastawionych. A przecież był miody, bez autorytetu. Mógł tylko korzystać ze swego zakresu władzy.**

- Nikt go nie wpuszczał. Uważano, że jeśli przyjdzie człowiek nieobciążony przeszłością, światły humanista, to znajdzie wspólny język z tym środowiskiem. Jest jeszcze jedna tajemnica Świrgonia, która może mieć znaczenie dla jego postawy. Po wprowadzeniu stanu wojennego Świrgoń jako przewodniczący ZMW przeciwstawił się temu. Być może nie była to jego osobista postawa, wyrażał tylko uchwałę gremium kierowniczego swej organizacji, ale on się pod tym podpisał. Podejrzewam, że to go uzależniło od kierownictwa partii i starał się potem odrobić swą słabość. W każdym razie stworzył wraz z bezpartyjnym profesorem Kazimierzem Żygulskim i kierownikiem Wydziału Kultury KC Witoldem Nawrockim represyjną wobec świata kultury trójkę. Na drugim biegunie był Rakowski, któremu w rządzie Jaruzelskiego podlegały sprawy kultury i on prowadził nieustanną walkę z tą trójką.

**- Czy Rakowski znalazł innych równie młodych i zdolnych?**

- W ostatnim okresie pojawiło się mnóstwo rzeczywiście młodych i zdolnych: Marek Król, Sławomir Wiatr, Marcin Świącicki. Bardzo zdolny okazał się Aleksander Kwaśniewski. Wpierw kierował komitetem społeczno-politycznym rządu, potem zaproponowano mu udział w kierownictwie partii, ale on nie chciał.

**- A Czarzasty?**

- Był sekretarzem KW w Słupsku. Jaruzelski pojechał tam i zachwycił się działalnością Czarzastego. Często zdarzało się pierwszym sekretarzom, że przyjeżdżali do województwa i oczarowywał ich tamtejszy sekretarz. Tak też było z Czarzastym, który zaczął być stawiany jako wzór innym sekretarzom wojewódzkim, i nic dziwnego, że w KC i województwach powstał front przeciwko niemu. W klasie nie lubi się prymusa. Gen. Jaruzelski chciał awansować Czarzastego na sekretarza KC, lecz natrafił na taki opór, że musiał urządzić wycieczkę I sekretarzy województw do Słupska, by docenili osiągnięcia Czarzastego. Docenili determinację Generała i Czarzasty został sekretarzem KC.

**- Jaki był prywatnie Czarzasty?**

- Niesłuchanie gładki, uprzejmy, przyjacielski. O czole nieskalanym myślami.

**- Jak w czasie wyborów zachowywał się Stanisław Ciosek? Podobno w czasie rozgrywek o fotel prezydenta zmieniał zdanie, rano popierał Jaruzelskiego, wieczorem Kiszczaka?**

- Ciosek jest impulsywny, podlega nastrojom, a jeśli zmienia poglądy, to tylko dlatego, że należy do ludzi, którzy szybciej formułują myśli, niż je mają. Ja też do takich należę. My jak coś powiemy, to dopiero zaczynamy cokolwiek myśleć na ten temat.

Główną wadą Cioska jest niepewność swojej wartości i pozycji. To człowiek ciągle zafrasowany, rozstrząsający krytyczne zdanie o sobie wypowiedziane przez inne osoby. Lękający się ciągle o swoją pozycję.

**- Czyżby miał kompleks Jeleniej Góry? Ciosek, kiedy zdejmowano go z szefa Federacji Związków Młodzieży i kierowano na sekretarza KW w Jeleniej Górze miał powiedzieć: Wiedziałem, że pójdę do góry, ale czemu do jeleniej?**

- Działacze warszawscy zawsze boleśnie odczuwali zesłanie na prowincję, choć w tradycji partii leżało, aby człowiek rokujący nadzieje przeszedł staż w terenie.

Ciosek bardzo przeżył nagonkę, jaką zgotowano mu w 1980/81 roku w Jeleniej Górze. Oskarżono go o posiadanie kryształowej wanny, mahoniowej budy dla psa i podobnych wspaniałości. Typowa ówczesna kampania lokalnej „Solidarności“, ale tam chyba też wspomagana przez antycioskową partyjną frondę.

Ciosek był bardzo zaangażowany w porozumienie z opozycją w 1981 roku i w latach 1988-89. To Ciosek wymyślił Senat, on też zaprojektował układ przyszłych władz, który gwarantował równowagę sił strony koalicyjno-rządowej, opozycji i prezydentowi. Ten ostatni miał być czynnikiem gwarantującym kompromis i zachowującym równowagę systemu politycznego. Ciosek wymyślił, że jeśli my mamy mieć przewagę w Sejmie, to opozycja będzie ją miała w Senacie tak, żeby żadna ze stron w zasadzie nie mogła niczego uchwalić bez consensusu. Popierałem tę koncepcję, była trafna jako etap dojścia do tzw. pełnej demokracji.

**- Ale ta koncepcja załamała się już przy okrągłym stole, bo zgoda na wolne wybory do Senatu wzmocniła opozycję.**

- Paradoks polegał na tym, że przed okrągłym stołem opozycja nie była zainteresowana Senatem. Chciała jedynie rejestracji „Solidarności“, a cały kontrakt wyborczy i wybory uważała za cenę, jaką musi za to zapłacić. Wszystkie koncepcje wspólnego układu politycznego, transformacji ustroju oraz instytucji temu służących, wyszły z naszej strony.

Opozycja zachowywała się jak generalicja, która uczestniczyła w poprzedniej wojnie i stając do następnej wyobraża sobie, że wszystko będzie podobne do tego, co już przeżywała. Wyobrażała sobie bieg zdarzeń na wzór roku 1981. Pragnęła wrócić do tamtej sytuacji, czyli że my mamy struktury państwa, a oni związek, który się nad państwem znęca swobodnie. Chcieliśmy uniknąć odtworzenia układu, w którym naprzeciwko siebie stoją dwie siły i pragną się zniszczyć wszelkimi posiadanymi przez siebie środkami. Pragnęliśmy za wszelką



cenę wmontować opozycję w spójny, wspólny układ polityczny. Kiedy zrazu mówiliśmy o wyborach, opozycja zgadzała się na 20% miejsc w Sejmie i na tym koniec. Nie było mowy o żadnym Senacie. Z czasem poczuła się silna i rozpoczęła eskalację żądań. Wtedy poszliśmy na ustępstwa. Zgodziliśmy się, że PZPR będzie miała w Sejmie większość tylko wraz ze stronnictwami sojusznicy, a do Senatu będą wolne wybory.

***- Ustępowaliście, bo zrozumieliście swą słabość, czy byliście aż tak silni, że stać was było na takie ustępstwa?***

- Wtedy łudziliśmy się naszą siłą. Wydawało nam się, że reformy rządu Rakowskiego, liberalizacja, np. prawo do posiadania paszportów w domu, podniosły naszą popularność. Badania opinii społecznej wykazywały, że tylko 20% społeczeństwa popiera „Solidarność”. Nikłe poparcie dla strajków w 1988 roku wzmacniało nasze samopoczucie. Łudziliśmy się, że niektóre nasze działania, np. ustawa o prywatnej przedsiębiorczości, zostaną prawidłowo odczytane - jako koniec realnego socjalizmu. Poczucia siły dodawał Kościół katolicki prezentując się jako strona dążąca do kompromisu, mediacji, kroków ewolucyjnych.

***- Został pan szefem telewizji krótko przed kampanią i wystartował pan jako bezpartyjny kandydat na posła. Pomagał pan sobie telewizją w kampanii wyborczej?*** - Telewizja nie była mi potrzebna. Byłem wystarczająco znany, nie potrzebowałem większego rozgłosu. Zadeklarowałem, że w ogóle nie użyję telewizji do swojej kampanii.

***- Ale po inne, niekonwencjonalne metody sięgał pan. Listy do emerytów były pańskim pomysłem?***

- Tak. Wiedziałem, że w dzielnicy Warszawa-Śródmieście mieszka wielu emerytów i rozesłałem im listy. Zarzucano mi, że wykorzystuję adresy z ZUS-u. ZUS udostępnił mi je, ale jako płatną usługę. Były plotki, że listy zostały wysłane za państwowe pieniądze. To też nieprawda.

***- Czy liczył pan na głosy Polaków zatrudnionych za granicą, którzy zostali przypisani do pańskiego okręgu wyborczego?***

- Oczywiście. Sekretarz Czarzasty zapewniał mnie, że Polacy zatrudnieni na budowach w ZSRR, Libii, Iraku, NRD wybiorą mnie, bo tam jeszcze nie dotarły polityczne wahania. Wysłałem do tych załóg kasetę video reklamującą moją kandydaturę. Użyłem w niej fragmentu piosenki Macieja Zembatego „A uszy miał ogromne, muskularne...”

Okazało się, że i tam wahania polityczne dotarły. Nawet w ambasadzie w Tiranie na kilkunastu pracowników ledwie uzyskałem większość. W innych placówkach, na budowach, przegrywałem. Choć gdybym zliczył głosy oddane na moją kandydaturę okazałoby się, że dostałem więcej niż niejeden kandydat na miejsce partyjne. Dostałem około 100 tys. głosów.

***- Dlaczego nawet ludzie reżimu wysyłani w nagrodę na atrakcyjne placówki głosowali przeciwko panu?***

- Wtedy generalnie głosowano na kandydatów „Solidarności”, to był plebiscyt: chcesz starej władzy, czy nie. Ci z placówek widocznie nie rozumieli, że piłują gałąź, na której siedzą. Sądziли, że będą wieczni.

**- Czy czuje się pan odpowiedzialny za kiepską propagandę waszej strony w czasie wyborów?**

- Błąd w sztuce polegał właśnie na przyjęciu formuły „mekonfrontacyj-nych“ wyborów. Trudno liczyć na sukces, jeśli nie walczy się z przeciwnikiem. Innym błędem było zamazywanie przynależności partyjnej kandydatów, co czyniło z nich ludzi bez wyrazu. Bezbarwnych, gadających ogólnikami.

**- Sądzi pan, że ówczesnym kandydatom można było zrobić lepszy image? Wierzy pan w cudowną przemianę żabki w królownę?**

- Na ogół nie byli to źli kandydaci. Niektórzy, jak Wilczek, Sekuła, Kwaśniewski, byli znakomici. Ale mogli jedynie skorygować wynik, a nie zmienić układ sił w parlamencie.

**- W trakcie kampanii wyborczej wyrzucił pan z telewizji Andrzeja Bilika. Czym panu zawinił?**

- Proszę panów, szef dzienników telewizyjnych, który w czasie kampanii wyborczej zostawia pracę i angażuje się tylko we własną kampanię, bo chce być senatorem z Częstochowy, nie kwalifikuje się na tak odpowiedzialne miejsce. Przychodząc do telewizji uprzedziłem kadre, że nie dokonam zmian w czasie kampanii. Jednak głównym kryterium oceny będzie zaangażowanie w czasie kampanii. Bilik, który zostawił kierowanie dziennikami swemu zastępcy Markowi Tumanowiczowi i odjechał w teren, powinien być wyrzucony natychmiast.

**- Bilik skarżył się, że wyrzucił go pan w odwecie za krytykę pańskiej osoby, jakiej dopuścił się podczas wieców wyborczych.**

- Rzeczywiście, dodatkowym powodem usunięcia Bilika były informacje z Częstochowy, że podczas spotkań z tamtejszym aktywem partyjnym wymyśla mi od Żydów. Czy on nie rozumiał, że aktyw donosi?

Bilika, który jest dobrym profesjonalistą, już wcześniej nie cenilem. Opowiadał mi Głowczyk, że Bilik po powrocie z placówki zagranicznej zażądał posady dyrektora generalnego w Radiokomitecie. Głowczyk, który był wtedy sekretarzem propagandy w PZPR zastopował jego kandydaturę, ale Bilik tak długo chodził, aż sobie wychodził szefa dzienników i tę rangę. Nie bez znaczenia był fakt, że Bilik miał kontrkandydata w osobie Karola Sawickiego - znakomitego specjalisty telewizyjnego, człowieka kulturalnego i sprawnego.

**- Ale strachliwego i „bez jaj“, jak można wyczytać ze wspomnień „Telewizja naga“ Aleksandry Jakubowskiej.**

- Widocznie moje zapotrzebowania na jaja są inne niż pani Jakubowskiej. W tym telewizyjnym światku wszyscy źle mówią o wszystkich. Taka jest jego

natura. Jestem osobą spoza i moje oceny nie są skażone chorobą telewizyjną. Sawicki był związany z Józefem Węgrzynem, człowiekiem pełnym pomysłów, promującym młodzież, znakomitym specjalistą. Długo i uporczywie próbowałem przekonać Głowczyka, żeby Węgrzyn został szefem dzienników, ale zgrzeszył czymś w 1981 roku i partia nie miała do niego zaufania. Potem okazało się, że słusznie i że ja się myliłem lansując Węgrzyna.

Próbowałem też, jeszcze jako rzecznik, zrobić alternatywny dziennik telewizyjny. Zrealizowaliśmy jedno wydanie, pełne niekonwencjonalnych pomysłów - np. prezydent dziennika łączył się z szefem Radia Wolna Europa i prosił o komentarz. Takie próby zraziły gremia kierownicze, były zbyt śmiałe. Poza tym, było to złe technicznie.

**- *Przegrał pan wybory i wkrótce rozpadła się koalicja PZPR, SD, ZSL. Co było dla pana największym zaskoczeniem?***

- Rozpad koalicji zaskoczył mnie kompletnie. Cała koncepcja umowy okrągłego stołu polegała na tym, że nie zdradzą. Chociaż już w trakcie obrad wyczuwało się bunt aparatu stronnictw wobec PZPR.

Nie doceniliśmy siły kompleksów i nastrojów odwetowych w stronnictwach. Sądziłem, że nie będą naiwni i rozumieją, że tylko współdziałanie z PZPR zapewni im udział we władzy.

**- *Kogo pan bardziej wini za rozpad koalicji: Romana Malinowskiego z ZSL czy Jerzego Jótwiaka z SD?***

- Nie wiem, kto silniej dążył do zdrady. Obaj popełnili polityczne harakiri, bo szybko zeszli ze sceny politycznej.

**- *Ale ocalili dobre imię swych stronnictw.***

- Tylko powstałe z ZSL Polskie Stronictwo Ludowe ma szansę istnienia, bo jest to pierwsza partia polityczna opierająca się na realnych interesach grupowych wsi. SD dzięki zdradzie ocaliło swoje budynki, telefony i samochody, ale nie ma przyszłości politycznej. Istnieje jeszcze dzięki słabości innych partii.

**- *Jak zareagowało pańskie otoczenie na rozpad koalicji? General Jaruzelski pewnie zaklął, a Rakowski dostał furii? Czy nie mieliście informacji z MSW o takiej możliwości? General Kiszczak twierdzi, że wcześniej miał sygnały***

***0 dogadywaniu się nowych koalicjantów.***

- Wiem, że było to zaskoczenie także dla MSW. Nie przypominam sobie, żeby Rakowski dostał furii, ale on też potrafi kłąć.

**- *W tym czasie upadła kandydatura gen. Kiszczaka na premiera.***

- Popierałem ją. Wtedy istniała jeszcze większość koalicyjna w Sejmie i premier z „Solidarności“ nie wchodził w grę. Kiszczak jako współtwórca porozumienia okrągłego stołu, osoba szanowana przez opozycję, dawał szansę na strawny dla wszystkich rząd. Jako kontrkandydat brany był pod uwagę Malinowski z ZSL-u. Innych chyba nie było.

**- *A gdyby wysunąć „młodego, zdolnego“? Kiszczak jako premier, a Jaruzelski jako prezydent robili złe wrażenie. Powstawało odczucie oddania władzy wojsku i policji.***

- Dzisiaj uważam, że lepszym kandydatem byłby Kwaśniewski.

**- *Pojawiła się też kandydatura Kiszczaka na prezydenta, bo generał Jaruzelski odmawiał.***

- Byłem zwolennikiem wariantu, w którym generał Jaruzelski nie odmawiałby. Zastępca kandydatura gen. Kiszczaka nie miała sensu.

**- 3 lipca 1989 roku Adam Michnik napisał w „Gazecie Wyborczej“ artykuł „Wasz prezydent, nasz premier“.**

- Wtedy uważałem to za nierealne. Chociaż politycznie przegraliśmy wybory, łudziłem się, że premierem będzie reprezentant naszej strony. Zdrada PZPR przez Józwiaka i Malinowskiego utorowała drogę Tadeuszowi Mazowieckiemu.

**- Pan potem składa dymisję z szefa Radiokomitetu. Czy znał pan swego następcę Andrzeja Drawicza?**

- Zmówiliśmy się, żeby dymisji nie składać, tylko czekać aż nas kolejno wyleją.

Drawicza znałem bardzo słabo z czasów Studenckiego Teatru Satyryków, czyli z końca lat pięćdziesiątych. Kiedy Mazowiecki oznajmił, że szefem Radiokomitetu zostanie Drawicz, nie wiedziałem nawet, jaką on orientację polityczną reprezentuje. Wcześniej inspirowałem sprzeciw wobec kandydatury Krzysztofa Kozłowskiego, zastępcy redaktora naczelnego „Tygodnika Powszechnego“, którego uważałem za polityka twardego i skrajnego. Rakowski chyba posłuchał mnie i zastopował we wstępnej fazie tę kandydaturę. Napisał list do Mazowieckiego.

Drawicz robił na mnie znakomite wrażenie. Uroczy, rozumny człowiek. Umówiłem się z nim u mnie w domu, przekazałem moje spostrzeżenia o telewizji. Ale z tego co wiem, nie nadawał się na menadżera w tej instytucji. Podobnie jak ja. Chociaż na tle swego następcy i działań Mariana Terleckiego Drawicz wypiękniał. Podobnie jak rząd Mazowieckiego wobec rządu Jana Krzysztofa Bieleckiego. Mazowiecki miał w swym gabinecie indywidualności, chociaż żaden z ministrów, z wyjątkiem Balcerowicza, nie wykazał się skutecznością w polityce swego resortu.

**- A pana następcą na fotelu rzecznika prasowego rządu - Małgorzata Niezabitowska. Jak ją pan ocenia?**

- To moje zwycięstwo z za grobu. Została rzecznikiem jako anti-Urban. Kobieta, chuda, owłosiona, i do tego grzeczna, boja byłem chamski. Nie dawała sobie rady z odpowiadaniem na pytania, na które nie miała gotowych odpowiedzi. Ale to zrozumiałe. Ja robiłem konferencje po miesiącach uczestnictwa w aparacie władzy, kiedy znałem już mechanizmy rządzenia, mogłem improwizować.

Kiedyś dostałem liścik od swojego sympatyka krytykujący Niezabitowską za minispódniczki. Posłałem jej ten list dodając od siebie, że musi być przygotowana na ataki i częstsze oceny jej wyglądu niż wypowiedzi. Potem poznałem ją przypadkowo na korytarzu Urzędu Rady Ministrów. Powiedziała: „Widzi pan noszę długą spódnicę“ i pokazała nogi. Ja już zdążyłem zapomnieć o tym liście i popatrzyłem na nią jak na idiotkę. Wreszcie przypomniała mi list i na tym nasza rozmowa skończyła się. Znajomość także.

**- Jak wypada Niezabitowska na tle Andrzeja Zaremskiego, rzecznika prasowego premiera Bieleckiego?**

- Nie wiem, nie znam działalności pana Zaremskiego.

**- Po odejściu z Radiokomitetu zostaje pan dyrektorem Krajowej Agencji Robotniczej. Dlaczego trafił pan akurat tam?**

- Początkowo chciałem być szefem Agencji „Interpress“, którą znałem, bo organizowałem w jej siedzibie swoje konferencje prasowe. Miałem dobre kontakty z prasą zagraniczną. Jednak szef „Interpressu“, Jan Grzelak, odmówił przyjęcia posady prezesa RSW „Prasa-Książka-Ruch“. Załoga agencji też nie chciała mnie. Bali się, że obciążę ich politycznie. Postanowiłem zrobić z KAR-u konkurencyjną wobec rządowej, podporządkowanej Mazowieckiemu, Polskiej Agencji Prasowej, instytucję nastawioną na obsługę prasy pezetpeerow-skiego koncernu RSW.

Przemianowana na „Unia-Press“ agencja zaczęła działać, ale w kwietniu 1990 roku po przejściu majątku PZPR przez państwo, nacjonalizacji RSW, konkurencyjna agencja prasowa przestała mieć rację bytu.

Zrezygnowałem z kierownictwa, ale ze względów taktycznych, żeby nie przysyłano od razu na moje miejsce kogoś nowego, wziąłem zaległy urlop, przekazując swe obowiązki zastępcy Jerzemu Bajorowi.

Wtedy nie miałem innego wyjścia jak tylko założyć prywatną gazetę.

**- Przegrał pan wybory w 1989 roku. W 1991 roku, kiedy miałby pan spore szanse na zwycięstwo, odmówił pan kandydowania. Z jakich powodów?**

- Pierwszy raz mogłem kandydować na posła w 1957 roku, w czasie polskiego Października. Z moją ówczesną redakcją „Po prostu“ współpracowały kluby polityczne im. Karola Marksa i jeden z nich wysunął moją kandydaturę na liście w Toruniu. Ale po dojściu Gomułki do władzy wrócił porządek. Konkurencyjne listy zlikwidowano.

W wyborach w 1991 roku miałbym szansę, ale wchodząc do Sejmu straciłbym swoją niezależną pozycję. Jako poseł uwikłany byłbym w różne koalicje, alianse. Sojuszników z innych partii nie wypadaloby tykać. Nie mógłbym ujawniać informacji, które otrzymałem jako poseł, albo ze źródeł parlamentarnych. Uznałem, że redagowanie pisma satyrycznego, politycznego, atakującego wszystkich wokoło kłóci się z mandatem poselskim.

Nie chciałem też, aby mój powrót, członka ekipy władz w latach 80., pojmowano jako recydywę polityczną tej formacji, uważano za znak, że chcemy wrócić do władzy.

**- Ale jeszcze niedawno działał pan na scenie politycznej. W 1989 roku demonstracyjnie wstąpił pan do PZPR, teraz jest pan członkiem SdRP.**

- Do PZPR nie zdążyłem wstąpić, choć napisałem, że wstępuję. Partia była wówczas nastawiona na likwidację, a nie przyjmowanie nowych członków. Była to też moja demonstracja przeciwstawiająca się szczerzym reakcjom ludzi, którzy uciekali z PZPR, bo chcieli się załapać na nowy etap. Przy okazji napisałem, co myślę o szansach lewicy w Polsce.

W SdRP jestem tylko szeregowym członkiem. Nie przeszkadza mi to w redagowaniu tygodnika. Nigdy nie twierdziłem, że jest to pismo obiektywne. Ale z członkostwa w SdRP wynikają dla mnie zależności towarzyskie, nie polityczne.

Do władzy nie zamierzam wrócić. Nasza formacja polityczna poniosła historyczną klęskę. Ale gdyby nawet nie, to szkoda byłoby zamieniać przyjemną rolę redaktora „NIE“ na zdyscyplinowane, ubogie materialnie życie członka rządu.

## **Ja i podróże**

**- Czy funkcja rzecznika zobowiązywała pana do uczestnictwa w oficjalnych podróżach zagranicznych?**

- Nie, nigdy nie brano mnie do delegacji rządowych, przede wszystkim dlatego, że gen. Jaruzelski nie wykorzystywał mnie jako swojego osobistego rzecznika. Tę funkcję pełnił Górnicki, człowiek pożyteczniejszy ode mnie za granicą - zajmował się przemówieniami szefa, miał do dyspozycji cały aparat techniczny, był i jest specjalistą w zakresie polityki zagranicznej, a co najważniejsze - mówi biegle po angielsku.

Ja najwyżej rezonowałem na treść i efekty tych podróży tutaj w Polsce, podczas konferencji wtorkowych.

**- Podróżował pan jednak za granicę jako rzecznik.**

- Przyjęte jest odwzorowywanie podróży prezydentów i premierów na szczeblu niższych urzędników. Wymieniałem więc wizyty z rzecznikami innych państw, przede wszystkim socjalistycznych. Powoli bowiem w KS-ach powoływano rzeczników, albo chciano powołać. Zapraszano mnie zatem po to, żebym opowiadał, na czym polega rzecznikowanie, o co w tym wszystkim chodzi i na czym to polega. Przykład Polski przyświecał innym krajom realnego socjalizmu.

Byłem kilkakrotnie na Węgrzech, raz w Czechosłowacji, raz w Bułgarii i Związku Radzieckim. Raz byłem na Kubie. Wymieniałem też wizyty z rzecznikiem rządu Austrii, Neumeyerem. Bardzo się z nim zaprzyjaźniłem. Nieoficjalnie odwiedziłem rzecznika rządu Hiszpanii i rzecznika pani Thatcher na Downing Street 10.

**- Na czym polegała pańska pomoc w tworzeniu instytucji rzecznika prasowego w państwach socjalistycznych? Jaki był stopień szczerości tych, powiedzmy, konsultacji?**

- Z mojej strony szczerość była zupełna: informowałem o sytuacji w Polsce, spotykałem się zwykle z wysokimi działaczami partyjnymi. Rytuał przewidywał przyjmowanie mnie przez wicepremiera. Zainteresowanemu kręgowi opowiadałem, na czym polega funkcjonowanie rzecznika w Polsce, jaki jest cel, metody i szczegółowa technologia pracy. Byłem czymś w rodzaju autorytetu w tej wąskiej dziedzinie pracy rządowej, niemal jej teoretykiem.

**- Czy zabierał pan materiały poglądowe, np. kasety video?**

- Nie wpadło mi do głowy, żeby nagrywać i wozić ze sobą kasety video.

**- Podczas tych wizyt chwalono pana? Czegoś się obawiano?**

- Chwalono. Uchodziłem za wzorzec rzecznika w KS-ach, w których marzono, żeby powielić model polski, nie rozumiejąc, że ta cała zabawa nie polega na sztuczkach technicznych, tylko wymaga zmiany polityki informacyjnej rządu na bardziej otwartą. Nie pojmowano, że sukces rzecznika bezpośrednio zależy od usytuowania go wysoko w hierarchii i upoważnienia do

samodzielnego interpretowania polityki. Kiedy o tym mówiłem, urzędnicy i działacze kiwali głowami, ale nigdzie takich posunięć nie poczyniono.

W socjalizmie zawsze najważniejsze były sprawy hierarchii i rzecznik nie mógł być zbyt wysokim urzędnikiem, więc i kompetencje miał niższego rzędu. Myślenie magiczne powodowało, że dobrą politykę informacyjną zastępowano sztuczkami technicznymi. Np. w NRD zwiedzałem wspaniale zelektronizowany rządowy ośrodek prasowy ze studiami telewizyjnymi itp. Nasze centrum prasowe wyglądało przy tym jak barakowóz. Tyle, że w naszym kłębił się tłum dziennikarzy a to berlińskie było wymarłe.

Gdy byłem w Związku Radzieckim, jako rzecznik MSZ działał Gierasimow, odbywał konferencje prasowe, ale jego upoważnienie obejmowało w zasadzie tylko politykę zagraniczną. Znaczna część pytań dotyczyła jednak polityki wewnętrznej i on stopniowo zaczął odpowiadać i na takie pytania. Kiedy rozmawiałem z Gierasimowem i jego współpracownikami o technice pracy, ich odpowiedzi na ten temat były zupełnie nieszczerze. Wmawiano mi, że Gierasimow, będąc w randze dyrektora departamentu MSZ, informacje i upoważnienia czerpie tylko ze swojego ministerstwa.

**- Podczas gdy naprawdę czerpał z góry?**

- Jak sądzę nie z samej góry, a jeśli już od Gorbaczowa, to przez pośredników.

**- Czyżby Gromyko pośredniczył, a potem Szewardnadze?**

- Nie wiem. To właśnie przede mną tajono. Musiał mieć kontakt z MSW, mógł też mieć inne kontakty. Tam sprawy hierarchii i kompetencji są traktowane bardzo serio... Z tego też powodu niczego mi nie zdradzano.

Potem składałem wizytę rzecznikowi rządu, który pojawił się w radzieckiej strukturze politycznej. Był to znów urzędnik niewysokiej rangi, który -jak się zdaje - w ogóle nie miał upoważnień typowych dla rzecznika. Kierował biurem prasowym, zajmował się wydawaniem biuletynów i ułatwianiem kontaktów pomiędzy kierownictwem rządu a korespondentami.

**- Jak pana traktowano? Jako wysokiego urzędnika władz polskich czy zgodnie z oficjalną rangą, czyli jako wiceministra?**

- Traktowano mnie powyżej tej rangi.

**- Na czym to polegało? Przyjmowali pana wysocy urzędnicy?**

- Tak. Zwykle przyjmował mnie jakiś członek Biura Politycznego i wicepremier, a cały protokół był właściwy co najmniej ministrowi. Na przykład w NRD nie mieszkalem w hotelu rządowym, lecz w willi przeznaczonej dla najdostojniejszych gości, z własnym kucharzem i służbą. Na Węgrzech - poza tym, że byłem przyjmowany przez członka Biura i wicepremiera - przed moim samochodem jeździła „dyskoteka“. W Związku Radzieckim, gdzie kwestie protokolarne są szczególnie ściśle przestrzegane, gdzie po prostu nie można przeskoczyć swojej rangi, na obiedzie wydanym na moją cześć w dawnym pałacu Morozowa podano głuszca - danie zarezerwowane dla najwyższych dostojników. Podczas tej samej wizyty doszło nawet do pewnego nieporozumienia... Polski ambasador Włodzimierz Natorf, zresztą



mój kolega ze szkoły, zawiózł mnie do pałacyku, w którym wedle rangi powinienem być podejmowany. Snuliśmy się po nim, nikogo nie było, ciemno, pusto. Okazało się, że do obiadu nakryto w głównym pałacu MSZ, gdzie zazwyczaj jadają głowy państwa. Na Kubie też miałem do dyspozycji willę ze służbą.

Ale pomimo tych honorów, prace nad powoływaniem rzeczników posuwały się wolno. Na Węgrzech wciąż powoływano i odwoływano rzeczników, z dobrą wolą, żeby działali tak jak w Polsce. Ale oni urządzali konferencje prasowe w bardzo niewielkim gronie wtajemniczonych dziennikarzy, stale współpracujących z rządem i nie zagrażających kłopotliwymi pytaniami.

***- Jak za granicą odbierano to co pan tam mówił?***

- Czułem, że moje odczyty i analizy sytuacji w Polsce mają charakter szokujący. Przypuszczam, że ja mówiłem w sposób bardziej szczery niż to było przyjęte i bez rytualnych zaklęć ideologicznych, przez co uchodziłem za postać niekonwencjonalną, barwną, może nawet ekstrawagancką.

***- Czego jeszcze dotyczyły rozmowy polityczne?***

- Zwyczaj kazał opowiadać zagranicznym dygnitarzom o polskich problemach i wysłuchiwać podobnej opowieści o ich kraju. Potem przychodziły jakieś ogólniki o wymianie informacji, sprawach branżowych prasy. Pamiętam, że jeszcze przed zatwierdzeniem przez Biuro Polityczne kandydatury Rakowskiego na premiera, pojechałem do Austrii. Przyjął mnie tam m.in. kanclerz Vranitzky, któremu powiedziałem poufnie, że Rakowski zostanie premierem, że on pierwszy jest o tym informowany, że należy oczekiwać radykalnej zmiany systemu gospodarczego i znacznej systemu politycznego w Polsce. Prosiłem go o wstawienie się u przywódców kluczowych krajów europejskich w sprawach finansowych będących przedmiotem zabiegów polskiego rządu.

***- Tę misję zlecił panu Rakowski czy Jaruzelski?***

- Rakowski, ale bez zezwolenia formalnego nie mógłbym mówić kto zastąpi Messnera. Na podstawie pakietu ustaw, które miał zaprojektować rząd Rakowskiego, prosiłem o udzielenie Polsce pomocy.

W Austrii mieszkalem w nadzwyczaj pompatycznym hotelu „Imperial“, w dwupokojowym apartamencie, policja w cywilu bez przerwy strzegła korytarza, zorganizowano piękną wycieczkę w Alpy.

***- Kto ze strony polskiej towarzyszył panu w tych podróżach?***

- Tłumacze na ogół jeździli ze mną z Polski, ale bywało, że dostawałem ich z naszych przedstawicielstw dyplomatycznych. Towarzyszył mi też jeden z moich asystentów.

***- Wróćmy do wizyty w Austrii...***

- Przyjmowały mnie landy i gminy. Pamiętam przyjęcie, które wydał szef administracji w Salzburgu. Podczas wystawnej kolacji wyszła z kuchni procesja niosąc prosię na marach obstawione świeczkami. W tym czasie z partii wyrzucono Adama Schaffa i lokalny szef

administracji z Salzburga, socjaldemokrata, ogromnie się oburzał. Wyjaśniłem, że z tą decyzją nie mam nic wspólnego, nie reprezentuję partii, tylko rząd, jestem bezpartyjny i też oczywiście jestem oburzony.

**- A co z czasem prywatnym, zwiedzanie miasta, zakupy, knajpy?**

- Prawie nie miałem czasu dla siebie. Najwyżej godzina czy dwie na przejście się, kupienie czegoś. Zresztą unikałem takich oficjalnych wyjazdów, często odrzucałem zaproszenia, korzystałem z nich w minimalnym stopniu, bo te podróże niczemu nie służyły, męczyły i zżerały czas. Żał mi też było wtorkowych konferencji w Polsce, które się odwoływało. Chociaż starałem się podobne konferencje urządzać także za granicą. Na przykład na Kubie taką konferencję urządzono w pałacu kongresowym, dziennikarze przybyli nadzwyczaj licznie. Pytali, ja odpowiadałem, po czym nazajutrz ukazała się jedna zdawkowa informacja agencyjna. Zdałem sobie sprawę, że ten cały teatr urządzono wyłącznie dla mnie. Podobnie odbywało się to w Czechosłowacji. Moją konferencję traktowano tam jak część ceremoniału, a nie jak źródło informacji o Polsce, które prasa mogłaby drukować.

**- Podczas tych wyjazdów kontaktował się pan z dziennikarzami w inny sposób?**

- Zwykle udzielałem wielu wywiadów, np. w Austrii na koszt gospodarzy wydałem w hotelu śniadanie dla prasy, podczas którego odpowiadałem na pytania dziennikarzy nie tylko austriackich, lecz także z innych krajów, którzy rezydowali w Wiedniu.

**- Skandale, przygody, zaskakujące sytuacje?**

- Te wyjazdy były zaplanowane co do godziny, więc trudno było o jakieś przygody. Na przykład przed wyjazdem do Wiednia i w Wiedniu prowadziłem z Austriakami twarde negocjacje na temat pójścia do opery. Powiedziałem, że nie pójdę, bo nie znoszę, oni na to, że każdy oficjalny gość musi iść do opery, w końcu stanęło na tym, że pójdę na pierwszy akt „Don Giovanniego“, a w antrakcie będę mógł wyjść, co zrobiłem skrupulatnie.

W Bułgarii, w ostatni dzień pobytu, to był piątek czy sobota, przyjechała po mnie pod hotel kawalkada rządowych czajek, by mnie odwieźć na lotnisko. Bagaże pojechały wcześniej. Okazało się, że pogoda jest nielotna, musiałem więc całą dobę czekać w hotelu. Poprosiłem, żeby ściągnięto z powrotem mój bagaż z lotniska, ale gospodarze znikli, bo wizytę uznali za zakończoną, a w hotelu powiedziano mi, że bagażu cofnąć się nie da. Przesiedziałem więc w hotelu całą dobę nawet bez szczotki do zębów, a co gorsza bez żadnego kawałka papieru zadrukowanego po polsku. Sam na sam z bułgarskim telewizorem.

Podróże te okaleczyły mnie w tym rozumieniu, że po odejściu z rządu nie umiałem podróżować. Byłem przyzwyczajony, że odwożą mnie na lotnisko, odbierają, przeprowadzają wejściem dla VIP-ów, sadzają gdzie mam siedzieć, wiozą. Innymi słowy byłem jak gdyby przewożoną pocztą. Ja nawet swojego paszportu nie oglądałem na oczy. Gdy to się urwało, zachowywałem się na lotnisku jak chłop ze wsi, który nie umie podróżować.

**- Wyjeżdżał pan jako rzecznik także do krajów zachodnich. Były to wizyty prywatne?**

- Wyjawszy Austrię, odbywałem podróże nie na zaproszenie rządów krajów odwiedzanych, a szczerze mówiąc nawet nie pytając ich o zgodę.

**- Miał pan paszport dyplomatyczny?**

- Oczywiście. Formalnie jeździłem na zaproszenie polskich ambasadorów. Celem tych podróży było robienie propagandy, tzn. odbywanie konferencji prasowych za granicą i mówienie o sprawach polskich do innych dziennikarzy niż ci w Warszawie. Chodziło o to, żeby inni dziennikarze wprowadzali polskie problemy na światowe forum prasowe.

**- Udawało się?**

- Raczej tak. W ten sposób jeździłem do Paryża, Londynu, Madrytu, Genewy, Nowego Jorku.

Pierwszą taką podróż odbyłem do Francji. Wyjechałem w momencie, gdy w Polsce został aresztowany jakiś Francuz. Cała prasa francuska opisywała to wydarzenie, oburzając się na nieludzkie postępowanie reżimu w Polsce. Wyjeżdżając z Warszawy wiedziałem już, że Francuz będzie wypuszczony, ale poprosiłem o nieujawnianie tego do czasu, aż znajdę się w Paryżu.

**- Sprytne...**

- Na dziedzińcu ambasady, pod Pałacem Talleyranda udzielałem wywiadu telewizji francuskiej. W trakcie, gdy byłem na planie, podano mi kartkę. Przeczytałem ją na oczach widzów i oznajmiłem, że obywatel francuski właśnie wyszedł na wolność. W ten sposób skoncentrowałem uwagę całej prasy francuskiej.

**- Czyli to wszystko było wyreżyserowane?**

- Tak, w przeciwnym razie pies z kulawą nogą nie zainteresowałby się sprawami polskimi i stanowiskiem naszych władz. Dopiero po raz pierwszy z okazji mojego pobytu dziennikarze francuscy przyszli do polskiej ambasady. Było ich chyba ze stu, wielka heca propagandowa, podejmowałem ich lunchem. Wcześniej prasa bojkotowała takie imprezy w ambasadzie pod pretekstem stanu wojennego w Polsce.

**- Sam pan wpadł na pomysł tych półprywatnych podróży?**

- Sam. I nie pomyliłem się co do ich celowości. Np. w Sztokholmie jako pierwszy przedstawiciel polskiego rządu spotkałem się ze szwedzką Polonią. Jej reprezentanci tłumnie przyszli do naszego konsulatu i była to swoista rewelacja polityczna. Rozpadły się na tym tle niektóre ugrupowania emigracyjne, tych co przyszli na spotkanie ze mną, wyrzucono z jakiegoś związku Polaków.

Odpowiadałem na wszystkie pytania, godziłem się nawet, żeby kamera tych emigrantów towarzyszyła mi podczas spaceru po Sztokholmie.

**- Przyjmowały pana miejscowe władze?**

- Zwykle tak. Chociaż nie były to oficjalne wizyty, zawsze ktoś z rządu mnie przyjmował.

**- Kurtuazja?**

- Nie tylko kurtuazja ale zwyczaj albo zainteresowanie polskimi sprawami. Ale np. w Waszyngtonie przyjmowano mnie na stosunkowo niskim szczeblu. Rozmawiał ze mną szef USIA (Agencji Informacyjnej Stanów Zjednoczonych) i asystent podsekretarza stanu, którym był wówczas Simons, obecny ambasador USA w Warszawie.

**- *Kontaktowano się z panem w tej sprawie jeszcze w Polsce czy też już na miejscu?***

- Raczej na miejscu. W Madrycie przyjął mnie rzecznik rządu. We Francji, ponieważ było to jeszcze przed zawieszeniem stanu wojennego nie przyjął mnie nikt z rządu. Spotkałem się jedynie z sekretarzem socjalistów Kościusko i z byłym ministrem Michele Poniatowskim. W Wielkiej Brytanii przyjął mnie wiceminister spraw zagranicznych. Doszło tam do ciekawego wydarzenia...

**- *Wywiad dla Sekcji Polskiej BBC?***

- Tak. Rząd brytyjski zabiegał wówczas o likwidację zagłuszania BBC w Polsce. Sprawa ta była omawiana w parlamencie. Wiceminister spraw zagranicznych rozmawiał zatem ze mną głównie na ten temat. Wyjeżdżając z Warszawy, byłem upoważniony do oświadczenia, że polski rząd jest gotów podjąć negocjacje...

**- *Od kogo dostał pan takie upoważnienie, od Jaruzelskiego?***

- Tak. „Co do zasady - miałem powiedzieć w Londynie - to jesteśmy gotowi się zgodzić“. Ale w zamian za zaprzestanie zagłuszania strona brytyjska miała się zobowiązać do obiektywizmu w relacjonowaniu polskich spraw. No i mieliśmy to jeszcze negocjować.

W Londynie odwiedziłem kierownictwo BBC, na obiedzie był też dyrektor Sekcji Polskiej Aleksander Smolar. Zapytał mnie, czy zgodzę się udzielić wywiadu. Zawahałem się, ale odpowiedziałem twierdząco.

**- *Na własną odpowiedzialność? Był to nie lada precedens.***

- Uhm. Treść wywiadu nie była istotna, ważny był właśnie ten precedens. Oto po raz pierwszy oficjalny przedstawiciel polskich władz dał głos w zachodniej rozgłośni polskojęzycznej. Myśmy te rozgłoszenie uważali za działające bezprawnie, dywersyjne i wrogie. Ten mój wywiad rozpoczął zwyczaj wypowiedzania się przedstawicieli władz polskich wpraw dla BBC, potem dla Radio France Internationale, wreszcie dla Wolnej Europy.

**- *Po powrocie do Polski spotkał się pan z pretensjami?***

- Nie. Jak ktoś bierze na siebie jakieś posunięcie wszyscy oddychają z ulgą. Wracając do rozmowy z brytyjskim wiceministrem spraw zagranicznych... czułem anachronizm naszego stanowiska w sprawie zagłuszania zachodnich radiostacji. Na własną rękę powiedziałem temu wysokiemu urzędnikowi rządu angielskiego, że w najbliższym czasie zaprzestaniemy zagłuszania BBC. To znaczy spowodujemy, żeby przestano zagłuszać, bo urządzenia do zagłuszania były poza Polską.

**- *Obiecał pan coś, do czego nie miał pan upoważnienia?***

- Nie pierwszy, ani nie ostatni raz, przekraczałem zakres udzielonego mi upoważnienia. On zapytał, czy w takim razie może pojechać do parlamentu, gdzie właśnie trwa godzina pytań do rządu i natychmiast ogłosić w Izbie Gmin w imieniu rządu Jej Królewskiej Mości, że Polska likwiduje zagłuszanie. Zgodziłem się, ustaliliśmy na piśmie formułę, on pojechał i ją odczytał. Później na zasadzie gentlemen's agreement dogadaliśmy się, że program BBC będzie uwzględniał stanowisko rządu polskiego.

**- Nikt w Polsce się na to nie wściekł?**

- Nie. Dostałem aprobatę szefa, choć z pewną urazą. Na pewno natomiast był oburzony MSZ, który lubi negocjować. Zresztą zlikwidowanie zagłuszania to nie była taka łatwa sprawa. Wiązały nas umowy międzynarodowe w sprawie zagłuszania.

**- Umowy?! Ze Związkiem Radzieckim?**

- Iz innymi KS-ami. Myśmy płacili za zagłuszanie, aleja właśnie do tamtej chwili nic o tym nie wiedziałem. Dowiedziałem się o tym po powrocie do Warszawy. Pytany o to na konferencjach, odpowiadałem, że my nie zagłuszamy. A kto zagłusza -ja nie wiem. Dopiero po powrocie z Anglii dowiedziałem się, że radzieccy zagłuszają, ale nie sami z siebie, tylko na nasz obstalunek. Byłem w tej sprawie przez cały czas niedoinformowany.

**- Mozę komuś wydawało się to oczywiste?**

- Nie, nie, ja dociekałem i próbowałem się dowiedzieć prawdy, ale mi jej nie zdradzano. I dlatego tak łatwo się zgodziłem oznajmić w imieniu rządu polskiego w Izbie Gmin, że zaprzestajemy zagłuszania. Myślałem, że to jest dwustronna sprawa polsko-brytyjska. A to wymagało także rozmów polsko-radzieckich, zmiany tajnej umowy pociągającej za sobą dla ZSRR skutki poważne, bo finansowe.

**- Do podobnej jak w BBC wizyty miało dojść w Radiu Wolna Europa. Mówił pan o tym szeroko podczas konferencji. Ale chyba ostatecznie nie pojechał pan do Monachium. Obleciał pana strach?**

- Nie, to ich obleciał. Wymyślałem różne sztuczki na Wolną Europę. Jedną z nich było ogłoszenie na konferencji, że pracownicy RWE polskiego pochodzenia mogą swobodnie przyjeżdżać do Polski. Będą dostawać wizy, by odwiedzać kraj rodzinny po to, żeby o wielu sprawach przekonywać się na własne oczy, a nie czerpać informacje z wyobraźni. Wiedziałem wprawdzie, że oni mają surowy zakaz przyjeżdżania do Polski, ale efekt propagandowy mojej propozycji był oczywisty.

Następnie wymyśliłem, że pojedę do Wolnej Europy do Monachium i odbędę z pracownikami sekcji polskiej publiczną, transmitowaną dyskusję. Wszystko, co mam do powiedzenia, powiem im w oczy, wysłucham ich pretensji. Jestem gotów stanąć sam przeciw wszystkim.

**- To nie było w porządku. Bez żadnych z nimi uzgodnień ogłosił pan to na konferencji. To prowokacja.**

- Nie prowokacja tylko propozycja. To był celny strzał, proszę panów. Ta propozycja miała niesłychane powodzenie, rozgłos i aprobatę w Polsce. Telewizja, radio, prasa - wszyscy się

rzucili mówiąc mi, że chcą ze mną jechać do Monachium i zarejestrować dyskusję, nagrać. Prawie natychmiast odezwał się amerykański szef Radia Wolna Europa i Radia Swoboda Gene Pell, przysyłając depezę czy też teleks, a może list z zaproszeniem.

**- Do Monachium?**

- Do Monachium. Potem z prasy emigracyjnej dowiedziałem się, że zaproszenie spowodowało bunt na okręcie. Pracownicy Sekcji Polskiej RWE zbuntowali się przeciw swemu amerykańskiemu pryncypałowi, że ten bez uzgodnienia z nimi zaprasza Urbana do jaskini lwa.

Informacje te dyskutowałem na konferencjach, szydziłem i kpiłem, że będąc tak liczni i mądrzy, polscy pracownicy Wolnej Europy boją się spotkania z jednym polskim rzecznikiem. Klótnie w RWE trwały dość długo, Amerykanie naciskali na spotkanie, Polacy odmawiali...

**- A pan o tym wszystkim opowiadał na wtorkowych konferencjach.**

- A jakże. W końcu Gene Pell napisał do mnie, że jest gotów spotkać się ze mną, ale nie na terenie rozgłośni w Monachium, odbyć ze mną poufną rozmowę, a Sekcja Polska RWE nagra wywiad ze mną. Natomiast na spotkanie z zespołem i publiczną dyskusję już się nie godził. Nawet na wpuszczenie mnie do rozgłośni. To znaczyło, że się wycofuje.

Wszystko to ogłosiłem na konferencji, bo wydało mi się niezwykle śmieszne, że oni boją się, żeby moja noga powstała w rozgłośni.

**- Czy list od Pella był poufny?**

- Tak.

**- A pan mimo to ogłosił jego treść?**

- Nie powiedziałem o proponowanej poufnej rozmowie z Pellem. Powiedziałem tylko, że chcą ze mną przeprowadzać wywiad, ale ja go nie potrzebuję. Nie muszę jeździć do Monachium, żeby udzielić wywiadu nadawanego na Polskę, od tego mamy Polskie Radio. Chodziło mi o jakąś konfrontację polityczną, a nie o wywiad.

Pellowi poufnie odpowiedziałem, że gotów jestem z nim się spotkać w dowolnym miejscu, aby porozmawiać. Zaproponowałem Berlin, Wiedeń albo Nowy Jork, bo akurat miałem jechać do Stanów. Odpowiedział, że odpowiada mu Nowy Jork.

W Nowym Jorku znajduje się siedziba Zarządu Radiofonii Międzynarodowej (BIB), ciała, które jest politycznym nadzorcą wszystkich amerykańskich rozgłośni nadających dla zagranicy. Jest to kolegium złożone z polityków. Kiedy przyjechałem do Ameryki, nasi dyplomaci nawiązali kontakt z BIB, pytając gdzie mam się spotkać z Pellem. Obie strony ustaliły, że tego a tego dnia o określonej porze mam się zjawić w siedzibie Zarządu Radiofonii.

Pojechałem tam, wszedłem do umówionej sali konferencyjnej, gdzie siedzieli różni panowie, których mi oczywiście przedstawiono. Pella wśród nich nie było. Pytam: „A gdzie jest pan Pell?”

- Pana Pella nie ma“ - odpowiedzieli. No to ja: „Co to znaczy?! Umawiam się z panem Pellem, na jego prośbę przylatuję do Nowego Jorku, a tu się okazuje, że pana Pella nie ma“. Odpowiedzieli, że o tym, kto ze strony amerykańskiej będzie ze mną rozmawiał, to oni decydują, a nie ja. Wynika z tego, że Pell, szef rozgłośni, też nie dostał zezwolenia na to, żeby się ze mną spotkać.

### ***- Zezwolenia od kogo? Od Kongresu?***

- Formalnie Pell podlegał Zarządowi Radiofonii Międzynarodowej, a więc faceci, z którymi się spotkałem, byli jego przełożonymi. Na ich czele stał Forbes junior, miliarder, właściciel m.in. „Forbes Magazine“.

Wygłosiłem w ich obecności bardzo rzeczowy odczyt na temat grzechów Wolnej Europy, były tam same fakty. Mówiłem, że RWE jest strukturą powstałą w czasie zimnej wojny, co dziś jest anachroniczne. Informacje są preparowane, tendencyjne, ukierunkowane wyłącznie na walkę z komunizmem. Nie ma informacji obiektywnych, neutralnych, bezinteresownych, co jest sprzeczne z amerykańską doktryną informacyjną. Przypomniałem o roli, którą odegrała Wolna Europa podczas awarii w Czarnobylu. W momencie, gdy powinna przeważać ogólnoludzka solidarność, w RWE - jak zwykle - górę wzięła polityka. Podważając każdą naszą informację, RWE powodowała panikę i nieuzasadniony lęk. Mówiłem też o bezsensownym oskarżeniu Bejgera z Gdańska o to, że był sprawcą śmierci grupy osób - rozgłośnia pomyliła nazwiska, ludzi i fakty. Wymieniłem inne ewidentne grzechy RWE.

Forbes wysłuchał oskarżeń i czuło się, że jest wściekły. Odpowiedział, a sens tego co mówił był taki, że Wolna Europa robi dobrze, bo walczy z komunizmem, przez to wszystko co czyni jest dobre i służy wolności oraz prawdzie.

### ***- Nie było przy tym prasy?***

- Nie, nie, było to spotkanie jak najbardziej dyskretne.

Kiedy on skończył, ja wstałem, przeprosiłem że zabrałem im czas, uznałem spotkanie za zbędne. Powiedziałem, że zapraszał mnie pan Pell, a pana Pella nie ma, że ja daję rzeczowe zarzuty, a oni nie chcą w ogóle słuchać -jednym słowem, że dalsza rozmowa nie ma sensu. Zabrałem się do wyjścia.

Wówczas -jak to Amerykanie - poczuli się głupio, zaczęli mnie uspokajać i klepać po plecach. Wnieśli upominki: firmowy parasol Forbesa, zielony, z napisem „Prawdziwy kapitalista“ oraz krawat z takim samym napisem. Po powrocie krawat dałem w prezencie Wilczkowi, a parasol mam do dziś - napis okazał się dla mnie dość proroczy... „Forbes Magazine“ przed kilkoma tygodniami wydrukował reportaż o mojej żonie w rubryce „Kariery“. Na dwóch stronach tego bardzo prestiżowego pisma przedstawił moją żonę jako redaktorkę naczelną najważniejszego polskiego czasopisma dla biznesmenów „Firma“. Napisane to jest z uznaniem i kurtuazją. Przypuszczam, że ten gest ma coś wspólnego z tamtą moją wizytą w Zarządzie Radiofonii.

Po rozmowie w BIB byłem przyjęty przez szefa USIA, czyli szefa rządowej propagandy amerykańskiej no i tam nabluzgałem na Forbesa - na sposób, w jaki ze mną rozmawiano. Opowiedziałem też całą historię z Pellem. Wprawdzie Zarząd Radiofonii nie podlega Agencji Informacyjnej, której szef jest powoływany przez prezydenta, a BIB przez Kongres, ale nie mogłem zrezygnować z tej satysfakcji.

**- Kiedy Tadeuszowi Mazowieckiemu powierzono misję stworzenia rządu, pojechał pan - jako wysłannik Rakowskiego, wówczas I sekretarza KC PZPR - do Moskwy. W jakim celu?**

- Miałem poinformować Rosjan i uspokoić. Zapewnić, że partia, która właśnie zmieniała kierownictwo, prowadzi konstruktywne negocjacje z drugą stroną w sprawie sformułowania rządu i pewne elementy ciągłości władzy w Polsce zostaną zachowane.

**- Czy ówczesne stosunki Polski ze Związkiem Radzieckim wymagały tego rodzaju uspokojenia. Przecież był Gorbaczow, pierestrojka, gласnost'...**

- Zgadza się. Ale to rzecz najzupełniej normalna, że partia, która rządziła Polską przez dziesięciolecie prowadząc politykę opartą na ścisłej więzi ze Związkiem Radzieckim, w tak przełomowym momencie jak zmiana rządu na niekomunistyczny, informuje partię rządzącą w ZSRR o swoich ocenach sytuacji w Polsce. Było to normalne posunięcie Rakowskiego, nienormalne było to, że z misją wysłał mnie.

**- Właśnie - dlaczego pan pojechał?**

- Myślę, że Rakowski miał do mnie osobiste zaufanie, a także, ponieważ sytuacja była bardzo dynamiczna, chciał żeby informacje przekazał ktoś, kto dobrze rozumiał ówczesne niuanse sytuacji w kraju. Ale moje informacje były diabła warte, bo nieaktualne już w momencie, kiedy je przekazywałem. Mówiłem o sześciu tekach ministerialnych w gabinecie, podczas gdy PZPR dostała cztery.

**- Jak przebiegała ta rozmowa w Moskwie? Kto z panem rozmawiał?**

- Przyjął mnie Fallin, sekretarz KC kierujący sprawami międzynarodowymi, wtedy człowiek nr 2 w radzieckiej polityce zagranicznej po Szewardnadze. On po prostu zadawał pytania, niczego nie komentując.

**- Czy był pan wysyłany z podobnymi stricte politycznymi misjami jeszcze kiedyś?**

- Nie. Tylko dwa razy - do Fallina i Vranitzky'ego.

**- Często wyjeżdżał pan za granicę jako reporter, zanim został pan rzecznikiem rządu?**

- Nie. Nie znam języków, więc odczuwam naturalny lęk przed podróżami zagranicznymi. Rzadko wyjeżdżałem. Najdłuższą podróż odbyłem w roku 1972, kiedy to z dziewczyną popłynąłem statkiem na Morze Śródziemne. Był to jednak wyjazd w trzech czwartych wypoczynkowy, a tylko w jednej czwartej - służbowy.

**- Kim była ta dziewczyna?**



- Późniejszą moją drugą żoną.

**- Pojechał pan z „Polityki“?**

- Tak, wziąłem delegację, diety, pisałem stosowne reportaże. Ale dziewczyna była prywatnie. Podróż ta miała swoje kulisy polityczne. W Pradze wówczas odbywały się jakieś poważne procesy polityczne. Złożyłem więc w komisji RSW wniosek o wyjazd do Pragi, bo chciałem pisać dla „Polityki“ o tych procesach. Członkowie komisji przerazili się i nie zezwolili na podróż do Pragi. Ale ponieważ ja nigdy wcześniej nie prosiłem o delegację zagraniczną, nie chcąc mnie urazić, powiedzieli że mogę sobie wybrać, gdzie chcę jechać, byleby nie do Pragi, to oni mnie tam wyślą.

I tak na pokładzie polskiego statku handlowego, za psi grosz, w ciągu dwóch miesięcy zwiedziłem 13 portów w 11 krajach. Pamiętam, że bilet na statek kosztował 11 tys. zł, co wychodziło taniej niż gdybym w tym czasie siedział w Warszawie.

Nie ma co o tej podróży opowiadać, nic szczególnego się nie działo poza tym, że ciągle pijana załoga łakomie spoglądała na moją ładną towarzyszkę.

**- Więcej pan nie wyjeżdżał za granicę?**

- Kiedyś z Toeplitzem pojechałem do San Remo na jakiś drugorzędny festiwal filmowy. Byłem też raz na festiwalu w San Sebastian. „Polityka“ miała pakiet zaproszeń na takie prawie rekreacyjne wyjazdy i niekiedy z nich korzystałem. Dwanaście dni w kurorcie - któż by z tego nie skorzystał. A do kina chodziło się lub nie chodziło.

W 1976 roku odbyłem jedną wariacką podróż do Stanów. Mój zastępca Stefański przybiegł do redakcji i powiedział, że do Stanów leci samolot czarterowy, żeby zmienić harcerską załogę jachtu, który brał udział w regatach z okazji 200-lecia USA. W ciągu kilku godzin załatwiłem sobie wizę amerykańską i tak jak stałem, w spodniach i koszuli, bez szczotki do zębów, poleciałem na jedną dobę do Nowego Jorku. Zarezerwowałem sobie pokój w hotelu, pospacerowałem po mieście, żalując, że nie mogę zostać dłużej. Potem okazało się, że mogłem poczekać do odlotu następnego samolotu.

W pierwszą w życiu podróż zagraniczną wyjechałem we wrześniu 1956 r. do Izraela. Miałem wtedy 22 lata. Byłem bodaj pierwszym polskim dziennikarzem, który się tam pojawił. Dano mi samochód i asystę z izraelskiego MSW. Urzędnik, który obwoził mnie po kraju powiedział, że kazano mu dyskretnie mnie wypytać o to, co dzieje się w Polsce. On jednak dyskretnie nie umie, więc otwarcie mnie prosi o opowiedzenie co się dzieje i czego można się spodziewać. Powiedziałem mu m.in., że za tydzień będzie Plenum KC i do władzy dojdzie Gomułka. To już bowiem przed wyjazdem wiedziałem. W zasygnalizowanym terminie w Polsce wybuchł Październik. Staralem się o bilet powrotny do Polski, ale nie mogłem go zdobyć. Któregoś dnia w gabinecie nieobecnego w Izraelu polskiego posła siedziałem i czytałem gazety, które nadeszły z Warszawy. Zajrzał izraelski dziennikarz i zastał mnie za tym biurkiem.

Kiedy w dramatycznych okolicznościach, tj. po wizycie w Warszawie Chruszczowa i Bułganina z generacją Gomułka stanął na czele Polski, połączono sobie w izraelskim MSZ to, że z góry zapowiedziałem wydarzenia, z tym, że siedzę za biurkiem posła. Izraelczycy

doszli do wniosku, że należę do junty, która dokonała przewrotu i że przyjechałem do Izraela, żeby stanąć na czele polskiej placówki.

Mieszkałem w Tel-Awiiwie, tam też przy ul. Allenby było polskie poselstwo. Zadzwoniono do mnie, że wysyłają po mnie samochód z Jerozolimy, bo minister spraw zagranicznych, Golda Meir zaprasza mnie na rozmowę. Pojechałem. Przyjął mnie jednak tylko wiceminister, za to na stojąco jak przy wręczaniu listów uwierzytelniających.

Staliśmy naprzeciw siebie, a on wygłosił mowę, że Izrael chce pokoju i dobrych stosunków z nową Polską i jej nowymi władzami.

Ja też na stojąco odparłem, że jestem tylko dziennikarzem, nie mogę mówić w imieniu Polski, ale przekażę swoim czytelnikom wzniosłe intencje izraelskiego rządu.

- „Siadajmy“ - odparł - „i niech pan przestanie udawać“. Chyba mi się nie udało wprowadzić go z błędu, że nie przysłali mnie do Izraela z misją gomułkowscy spiskowcy.

Do Polski nie udało mi się w październiku wrócić, bo wybuchła wojna synajska (ta o kanał sueski) i nie było połączeń lotniczych z Izraelem jako krajem w stanie wojny. Polskie poselstwo oblegał tłum Żydów z Polski, którzy przyjechali do Izraela odwiedzać rodziny, a teraz chcieli uciekać do domu, bojąc się, że Arabowie przyjdą i wszystkich wyrzną. Ameryka, Kanada, Francja itp. przysyłały samoloty po swoich obywateli i ich ewakuowały. Władze polskie miały co innego na głowie, no i brakowało im dolarów na wynajmowanie samolotów. Zaproponowano mi więc, abym stanął na czele polskiego konwoju samochodowego i machając polską flagą przeprowadził polskich Żydów i rodziny dyplomatów przez granicę z Libanem, który w wojnie nie uczestniczył.

Z Bejrutu polskich obywateli zabrałyby polskie statki handlowe. Wahałem się, ale wybrałem podróż na front w roli korespondenta wojennego. Już wcześniej byłem na froncie. Zaraz po wybuchu wojny zapytano czy chcę się akredytować jako wojenny korespondent. Wojna wybuchła wieczorem. O północy dziennikarze wyjechali autokarami i nad ranem w mieście Bereszewa na pustyni Synaj głównodowodzący Mosze Dayan podejmował nas wszystkich wystawnym śniadaniem. Dowodziło ono tego, że Izrael nie był tak zaskoczony anglofrancuskim desantem w Egipcie, jak to publicznie twierdził. Różne były przygody, nawet gwizdały mi kule koło ucha na przedmieściu ledwo co zdobytej Gazy i nie mogłem położyć się w rowie, bo dziennikarze amerykańscy twardo stali na szosie nie reagując na kule. Z wojny pisałem korespondencje do „Po prostu“, ale z wysyłaniem ich były kłopoty. Po pierwsze wszystko przechodziło przez izraelską cenzurę wojskową, a to co ja pisałem nie miałyby u cenzorów żadnych szans skoro np. Donosiłem o złym traktowaniu jeńców, lub co gorsza o tym, że wojska brytyjskie i francuskie lądują na izraelskich plażach, czemu Izrael zaprzeczał. Po drugie nie miałem forsy na teleksowanie. Jeździłem więc na lotnisko, gdy już zaczęły latać samoloty i dawałem je polskim turystom z prośbą o dostarczenie do „Po prostu“. Wszystkie korespondencje zginęły przypuszczalnie w rękach cenzorów kontrolujących podróży na lotnisku. Jedna tylko przeszła i ukazała się w „Expres-sie Wieczornym“. Ciekawe, że ja na pustyni synajskiej byłem raz o 20 km od Kanału Sueskiego, a wtedy po drugiej stronie frontu był wśród paru polskich dziennikarzy Kazimierz Dziewanowski, teraz ambasador Wałęsy w USA.

O Izraelu i wojnie pisałem dopiero po powrocie do Polski w „Po prostu“. „Iskry“ zerwały ze mną umowę o książkę na temat podróży do Izraela, a warszawskie salony oskarżały mnie o

wzniesienie antysemityzmu. Izraelski poseł w Warszawie miał oznajmić Polakom, których podejmował w poselstwie, że Urban jest jedynym polskim obywatelem, który nigdy więcej nie dostanie wizy do Izraela. Przez pierwsze 35 lat po tej deklaracji nie sprawdzałem czy jest nadal prawomocna. Ostatnio wizę dostałem. Dowodzi to, że wszystkie państwa rzucają słowa na wiatr, a żaden rząd nie powinien mówić słowa „nigdy“.

Gdy byłem w Izraelu miałem 22 lata i to była -jak już wspomniałem - moja pierwsza podróż zagraniczna. Każda następna była już nudna, gdyż nigdy więcej nie zaznałem tylu przygód i emocji. Bo jeszcze dodatkowo w czasie wojny z Egiptem przekroczyłem niechcący samochodem egipską granicę i siedzący obok mnie izraelski dziennikarz sądził, że nie wyjdzie z tego z życiem. Wracalem przez Rzym, gdzie tłum oblegał polską ambasadę, aby wiatować na cześć Polski z okazji radzieckiej interwencji na Węgrzech. Cały polski personel dyplomatyczny dyplomatycznie uciekł łowić ryby na Sycylii, więc ja zacząłem mówić do zebranych ludzi i dziennikarzy. Pamiętam, że na pobyt we Włoszech miałem 5 dolarów, że nocowałem w pensjonacie „Della Legatiore“, który był w istocie domem starców. I że wczesnie rano zastałem swoją sypialnię pełną szarych postaci staruszków i staruszek, a wszyscy oni szemrali. Okazało się, że mój pokój był zarazem kaplicą dla pensjonariuszy, o czym mnie uprzedzono, ale po włosku, więc nie rozumiałem.

No dosyć...

## **Ja, moje uszy i „NIE”**

**- Pańskie pismo „NIE“ żyje z ataków na obóz belwederski i Kościół katolicki. A przecież gdyby nie te instytucje Uch działalność w zwalczaniu systemu totalitarnego, pańskie pismo nie mogłoby się ukazywać. Nie odczuwa pan wdzięczności do Wałęsy i prymasa Glempa?**

- Podobne pytanie mogliby panowie zadać redaktorowi pisma antysemitckiego. Czy czuje wdzięczność do Żydów za to, że istnieją?

Poza tym akurat te osoby, które są najczęściej atakowane w „NIE“ i ich zaplecze, nie są jedynymi sprawcami likwidacji starego systemu. Odwracam Pana rozumowanie: Wałęsa i Glomp powinni czuć wdzięczność do wszystkich po kolei komunistycznych przywódców i do partii, bo bez ich błędów nigdy nie znaleźliby się u władzy. Przemiany w Polsce są także zasługą takich ludzi jak ja, i to nie tylko dlatego, że jako rzecznik prasowy rozszerzałem zakres wolności wypowiedzi. To jest też dzieło nurtu reform wewnątrz obozu „czerwonych“. Cenzura nie upadła z dnia na dzień, słabła już w latach osiemdziesiątych.

Nie widzę też powodów, aby ludzie, którzy walczyli o swobodę wypowiedzi, teraz mieli z tej racji uzyskać wolność od krytyki.

**- Kiedy wpadł pan na pomysł wydawania takiego pisma jak „NIE“?**

- Zawsze chciałem być redaktorem pisma satyrycznego. Miałem w 1989 roku chrapkę na „Szpilki“, ale od chwili nacjonalizacji RSW mogłem wydawać tylko pismo prywatne, którego nikt nie mógłby mi zabrać.

Pierwszym krokiem była rejestracja tytułu. Wszyscy znawcy prasy odradzali mi tytuł „NIE“, namawiając do zmiany. Uważałem go za dobry, bo krótki, dosadny i inny od istniejących na rynku prasowym. Zarejestrowałem go, nie miałem zresztą czasu na wymyślenie innego. Uzyskałem pożyczkę w postaci papieru. Część pieniędzy uzyskałem ze sprzedaży tego papieru, a po sukcesie wydawniczym i finansowym mojej książki „Alfabet Urbana“ miałem już środki na kompletowanie zespołu i druk pierwszych numerów.

**- Kto odmówił współpracy z panem?**

- Pierwszy numer napisaliśmy prawie w całości z Markiem Barańskim. Sekretarzem redakcji została Ewa Adamczewska, która podobnie jak Barański pracowała ze mną w Unia Press. Do współpracy przy opracowywaniu koncepcji pisma zaprosiłem grupę kolegów, m.in. Zygmunta Kałużyńskiego. Rozpoczęliśmy małym zespołem.

Obecnie (w 1.1990-1991) w Warszawie funkcjonuje o wiele więcej redakcji niż ukazuje się pism. Wiele osób przygotowuje nowe pisma, zatrudnia dziennikarzy płacąc im za to, że coś szykują. Pisma te ukazują się lub nie, padają, odradzają się w innym składzie. Redakcja, która jeszcze nie wydaje pisma ma trudności nie tylko z przyczyn politycznych, ale także rynkowych z uzyskaniem współpracowników. Dopiero kiedy czasopismo ukazuje się przez czas dłuższy można być pewnym takiej posady.

**- Miał pan gotową koncepcję pisma, czy powstawała w czasie redagowania?**

- Punktem wyjścia był francuski tygodnik satyryczny „La canard en-chainer“, wspomnienie o innym francuskim piśmie „Harakiri“. Ale to był daleki pierwowzór. Nie znam francuskiego i zawartość tych pism poznałem tylko z opowiadań. Chciałem, aby „NIE“ było inne niż tradycyjne polskie pisma satyryczne: literackie, pełne humoresek, skeczy, wierszy satyrycznych. Chodziło mi o czasopismo aktualne, bez pardonowo zajmujące się sprawami polityki, wykorzystujące gatunki czysto dziennikarskie.

Adresowałem je do osób rozczarowanych polityką „Solidarności“ i efektami jej rządów. Uważałem też, że po dziesięciu latach poważnych, fundamentalnych dyskusji politycznych ludzie zapragną zajmować się polityką w lżejszej formie, że potrzebny jest nowy, dosadny, skrótowy język. Próbowaliśmy orientować się na młodego czytelnika i przenieść na łamy pisma slang młodzieżowy. Świeży, pełen paradoksów, skrótowo opisujący rzeczywistość. Tego nie udało nam się zrobić, bo krąg autorów ograniczył się do zawodowców.

**- Kiedy pismo zyskało niezależność finansową?**

- Pierwszy numer wyszedł w 100 tysiącach nakładu. Przy takim nakładzie, i przy np. 40% zwrotów miałem środki na wydawanie pisma przez jakieś trzy miesiące. Tuż przed drukiem pierwszego numeru niespodziewanie znaleźliśmy wydawcę, który chciał zaryzykować włożenie w „NIE“ pieniędzy na kwartał. Okazało się, że pierwszy numer sprzedano bez zwrotów, nakład następnych systematycznie wzrastał i po roku przekroczył 700 tysięcy przy zwrotach nie większych niż 5%. Gazeta stała się wpływowa. Badania czytelnicze wykazują, iż każdy numer czyta ok. 2 milionów osób. Początkowo była przez inne środki przekazu niezauważana, potem nastąpiła seria ataków, w czasie których najbardziej delikatnym epitetem było „szambo“. Wreszcie pogodzono się z naszą obecnością. Od kilku miesięcy pismo zwiększa krąg swoich współpracowników. Pojawili się na naszych łamach ludzie związani z „Solidarnością“, np. Lech Ścibor-Rylski, Andrzej Czeczot, Józef Piniór, minister Krystyna Sienkiewicz. Nie wstydzili się u nas publikować wybitni plastycy, np. Xymena Zaniewska, Janusz Stanny.

Nadal jednak sporo osób twierdzi, że czyta „NIE“, bo pożyczka od znajomych. Rzadko kto przyznaje się, że je kupuje.

**- Jaki dochód przynosi tygodniowo wydanie „NIE“?**

- Nie powiem. Każda firma tai swoje dochody.

**- Przez wiele lat pisał pan felietony w „Szpilkach“. Czy na współpracy z tym pismem kończyły się pana doświadczenia satyryczne?**

- Pierwsze próby kabaretowe podjąłem na początku lat 60. W redakcji programów młodzieżowych i oświatowych robiłem razem z Wandą Chotomską i nieudanym autorem piosenek Janem Zalewskim, najmarniejszy program w dziejach TVP. Reżyserował Andrzej Konic. Był to kabaret dla młodzieży. Wówczas zaprzyjaźniłem się z Janiną Planerową, redaktorem naczelnym programów młodzieżowych i oświatowych, kobietą dobiegającą czterdziestki, przystojną, efektowną i ciekawą.

Była córką spolonizowanego Niemca z Wielkopolski, ziemianina, który na starość ożenił się z Żydówką i przeszedł na judaizm. Młoda Planerową uciekła z domu z anarchistą. Żyła w

nędzy. Anarchista głodził ją i pastwił się zabierając do luksusowych sklepów spożywczych, aby czując jeszcze bardziej głód tym silniej nienawidziła burżujów. Porzuciła anarchystę dla komunisty.

Uciekła samotnie z dzieckiem do ZSRR w 1939 roku. W 1941 w czasie ewakuacji i gigantycznego rozgardiaszu zgubiła dziecko. Odnalazła je po niesamowitych perypetiach. Tym dzieckiem był znany z „Czterech pancernych i psa“ aktor Włodzimierz Press. Miała też córkę, słynną Lenę Planer, która już w wieku szkolnym miała głośne romanse, m.in. z pisarzem Stanisławem Dygatem i bandziorem z podziemia gospodarczego o ksywie „Cegła“. Janina Planer była rozkapryszoną „ciotką rewolucji“. Rozsiadała się i żądała od personelu, żeby ją zabawiali. Wtrącała się w życie prywatne współpracowników, lubiła sterować ich romansami. Jej próżność sięgała gwiazd. Pamiętam kamerową próbę kabaretu: idiotyczne ramy obrazów, aktorzy w strojach XVIII-wiecznych jako żywe portrety. Powiedziałem o Zofii Mrozowskiej, że ślicznie wygląda w krynolinie. Na to Planerową wyszła trzaskając drzwiami z reżyserki, bo w jej obecności nietaktem było komplementować inną kobietę. Potem, po 1968 roku wyjechała na emigrację.

Pisywałem też do kabaretu „Poci Egidą“ Jana Pietrzaka. Trochę dla teatru „Syrena“. W życiu nie napisałem dobrego kawałka kabaretowego. Jak było coś znośnego, to brali. Nie wiem dlaczego, ale ciągle uznawano mnie za dobrego autora kabaretowego i scenarzystę. Napisałem ogromne ilości scenariuszy, z których dwa albo trzy zrealizowano. Pomimo, iż sprawdziłem się jako antytalent scenopisarstwa ciągle miałem mnóstwo zamówień, obradowałem z reżyserami, nie potrafiłem ich do siebie zniechęcić. Nawet dziś mam propozycje od przemysłu filmowego.

**- Pamięta pan tytuły swoich filmów?**

- Jeden chyba nazywał się „Romeo w M-3“, drugi „Przygoda w wannie“. To były jakieś okropne filmy telewizyjne. Trzeci, kinowy, zrealizowano na podstawie mojej noweli, o tym jak żona zmarłego profesora znajduje jego pamiętnik erotyczny i zaczyna odwiedzać kochanki męża.

**- Ofert od Jana Pietrzaka już pan nie otrzymuje?**

- Z Pietrzakiem współpracowałem długo, choć mało efektywnie, bo ja nie posiadam uzdolnień pisarskich. Aż do czasu kiedy po sierpniu 1980 roku stał się miłośnikiem „Solidarności“ i pousuwał z kabaretu nie tylko tak miernego tekściarza jakim byłem ja, ale także wybitnych autorów: Daniela Passenta, Ryszarda Marka Grońskiego. Pousuwał ich też z tablic pamiątkowych obrazujących dzieje kabaretu, tak jak Stalin wymazywał Trockiego, Zinowjewa, Bucharina ze wspólnych zdjęć z Leninem.

Bardzo lubiłem Pietrzaka, spędziłem u niego wiele przyjemnych wieczorów. Był czas, kiedy gromadziły się u niego ładne panienki i ciekawi, znani faceci. Mieszkał czy mieszka w domu fińskim przy ulicy Jazdów koło Sejmu. Ciągle zmieniał żony, lub kobiety, które u niego mieszkaly. To było przyjemne, bo zwykle jak lubi się jakiegoś mężczyznę, to nie lubi się jego żony. Z Pietrzakiem nie było tego problemu. Bywałem u niego na tyle rzadko, że zawsze spotykałem nową gospodynię, co było dodatkową atrakcją.

**- Piotr Fronczewski poskarżył się w czasie jednego z wywiadów telewizyjnych, że Pietrzak mało płaci. Czy był sknerą?**

- W czasach kiedy ja pisałem do „Egidy“ nie płacił Pietrzak, tylko jakaś Estrada. Nie były to wielkie sumy, ale kiedy uzbierały się, i odbierałem tantiemy autorskie w ZAIKS-ie raz na rok, albo na pół roku, wówczas były to znaczące sumy.

**- *Utrzymuje pan z Pietrzakiem stosunki towarzyskie?***

- Obecnie żadnych. Spotkałem go niedawno przypadkowo i zapytałem dlaczego robi taki marny program, warknął coś na to i poszedł. Nie byłem na jego ostatnim programie, bo mnie nie zaprasza. Kiedy dwa lata temu widziałem jego występ, napisałem krytyczną recenzję. Czasy się zmieniły, a on nadal eksploatował naśmiewanie się z komucha, który nie potrafi dobrze wysłować się po polsku. Jego kabaret zaskorupiał. Zamiast drwić z nowej władzy, stał się przymilny. Nic dziwnego, że Pietrzak ma kłopoty, nawet na prowincji, ze sprzedażą kompletu biletów.

Przyczepiłem się do Pietrzaka, kiedy pan prezydent zaczął mu szukać lokalu. Pietrzak chyba zidiociał, bo przeczytałem w jednym z wywiadów, że oburza się na podatek wyrównawczy, jego zdaniem relikwyt stalinizmu. Nikt nie lubi płacić podatków, ja też nie, ale właśnie w socjalizmie te podatki były wyjątkiem wobec braku innych podatków od dochodów indywidualnych. Podobnie z lokalem. Tylko w socjalizmie uzyskiwało się go dzięki przydziałowi władz. Teraz jest wolny rynek i można sobie lokal wynająć.

**- *Może nie stać Pietrzaka na wynajęcie drogiego lokalu?***

- On jest przyzwyczajony do bycia beneficjentem.

**- *Pan, a raczej pańskie uszy, były przez lata osiemdziesiąte tematem żartów w licznych kabaretach. Kiedy po raz pierwszy zwrócono uwagę na pańskie uszy?***

- To dziwne, ale dopiero kiedy zostałem rzecznikiem rządu. Wcześniej nawet w szkole, gdzie wyszydza się defekty w wyglądzie kolegów nie wytykano mi ich. Moje uszy w dzieciństwie zauważały tylko osy, bo często miałem je pożądlone. Matka wspominała, jak w dzieciństwie zwróciła uwagę, że uszy mam za duże. Radziła się lekarza. Ten sugerował przyklepnięcie plastrem, bo po tym miały bardziej przylegać, ale jakoś zaniedbano tego. Nigdy w dzieciństwie nie miałem świadomości dużych uszu, a przecież wtedy twarz moja była znacznie chudsza.

**- *Miał pan jakieś przezwisko związane z wyglądem?***

- W czasach „Po prostu“ nazywano mnie „brzuch“. I nic więcej. Nigdy nie przejmowałem się swoim marnym wyglądem i nie wróżę wielkiej

kariery politykom dążącym do zatarcia indywidualnego wyglądu i do upodobnienia się do innych poprzez identyczne ubrania, jak to dawniej czyniono, czy też zapuszczanie identycznych bród. Jest to lęk przed własną indywidualnością, odruch ukrywania się.

**- *Pana uszy stały się pana znakiem firmowym. Zamierza pan je ubezpieczyć, tak jak Marlena Dietrich swoje nogi?***

- Za mała szansa żeby mi teraz obcięto uszy i dano odszkodowanie. Uszu nie można złamać przypadkowo jak nogi, podłożyć ich pod tramwaj. Traci sieje tylko przez umyślne odcięcie.

**- *Jak pan przyjmował żarty ze swoich uszu?***

- Z zadowoleniem, bo przyczyniały się do mojego rozgłosu. Natomiast nigdy nie śmiałem się z nich, bo mam bardziej wyrafinowane poczucie humoru. Wolę paradoks, żart z „drugim dnem“ itp.

**- *Jak walczyłby pan, będąc na miejscu rzecznika prasowego prezydenta, z takim pismem jak „NIE“?***

- Podobnie jak pan Andrzej Drzycimski nie angażowałbym osoby prezydenta do bezpośredniej walki. Natomiast w sposób bezpośredni i poprzez pośredników starałbym się przylapać „NIE“ na nierzetelności. Drzycimski ma trudności, bo w „NIE“ sprawdzamy podawane przez nas fakty. Nie posiada on też dostatecznie sprawnych współpracowników.

**- *Ludzie, którzy byli u władzy często skarżą się na ciężki los polityków, na zmęczenie, zakłócone życie rodzinne. Pan nigdy się na to nie skarżył.***

- Bo takie żale w 90% wynikają z zakłamania. Polityka jest najbardziej fascynującym zajęciem jakie ludzkość wymyśliła. Nikt nikogo nie zmusza do uprawiania jej. Nie jest też tak wielce wyczerpującym zajęciem. Kiedy urzędowałem jako rzecznik prasowy dobrze wiedziałem do kogo muszę zadzwonić do 16-tej, a kogo zastanę po tej godzinie w pracy. Ci, którzy prawdziwej polityki nigdy nie robili, czyli ministerstwa: kultury, oświaty, zdrowia, spraw zagranicznych, branżowe ministerstwa przemysłu już o 16-tej kończyły pracę. Wieczorem mogłem dzwonić do MSW, MON, do KC PZPR i szefów Komisji Planowania, czyli tam gdzie o czymś decydowano. Zapracowanie ministrów to też bujda. Wzięty dziennikarz długo czeka na 5 minut audiencji, o którą prosi i wychodzi po dwóch godzinach, bo dygnitarz gada i gada, co jest dlań najmiłą rozrywką. Znaczna część wyższych urzędników nudzi się w czasie pracy. A i tak ich świat jest barwniejszy niż domowy. W biurach są alkohole i inne zabawki miłe mężczyznom. I praca wcale nie wyczerpuje. W „Polityce“ kiedy byłem kierownikiem działu krajowego, pracowałem od 10-tej do 14-tej. Wychodziłem strasznie zmęczony po tych czterech intensywnych godzinach. W biurze rzecznika siedziałem niekiedy i 12 godzin, ale nigdy nie byłem tak wyczerpany. Również w redakcji „NIE“ mam znacznie więcej zajęć niż w czasie urzędowania w URM-ie.

**- *Pomimo tych dolegliwości nie wróciłby pan na posadę rzecznika prasowego rządu?***

- Nigdy i nigdzie nie chciałem wracać. Do żadnej byłej żony, redakcji, posady. Na nowym miejscu regeneruję się i reorientuję. Może gdybym był emerytem spacerującym po parku takie myśli przychodziłyby mi do głowy. Ale uroki bycia redaktorem „NIE“ są fascynujące.

W ostatnich latach rzecznikowania nudziłem się w rządowym gmachu, bo już moje zajęcia były nazbyt powtarzalne i nie miały uroku nowości. W telewizji, gdy zostałem jej szefem, od razu poczułem, że nie jestem na swoim miejscu i odchodziłem stamtąd z przyjemnością.

Proszę panów. Już jako dziecko marzyłem, aby być „kimś“. Bawiłem się, że jestem cesarzem, robiłem sobie z prześcieradeł szaty władcy, rysowałem pieczęcie, projektowałem dekrety. Jeśli stawałem na schodach, to wyobrażałem sobie, że jestem na trybunie. Władza



stanowiła dla mnie atrakcję jako teatr, od jej dekoracyjnej strony. Potem jako piętnastolatek poznałem w organizacji młodzieżowej smak władzy małej, ale realnej. Polityka była w całym moim życiu jedyną pasją, choć nie starałem się być czynnym politykiem. Przez długi czas polityko-wanie w redakcji „Polityki“ było przyjemniejsze niż zabieganie o jakiś urząd. Kiedy zostałem rzecznikiem zbliżyłem się do szczytów władzy i moje potrzeby, aspiracje i ciekawość władzy zostały zaspokojone. Przestałem marzyć o władzy. Chociaż zawsze żyłem dostatnio, marzyłem o posiadaniu wielkich pieniędzy, ale nigdy w tym celu niczego nie robiłem. Nie chciałem mieć, aby posiadać, ale mieć pieniądze, aby się z nimi nie liczyć. Teraz je mam i bardzo się tym cieszę.

**- Tygodnik „ Wprost“ zakwalifikował pana do setki najbogatszych kapitalistów w Polsce.**

- To prawda, że dużo zarabiam. Zatrudniam 35 osób, które wyzyskuję pobierając wartość dodatkową od ich pracy, ale nie funkcjonuję jako kapitalista w gospodarce.

**- Ma pan pieniądze, samochód, niezależności sławę. Władzy pan nie pragnie. Pozostaje umrzeć?**

- Ludzie, którym się dobrze powodzi podejmują szalone wysiłki, żeby żyć jak najdłużej. Diety, ćwiczenia gimnastyczne, rygorystyczny styl życia. Zwłaszcza w USA bogaci ludzie szalenie męczą się, żeby móc dłużej się męczyć.

Ja lubię same niezdrowe rzeczy, wszystko co zdrowe wydaje mi się niesmaczne. Kiedy kalkuluje ile lat jeszcze mogę żyć, martwię się, że te pieniądze przyszły za późno. Wcześniej mógłbym je korzystniej spożytkować.

Ponieważ odniosłem sukces rynkowy zgłaszają się do mnie ludzie posiadający pieniądze i pragnący ulokować je w działalność wydawniczą. W oparciu o sukces „NIE“ mógłbym tworzyć koncern prasowy, kupować drukarnie, gazety, zostać magnatem prasowym.

Dla mnie ważniejsze i przyjemniejsze jest robienie „NIE“ niż urzędowanie na szczytach wieżowca i zarządzanie koncernem prasowym. Bodźcami dla ludzi do robienia wielkich pieniędzy jest chęć poszerzenia zakresu władzy i awansowania w hierarchii znaczenia. Moja pozycja nie zależy od tego czy posiadam jeden dobry tygodnik, czy pięć. Większy wpływ na moją pozycję społeczną ma popularność moich książek i artykułów, no i tygodnika „NIE“ - niż forsa. Nie mam bodźców, żeby się bogacić, bo dla mnie pieniądze to tylko konsumpcja.

Poza tym bardzo łatwo jest stracić pieniądze i być człowiekiem, którego nie stać w danym momencie nawet na kawę, bo kupił np. maszyny drukarskie. Mnie to nie interesuje.

Chcę żyć.

## **Ja i proces o pornografię**

**- Czy był pan przygotowany na procesy sądowe za publikacje zamieszczane w „NIE“?**

- Nie spodziewałem się procesu o rozpowszechnianie pornografii.

**- W jaki sposób redakcja zabezpiecza się przed procesami o zniesławienie?**

- Pierwszym stróżem prawa jestem ja. Znam się trochę na przepisach prawa prasowego, bo działałem w komisji tworzącej to prawo. Niektóre teksty oddaję do konsultacji prawnikowi.

**- Dużo tekstów odrzuca pan z obawy o przegrany proces?**

- Cenzuruję niektóre teksty wykreślając drażliwe fragmenty. Całych tekstów nie zdarzyło mi się odrzucić, jeden zatrzymałem czekając na specjalną okazję.

**- Czego dotyczył ten tekst i co pan najczęściej wykreśla?**

- Zatrzymany tekst przypominał koniec Republiki Weimarskiej, narodziny III Rzeszy. Autor opisał dochodzenie do władzy hitlerowców, walkę z parlamentem o przyznanie rządowi specjalnych pełnomocnictw i możliwości wydawania dekretów. Takie narodziny dyktatury.

Najczęściej z tekstów wykreślałem obelgi, naruszanie sacrum religijnego, nieudokumentowane zarzuty.

**- Czy geneza „Dziewczyny «NIE»», była taka jaką podał pan podczas procesu?**

- Tak. Wymyśliłem rodzaj dowcipnego plakatu mającego charakter protestu przeciwko ustawie antyaborcyjnej, oparty na popularnych w magazynach młodzieżowych zdjęciach nagich pań. Kupiliśmy kilka magazynów erotycznych i szukaliśmy tam zdjęcia ilustracyjnego. Wybraliśmy kochającą się parę z powszechnie dostępnego „Penthouse'a“.

**- Nie zdawał sobie pan sprawy, że może za to zostać oskarżony?**

- Sądziłem, że zdjęcie wraz z podpisem będzie szokujące i dlatego zdecydowaliśmy się umieścić je na ostatniej, a nie na pierwszej stronie. Przypomnę, że podpis głosił: „Dziewczyna «NIE». Cena: 18 lat alimentów, albo dwa lata więzienia“. To znaczy: nie ruszaj dziewczyny, bo jeśli zajdzie będziesz bulił lub siedział.

**- I jakie były reakcje?**

- Nie przypominam sobie żadnych wyrazistych reakcji. Dopiero pół roku później, kiedy ugruntowała się opinia, że pismo jest wpływowe i dolega władzy zostałem wezwany do prokuratury wojewódzkiej na przesłuchanie. Tam dowiedziałem się, że rozważane jest oskarżenie mnie o rozpowszechnianie pornografii. Odmówiłem zeznań korzystając z prawa jakie ma oskarżony. Chciałem wypowiadać się dopiero na procesie, który, jak sądziłem, będzie jawny.

**- Kogo radził się pan w czasie procesu?**

- Mojego obrońcy mecenasa Baworowskiego.

**- Zbierał pan informacje o swoim prokuratorze?**

- Zbierałem.

**- Można wiedzieć jakie pan uzyskał.**

- Nie można.

**- Proces od początku otoczony był aurą tajemnicy. Co jeszcze wiedział pan o jego przyszłym przebiegu?**

- Z miarodajnych pogłosek dowiedziałem się, że prokuratura rejonowa otrzymała polecenie wytoczenia mi sprawy i zrezygnowała. Umorzyła sprawę. Przejęła to prokuratura stołeczna. Po przesłuchaniu odbyłem prywatną rozmowę z ówczesnym prokuratorem wojewódzkim, który wyjaśniał intencje prokuratury. Twierdził, że pragną uzyskać od Sądu Najwyższego precyzyjną definicję, co to jest pornografia, bo potrzebny jest im casus sądowy, żeby wiedzieć co ścigać, a czego nie. Było to po słynnym liście Zastępcy Prokuratora Generalnego Aleksandra Herzoga nakazującym prokuratorom ściganie osób rozpowszechniających pornografię. Nie sądzę, aby najwłaściwszą formą szukania definicji pornografii było oskarżenie konkretnej osoby. Wolałbym, aby interpretacje Sądu Najwyższego najpierw definiowały zabroniony czyn, a dopiero potem prokuratura zaczynała za to ścigać. Po prostu państwo obowiązane jest precyzyjnie określać za co zamierza karać, aby mieć prawo karać. Nie powinno zaś karać po to, żeby mieć okazję do zastanowienia się co właściwie pragnie ścigać.

**- Wówczas, podobnie jak i teraz, na rynku prasowym roilo się od typowych pism erotycznych. Czy próbował pan stworzyć z ich redaktorami wspólny front obrony?**

179 - Myślę, że walcząc o uniewinnienie skutecznie je wszystkie chronilem przed poherzogowymi zamierzeniami prokuratury. Uważałem jednak, że intencje oskarżających są polityczne, dlatego tworzenie wspólnego frontu pisma politycznego z erotycznymi byłoby bezsensowne i niemile widziane przez żurnale gołych pup. Od pewnego czasu prokuratura szukała pretekstu do oskarżenia mnie. Badano zasady wynajmowania lokalu przez redakcję. Po zakończeniu procesu przesłuchiowano mnie w związku z oskarżeniami o obrazę uczuć religijnych.

**- Skąd wiedział pan o takich działaniach prokuratury?**

- Z pogłosek i z przesłuchań też. Prokuratura nie jest instytucją hermetyczną.

**- Jak zareagowała prasa na proces?**

- Spotkałem się z niezwykle solidarnością prasy. Tygodnik „Agora“ przedrukował oskarżoną o pornografię kompozycję fotograficzną wołając: „Nas też wsadzajcie!“ W raczej nieprzyjaznym mi „Życiu Warszawy“ ukazała się wypowiedź przedstawiciela Komitetu Helsińskiego zwracająca uwagę na być może zbyt polityczny dobór pierwszego sądownego

gorszyciela. Sugerowano, iż proces może być przykładem nierówności wobec prawa. Także „Życie Warszawy“, a nawet organ ministra sprawiedliwości, „Wokanda“, zaatakowały niejawną proces. W większości gazet dominował pogląd, że proces jest represją polityczną wobec opozycyjnej redakcji.

Oskarżenie spowodowało wzmożone zainteresowanie moją osobą w prasie zagranicznej. W wielu czasopismach ukazywały się moje sylwetki wedle schematu: rzecznik ekipy Jaruzelskiego jest prześladowany pod pretekstem upowszechniania pornografii, bo redaguje odważne i zyskowne pismo. Wszystkie agencje prasowe, które mają swoje oddziały w Warszawie nadawały obfite korespondencje. Poza TASS'em.

**- Dlaczego?**

- Bo tam, paradoksalnie, oskarżenie o szerzenie pornografii mogło być zrozumiałe i akceptowane. Wtedy w ZSRR też był sezon polowań na pornografię. A ponieważ oni patrzyli z politycznej strony na nasze pismo przychylnie, pewnie zbyt obfite informacje mogły zburzyć im ład informacyjny, bo pismo nie może być - wedle tamtejszych zasad - od strony politycznej dobre, a od obyczajowej złe. Wszystko musi być czarne albo białe.

**- Jak zareagował pan na utajnienie procesu?**

- Dowiedziałem się o takich planach na kilka dni przed rozprawą. Przeciek pochodził z Ministerstwa. Uznałem, że niezawisłość sądu jest iluzoryczna. O ile prokuratura jest podporządkowana ministrowi sprawiedliwości i realizuje jego polecenia, o tyle wobec sądów ministerstwo jest tylko administratorem, nie władzą w zakresie decyzji sądu. Tymczasem sąd uległ widać naciskom. Dowiedziałem się też z pogłosek, że prokuraturze zostało wydane na piśmie polecenie, aby podczas procesu zażądać skazania mnie na rok więzienia, ale w zawieszeniu, i pięćdziesiąt milionów grzywny.

**- Ale prokurator nie wykonał tego polecenia.**

- Wycofał się, bo prokuratura uznała, iż nie ma szans na wyrok skazujący w świetle co najmniej nikłego materiału podpierającego oskarżenie.

**- Nie bał się pan kapturowego sądu?**

- Od początku moje skazanie nie było możliwe. Byłem tego pewien po zapoznaniu się z ekspertyzami powołanych przez prokuratora biegłych. Twierdzili oni co prawda, że zamieszczona kompozycja jest „pornografią“, ale zupełnie nieszkodliwą. A przecież szkodliwość jest nieodłącznym elementem przestępstwa, bez szkodliwości nie można mówić o przestępstwie. Przyjmując najbardziej pesymistyczne rozwiązanie - mógłbym zostać skazany na zapłacenie grzywny, co byłoby niewspółmierne wobec reklamy jaką zyskało pismo. Po skazaniu odwołałbym się do wyższej instancji i tak reklama pisma trwałaby długo.

**- W czasie rozprawy sądowej dwaj powołani przez pana biegli: Krzysztof Teodor Teoplitz i Zygmunt Kałużyński wykluczali przestępczy charakter czynu. Dwaj biegli powołani przez prokuraturę: Zbigniew Lew Starowicz i Jacek Hołowko zajęli bardziej liberalne stanowisko niż w przedstawionych wcześniej sądowi ekspertyzach.**

- Pewnie zadziałały naciski środowisk naukowych i intelektualnych. Zmiana na moją korzyść wynikała także ze sprzeczności wewnętrznych w ich ekspertyzach, które to obnażone zostały poprzez pytania bardzo wnikliwego sądu i znakomitej obrony mec. Baworowskiego.

Biegli twierdzili, że co prawda zdjęcie jest pornograficzne, bo może wywołać podniecenie seksualne, ale nie jest szkodliwe, bo zalicza się do łagodnej pornografii. Ta czasami nawet jest pożyteczna. Z drugiej strony liczy się intencja publikacji. Tu intencją nie było podniecenie seksualne Czytelników, lecz protest polityczny, zatem nie było mowy o pornografii. Biegły Hołowko w końcu stwierdził, że samo zdjęcie jest pornograficzne, ale razem z napisem już nie. Tych wątpliwości od razu starczało, żeby mnie nie sądzić. Wątpliwości trzeba interpretować na korzyść oskarżonego.

**- Czy proces spowodował u pana szczególne zainteresowanie pornografią?**

- Studiów nie przeprowadzałem. W oparciu o ekspertyzy biegłych napisałem ilustrowany tekst „Lekcja pornografii“, zamieszczony w „NIE“, wyjaśniający jakie są definicje tego zjawiska i wyśmiewający się ze scholastyki pojęciowej.

**- Jak określiłby pan w trzech słowach ten słynny proces?**

- Kapturowy, bezcelowy, erudycyjny. A także bardzo śmieszny. Ośmieszyła się prokuratura, bo wniosła oskarżenie i przygotowała kompromitujący ją materiał dowodowy. Następnie odbyło się posiedzenie sądu rejonowego, bez udziału mojego i obrońcy, podczas którego prokuratura wniosła o warunkowe umorzenie sprawy. To było bezsensowne działanie, bo prokuratura może umorzyć śledztwo bez chodzenia do sądu. Odwołałem się do sądu wojewódzkiego od tego warunkowego umorzenia, bo uznałem, że nie dokonałem żadnego przestępstwa i chcę być uniewinniony. Zapadła decyzja o postępowaniu sądowym. W trakcie niejawnego przewodu sądowego, prokurator wycofał się z oskarżenia, co zdarza się niezwykle rzadko, ale rozumiem jego intencje - rozprawa stała się grą do jednej bramki. Ja z oskarżonego zmieniłem się w oskarżyciela i uzyskałem szalony rozgłos. Na pierwsze posiedzenie sądu przyszło ponad stu dziennikarzy. Decyzja sądu o wyłączeniu jawności rozprawy rozwścieczyła ich. Potem z zamkniętego dla prasy procesu ukazywały się całe strony relacji o tym, co działo się na korytarzu.

**- Spodziewa się pan następnych procesów?**

- Moi przeciwnicy widzą, że niełatwo jest mnie skazać. Proces sądowy nie jest bolesną represją polityczną. Zwiększa popularność pisma i sympatię obywateli. Z drugiej strony nie sądzę, żeby moim przeciwnikom nie zależało na dobraniu się do skóry bezczelnemu pismu.

**- Pozostają „nieznani sprawcy“ albo spontaniczny „gniew ludu“?**

- Boję się „gniewu ludu“ i „nieznanych“, łamiących mi kości, sprawców. Nie mam szczególnego zaufania do morale obecnych władz, ale nie mam też podstaw do twierdzenia, że zdolne są wzbudzić gniew nieznanych sprawców. Na razie żaden z jej przeciwników nie miał takich przygód.

**- A naciski, szantaże, groźby?**

- Dwa razy usiłowali się włamać do redakcji nieznani sprawcy. Od czasu kiedy lokal chroniony jest przez całą dobę napady ustały. Raz jeden nawiedziła nas policja pytając o zmarłego bohatera jednego z naszych reportaży. Myśleliśmy, że to mistyfikacja potrzebna po to, żeby dostać się do środka, ale to była prawdziwa policja pozbawiona politycznych intencji.

**- *Chodzi za panem ochrona osobista. To obawa o zdrowie, element auto-kreacji, czy kolejna prowokacja wobec otoczenia?***

- Wynająłem ochronę po drugiej próbie włamania do redakcji. O jej sposobie i zakresie działania nie chcę mówić, aby nie ułatwić pracy tym, którzy chcieliby dobrać się do mnie. Jestem strasznym tchórzem.

**- *Uważa się pan za osobę bezkarną?***

- Nie czuję się bezkarny. Dopóki pan prezydent nie podporządkuje sobie i swoim interesom politycznym całego aparatu państwowego, do czego zmierza, dopóty trudno jest prawnymi środkami utrudnić życie tygodnikowi „NIE“. Pismo jest ekonomicznie niezależne. Nie mam wspólników, którzy wpływaliby mitygująco na to co piszemy. Nie można mnie położyć odmawiając mi kredytów bankowych, bo o nie nie proszę. Finansowa prosperity tego tygodnika jest warunkiem jego niezależności. Gdybyśmy zaczęli zalegać z opłatami w drukarni, albo szukać wsparcia kapitałowego wówczas rozpoczęłyby się naciski na pismo, sugestie zmiany jego linii, lub wręcz spowodowano by środkami ekonomicznymi likwidację.

**- *Pański proces o pornografię był niejawnym. Czy wolno panu zdradzać jego szczegóły?***

- Pewnie nie wolno, ale zdradzam. Nie sądzę żeby prokuratura po tych doświadczeniach miała ochotę wytaczać mi proces o ujawnianie szczegółów z niejawnego procesu, podczas którego naprawdę nie było żadnych tajemnic, ani też nie mówiono niczego nieprzyzwoitego. Jedyne co na procesie było nieprzyzwoite to moja obleśna mordą.

## Ja i Żydzi

**- W czasie naszej pierwszej rozmowy pytany o narodowość zawahał się pan przez chwilę. Co pan czuje słysząc „Urban-Żyd“?**

- Nie wahałem się pytany o narodowość, ale nigdy też nie czułem się urażony, kiedy mówiono „Urban-Żyd“. Nigdy mnie to nie bolało, ani niepokoiło. Nie miałem kompleksów na tle pochodzenia, ani kłopotów z tego powodu.

**- Nawet w czasie okupacji hitlerowskiej?**

- W czasie wojny takie pochodzenie powodowało śmierć, ale wówczas byłem za mały, żeby się lękać. Śmierć pozostawała poza moją wyobraźnią. Dzieci mają poczucie pewności życia, z którego trudno je wytrącić. Mnie postawiono pod ścianą i nie przestraszyłem się. (Zrobiła to niemiecka żandarmeria wojskowa udająca, że chce rozstrzelać mieszkańców schronu, którzy się tam ukryli zamiast - jak kazały władze - ewakuować się z Tarnopola.) Jedyne lęk o życie jaki pamiętam z dzieciństwa wywołany był topieniem się. Wtedy wyobraźnia zaczęła pracować i przez moment poczułem, że mogę umrzeć.

**- Czy w pańskim domu kultywowano tradycje żydowskie?**

- O ile mi wiadomo już pradiadkowie, czyli ludzie żyjący głęboko w XIX wieku, byli ateistami i inteligentami. Dziadkowie nie posługiwali się językiem jidisz i nie kultywowali żydowskich tradycji: świąt, sobotnich kolacji. Moi rodzice urodzeni na przełomie wieków w ogóle żydowskiego nie znali. Wujek ojca był naczelnym lekarzem w Łodzi. W domach moich dziadków, które pamiętam, mówiono wyłącznie po polsku, ale kiedy rodzice mojej matki kłócili się, to przechodzili na rosyjski, bo babka była Żydówką wasymilowaną w rosyjską inteligencję. Biuro w fabryce dziadka pracowało w języku niemieckim - taka była specyfika Łodzi, gdzie językiem gospodarczym był niemiecki. Mam więc kosmopolityczne korzenie, jakby to określili ludzie marca 1968 roku.

Natomiast dom moich rodziców różnił się znacznie od innych aryjskich, inteligenckich domów polskich.

**- Na czym polegały te różnice?**

- Nie istniały żadne tradycje polskokatolickie. Nie obchodziliśmy świąt Bożego Narodzenia, czy Wielkiej Nocy nawet w ich czysto obyczajowym wymiarze - nie było choinki, wigilii, stosownych dla tych świąt dań.

Nie stykałem się z kultem polskiej historii, patriotycznych uniesień i ekliwosći. Nie wyrastałem w klimacie ojczyźnianym, ani w domu z pamiątkami po powstaniach narodowych, które były tak charakterystyczne dla przedwojennej inteligencji polskiej. Był to dom na wskroś kosmopolityczny. A jeśli kogoś razi to określenie, można powiedzieć, używając dzisiejszego języka, że był to dom „europejski“. Inteligencja żydowskiego pochodzenia była mobilna. Nie tylko dużo podróżowała, ale w międzywojennej Europie

wszędzie czuła się jak u siebie i łatwo osiadała na Zachodzie. Znajomi i przyjaciele rodziców rozlokowani byli w Londynie, Paryżu, Ameryce. Londyński krewny czy przyjaciel domu był nam bliższy niż inteligenci polscy nieżydowskiego pochodzenia.

Rodzice żyli głównie w kręgu ludzi podobnych do nich - Żydów oderwanych od żydostwa, będących polskimi inteligentami. Stosunki towarzyskie z rdzennymi Polakami były rzadsze i miały posmak egzotyczny. Zawsze to byli ludzie „nie-swoi“. Wobec tego moi rodzice żyli, z czego nie zawsze zdawali sobie sprawę, w świecie ciasnym, choć pod wieloma względami szerszym, bo bardziej otwartym właśnie na świat. Kiedy ten ich odrębny światek zasymilowanych do polskości Żydów - inteligentów Łodzi, został w czasie wojny zabity, zniszczony przez Hitlera, rodzice mieli poczucie, że muszą się urządzać na nowo w innym niż własny świecie. Oznaczało to m.in. towarzyskie przeniesienie się w polskość, bo więzi z niedobitkami ich świata okazały się niewystarczające.

Ojciec, jak już opowiadałem, redagował polski dziennik - „Głos Poranny“, zbliżony do PPS-u. Miał 1/4 udziałów i był jego redaktorem naczelnym. Z tego powodu żył także życiem politycznym i społecznym polskiej Łodzi i państwa polskiego, co było wyjątkiem w jego kręgu towarzyskim, raczej obojętnym wobec problemów wewnątrzpolskich.

**- *Jaki klimat polityczny panował w pana domu rodzinnym?***

- Liberalny, nowoczesny, postępowy. Można doszukać się odniesień do skarykaturyzowanych w „Ferdydurce“ Gombrowicza Młodziaków. Było to środowisko bliskie „Skamandrowi“, czytelnikom „Wiadomości Literackich“. Zresztą Tuwim był przyjacielem ojca.

Przed wojną nie miałem świadomości swego żydowskiego pochodzenia. Natomiast wiedziałem, że u mnie jest inaczej niż w innych domach. Objawiało się to w czasie świąt Bożego Narodzenia, Wielkanocy. W domu byłem chroniony przed wpływami katolickimi. Służącą była żona komunisty odsiadującego wyrok, co dawało gwarancję, że nie będzie nawracała dziecka. Pamiętam taką dziewczynę, moją opiekunkę, tzw. pannę do dziecka, która próbowała mi robić święta, ubierała choinkę. Było to kwaśno przyjmowane przez rodziców.

O swej odmienności dowiedziałem się kiedy Niemcy weszli do Łodzi. Wyrzucono nas z mieszkania, musieliśmy nosić gwiazdę na ubraniach. Po dwóch miesiącach uciekliśmy do radzieckiego od niedawna Lwowa, nielegalnie przekraczając granicę.

**- *Kiedy następny raz zetknął się pan z katolicyzmem?***

- Po napadzie Niemiec na ZSRR i zajęciu przez Hitlera Podola mieszkaliśmy w dużej wsi Budzanów w powiecie Trembowla w woj. tarnopolskim. Ukrywaliśmy się na aryjskich papierach i razem z matką chodziłem do kościoła. Ojciec nie chodził.

**- *Przecież łatwo mógł być rozpoznany.***

- Nie potrafił przemóc się. Pomimo płaczów i rozpaczki matki, pomimo, że przez całe życie był człowiekiem bojaźliwym i miękkim. Ale jego upór wyszedł nam na dobre. Wtedy nie mieściło się ludziom w głowie, żeby ukrywający się na aryjskich papierach Żydzi nie chodzili do kościoła, nie demonstrowali ostentacyjnie katolickiej gorliwości. Niechodzenie do kościoła paradoksalnie zaświadczało o braku żydowskiej skazy. Tamtejsze środowisko



zastanawiając się kim są naprawdę ci „inteligenci z Warszawy“, bo za takich podawaliśmy się, przypuszczało, że ojciec był sanacyjnym dygnitarzem, który przycupnął na wsi, żeby uniknąć prześladowań.

Kościół w tej wsi był jedynym miejscem ozdobnym, msze jedynymi spektaklami. Bardzo pilnie słuchałem nauk religijnych. Wierzyłem, wątpiłem, ale zawsze miałem poczucie, że uczestniczę w tym jako tymczasowy przebieraniec, że kościół to składnik przejściowego, wojennego naszego kamuflażu. Kiedy Hitlera się przepędzi nie będę już chodził do kościoła, spotykał się z księdzem, a prawdy wiary katolickiej automatycznie tracą dla mnie prawomocność. I rzeczywiście, kiedy okupacja skończyła się nie miałem żadnych rozterek, żadne „niebo nie stanęło mi w płomieniach“. Niewiara stała się od razu czymś tak naturalnym jak powrót z prowincjonalnej wsi do świata cywilizowanego, gdzie potrzeby fizjologiczne załatwia się dzięki skanalizowanym urządzeniom, słucha się radia i jeździ samochodem.

**- Czy miał pan kiedyś później ochotę wejść do kościoła i pomodlić się?**

- Nigdy potem nie modliłem się i nie uczestniczyłem w nabożeństwie. Zwiedzałem kościoły w Polsce i na świecie już tylko jako turysta.

**- W środowiskach żydowskich można spotkać żal do Polaków, że w czasie okupacji biernie przyglądali się zagładzie Żydów. Uważa pan to za uzasadnione?**

- Opowiem panom najpierw jedno moje wspomnienie. Po wojnie ludzie z Budzanowa przenieśli się na ziemie zachodnie. Kiedy dowiedzieli się, że powodem naszego ukrywania się było żydowskie pochodzenie stworzyli legendę o przechowywaniu nas i uchronieniu od śmierci. Nawet różni „dobroczyńcy“ zgłaszali się do nas z prośbą o rewanż. Kiedy czegoś nie załatwiliśmy oburzano się - przecież oni uchronili nas od śmierci! To świadczyło nie tylko o przenoszeniu wstecz ich powojennej wiedzy. Oni uważali, że sam fakt, iż wiedzieli lub podejrzewali, lub powinni byli podejrzewać, nasze żydowskie pochodzenie, a nie wydali nas, można traktować jako uratowanie życia Żydom. Nieporozumienia moralne jak panowie widzą, związane z holocaustem sięgają bardzo głęboko.

W czasie okupacji, jak wspomniałem, nie czułem zagrożenia, ale widziałem wywózkę Żydów z Budzanowa. Pamiętam opuszczone domy, rozkradzione mienie, walające się przedmioty kultu religijnego, którymi my - dzieci z Budzanowa - bawiliśmy się. Pamiętam podróż do Trembowli. Nocowaliśmy u jakiejś kobiety. Tego dnia Niemcy „polowali“ na Żydów. W tym domu, gdzie nocowaliśmy, schroniła się młoda, żydowska dziewczyna. Pamiętam jej strach i to, jak pięknie śpiewała, Ucząc, że dzięki śpiewowi jak najpóźniej ją wyproszą z bezpiecznego azylu. Po wyjściu z tego domu została zabita. Usiłowała zmylić SS-mańskie psy stojąc po szyję w gnojówce. Ta gnojówka podziałała silnie na moją wyobraźnię.

Ocieralem się o holocaust, ale byłem po drugiej stronie. Wychowywałem się w aryjskim otoczeniu, miałem poczucie, że to ich zabijają. A oni są inni, gorsi, obcy. Kuroń pisze w książce „Wiara i wina“, że społeczeństwo polskie musiało wykształcić w sobie poczucie obcości wobec Żydów. Musiało mieć taki stosunek, jak do zabijania Wietnamczyków w czasie ostatniej wojny wietnamsko-amerykańskiej. Inaczej zagłada polskich Żydów byłaby nie do wytrzymania dla Polaków. Ma rację. Polacy boleli nad tym, ale było to mniej ważne i dotkliwe niż nieszczęścia dotykające „swoich“. Ta zagłada dotyczyła ludzi obcych, o innych obyczajach. Takie poczucie dystansują też miałem. Było ono tym łatwiejsze, że my, tam na

Podolu, bardzo różniliśmy się od miejscowych Żydów. Oni wyglądali inaczej, ubierali się odmiennie, mówili niezrozumiałym dla nas językiem. O wiele silniej holocaust odczuli moi rodzice po powrocie do Łodzi, kiedy zamiast swojego świata dojrzeli pustkę. Aleja wówczas miałem 11 lat i mój świat dopiero powstawał.

**- *Był pan dziennikarzem już od początku lat 50. Wówczas w środowisku dziennikarskim, w aparacie partyjnym, w bezpieczeństwie, roilo się od osób żydowskiego pochodzenia. Czy odczuł pan wtedy niechęć do Żydów?***

- Nie. Obracałem się w środowisku dość elitarnym - gdzie takich niechęci nie wyrażano. W tej epoce jeśli takie niechęci istniały były tłumione jako głęboko niestosowne. Mogły też wywołać silne represje.

**- *A miał pan jakieś przywileje związane z pochodzeniem?***

- Ależ skąd! Żadnych. Jedyne czym mogłem się różnić, to większy zakres swobody w robieniu sobie dowcipów z Żydów. Wówczas dużą rolę w prasie odgrywały „ciotki rewolucji“, damy żydowskiego pochodzenia, rozkapryszone, zachowujące się jak właścicielki Polski. Jeśli moi koledzy mówili np. o Sarnie Obozowicz, siostrze Józefa Światły, czy Irenie Plamerowej, powiedzmy: „ego-centryczki“ czy „ciotki rewolucji“, to ja mogłem sobie pozwolić na epitet w rodzaju „rozkapryszona Żydówka“, bez oskarżenia o antysemityzm. Poza tym nie ciążył na mnie polski nacjonalizm, co ułatwiało debiutowanie w prasie okresu stalinowskiego.

**- *Czy wiedział pan o „mordzie kieleckim“? Jak zareagował pan na to wydarzenie?***

- Wiedziałem o nim, bo w tym czasie już czytałem gazety, ale nie przypominam sobie poszczególnych przeżyć. Później dowiedziałem się, że rodzice rozważali w tym czasie możliwość emigracji, nawet szybko sprzedali majątek ziemski pozostawiony przez dziadka. Wyjechała wówczas siostra matki. Wśród żydowskich niedobitków z pokolenia moich rodziców po Kielcach zapanowało przerażenie. Nie były to moje przeżycia. Chodziłem wtedy do szkoły, w klasie było sporo Żydów, ale wszelkie klasowe podziały przebiegały wedle innych kryteriów.

**- *Kiedy po raz pierwszy odczuł pan antysemityzm?***

- Nigdy na własnej, grubej co prawda skórze, nie odczułem antysemityzmu, co nie znaczy, że nie spotkałem się z tym zjawiskiem. Spotkałem się z antysemityzmem jako jednym z problemów ideowych, politycznych w czasach „Po prostu“ w 1957 roku. Wzrost swobody wypowiedzi sprawił, że mogły się ujawnić antysemickie interpretacje najnowszej historii: że oto nasłana z Moskwy żydowska ekipa wprowadziła stalinizm i mordowała patriotów polskich. W „Po prostu“ chyba w najpoważniejszy po wojnie sposób podjęliśmy ten temat drukując tezy o antysemityzmie Leszka Kołakowskiego.

Potem antysemityzm obecny był w wypowiedziach grupy natolińskiej w PZPR, z którą walczyliśmy przed i po Październiku 57. Czyli był on jakby na swoim miejscu - w obozie wroga. Nawet protestowałem na wiecu zorganizowanym przez Uniwersytet Jagielloński przeciwko mianowaniu wicepremierem Zenona Nowaka uważanego za filar frakcji natolińskiej i oskarżonego o antysemickie przemówienie. Ale potem wszystko się skomplikowało. W 1956 roku pojechałem jako dziennikarz do Izraela, gdzie zetknąłem się z

silnymi nastrojami antypolskimi, silnym szowinizmem żydowskim, spotęgowanym nastrojami wojennymi. Byłem tam w czasie wojny synajskiej. Zobaczyłem więc fobie ideowo bratnie antysemityzmowi i żywiące go. Kiedy napisałem o izraelskim szowinizmie reportaż, w warszawskich salonach uznano je za wspomagające nastroje antysemityczne. Zostałem zaproszony do znanego, politycznego salonu państwa Duraczów. Jerzy Duracz był synem przedwojennego adwokata, obrońcy działaczy socjalistycznych i komunistycznych podczas procesów sądowych. Tam zostałem napomniany. A Wydawnictwo „Iskry“ zerwało ze mną umowę zawartą na książkę o wojnie izraelsko-arabskiej.

**- Jednak „nafia żydowska“ zareagowała? Czy były inne konsekwencje?**

- Jedyne odwołanie tego wydarzenia miałem w latach 70., gdy wezwano mnie przed komisję dyscyplinarną w KC i przesłuchiowano w sprawie karygodnych felietonów w „Szpilkach“. Opowiadałem o tym w rozdziale „Ja i wydział Prasy KC“.

W kwestii antysemityzmu odezwałem się w 1968 roku artykułem w „Polityce“ pt. „Rodzaj rasizmu“, w którym wracałem do moich doświadczeń izraelskich. Kończyłem pointą, że erupcja nacjonalizmu, szowinizmu, ksenofobii jest największym nieszczęściem jakie może dotknąć każdy naród. To kierowało moją konkluzję przeciwko ówczesnemu antysemityzmowi. Chodziło też o zracjonalizowanie pojęcia syjonizmu i wyjaśnienie, że to doktryna właściwie obojętna wobec innych państw niż państwo Izrael, a zatem nie wpływająca na wewnętrzne sprawy polskie. Analizowałem także na ile żydowskie pochodzenie różni od ludzi innego pochodzenia. Uważałem, że ma ono wpływ na mentalność, ale kształtuje człowieka w sposób pośredni, uzupełniający, niepierwszoplanowy.

Kilkanaście lat później, w latach 80., Kisiel napisał o mnie jako o konformiście, człowieku skłonny do bycia uległym wobec każdej władzy. Pisał, że gdyby władza nie była komunistyczna, lecz katolicka, to ja stale klęczałbym w kościele. Z czasem okazało się, że Kisiel się mylił. Władzę katolicką mamy, a ja w kościele nie klęczę. Odpowiedziałem wtedy listem wydrukowanym w „Tygodniku Powszechnym“, zatykającym mu gębę, że do kościoła chodziłem jedynie pod przymusem, kiedy miałem do wyboru: śmierć, albo klęczenie w kościele. I chociaż nie była to wina kościoła, pobyt w nim nie budzi we mnie przyjemnych skojarzeń.

**- Pana antysemityzm nie dotyka. Ale czy nie przyzna pan przynajmniej odrobiny racji ludziom, którzy uważają, że Żydzi odgrywali i odgrywają za dużą rolę w politycznym życiu Polski?**

- W Polsce powojennej do 1955 roku władza opierała się na elicie, kategorii „komunistów najwyższego zaufania“, kadrowych. Takich, którzy uważali komunizm za doktrynę uniwersalną i ponadnarodową, a Polskę za pole działania, które zostało im wyznaczone przez Centrum Rewolucji. Mógł to być także inny kraj i w przeszłości bywała to Hiszpania, Francja, Niemcy czy Ukraina. Wielu z nich działało przedtem w innych krajach i mogli traktować z początku Polskę podobnie jak dyplomata placówkę dyplomatyczną. Prawdą jest, że wśród ludzi o orientacji „kominternowskiej“ znaczny był odsetek Żydów, co łatwo historycznie wytłumaczyć. Także do walki z podziemiem AK-owskim, z „objawami polskiego nacjonalizmu“, jak wówczas mówiono, a dziś mówi się „środowiskami niepodległościowymi“, najchętniej używano naturalnych przeciwników - rycerzy idei ponadnarodowych.

Ale nawet w latach czystego stalinizmu przysyłana do Polski ekipa szybko reorientowała się i identyfikowała, w mniejszym lub większym stopniu, z interesem narodowym. Tak jak niemiecka dynastia panująca w Anglii z biegiem czasu zaczynała wyrażać interesy Brytyjczyków. Władza nad czymś identyfikuje z tym czymś.

Te fakty nie uzasadniają antysemityzmu. Nie tylko dlatego, że odpowiedzialność za poczynania grupy politycznej nie może być przenoszona na grupę etniczną. Trzeba pamiętać, że ci działacze żydowskiego pochodzenia reprezentowali międzynarodowy zakon komunistów, a nie światową mafię żydowską. Nie rządili w imieniu żydostwa, lecz kierowali się ideologią marksistowsko-leninowską.

***- Dla rasowego narodowca to wszystko jedno. Żydowski spisek czy wyrosły na żydowskich korzeniach marksizm. Jak pan przeżył marzec'68?***

- Dałem się przestraszyć. Pracowałem w „Życiu Gospodarczym“ i mojego przyjaciela Andrzeja Berkowicza zatrzymano w bramie wpytując o mój adres. Faceci przedstawili się jako Służba Bezpieczeństwa. Co prawda mój adres był w książce telefonicznej, i gdybym pomyślał spokojnie uznałbym to za zwykłe straszenie, ale w ówczesnym nastroju lękałem się, że mogą nastąpić masowe aresztowania Żydów jak leci. Spakowałem się i zviałem do Kudowy. Chciałem być blisko granicy czeskiej, bo w Czechosłowacji była wówczas „praska wiosna“, panowały liberalne nastroje. Zamierzałem zamelinować się w górach, ale potem nie bardzo chciało mi się mieszkać w chłopskiej chałupie i stanąłem w hotelu miejskim, co przekreśliło wszelką konspirację. Przez parę tygodni balowałem z poznaną tam fryzjerką z Katowic, a kiedy Gomułka wygłosił przemówienie wskazujące, że odzyskuje kontrolę nad sytuacją wróciłem do Warszawy. Pamiętam, że wielu kolegów np. z „Polityki“, żyło w strachu. Ja zaś po tej wyprawie nabrałem dystansu i uznałem wydarzenia marcowe za przemijające. Nie traktowałem ich jak końca świata, lecz walkę części aparatu pragnącego obalić lub ubezwłasnowolnić Gomułkę, zmienić garnitur władzy. Uważam, że działacze komunistyczni żydowskiego pochodzenia, którzy w 1968 roku opuścili Polskę, przekreślili całą swą wiarygodność wstecz jako polskich polityków. Polska, gdzie tracili przynależność do elity przestawała być ojczyzną.

***- Nie myślał pan o emigracji?***

- Oszaleli panowie! Nigdy w życiu o tym nie myślałem. Ja za granicą nie czuję się człowiekiem. Nie znam żadnego języka, spadam więc do roli takiego stworzenia jak mój pies, bo nie mogę się odezwać. On chociaż może szczeleć. Polszczyzna-ojczyzna to dla mnie, niestety, coś bardzo dosłownego. Polszczyzna jest moim więzieniem.

W 1968 roku ciągle jeździłem na Dworzec Gdański żegnać udających się na emigrację przyjaciół. Wtedy wyjechał przyjaciel z dzieciństwa Berkowicz, żegnałem Meretików (tego Meretika od „Nocy generała“).

***- Czy po marcu '68 odczuwał pan inne fale antysemityzmu?***

- Proszę panów, ja zawsze pełniłem jakąś rolę polityczną i np. otrzymywanie listów typu „ty parszywy Żydzie - my się z tobą policzymy“, nie zaliczam do objawów antysemityzmu. Natomiast np. w „Polityce“ moja formalna rola w strukturze redakcji nie mogła być wyższa niż kierownik działu. Wyższe szczeble w redakcyjnej hierarchii były w nomenklaturze

Wydziału Prasy KC PZPR. A ja miałem dwie skazy: bezpartyjny i Żyd. Człowiek z jedną z tych skaz mógł zostać np. zastępcą naczelnego, ale z dwiema naraz już nie.

Oczywiście nie traktowałem tego jako dolegliwości. Nie miałem ambicji awansu funkcyjnego. To były poza tym kryteria świata zewnętrznego, obcego, nie traktowane serio przez Rakowskiego i kolegów.

***- A jak traktowali pana filosemici?***

- Jako Żyda, który nie uważa się za Żyda. Z pewną niechęcią. Myślę o nielicznych sztandarowych semitach, nie o filosemitach skupionych np. w „Tygodniku Powszechnym“. Oni mieli bardziej rozbudowane powody niechęci do mnie.

***- Był pan eksponowanym politykiem w latach 80. Jak traktowały pana zagraniczne organizacje żydowskie?***

- Tak jak kazałem się traktować, czyli jak normalnego Polaka, przedstawiciela Polski. Nie zajmowałem się negocjacjami z tymi środowiskami. Parę razy spotkałem się z nimi przy różnych okazjach. Pamiętam, że tylko raz, w 1981 roku, przyjąłem kierownictwo Związku Wyznania Mojżeszowego i namawiałem do protestu wobec antysemitkiej wypowiedzi Jurczyka ze szczecińskiej „Solidarności“. Ale występowałem jako rzecznik rządu, niejako „swojak“.

W prasie zachodniej często eksponowano obok mojej bezpartyjności także żydowskie pochodzenie. Oba jako wybryki natury.

Aleja mam tyle innych wyrazistych cech budzących niechęć lub afirmację, że czynnik pochodzenia nie odgrywa roli. Poza tym nie mam wrażliwej skóry. Nie zwracam uwagi na ataki i zaczepki jak ludzie o urazie żydowskim. Jestem tolerancyjny wobec antysemityzmu.

Teraz pojawił się u mnie w domu i wtedy uświadomiłem sobie, że on może być uprawniony, że miewa silne uzasadnienie. Moja gojowska żona pojechała na trzy dni służbowo do Tel-Awiwu i oznajmiła, że wróciła jako antysemitka. „A co Tobie zrobili ci biedni Żydzi?“. „Byłam tam u fryzjera i popatrz jak mnie taki Żyd obsmoczył!“ „Sto razy łeb Ci partolił polski fryzjer - odparłem urażony - i w niczym to nie stąpiło Twojego strzelistego patriotyzmu“. „Kretyn jesteś parchu - ryknęła żona - nigdy w życiu żaden Polak aż tak nie spieprzył mi głowy!“

## **Ja i kościół**

### ***- Czy ma pan alergię na Kościół?***

- Mam lekką alergię. Muszę samokrytycznie powiedzieć, że nie rozumiem dwóch fenomenów współczesności, mianowicie religii i sportu. Uważam, że religia jest fałszem stworzonym przez ludzki umysł w bardzo dawnych czasach i nie powinna przystawać do współczesnej umysłowości.

### ***- Ale przystaje...***

- Człowiek uformowany przez dzisiejszą cywilizację, moim zdaniem, nie powinien przyjmować religii, ale znaczna część ludzi w jakimś sensie religię wyznaje. Tego właśnie nie rozumiem.

### ***- Dlaczego nie rozumie pan sportu? Z tych samych powodów?***

- Nie rozumiem, jak rozsądni ludzie mogą uważać za rzecz ważną to, czy ktoś biega trochę szybciej albo skacze trochę wyżej. Przecież z tego nic, ale to zupełnie nic, nie wynika.

### ***- A rozumie pan totalizator sportowy?***

- Rozumiem jako upośledzenie umysłowe, niedowład wyobraźni w zakresie rachunku prawdopodobieństwa. Zamiast grać w totolotka z nadzieją na wielką wygraną, z taką samą skutecznością można chodzić ze spuszczoną głową i wypatrywać brylantu na chodniku.

### ***- Nie mówimy o totolotku, tylko o totalizatorze sportowym, w którym obstawia się rezultaty np. meczów piłkarskich.***

- Nie wiedziałem nawet o istnieniu czegoś takiego, jak ten totalizator.

### ***- Z nim jest tak jak z zakładami na wyścigach konnych...***

- Wyścigi konne to gra o pieniądze, która jest całkowicie racjonalna. Nie ma powodu, żeby komuś było obojętne, czy wygra na wyścigach czy przegra. Powinno być natomiast obojętne, czy jakiś człowiek w innym mieście czy kraju kopnie piłkę w to lub tamto miejsce.

### ***- Zarówno czynne uprawianie sportu, jak i kibicowanie mają swoje uzasadnienie w teoriach socjologicznych i psychologicznych o zagospodarowaniu czasu wolnego.***

- Wiem. Znam. Sam nie mam problemu z zagospodarowaniem czasu wolnego. Zawsze się poważnie waham, co zrobić, żeby nie zmarnować kawałka czasu wolnego. A wcześniej kombinuję, jak wszystko urządzić, żeby go mieć.

### ***- Kościół oprócz religii opiera się również na jakiejś ideologii, na jakichś poglądach politycznych. Czy tego pan również nie rozumie?***

- Kościół ma różne i zmienne ideologie polityczne. Ja nie rozumiem zjawiska wiary religijnej - tego ważnego fenomenu ludzkości. To jest moje upośledzenie intelektualne. Uznaję religię za fałsz, bo jestem przekonany, że nie ma żadnej pozaprzyrodniczej siły sprawczej. A skoro religie są fałszywe, to wszystko, co się z nich wywodzi, łącznie z doktrynami społecznymi, ideologiami itd. również jest fałszywe, bo ma za podstawę fikcję.

**- *To jest punkt widzenia ateisty.***

- Oczywiście. Uważam, że ateista może i powinien być tolerancyjny. Ale powinien być również konsekwentny. Normalny ateista-liberał uważa, że można nie wierzyć w Boga i być np. zwolennikiem społecznej doktryny Kościoła, wielbić papieża, popierać działalność duchownych. Taka postawa jest w moim przekonaniu zaprawiona niekonsekwencją lub obłudą. Tak samo pozbawione konsekwencji były postawy, z którymi miałem do czynienia w czasach, gdy byłem w rządzie. „Ten socjalizm jest diabła wart - mówili niektórzy towarzysze - ale trzeba go popierać z doraźnych, praktyczno-politycznych powodów“. Jako zło mniejsze a konieczne.

**- *Czy w latach 1982-89 Kościół był sprzymierzeńcem liberalno-reformatorskiego skrzydła partii?***

- Kościół udawał takiego sprzymierzeńca. W ogóle cechą Kościoła jako instytucji politykującej jest nieszczerość i obłuda. Nie są to cechy związane z jego transcendentalną naturą, lecz z charakterem tej organizacji. To, że duchownym nie można wierzyć w sprawach politycznych, bardziej mnie odstręcza od Kościoła niż kwestie filozoficzne, o których na co dzień nie myśli się.

**- *Ma pan jakieś przykłady na to, że Kościół pana oszukał?***

- Nie, mnie Kościół nigdy nie oszukał. Nie mam z Kościołem na pieńku, bo nie miałem styczności z jego ludźmi. Jedyne moje nieprzyjemne skojarzenia związane z Kościołem wynikają z tego, że w czasie okupacji dla kamuflażu musiałem chodzić do kościoła. Wobec tego Kościół w moich wspomnieniach jest częścią zagrożenia okupacyjnego. Ale nie ma w tym żadnej winy Kościoła.

**- *A w polityce? Na jakiej podstawie mówi pan o obłudzie księży?***

- Kościół składał nam różne obietnice, których potem nie dotrzymywał. Przed i w czasie obrad przy okrągłym stole, występował np. jako gwarant trwałości umowy między władzą a opozycją. Potem nie starał się nawet udawać, że chce dochować swych zobowiązań lub o nich pamiętać. Duchowni zachęcali nas do różnych ustępstw, zapewniając, że ograniczą i zmiętygują zapędy opozycji. Kościół udawał, że jest pośrodku sporu, że odgrywa rolę neutralnego arbitra.

W rozmowach gabinetowych duchowni zawsze przytakiwali, nigdy się z nami nie spierali. Nawet, kiedy zgłaszaliśmy jakieś pretensje, kiwali głowami ze zrozumieniem, rzadko i słabo się broniąc.

Sam nie uczestniczyłem nigdy w tych rozmowach, może m.in. właśnie ze względu na mój stosunek do Kościoła nie byłem do nich dobierany. Ale z bardzo dokładnych relacji wiem, że ludzie kościelni zawsze cierpliwie słuchali, niemal pod każdym względem zgadzając się i

potakując. Moi przełożeni zwykle odnosili wrażenie, że efekty tych rozmów są wręcz znakomite i kończą się sukcesem politycznym naszej strony. Ja wiedziałem, że to tylko maska stosowana przez duchownych, konwencja, w której słowo nie jest słowem, mina nie jest miną, a deklarowana postawa nie jest postawą rzeczywistą.

Pamiętam, kiedy jako 15- czy 16-letni działacz ZMP w łódzkiej dzielnicy Śródmieście-Lewa bywałem w szkole zawodowej ojców salezjanów. Była to bardzo dobra szkoła kształcąca wysoko kwalifikowanych robotników. Powstało w niej niewielkie koło ZMP, czemu oczywiście salezjanie nie sprzyjali. Chodziłem tam po to, aby duchowni przyznali szkolnej organizacji ZMP jakiś pokój. Główny Salezjanin, chyba szef prowincji, który urzędował w tej szkole, mówił: „No, niestety mamy trudności lokalowe“. Na co ja pytałem: „Dobrze, dacie ten pokój czy nie dacie? - Mamy trudności lokalowe. - To znaczy, że nie dacie? - Nie, ja tego nie powiedziałem; powiedziałem tylko, że mamy trudności lokalowe“. I tak można było gadać godzinami. Co jakiś czas przychodziłem do szefa zakonu i rozmowa była zawsze taka sama. Aż chciało się wyć. Ta, powiedzmy, zręczność negocjacyjna obrazuje specyficzną chytrą chytrość ludzi kościelnych. Oni mają wytrenowaną tę chytrą chytrość oraz jakąś taką słodycz, charakterystyczną dla duchownych, stosowaną niezależnie od tego, czy są to ludzie mądrzy czy prymitywni. Słodycz jest maską.

***- Uważa pan to za specyficzną cechę Kościoła w Polsce czy też za ogólną właściwość historyczną związaną np. z zabieganiem o wiernych?***

- Wynika to trochę z polskiej specyfiki, a trochę z uniwersalnego charakteru Kościoła. Jest to instytucja bardzo stara, która przez wieki wykształciła pewne tradycje postępowania i charakterystyczny styl zachowywania się funkcjonariuszy religii. To zawsze dawało im najlepsze rezultaty. Nie rozważam jednak kwestii skuteczności obłudnego postępowania czy związanej z tym pozy, lecz stwierdzam, że strasznie nie lubię takiego tonu obłudnej słodyczy.

***- Gdy rozmawialiśmy o polityce, rzadko zwracał pan uwagę na wartości moralne. O politykach nie mówił pan w kategoriach obłudny-nieobłudny, moralny-niemoralny, ale skuteczny-nieskuteczny. Teraz ma pan pretensje do Kościoła, że jest obłudny. Nie wynika to z tego, że Kościół po prostu pokonał waszą ekipę?***

- Nie, skąd. Nas różni pokonali, różni wyrolowali. Ale robili to w sposób otwarty. Panowie mnie pytają, dlaczego nie lubię Kościoła, więc odpowiadam dlaczego. Wolę najbardziej zajadłego, zaciętego przeciwnika z otwartymi intencjami i otwartą argumentacją, niż Kościół, z którym praktycznie nie można dyskutować, bo wyraża prawdy formułowane wieloznacznie i okrężnie. Kościół uparcie twierdzi, że nie zajmuje się polityką. Jednocześnie wnosi uwagi do ustaw, zgłasza dziesiątki propozycji politycznych, zajmuje się polityką nie tylko jako mediator, lecz wręcz goniec polityczny. „My zaniemiemy, my przyniesiemy, my załatwimy“. My się do wszystkiego wtrącimy... Kościół nadaje różnym słowom nowe znaczenie wedle swej wygody. Nie ma zatem nawet werbalnej więzi między mną a Kościołem. Bo jeśli koń zostaje nazwany krową, krowa owcą, a owca świnia, to przestajemy się w ogóle ze sobą komunikować.

***- Jak sam pan mówił, przed okrągłym stołem programy liberalnego skrzydła władzy i części opozycji były zbliżone. Czy programy Kościoła nie objawiały takiego podobieństwa?***

- Trudno powiedzieć, jakie były i jakie są założenia programowe Kościoła. Jego doktryna społeczna składa się z pięknie brzmiących ogólników, z których jednak żadnego programu



wyprowadzić się nie da. W programie Kościoła to jest tylko przejrzyste, co dotyczy jego własnych interesów i pozycji.

**- *Mówimy o programie polityczno-pragmatycznym. Słowem - czy w chwili, gdy szukaliście porozumienia z opozycją, było wam z Kościołem po drodze?***

- Nam było bardzo po drodze z Kościołem, bo uważaliśmy go za instytucję, z którą, i poprzez którą, łatwiej się dogadać z opozycją. Opozycja krzyczała, że jesteśmy czerwone szmaty i stanowimy nieszczęście dla tego kraju, podczas gdy nasi kościelni rozmówcy mówili: „Wiemy, rozumiemy, taka jest natura społeczeństwa, tego, owego“. Słowem - nigdy nie mówili, że pragną zmiany ustroju, ale że chcą jedynie służyć porozumieniu.

Kościół chętnie podejmował się odgrywać rolę komisji dobrych usług, z pozoru mediacyjnych, a w istocie rzeczy był stroną w tym konflikcie. Stroną nam przeciwną.

**- *Jak pan ocenia Kościół jako mediatora?***

- Swoją rolę spełnił. Ułatwiał nam komunikowanie się z opozycją w ten sposób, że obie strony nie musiały tracić twarzy. Niemożliwe były z początku bezpośrednie negocjacje powiedzmy członków Biura Politycznego z kierownictwem opozycji. Potrzebny był zatem pośrednik, przez którego takie rozmowy mogły się rozpocząć. W momencie trwania rozmów w Magdalence i przy

okrągłym stole Kościół przestał już w istocie być potrzebny. Ale nam się wydawało, że jest niezbędny jako czynnik łagodzący sprzeczności i gwarant zawieranych paktów. Ludzie Kościoła tworzyli i takie pozory, a nasi ludzie pilnie w nie wierzyli.

**- *Jak wyglądały rozmowy władzy Z Kościołem?***

- Chciałbym podkreślić śmieszący mnie wtedy, a z perspektywy czasu śmieszący mnie jeszcze bardziej, nieustanny zachwyt naszych prominentów po rozmowach z przywódcami Kościoła. Oto Jaruzelski rozmawia z papieżem. Po zakończeniu jest ogromnie zadowolony: „Tyle zrozumienia, taka wspólnota myśli“. Rakowski zostaje premierem i jedzie do Glempa - ach, jakże Glemp popiera jego misję, jaka wspaniała rozmowa, jak jego eminencja wszystko rozumie, jak szeroko aprobuje zamierzenia rządu.

No i tak ci w sutannach robili naszych w bambuko.

**- *Tak uważa pan dzisiaj, po waszej porażce.***

- Byłem tego pewien już wtedy.

**- *Mówił pan o tym Jaruzelskiemu i Rakowskiemu?***

- Delikatnie dawałem do zrozumienia. Nie wypadało inaczej, bo po tych rozmowach wyczuwałem trochę samozachwyty swoich szefów. Oni dużo gadali, podczas gdy kościelni dużo milczeli. Nasi zadowoleni ze swojej argumentacji odnosili wrażenie, że wszystko poszło jak najlepiej.

Kościół urządzał bankiety dla władzy. To się nazywało - spotkania „modo privato“. Nasi potem opowiadali o atmosferze zrozumienia, o pysznym żarciu i wytwornym picciu.

**- *Gdzie odbywały się bankiety?***

- W tym biurowcu przy skwerze Wyszyńskiego. Ja tam nigdy nie byłem.

**- *Co robili podczas tych bankietów?***

- Jak to co? Jedli, pili i gadali. Tak sobie rozmawiali w szczerzej atmosferze, bez publicznych konsekwencji. „Modo privato“!

**- *Kościelni też pili?***

- Nie było to przecież pijackie towarzystwo. Nie wiem dokładnie, czy pili. Jedni pewnie pili, inni nie pili.

**- *Mówiliśmy o tym, że pan tak wszystko dobrze wiedział, a przywódcy dawali się nabierać...***

- To nie polega na tym, że ja byłem taki mądry, tylko ja nie mając kontaktów z Kościołem, nie podlegałem czarowi rozmów z jego przedstawicielami. Ów czar wynikał z tego, że kościelni - jak w konfesjonale - cierpliwie słuchali, sami nic nie mówili, a jeśli mówili, to same ogólności. Wobec tego ich rozmówcy napawali się własnymi słowami i uważali dyskusje za bardzo udane, mając na myśli wszystko, co bez żadnego sprzeciwu drugiej strony udało im się powiedzieć.

**- *Czy zwierzchnicy powstrzymywali pana w pańskich publicznych atakach na Kościół?***

- Do tej pory mówiłem panom o swoich osobistych odczuciach. A ponieważ dobrze rozumiałem naszą politykę, nigdy publicznie Kościoła nie atakowałem.

**- *Ależ atakował pan na konferencjach prasowych! Jeśli nie wprost, to poprzez aluzje i niedopowiedzenia. W każdym razie dało się wyczuć pańską niechęć do Kościoła.***

- Jeśli dawało się wyczuć, to popełniałem jakiś błąd w sztuce. Owszem, polemizowałem z grupą ekstremalnych księży, którzy prowadzili ostrą kampanię polityczną w niektórych kościołach mających charakter opozycyjnych ośrodków politycznych. Zresztą strona kościelna podkreślała, że również ona niechętnie patrzy na działalność tych ośrodków i tych księży.

**- *Czy w takim razie powstrzymywano pana przed atakami na centralę Kościoła?***

- Nie było takiej potrzeby. Sam rozumiałem politykę na tyle, żeby nie atakować. Gdybym nie rozumiał i nie aprobował tej polityki łącznie z naszą trafną pojednawczo-proszalną linią wobec Kościoła, to nie mógłbym być rzecznikiem.

**- *Czy w swoich ateistycznych poglądach wobec Kościoła miał pan sprzymierzeńców w gronie ludzi władzy? Ktoś podzielał pańskie zdanie?***

- Wszyscy podzielali moje zdanie. Ci, którzy utrzymywali kontakty z Kościołem, również deklarowali, że nie mają zaufania, że podejrzewają niedotrzymywanie obietnic, że zauważają brak wyraźnego stanowiska strony kościelnej. Byli natomiast ustawicznie zadowoleni z przebiegu rozmów, dominowało wrażenie zrozumienia, a czasem nawet poparcia.

**- Czy to nie był element waszej gry wobec społeczeństwa? Zyskać sympatię społeczną poprzez ogłaszanie komunikatów o owocnych rozmowach z Kościołem...**

- Nie. Choćby dlatego, iż dobrze wiedzieliśmy, że gdyby przekroczyć uzgodnione granice takich sugestii, to Kościół umiałby to sprostować i zrobić z nas durniów.

**- Wracając jeszcze na moment do poprzedniego pytania - czy wśród ludzi władzy wyczuwał pan jakąś pokrewną duszę w pańskim skrajnie ateistycznym podejściu do Kościoła?**

- Nie. Jak nikt z nas nie zastanawiał się nad filozoficzną genealogią nurtu, który reprezentowaliśmy, tak też nikt nie sięgał do transcendentálnych podstaw funkcjonowania Kościoła. Nie rozmawialiśmy o tym, co mówił Marks, Engels, Plechanow czy Kautsky, nie rozmawialiśmy również o Panu Bogu.

Wszyscy ludzie, z którymi stykałem się w obrębie władzy, byli ateistami. Ale nigdy nie rozstrząsaliśmy intelektualnych podstaw naszego ateizmu.

**- Czy dzisiaj pańscy polityczni przyjaciele z tamtych czasów ostrzegają pana, że tygodnik „NIE“ zbyt mocno atakuje Kościół?**

- Owszem. Ale są to rady i przestrogi, które wynikają z przemożnego w Polsce strachu przed Kościołem, a nie z sympatii do Kościoła. Mówią mi przyjaciele, że uderzając w Kościół przekraczam granice własnego bezpieczeństwa. Kościół jest bowiem instytucją niebezpieczną.

**- A czy sam Kościół wywiera na pana naciski związane z redagowaniem tygodnika?**

- Nie. Poza tym, co na ten temat publicznie mówią kościelni prominenci.

**- Spotkał się pan kiedykolwiek z taką formacją jak wywiad kościelny?**

- Nie, skąd. Nie bardzo wierzę w istnienie zinstytucjonalizowanej formy takiego wywiadu. Myślę, że coś z techniki wywiadowczej stosuje cały aparat Kościoła. Księża w parafiach poprzez kontakty z ludźmi mają naturalną wiedzę o tym, kto co robi, myśli, mówi. Nic nie stoi na przeszkodzie, żeby te informacje przepływały do góry w zhierarchizowanej strukturze Kościoła.

**- W latach osiemdziesiątych Kościół zdobył sobie popularność jeszcze większą od tej, jaką cieszył się poprzednio. Jak pan wytłumaczy ten zwrot części niewierzącego społeczeństwa ku Kościołowi?**

- Wprawdzie były to zjawiska rzadkie, ale do kościołów zaczęli przychodzić niewierzący. Był to jednak akces bardziej polityczny niż religijny. Kościoły były miejscem, gdzie legalnie i bezpiecznie z punktu widzenia prawa zbierali się ludzie podobnie myślący, szukający wspólnoty politycznej i pogrzebający się widokiem wielu swoich politycznych przyjaciół.

Mnie i moich kolegów bardzo natomiast śmieszyły ostentacyjnie manifestowane cudowne nawrócenia różnych leciwych towarzyszy partyjnych.

**- Na przykład?**

- Staszewski i Granasowa, czyli ludzie o niekatolickim rodowodzie rodzinnym, mający za sobą dziesiątki lat spędzonych w służbie marksizmu. Nagle u schyłku życia doznawali objawienia.

**- Znane są przypadki cudownej iluminacji...**

- Toteż nie twierdzę, że wszystkie nawrócenia były nieszczerze. Niektóre natomiast bardzo mnie śmieszyły.

**- Grzegorz Piotrowski, jeden z zabójców księdza Popieluszki, powiedział ostatnio w telewizji, że MSW prowadziło działania przeciwko Kościołowi polegające m.in. na ujawnianiu sfałszowanych dokumentów. Jako przykład Piotrowski podał prowokację przeciwko biskupowi Ignacemu Tokarczukowi.**

- Znam sprawę. Jakieś nieznane włoskie czasopismo opublikowało dokument stwierdzający, że w czasie okupacji współpracował z Niemcami chłopak o nazwisku Tokarczuk. Ale myśmy nie angażowali się w tę sprawę, głównie dlatego, że nie było do końca wiadomo, czy chodzi o biskupa Tokarczuka.

**- Podejrzewał pan, że może to być prowokacja SB?**

- Nie. Działania wobec Kościoła były niezwykle delikatne. Informacje o tym, co się dzieje w niektórych kościołach (głównie chodziło o treść niektórych kazań) dostawałem z MSW. Dotyczyło to tylko faktów politycznych.

**- Czy MSW potwierdziło, że konfident z okresu okupacji i biskup Tokarczuk to jedna i ta sama osoba?**

- Nie. Służba Bezpieczeństwa sprawdzała to, ale żadnej konkluzji nie było.

**- Dlaczego więc mówił pan publicznie o doniesieniu włoskiego pisma? Przecież to rzuciło podejrzenie na biskupa.**

- Pytano mnie o to. O tej sprawie mówiłem jako o pewnym tropie, pewnym znaku zapytania. Nigdy nie powiedziałem, że biskup był konfidentem. Nikt tego nigdy wyraźnie nie powiedział.

**- Czy sądzi pan, że dokument z włoskiej prasy mógł zostać sfabrykowany przez SB.**

- Nie przypuszczam. Wydaje mi się jednak, że gdyby MSW spreparowało ten dokument, zrobiłoby to w sposób wyrazisty i jednoznaczny. Nigdy nie zakładałem, że MSW fabrykuje jakiegokolwiek dokumenty. Gdybym to zakładał, musiałbym również założyć, że skoro wszystko da się spreparować, to informacje z MSW w ogóle nie mają żadnej wartości.

Rola MSW w tej aferze - w moim rozumieniu - mogła polegać na czymś innym. Gdyby odkryto, iż na jakimś wiejskim posterunku niemieckim w czasie wojny jako konfident działał człowiek nazwiskiem powiedzmy Józef Czyrek, to przypuszczalnie dowiedziałyby się o tym tylko jedna osoba w Polsce i nie byłoby to przedmiotem publikacji. Inaczej sprawa wyglądała, gdy ten chłopiec nazywał się Tokarczuk.

**- *Były minister Kozłowski mówił, że MSW było technicznie świetnie przygotowane do fabrykowania dokumentów. Kiedy rozmawialiśmy z panem o zabójstwie księdza Popieluszki, poddawał pan w wątpliwość kwalifikacje zawodowe funkcjonariuszy MSW. Skąd ta sprzeczność?***

- Ależ żadnej sprzeczności nie ma. Zabójców księdza Popieluszki nazwałem partaczami mając na myśli to, że dokonując zbrodni nie postępowali jak zawodowi mordercy albo zawodowi policjanci. To psujące się auto, te zostawiane ślady, ten świadek, któremu pozwolono uciec... Nie wyklucza to tego, że ci sami ludzie mogli być genialnymi fałszerzami dokumentów. To inna specjalność. Podtrzymuję swoją opinię. Gdyby zabójcy księdza nie byli partaczami, to samochód by się nie zepsuł, a ciała nigdy by nie odnaleziono. Oczywiście, to dobrze, że oni byli partaczami. Dzięki błyskawicznemu wykryciu zabójcy nie osiągnęli celów politycznych. Wzmocnili tych w partii, których chcieli osłabić. Kościół także przecież nie został osłabiony w rezultacie tego zabójstwa, tylko na odwrót. Współdziałanie naszych szefów z Kościołem okrzepło.

**- *Pańskie polemiki z kazaniem niektórych księży wynikały wyłącznie z treści tych kazań? Czy bywał pan np. na mszach odprawianych przez księdza Popielusz-kę?***

- Skąd, nie bywałem. Od czasu wojny nigdy nie byłem na nabożeństwie w kościele. Nie chodzę nawet na śluby i msze w czasie pogrzebów. Treść kazań znałem albo dzięki MSW, albo z nasłuchów Wolnej Europy, gdzie je często i obszernie cytowano.

**- *Ci księża nie byli zatem pana osobistymi wrogami?***

- Oczywiście, że nie. Jedynym księdzem z tego towarzystwa, którego widziałem na własne oczy był ksiądz Umiński. Ten, któremu wytoczyłem proces o zniesławienie.

**- *Czy nie obawia się pan ataków Kościoła na pana i pańskie pismo?***

- Nie obawiam się ataków bezpośrednich, bo one tylko przysparzają popularności pismu i wskazują na jego skuteczność. Obawiam się - co paradoksalne - raczej osłabnięcia roli Kościoła w społeczeństwie, co obecnie szybko się dokonuje. Może ono spowodować jeszcze ściślejsze zespolenie Kościoła z państwem i jego aparatem. To z kolei może skłonić Kościół do wykorzystywania instrumentów państwa dla niszczenia swoich przeciwników. Słaby Kościół zechce się wzmocnić opierając się o aparat państwa i przenikając go. Słaba władza w zamian za poparcie kościelne będzie postępować jak biskupi każą. Jeśli w Polsce zrodzi się prawicowa dyktatura, Kościół nie lubiący z natury rzeczy demokracji, stanie się jej filarem.

**- *Sądzi pan, że pańskie nazwisko znajduje się na liście proskrybcyjnej Kościoła, zakładając, że taka lista w ogóle istnieje?***

- Z całą pewnością. Kościół jednak nie ma takiej listy w dosłownym znaczeniu tego słowa, znane są natomiast sympatie i antypatie Kościoła. Nie znaczy to, że uważam się za

przeciwnika numer jeden Kościoła. Ważnymi dla Kościoła przeciwnikami mogą być tylko ci, którzy są u władzy albo mają szansę być. Ja tych szans nie mam.

***- Wyznał nam pan wiele swych grzechów. Czy zdarzyło się panu popełnić któryś z grzechów uznawanych przez Kościół katolicki za grzechy główne? Przypomnijmy, że są to: pycha, chciwość, nieczystość, zazdrość, nieumiarkowanie w jedzeniu i piciu, gniew i lenistwo.***

- Codziennie wielokrotnie popełniam te grzechy. W przyszłości będę jeszcze bardziej pyszny, chciwy, nieczysty, zazdrosny, gniewny, a także leniwy. Obżarstwo i opilstwo to mój chleb codzienny.

***- Dostaje pan od czytelników listy - zresztą z lubością je pan publikuje - w których grożą panu piekłem. Czy nie przeszło panu przez myśl, że może jednak istnieje życie pozagrobowe? Jak pan się będzie tłumaczył, kiedy stanie pan przed Sądem Ostatecznym?***

- Nie przyszło mi to do głowy. Nawet jeśli się mylę w rozumieniu porządku świata, nie sądzę, żeby miało dojść do składania przeze mnie wyjaśnień. Panowie przygotowywali się do naszych rozmów i przez wiele poranków je prowadzili, a mimo to ledwie dotknęliśmy wszystkich moich grzechów. Proszę sobie zatem wyobrazić te setki tysięcy czy miliony osób, które codziennie stają przed boskim obliczem i które trzeba osądzić. Jestem pewien, że nawet gdyby niebo istniało, to jego departament sprawiedliwości nie zdołałby wykonać tak kolosalnej pracy śledczej.

## Aneks do „Alfabetu”

### BALCEROWICZ Leszek - prezent dla narodu

#### *- Dostanie Nobla w dziedzinie ekonomii?*

- Może i dostanie, choć Nobla w ekonomii dostaje się na ogół za oryginalne doktryny ekonomiczne, a Balcerowicz żadnej doktryny nie stworzył. Nie miał wprawdzie takich ambicji...

#### *- Ale potwierdził znaną doktrynę w zupełnie nowych warunkach społeczno-gospodarczych.*

- Nie potwierdził. Balcerowicz dokonał trafnej operacji monetarnej i fiskalnej. Do pewnego stopnia zahamował inflację, wprowadził wymienialność złotówki, odwrócił zasadę braku towarów, jaka zawsze towarzyszyła socjalizmowi. Stworzył stan braku pieniędzy na kupowanie i przez to dostatek towarów, czyli dokonał zasadniczej rewolucji rynkowej. Osiągnął przemiany, do których my ciągle dążyliśmy, ale nie mieliśmy siły ich dokonać - brakło nam poparcia społecznego i precyzyjnych instrumentów ekonomicznych. To jest historyczny sukces Balcerowicza.

Jego wadą jest natomiast to, że wpisał się w ciąg ekonomistów u władzy, którzy zakochani są w swoim modelu i mocno w niego wierzą. Zakładają pewien idealny system gospodarczy i wszystkimi siłami do niego zmierzają, nie oglądając się na nic, ani na nikogo. Ma to pewne zalety, choćby taką, że pomimo nacisków społecznych Balcerowicz się nie ugina, i chwala mu za to.

Nie spostrzegł natomiast, że recesja produkcyjna, którą zakładał jako przejściowy efekt operacji monetarnej - efekt, który minie - przekształciła się w recesję trwałą, strukturalną. Rynek wewnętrzny skurczył się, rynek radziecki i RWPG-owski, po części z winy Mazowieckiego, został przed nami zamknięty, rynek zachodni nie otworzył się i nie otworzy, dopóki nasze towary będą niekonkurencyjne - droższe i gorsze.

Polski przemysł stał się przestarzały...

#### *- Ale przecież nie stał się taki z winy Balcerowicza! Starzał się przede wszystkim za czasów pańskiej ekipy.*

- Myśmy prawie w ogóle nie modernizowali przemysłu ani weń nie inwestowali, bo cały majątek narodowy w latach 80. szedł na spożycie, żeby temu rozwścieczonemu narodowi zapchać gębę. Początkowo szedł na spożycie, bo była „Solidarność“ żądała i strajkowała; potem wszystko szło na spożycie, bo był stan wojenny i trzeba było pozyskać społeczeństwo, by to zniosło itd. itp.

Ale Balcerowicz jest winien temu, że z zastanej sytuacji zestarzenia się polskiego przemysłu wyciągnął skrajne wnioski: „A niech to wszystko zginie, skoro jest niewydajne i niekonkurencyjne“. Myśmy chcieli część zlikwidować, a w zamian pozostałą część zmodernizować po to, żeby ochronić produkcję. Zachować status Polski jako państwa

przemysłowego, uchronić dochód narodowy, a więc i poziom życia przed drastycznym obniżeniem.

Przy ustawicznym spadku produkcji poziom życia będzie się nadal obniżał, a import zmniejszał się, bo nie będzie za co kupować. Polska ulegnie trwałej degradacji ekonomicznej, niezależnie od tego, jaka będzie polityka monetarna.

**- Czy przewiduje pan kres Balcerowicza?**

- Naturalnie. Zmierzch już nastąpił, kres nastąpi niebawem.

**- Kiedy?**

- Prawdopodobnie po wyborach. Balcerowicz już jest symbolem wszystkich dolegliwości gospodarczych, tego że fabryki są zamykane, że ludzie tracą pracę, że płace są niskie, że produkcja się kurczy. Zostanie więc rzucony wilkom na pożarcie jako prezent prezydenta dla narodu. Jest dla Balcerowicza szykowane jakieś eksponowane stanowisko w międzynarodowych organizacjach gospodarczych. Sam Balcerowicz to pewien fenomen - on się bardzo społeczeństwu podoba; on mnie się niezmiernie podoba jako facet z charakterem, tylko jego polityka już się nikomu nie podoba.

**BIELECKI Jan Krzysztof - premier**

**- Z oczywistych powodów nie było go w „Alfabecie“...**

- Właśnie. To jest taki sezon polityczny, wobec którego ja - stary kibic życia politycznego - jestem bezsilny. Z konopii wyskakują postacie całkowicie nieznane, odbywają się gwałtowne wspinaczki po drabinie kariery ludzi, o których nikt nie słyszał, i równie gwałtowne upadki.

Bielecki budzi we mnie mieszane uczucia, bo z jednej strony okazuje niespodziewaną samodzielność wobec Wałęsy i wobec Kościółki, a z drugiej - potrafi pałać taki idiotyzm jak ten, że komuna zniszczyła ten kraj bardziej niż Hitler.

Dobrze współpracuje z Balcerowiczem, choć wydawało się, że będzie między nimi układ rywalizacyjny. Wyraźnie określa pole swojego działania jako misję gospodarczą. Ma odwagę jeżdżenia do załóg zakładów pracy i mówienia im „nie“. Ci, co wcześniej jeździli, „nie“ krzyczeli w swoich gabinetach i na posiedzeniach rządu, a w fabrykach mówili przynajmniej częściowo „tak“. Z kierunkiem polityczno-gospodarczym Bieleckiego w istocie rzeczy sympatyzuję, chociaż uważam, że premier wyłoży się na tym, że Balcerowicz wprowadził kraj w trwałą recesję oraz gigantyczny deficyt budżetowy, który musi uruchomić wzrost inflacji, inaczej życie kraju stanie.

**- Jak wypada Bielecki w porównaniu z Mazowieckim?**

- Nieszczęściem sceny politycznej umeblowanej przez „Solidarność“ po wyborach jest to, że ciągle trzeba porównywać ludzi nieporównywalnych. Wałęsę z Tymińskim, Bieleckiego z Mazowieckim.



Mazowiecki pokazał klasę myślenia, charakter, zasady. Był ujmujący, europejski, ale straszliwie nieskuteczny. Intelktualista, który jako premier nie miał tego nerwu potrzebnego do sprawowania władzy, tzn. umiejętności zachowania władzy, organizowania systemu władzy, no i wygrywania batalii politycznych.

Bielecki - nie ten numer kapelusza. Nie osiąga sukcesów na tym polu, na którym gra, ale pokazuje znaczne zalety. Choć jestem przypisany do lewicy - sam się przypisałem do jej etosu, skłonności i struktur - to równocześnie sympatyzuję z umiarkowanie liberalnym kierunkiem w gospodarce. Może wynika to z tego, że wewnątrz systemu komuchowskiego zawsze należałem do grupy liberalnej.

**- Czy partia, której Bielecki jest przedstawicielem, Kongres Liberalno-Demokratyczny, ma szansę w najbliższych wyborach?**

- O dziwo - tak. Nie powiem niczego oryginalnego, ale to premier zapewnia Kongresowi wzięcie. Może to być zjawisko głębsze, którego jeszcze nie rozumiem, może też być nie głębsze: ponieważ rząd w znacznym stopniu ma w swoich rękach telewizję, ta z kolei eksponuje ludzi Kongresu, więc z tego morza partii i partyjek wyłania się znana z telewizji tj. popularna struktura. W dodatku ludzie ci niczym nie drażnią społeczeństwa, są stosunkowo sensowni...

**BUJAK Zbigniew - pokutnik „Solidarności“.**

**- Odejście Bujaka od obozu Mazowieckiego było udawane czy autentyczne?**

- Myślę, że była to prawdziwa secesja. Bujak będzie zawsze jakoś sprzymierzony z obozem Mazowieckiego, choć Mazowiecki to jest chrześcijańskie centrum a Bujak podjął próbę stworzenia socjaldemokracji mającej wzięcie społeczne. Czyli wyczuwa, że przyszłość należy do silnej socjaldemokracji, która może rządzić na zmianę z centrum lub też tworzyć koalicje centro-lewicowe. Wiele ugrupowań próbuje zabudować, tę lewą stronę sceny, ale jeszcze nie sezon. Sezon dopiero nadejdzie.

Bujak też nie zabuduje lewej strony, bo tak jak na SdRP ciąży pierwotny grzech postkomunizmu, tak partia Bujaka dźwiga na sobie grzech „Solidarności“. A „Solidarność“ traktowana jest jak ugrupowanie, które nie spełniło nadziei, to już ci u żłoba - „oni“.

Z Bujakiem wiązano większe nadzieje od tych, które dziś spełnia. Uchodził za zdolniejszego od Wałęsy, ciekawszego przywódcę robotniczego, bardziej współczesnego, europejskiego, bystrego. To jest inny typ działacza niż politycy-intelektualiści. Bujak potencjalnie nadaje się na czołowe pozycje przywódcze. MSW latami łapało Bujaka i nie mogło złapać. To był ten przeciwnik, który nam imponował, o którym myśleliśmy ciepło.

**CHRZANOWSKI Wiesław, JUREK Marek, ŁOPUSZAŃSKI Jan, MACIEREWICZ Antoni, NIESIOŁOWSKI Stefan - ZChN - partia pisana przez „ch“**

- Nie znam, nie odróżniam, nigdy wcześniej nie słyszałem. Nazwisko Macierewicza znam z opozycji. To był jeden z prominentnych młodych ludzi po tamtej stronie. Tworzył chyba kiedyś team z Michnikiem i Kuroniem, ale się wyłamał, nie wiem w jakich okolicznościach...

Nurt katolicko-nacjonalistycznej prawicy w polskim życiu politycznym istnieje od zawsze, przed wojną był silnie rozbudowany, w czasie wojny tworzył Narodowe Siły Zbrojne. Współcześnie jest marginesowy, ale jest czymś autentycznym.

Kaczyńscy czy Maziarscy wymyślają politykę, jutro mogą być liberałami, pojutrze lewicowcami, bo wywodzą się znikąd, to drobni polityczni kombinatorzy - koniunkturaliści. ZChN ma natomiast autentyczny zespół poglądów, autentyczne tradycje. Partia ta wyraża skazy mentalności, które społecznie funkcjonują. Zwolennicy silnej władzy państwowej, szeroko wkraczającej w życie jednostki. Ludzie zarażeni ksenofobią, uważający że swoje normy narodowo-religijno-moralne należy maksymalnie narzucać innym. Uważają, że esencją życia zbiorowego jest naród traktowany jako siła metafizyczna. Normy powinny być ostre, a państwo silne. Są za penalizacją życia i za karą śmierci. No i za klerykalizacją.

**- Czy ten autentyzm wystarcza do odczuwania wobec nich szacunku?**

- We mnie nie wzbudzają szacunku. Ja tylko uznaję ich autentyzm. Ten nurt polityczny ciągle jest obecny, nawet jeśli - jak za Stalina - siedzi w więzieniach. Kiedyś byłem w dawnej sali Klubu Krzywego Koła w starym domu kultury na zebraniu takich ludzi. Widziałem tam prawdziwy fanatyzm, prawdziwy ogień i prawdziwe przekonanie o ich sile i moralnej racji.

**- Wiąże pan ZChN z antysemityzmem?**

- Wystrzegam się takich oskarżeń. W telewizyjnej dyskusji z ambasadorem Izraela w Polsce widziałem, jak przedstawiciele tego nurtu odżegnując się od antysemityzmu, wyrażali opinie w istocie bliskie antysemityzmowi. Jeszcze silniej to czyni Narodowa Demokracja. Oni nie lubią obcych, szukają źródeł rozmaitego zła w polskiej polityce, we wpływach ideałów obcoplemiennych.

**GEREMEK Bronisław - pogromca prezydenta**

- Podtrzymuję to, co chyba udało mi się złośliwie uchwycić w „Alfabecie“ - „Geremek jest to jedyny człowiek, który udaje wielkiego męża stanu, którym jest w rzeczywistości“. Ale to złośliwość dotycząca sposobu bycia...

Jego wojna w parlamencie z prezydentem imponuje sprawnością umysłową. Ma refleks. Rola parlamentarna jest jego główną siłą. Jest to rola kluczowa w całej opozycji wobec Belwederu. Tak jak kluczową jest kwestia, czy dyktatura przejdzie, czy nie.

**- Sądzi pan, że nadal będzie odgrywał tę rolę?**

- Myślę, że będzie ją odgrywał właściwie, ale właściwe odgrywanie roli nie determinuje wygranej. Podglebie dla dyktatury w Polsce będzie uszykowane przez to, co wydarzy się w gospodarce i w życiu społeczeństwa po wyborach. Ludzie, dotychczas ogólnie jakoś rozczarowani i sfrustrowani uświadamiają sobie, że ich materialna degradacja, ich pośredniejsza pozycja społeczna to nie są trudności przejściowe, lecz zjawiska trwałe i dziedziczne. Szanse awansu dzieci z warstw upośledzonych stają się tak marne jak w III świecie. Do tego dołączy rozczarowanie demokracją. Rozproszkowany politycznie parlament będzie niezdolny do sformułowania stabilnego rządu mającego spójny program. Rządy będą

efektem zawiązywania koalicji, co wyklucza wyrazistą politykę - gdyż linia rządowa to zawsze już będzie kompromis między różnymi nurtami. W ten sposób demokracja będzie się na wszystkich polach kompromitować w oczach społeczeństwa i okaże swą nieskuteczność. Społeczeństwo odczuje, że życie polityczne w ogóle nie dotyczy jego potrzeb i dążeń. Pozostanie zapotrzebowanie na zbawcę narodu. Ale tym zbawcą - moim zdaniem - nie będzie już Wałęsa.

**- *Upatrzył sobie pan już jakiegoś kandydata?***

- Nie ma takiego. Historia jednak dowodzi, że jak jest społeczne zapotrzebowanie na charyzmatycznego zbawcę ojczyzny, to taki zbawca zawsze się znajdzie. To może być jakaś Joanna d'Arc - czyli młoda dziewczyna z prowincji, która będzie słyszała głosy świętych. Te głosy każą wziąć nas za mordę.

**GLAPIŃSKI Adam - ktoś**

**- *W pewnym momencie Jarosław Kaczyński wskazał na niego jako następcę Balcerowicza. Co pan o nim sądzi?***

- Niczego nie sądzę, bo wtedy w ogóle dowiedziałem się o istnieniu kogoś takiego jak Glapiński. Wysunął on koncepcję przymusowej prywatyzacji mieszkań, także spółdzielczych-własnościowych. Oznacza to po prostu podatek obniżający wszystkim dochody bieżące o równowartość 20% ceny rynkowej ich mieszkań. Gdyby wszystkie mieszkania w Polsce zostały jednej nocy dokładnie okradzione, skutek materialny tego byłby dla ludzi mniej przykry niż planu Glapińskiego.

**HALL Aleksander - cywilizowana prawica**

- Nie znam go. Z tego co słyszałem, wygląda na rozsądnego przedstawiciela cywilizowanej prawicy. Paradoks polskiej sceny politycznej polega na tym, że obóz Mazowieckiego może tę scenę całkowicie zapełnić, tyle tam jest odcieni. Jest cywilizowana prawica Halla, jest lewica Bujaka, jest centrum. Tylko to wszystko jest za wątle i za mało sprawne, żeby stworzyć jedno silne ugrupowanie, a cóż dopiero zapełnić całą scenę polityczną. W czasach kiedy opozycja była nielegalna, o Hallu mówiło się u nas, tj. w KC i okolicach, że to facet rozumny, umiarkowany i z koncepcjami.

**KACZYŃSKI Jarosław i Lech - bliźnięta polityczne**

- Bliźnięta uchodzą za ludzi z głową nie od parady. Osobiście ich nie znam, ale ich posunięcia polityczne nie potwierdzają tej opinii. Trzeba zakładać ich podwójną odpowiedzialność za to, co Wałęsa robi, za planowanie jego politycznych posunięć. Może nie są odpowiedzialni za to, co Wałęsa mówi, a mówi dużo i nieroztropnie. Zbyt dużo i zbyt nieroztropnie - obiecuje rzeczy niewykonalne, improwizuje znarkotyzowany zasłuchanym tłumem.

Jeśli założyć, że bliźniaki odpowiadają za niewerbalne posunięcia prezydenta, to okazują ogromny dyletantyzm. Konsekwentnie wysuwają np. koncepcję odebrania władzy

parlamentowi poprzez zastosowanie superrządów władzy wykonawczej. Proponują rządowi specjalne pełnomocnictwa. Nie tylko nie robią jednak obrachunków, czy jest to możliwe, czy parlament przyjmie to, czy odrzuci, ale nawet nie uzyskują aprobaty samego zainteresowanego, czyli rządu. Jest to polityczne upokorzenie - własny rząd Wałęsy, przez niego powołany, odwraca się tyłem i mówi: „Dziękujemy bardzo, my się w to nie bawimy“. Kaczyńscy dopuszczają tym samym do powstania obrazu Wałęsy osamotnionego, nie mającego nawet poparcia wybranych przez siebie ludzi.

Dalej - walka o ordynację wyborczą, czyli w istocie walka o to, czy parlament będzie posłuszny prezydentowi, czy też pozostanie siłą samoistną. Wszystkie w dziejach dyktatury pragnące aprobaty parlamentu, najpierw próbowały uzyskać od niego to, co chcą - przekupstwem, pochlebstwami i zastraszeniem, a potem dopiero przystępowały do otwartej z nim wojny.

**- Myśli pan o Piłsudskim?**

- Na przykład. Po zamachu majowym Piłsudski uzyskał legalizację przewrotu dzięki aprobacie parlamentu. Podobnie postępował Hitler - choć oczywiście analogia dotyczy wyłącznie metody, a nie postaci - gdy po objęciu urzędu kanclerskiego jako słodki gołąbek otrzymał od parlamentu specjalne pełnomocnictwa. Potem dopiero pokazał pazury...

**- Na jakiej podstawie przypuszcza pan, że prezydent zachowuje się tak pod wpływem braci Kaczyńskich?**

- Po odejściu Merkla tylko oni są w stanie prowadzić politykę Wałęsy i jego obozu. Powód jest bardzo prosty - w kancelarii i obozie belwederskim, oprócz mecenasa Jana Olszewskiego, nie ma znaczących postaci poza Kaczyńskimi. Jacyś trzeciorzędni politycy, osoby małego kalibru.

**- Kiedy pan po raz pierwszy usłyszał o Kaczyńskich?**

- Późno, bardzo późno - gdy rozpoczęła się kampania prezydencka Wałęsy.

**- Odróżnia ich pan?**

- Nie, tj. odróżniam po wąsach, ale nie pamiętam, który ma wąsy, a który nie ma.

**- A który ma większe znaczenie polityczne?**

- Chyba ten bezwąsy. Jest szefem superrządu kancelistów, tego Biura Politycznego...

**- Co stanie się z braćmi Kaczyńskimi, jak pan sądzi? Mówi się o ich dymisji.**

- Losy ludzi Wałęsy dowodzą, że prezydent jest w stanie poświęcić każdego. Mogę sobie wyobrazić sytuację, w której prezydent wyrzuca bliźnięta, oświadczając że robili polityczne błędy, ale po pozbyciu się ich znów wszystko będzie piękne i wspaniałe.

**- Kiedy to nastąpi?**

- Gdy Kaczyńscy skupią taką władzę, która będzie zagrożeniem dla samego Wałęsy.

**- Czy ten moment już nie nadszedł?**

- Przed wyborami Wałęsa jest samotny, więc nie może pozbywać się bliźniaków, bo nikt mu nie zostanie.

**- A czy Kaczyńscy nie skupili władzy wystarczającej do zagrożenia Wałęsą?**

- Raczej nie. Bliźnięta nie panują nad żadnymi Uczącymi się strukturami. Ruch polityczny, którym kierują, jest słaby, nieliczny i niewpływowy, natomiast z wojskiem i policją zantagonizowali się. Myślę, że realną siłą, na którą mogą w razie czego liczyć, jest tylko Kościół, który im będzie słabszy w opinii społecznej, tym bardziej kurczowo będzie się trzymał państwa, i to państwa mniej czy bardziej autorytarnego.

**- Dlatego, że Kościół traci wpływy, czy dlatego, że leży to w naturze Kościoła?**

- Kościół ma zapisane w swojej tradycji popieranie każdej prawicowej dyktatury w krajach katolickich, jak Włochy Mussoliniego, Hiszpania Franco, czy półkatolickich, jak Niemcy Hitlera. Kościół tradycyjnie szuka oparcia albo jako motor opozycji przeciw państwu (PRL), albo jako siła wspierająca państwo prawicowe. Na naszych oczach dokonuje się transformacja postawy Kościoła - starając się jak najściślej zespolić z państwem, zabiega o to, żeby kler przerósł system państwowy, a klerykalizm zdominował system prawny. Co zaś się tyczy Kaczyńskich to, jak się zdaje, mają oni wraz z paroma kolegami z PC ambicję stanięcia na czele oligarchii polityczno-finansowej, która trwale rządziłaby krajem. Nie wiem, na ile są zaawansowani w gromadzeniu bogactw, ale być może, kiedy Wałęsa pozbędzie się ich ze sceny politycznej, podejmą rolę ważniejszą, bardziej podskórną - władców gospodarki, ukrytej sprężyny państwa.

### **KORWIN-MIKKE Janusz - powiew egzotyki w świecie szarości**

- Oryginał. Autentyk. Barwna postać z dużą siłą ekspresji. Odczuwam do niego sympatię.

**- Grywa pan z nim w brydża?**

- Ja w ogóle nie grywam w brydża. Towarzystwo spotykałem się z nim i spotykam nadal na przyjęciach. Jesteśmy wobec siebie pełni kurtuazji, myślę, że łączy nas jakaś sympatia. W latach 70. starałem się publikować teksty Korwina-Mikke w „Polityce“. Przychodziło mi to z trudem, głównie ze względów politycznych, ale także warsztatowych. JKM zawsze miał w swoich artykułach ciekawe myśli, ale były one nie poukładane, uciekały i rozmazywały się.

Był niezależny w stosunku do reszty opozycji i taki pozostał. Działał samotniczo. Na małą skalę. Coś tam powielał na maszynie do pisania na skalę klatki schodowej.

**- Nie zastanawia pana brak jego romansu z „Solidarnością“ oraz brak ciążenia ku obozowi belwederskiemu?**

- Próbował ciężyc, ale odskoczył. W Korwinie-Mikke nie ma takiego kombinatorstwa, żeby przy poparciu prezydenta on zrobił karierę polityczną. Kiedy tylko obóz belwederski zaczął

politykować wbrew ideałom skrajnego liberalizmu, tak bliskich Korwinowi, od razu stamtąd odszedł.

**- Dopuszczył do rozłamów Unii Polityki Realnej.**

- Zdaje się, że nie ma talentów przywódczo-organizacyjnych. Proponuje rzeczy oryginalne, ale mało realne. Jest skrajnym liberałem, czym różni się od liberałów sprawujących władzę, którzy liberalizm uważają za coś takiego, za co komuniści uważali komunizm - za utopię, do której należy zmierzać, ale która nigdy nie będzie osiągalna.

Przez jakiś czas JKM był sprzymierzonym z polskimi monarchistami, których jest bodaj trzech. Wydawał z nimi wspólne pismo.

Jest to postać wzbogacająca polski folklor polityczny. Ma tę właściwość, że umie mówić na każdy temat, niezłe wygląda w TV, a lubi się pokazywać.

**- W tym co pan mówi, jest pobłażliwość.**

- Bo też nie jest to polityk, który może przejąć władzę w Polsce, bądź którego doktryna może okazać się zwycięska. Korwin-Mikke nie jest pozbawiony odwagi i rozumu politycznego. Chodzi na wszystkie przyjęcia, był nawet na imprezie, którą wydawca urządził z okazji wydania nowej książki Urbana. To akt rzadkiej odwagi u człowieka mającego polityczne ambicje.

**KRZAKLEWSKI Marian - nieznaną przewodniczący znanego Związku**

- Przyszedł na miejsce Wałęsy, ale nie umiem o nim powiedzieć nawet tyle co o Wałęsie. Zrobiliśmy w „NIE“ konkurs. Opublikowaliśmy parę zdjęć, aby czytelnicy podali, który to jest ten przewodniczący „Solidarności“. Mało kto próbował nawet odgadnąć, a większość biorących udział w zabawie nie odgadła.

**KUROŃ Jacek - Makarenko**

- Zrobiła na mnie wrażenie jego książka „Wiara i wina“, którą dopiero ostatnio przeczytałem. Książka ta jest współczesnym modelem żywotów świętych. Autobiografią świętego. Kuroń jako autor i bohater razi tylko tym, że wydaje się człowiekiem totalnie w sobie zakochanym. On opowiada szeroko o swych błędach, słabościach i kocha się w sobie! Gdyby nie ten zachwyt nad sobą, uwierzyłbym w taką sylwetkę Kuronia, jaką przekonująco przedstawił. Ale zakochani zawsze idealizują obiekt swych uczuć. Kuroń jest za piękny, żeby mógł być w pełni prawdziwy, ale mimo to jest wiarygodny. Kuroń zaświadcza o tym całą swoją postawą. Jest dla mnie ujmujący przez wnikliwość swoich obserwacji, także odnoszących się do przeszłości. Opisuje formację, której byłem uczestnikiem (epoka ZMP i Października), póki nasze drogi się nie rozeszły. Bardzo utożsamiam się z tym, co opisuje Kuroń, z jego obserwacjami i wzruszeniami.

On ma naturalną żyłkę pedagogiczną o wielkiej sile. Taki Makarenko trochę. Podziwiam, choć tego nie cierpię. To jest najgorsze zajęcie dla mężczyzny. A to całe harcerstwo... brrr.

## **KWAŚNIEWSKI Aleksander - zdolny, ale co z tego?**

### **- *Grzechu komunizmu czy postkomunizmu nigdy z siebie nie strząśnię?***

- Myślę, że nigdy. Kwaśniewski jest postacią zmarnowaną przez okoliczności historyczne. Został wciągnięty do garnituru poprzedniej władzy w jej ostatnich chwilach szukania nowych ludzi: młodych, świątłych, śmiałych i otwartych. Umoczył się udziałem w tamtej ekipie i tylko przypadkiem nie związał się z opozycją. Równie dobrze mógłby znaleźć się po drugiej stronie, gdzie zaszedłby bardzo wysoko.

Błyskotliwy, urodzony polityk. Świetnie mówi, niezłe pisze, znakomicie kontaktuje się z salą każdego typu, o co u inteligenta trudno.

Gospodarzył sobą niby trafnie. Odmówił np. wejścia do władz PZPR w okresie schyłkowym, ponieważ słusznie uważał, że partia już nie ma szans i że lepiej w to nie włączyć. Ale wcześniej wszedł do rządu. Z drugiej strony - gdyby nie wszedł, to by nie istniał. Byłby sobie redaktorem „Sztandaru Młodych“. Jeśli mnie pytają, kto najbardziej nadawałby się ze względu na cechy osobiste do kierowania rządem - odpowiadam: Kwaśniewski.

## **LISZCZ Teresa - ???**

- Kto? Nigdy o niej nie słyszałem.

## **MAZIARSKI Jacek - objaw pustki**

- Maziarski jest dobrą ilustracją przysłowia: „Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma“. Stanowi objaw pustki politycznej i personalnej, jaka panuje wokół Wałęsy. Wódz wziął z „Tygodnika Solidarność“, kogo mógł, kto tylko potrafił coś napisać, sporządzić jakiś program polityczny, pomędrkować.

### **- *To źle świadczy o Wałęsie, ale czy dobrze o Maziarskim?***

- Maziarski jest jednym z tych elastycznych ludzi, którzy w silnym kandydacie na dyktatora i w perspektywie zdobycia przez grupę belwederską kontroli nad Polską, dostrzegli swoją osobistą szansę.

### **- *Maziarski jest dobrym publicystą?***

- Był niezłym, trochę nudnawym, zawsze w swych artykułach nauczał niczym klecha. Nigdy jako publicysta nie miał szczególnego wzięcia u czytelników, bo pisał trochę frazesowate ogólniki, ale pisał gładko.

### **- *Jako polemista „Tygodnika Solidarność“ liczył się jednak.***

- Ja tych jego felietonów przesadnie nie czytałem, ale nie były to jakieś błyszczące rzeczy. Maziarski zawsze był facetem o trudnym charakterze. Śledziennik, pełen urazów, kompleksów, ciągle obrażony o to, że jest niedopieczony, niedoceniany. Kiedy z

początkiem roku 1969 wróciłem do „Polityki“ po trzyletnich przymusowych wakacjach, Maziarski - wzięty tam z kierownika wydziału propagandy SD - był kierownikiem działu krajowego, ale nie byli z niego za bardzo zadowoleni. Każdy zresztą chętnie wyzbywał się tej funkcji, bo była mało prestiżowa, a trzeba było siedzieć w redakcji i ślęczeć nad tekstami. On bez specjalnych oporów ustąpił mi miejsca. Już wtedy uchodził za wiecznie urażoną dziewczęcę.

**- *To kameleon polityczny czy ktoś bardziej skomplikowany?***

- Myślę, że on rzeczywiście ulega pewnym ideom, wierzy w nie i przestrzega reguł z nich płynących. To nie jest jakiś prosty dworak. Kariery polityczne to jest ważne kryterium dla oceny stosunków w kraju. Skoro Maziarski zrobił karierę, Polska jest bliska dna jako kraj o stosunkach podłych, zapyziałych i peryferyjny. Maziarski to tak nudny temat, że nudzę się nawet, kiedy o nim mówię.

**MICHNIK Adam - zwierzę polityczne ze skazą**

**- *Miał siedzieć wtedy, gdy pan miał wisieć. Czy coś zmieniło się w tej przepowiedni?***

- Michnik będzie siedział, a ja będę wisiał w sytuacji skrajnej, gdy Polska zerwie z wszelkimi pozorami demokracji i parlamentaryzmu, a będzie tu panować jakaś skrajnie prawicowa dyktatura.

**- *To znaczy, że ta perspektywa jest ciągle otwarta?***

- Otwarta, ale mało prawdopodobna. Nawet jeśli w Polsce etap transformacji ustrojowej skończy się władzą autorytarną, to będzie to półdyktatura przypominająca rządy Piłsudskiego. W Polsce nic nie jest radykalne całkowicie, wszystko zmiękzone przez niekonsekwencję i bałagan. Stalinizm też był łagodny. Dyktatura nie będzie krwawa. Michnika nie posadzą. Chyba, że na trochę. Mnie nie powieszają. Pobią i puszczą na jednej nodze, bo tylko drugą mi wyrwą z dupy. Michnik nie będzie siedział, bo to będzie niewygodne dla władzy - wieloletniego więźnia komuchów znowu wsadzać do więzienia. Można zatem uznać, że Michnik swoje już wysiedział.

Mój podziw dla Michnika rośnie. Jest to człowiek, który okazuje samodzielność, niezłomność i charakter. Zawsze mówi prawdę i to w chwili, gdy należy ją powiedzieć. Jeden z tych, którzy mają dobry kawał rządu dusz. On - głównie poprzez swoją gazetę i pozycję. Michnik jest pewnego rodzaju wyrocznią polityczno-moralną, i to dla ludzi o często różnych orientacjach politycznych. Jednocześnie -jak większość ludzi powiązanych z Mazowieckim - nie posiada dużych umiejętności uprawiania polityki czynu, takiej, która polega na organizowaniu struktur, polityki skutecznej, opartej na nabieraniu siły. Michnik nie umie stworzyć innej siły niż intelektualno-moralna. To jest najlepszy obecnie i najmądrzejszy polski publicysta polityczny.

Poza tym jeden z najlepszych mówców. Jąkanie mu w tym pomaga. W końcu XX wieku gwiazdy nie mogą być za gładkie, muszą mieć skazy.

**- *Ostatnio słyszy się, że Michnik zamierza odejść od polityki?***



- Prywatnie gada, że nie będzie kandydował, że ma dosyć, że chce robić gazetę, której przecież nigdy nie robił. Nie jest to redaktor, który siedzi i redaguje, ale patron polityczny pisma... Gdyby w tym samym duchu odezwał się publicznie, to opublikowałbym coś bardzo wobec niego jadawego. No bo jak to? Przez długie lata zmierzał do obalenia ustroju, w imię tego siedział w więzieniach, potem wziął udział w obradach okrągłego stołu, wygrał wybory, wysunął hasło przejścia władzy, to słowo ciałem się stało. W jakiejś znaczącej części wziął tym wszystkim odpowiedzialność za państwo i bieg wydarzeń. Skoro się to wszystko zrobiło, to powinno się po prostu odpowiedzialność ponosić, a nie mówić: nie to sobie wymarzyłem, fuj, brzydkie, więc brudźcie się beze mnie. A niech cholera walczy o swoją wizję kraju! I to nieważne, że Wałęsa wykołegował Mazowieckiego i jego ludzi. Ma się odpowiedzialność za skutki tego wszystkiego, co się zrobiło dotychczas i teraz psim obowiązkiem Michnika i ludzi mu podobnych jest walczyć z zagrożeniem autorytatywnym, z prawicą - o zachowanie podstawowych ideałów, o które szło im przez długie lata otwartej i podziemnej walki. A jak się okazuje, że to nie tak łatwo i jak idzie ku prawicowej dyktaturze, no to Michnik: „Dziękujemy, przepraszamy“. Po prostu natłukło się porcelany, odebrało się władzę systemowi, który się nie podobał, ale który jednak ponosił za wszystko odpowiedzialność, a poza tym ewoluował w kierunku zgodnym z dążeniami takich dysydentów jak Michnik. Dziś nie wolno się obrażać. Skuteczne funkcjonowanie w polityce to tkwienie w niej i zmierzanie do władzy.

**- Myśli pan, że Michnik kokietuje tymi wypowiedziami czy mówi serio?**

- Słowa Michnika zawsze można traktować serio. To jest zwierzę polityczne, ale do parlamentu może rzeczywiście nie wejść.

**- To co, według pana, powinien robić, żeby nadal ponosić odpowiedzialność?**

- Organizować tę partię, w której tkwi. Jeździć, przemawiać, zbierać i porywać ludzi, konstruować programy, wpychać się do TV, a nie skłaniać się ku salonowym rozmówkom i okazywać gorycz. Być w parlamencie i pełnić tam istotną rolę.

## **MILLER Leszek - pracuś polityczny**

**- Mówi się o konflikcie między nim a Kwaśniewskim.**

- Dziś już tego konfliktu nie ma. Kwaśniewski starał się stać ponad frakcjami; jedną reprezentował Nałęcz, człowiek bliski Cimoszewiczowi, reprezentował tendencję gwałtownego odżegnywania się SdRP od komunistycznej przeszłości; drugą reprezentował Miller, który uważał, że SdRP musi oprzeć się na dawnej bazie PZPR, bo innej realnej bazy nie ma. Kwaśniewski sympatyzował ideologicznie z grupą Nałęcz, uznając pragmatyczne racje Millera. Balansował.

**- Miller jako polityk.**

- Sprawny organizator, facet pracowity - w odróżnieniu od Kwaśniewskiego. W codziennym życiu partii ma to duże znaczenie.

**- A jego populizm?**

- Przywódca partii lewicowej musi być trochę populistyczny, ale to nie jest żaden populistyczny demagog czy ktoś, kto ślepo dyskontuje nastroje społeczne.

### **MIODOWICZ Alfred - zręczny podstarzały**

*- Jak pan mu wróży?*

- Jak najgorzej. To jest jakiś cud, że on się tak długo utrzymywał na czele OPZZ. Tam już dawno narosły antagonizmy personalne, powstały grupy interesów, mnożą się wzajemne niechęci, zwłaszcza wobec przywódcy, ale on trwał.

Miodowicz to polityk mętny, zawsze nieokreślony, zawsze stawiający na różne konie, nieszczerzy - co innego mówi, co innego robi. Już podstarzały, ale zręczny, nie pozbawiony talentu i inteligencji. Dziwna postać; niezwykle rzadko się zdarza, żeby chłopak ze środowiska wyraziście inteligentnego został robotnikiem; był aparaczką, z aparatu powrócił do zajęć robotniczych, jako robotnik trwał parę dziesiątków lat, po czym z powrotem stał się aparaczką, członkiem KC i Biura Politycznego.

### **NAJDER Zdzisław - ambitne nic**

*- Napisał pan o nim przewrotnie „nieszpieg“.*

- Jest rzeczą niewątpliwą, wynikającą chociażby z książek Nowaka-Jeziorańskiego o „Wolnej Europie“, że dyrektor Sekcji Polskiej RWE musi być aprobowany przez CIA. Zważywszy, że Najder wyjechał z Polski i od razu został dyrektorem to przy tamtejszych bardzo ostrożnych procedurach przyjmowania zwykłych pracowników trudno uwierzyć, aby był to człowiek obcy amerykańskim służbom specjalnym. „Szpieg“ czy „agent“ - to nie były i nie są kategorie, w jakich odbywała się realna współpraca ludzi politycznych. Szpieg zdobywa i przekazuje tajemnice, natomiast współpracownik polityczny, czy tylko człowiek politycznie zaufany, to zupełnie inna para kaloszy.

Myśmy z niego zrobili szpiega, bo wedle naszej tradycji polityczno-prawnej, tj. stalinowskiej, każdy jest szpiegiem, kto ma kontakty.

*- Jaki z niego polityk?*

- Ambitny. Ale niczym szczególnym się nie odznacza.

*- Jak go pan odbiera w obecnej ekipie władzy?*

- Nie jest to postać mi sympatyczna, ale nie jest najbardziej skrajny w tym, co mówi. Ma jednak zachodni szlif, nie wdaje się w awanturniczo-dyktatorskie zapędy.

### **OLSZEWSKI Jan - żelazna racja**

- Odmówił sformułowania rządu po Mazowieckim i od tego czasu przechowywany jest w konserwie jako żelazna racja polityczna na czarną godzinę. Kiedy lud zażąda ostatecznie

głowy Balcerowicza, wtedy ogłosi się otwarcie puszek, z której wyjdzie Olszewski. Człowiek, który nie chciał grać z Balcerowiczem, jako anti-Balcerowicz stanie na czele nowego rządu.

**- Był pańskim kolegą redakcyjnym w „Po prostu“**

- Do „Po prostu“ przyszedł z Namiotkiewiczem, który potem został osobistym sekretarzem Gomułki i kierownikiem wydziału w KC. Obaj przyszli z uniwersytetu, gdzie byli asystentami na wydziale prawa.

**- Czytając ówczesne publikacje Olszewskiego nie odnosi się wrażenia, że odstawał od zdecydowanie lewicowej linii pisma, ale że raczej ją wspierał.**

- Uchodził za człowieka mądrego i tajemniczego. Nie wiadomo było, z kim jest powiązany ani do czego zmierza. Była w nim trudna do rozszyfrowania siła i powaga. Był wyraźnie przeciwny wiązaniu się redakcji z grupą puławską, czyli z liberalniejszym skrzydłem partii. Pamiętam taki moment, że w redakcji lękaliśmy się go, niesłusznie podejrzewając, że chce przejąć władzę w „Po prostu“, albo nawet że ma jakieś powiązania z UB. To był absurd, ale mieliśmy wówczas obsesję, że wśród nas muszą być agenci, a on był taki zamknięty w sobie, tajemniczy i emanował jakąś siłą. Głowiliśmy się, jakie jest jej źródło.

**- Nie okazywał żadnych sympatii politycznych?**

- Po październiku '56 zespół „Po prostu“ podzielił się na dwie grupy. Pierwsza, liczniejsza, pragnęła stworzyć coś w rodzaju opozycji wobec Gomułki dla obrony demokratycznych zdobyczy Października. Mieliśmy powiązania z partyjnymi liberałami. Druga grupa była za tym, by wobec Gomułki zająć pozycje bardziej ugodowe, a jednocześnie bardziej narodowe. Oni chcieli popierać wątki samodzielności narodowej, utrzymywać dobre stosunki z Kościołem. Były to załączki tych podziałów, które istnieją do dziś.

**- Olszewski versus Urban?**

- W każdym razie Olszewski to był, u schyłku „Po prostu“, prąd progomułkowski. Nie umiem powiedzieć, czy już w czasach „Po prostu“ Olszewski był związany z Kościołem. To było u nas takie niemożliwe, że aż niemożliwe.

**- Wie pan coś o domu, z którego pochodził? Znał pan jego rodzinę?**

- Nie. Właśnie pod każdym względem Olszewski był tajemniczy. Wiem tylko, że po zlikwidowaniu „Po prostu“ miał dłużej trudności w dostaniu się do adwokatury.

**- Z powodu pracy w „Po prostu“?**

- Tak. I chyba z powodu tych opozycyjnych już postaw, chociaż nie wiem, czym one wówczas się objawiały. Długo był podstarzałym aplikantem adwokackim. Nie utrzymywałem z nim kontaktów do czasu, aż mój przyjaciel Mieczysław Górski miał sprawę sądową. Pobiegłem wówczas do Olszewskiego, aby go bronił - po naszej starej znajomości z „Po prostu“. Górski nakradł się na jakichś kursach fryzjerskich i dostał wiele lat...

**- Czyli Olszewski bronił go nieskutecznie?**

- Sprawa była nie do obrony. Olszewski to bardzo dobry adwokat. Jest szanowany w palestrze za swoje umiejętności i talenty.

**- Wróćmy do obecnej roli Olszewskiego...**

- Można przypuszczać, że jest bardzo istotnym mózgiem Porozumienia Centrum.

**- Jaka może być relacja między nim a Kaczyńskimi?**

- Logika każe przypuszczać, że rywalizują ze sobą.

**- A między nim a Wałęsą?**

- Nie wiem. Jeśli jednak mam coś wróżyć, to Olszewski jest za dużego kalibru facetem jak na wytrzymałość Wałęsy.

**- W jakim sposób z Olszewskiego zrobił się taki duży polityk?**

- Z niego nie zrobił się duży polityk; nie można powiedzieć, że dużym politykiem jest potencjalny polityk. Olszewski nie odegrał jeszcze swojej roli. Z góry jednak wzbudza respekt swoją osobowością. Wiadomo, że ma łeb, wielką siłę wewnętrzną i mocny charakter.

### **PAWLICKI Szymon - dubler halabardnika**

- Nie znam. Słyszałem tylko, że to jakiś nieudany aktor, który grał ogony, zanim prezydent Wałęsa nie wszedł na scenę. Wałęsa przygarnia takie postacie, jak nieudany aktor czy trzeciorzędny piosenkarz Szczepanik, bo artyści i intelektualiści, którzy - jak Holoubek - klękali przed Wałęsą w 1980 roku, teraz skupili się wokół Mazowieckiego. Wałęsa zbiera nieudaczników, ponieważ nieudacznicy zawsze szukają podpórki politycznej. Podobnie robiła PZPR, która otaczała się i miała na karku miernoty z różnych dziedzin: malarstwa, literatury, teatru, filmu itd. Wykorzystując swe partyjne stanowiska, ci nieudacznicy utrudniali partii prowadzenie bardziej liberalnej czy otwartej polityki kulturalnej, bo dbali o swój monopol. Szczuli i judzili, a za swoją wierność żądali, żeby władza zapewniała im pozycję w sztuce i w życiu umysłowym, a pozycji tej przecież nie sposób było nadać, tak jak nadawało się arystokratyczne rangi wasalom.

Środowiska artystyczne zawsze kolebały się w ślad za biegiem zdarzeń politycznych. Większość poparła socrealizm i stalinizm, a ci, co nie poparli, stali na uboczu, na ogół starając się o to, by byli tolerowani. Po przełomie w 1956 roku niemal wszyscy dali się uwieść Gomułce. Antyinteligentka i zamordystyczna w dziedzinie kultury, ciasna polityka Gomułki zantagonizowała go z większością tych środowisk. Gdy nastał Gierek, znów wielu intelektualistów i artystów przyjęło postawę dworską, która nie wykluczała różnego brykania i krytyki werbalnej, bo stosunki były już bardziej liberalne. No, a kiedy pojawiła się „Solidarność“, to czołówka intelektualna i artystyczna w ogólnej ekstazie bezkrytycznie wdała się w romans z nową siłą.

**- Ale pozostała jej wierna.**

- Coraz mniej tej wierności, coraz więcej rozczarowania, bo artyści wyszli na durniów. Ta akurat orientacja, z którą sympatyzowali, przegrała bardzo szybko.

Oni wszyscy za socjalizmu mieli zapewnione utrzymanie, pracę i nie tylko eksponowaną pozycję społeczną, lecz również eksponowany status polityczny. Byli ważnymi osobistościami, z którymi władza się liczyła. Jak Wajda powiedział coś, czy coś podpisał, to całe Biuro Polityczne to dyskutowało. Dziś to środowisko traktowane jest jak zdechły szczer, nikogo nie obchodzi, a w sensie materialnym - bez motywów politycznych - poszło na śmietnik. Szczególnie Wałęsę, który nie ma na razie kompleksu prostaka, mało to obchodzi. A powołanie Szczepanika i tego... O kim my rozmawiamy?

**- O Szymonie Pawlickim.**

- ...i Pawlickiego jest upokorzeniem różnych Wajdów, Herbertów oraz innych tuzów świata sztuki.

### **SIŁA-NOWICKI Władysław - dodatkowe koło okrągłego stołu**

- W latach 1980-81 jako doradca „Solidarności” rzeczywiście szukał porozumienia z władzą.

**- Tak jak Michnik czy Geremek?**

- Był bardziej ugodowy. Wynikało to z rozwagi związanej z wiekiem, Siła-Nowicki doceniał naszą siłę, także ze względu na swoje przeżycia. Był czynnikiem łagodzącym i chyba dlatego parę lat później „Solidarność” nie chciała go wziąć do rozmów przy okrągłym stole.

**- Nie mogła mu wybaczyć udziału w Radzie Konsultacyjnej przy Jaruzelskim.**

- Być może. Wówczas Siła-Nowicki zgłosił się do naszej strony, prosząc, żeby mógł uczestniczyć w obradach okrągłego stołu. Ostatecznie wręcz dostawiono dla niego krzesło, co było trudne ze względu na rozmiary mebla oraz na postawę polityczną mecenasa. Przy stole był jedynym człowiekiem, który nie reprezentował żadnej ze stron. **- Z kim rozmawiał o uczestnictwie w obradach?**

- Myślę, że z Cioskiem. Przez to, że się wepchnął do stołu, niekandydował w wyborach jako człowiek „Solidarności”, a startując do senatu, siłą rzeczy występował przeciw niej. To spowodowało, że dziś jest postacią odrębną i schyłkową. Jest to pan już bardzo wiekowy, chociaż wciąż zachowuje wielką witalność. W sensie moralnym zmarniał teraz, zdarzył się wypadek, który odarł go ze spizu. Przejechał samochodem i zabił kobietę. Twierdził, że nie uciekł z miejsca wypadku, ale to rzecz dyskusyjna. Mam list z nazwiskiem i adresem autora. Píše, że gonił Mecenas, był pościg.

### **SIWEK Sławomir - podwładny swojego przełożonego**

- Siwek wywodzi się z PAX-u. Jest to taki pokojowiec polityki, dziennikarz z zawodu, postać mało znacząca. Poznałem go, kiedy robiliśmy Radę Prasową za czasów Messnera, albo jeszcze za Jaruzelskiego, nie pamiętam. Red. Siwek w tej radzie reprezentował prasę przykościelną. Był wówczas człowiekiem umiarkowanym i przymilnym, jeśli publicznie

powiedział coś ostrzejszego, to starał się to odrobić wyjaśnieniami w cztery oczy. Gdy za Rakowskiego miała być stworzona Rada Prasowa, bo kadencja starej się skończyła, Siwek szukał u mnie zapewnienia, że będzie do niej wzięty. Interesowały go zatem godności nawet czysto dekoracyjne i fikcyjne.

**- U prezydenta znalazł się przypadkowo?**

- Wałęsa zwyczajnie zbiera takie postacie, których cała kariera i istnienie polityczne jest zależne od szefa. Prezydent lubi ludzi dyspozycyjnych, a ludzie wywodzący się z PAX-u po roku 56 są na ogół giętycy i plastyczni. No, i są ciągle do wzięcia...

**- Czy Siwek jest w stanie narazić się prezydentowi?**

- Cóż za absurdalny pomysł?! Gdyby się naraził, tym samym przestałby istnieć politycznie, a żaden inny ośrodek by go do siebie chyba nie wziął.

### **SKUBISZEWSKI Krzysztof - półtora nieszczęścia**

- Skubiszewski w znacznej części jest odpowiedzialny za nieudolną politykę zagraniczną. Jest łącznikiem między epoką Mazowieckiego a epoką Wałęsy. Nie ma obecnie żadnej myśli w polskiej polityce zagranicznej. Od nowa otworzyły się wszystkie możliwości. Tymczasem, dużo gadania, dużo frazesów, pustych podróży, jakaś amatorszczyzna polegająca na braniu decorum za istotę. Żadnej koncepcji wobec Wschodu ani Zachodu. Wobec Zachodu postawa proszalna: „Może byśmy wstąpili do EWG? - Nie! Pogadamy za pięć lat! - Ach, tak, za pięć lat... no to dobrze“. Żadnej inicjatywy wobec krajów postkomunistycznych, żadnego pomysłu, tylko gadanie. Każdy z tych krajów biegnie sam ku wyśnionej Europie, czyli każdy z osobna wyciąga łapę, pragnąc odepchnąć konkurentów. Rywalizują ze sobą o dostęp do Europy. Jako blok mogłyby stanowić wspólnotę interesów, pewną realną siłę. Ale nikt nie miał pomysłu na wspólnotę interesów. Niczego nie uzgadniając, próbowano oprzeć blok na rozbieżnych interesach... Żadnej koncepcji. W polityce wschodniej lawirowaliśmy pomiędzy uznawaniem narodowych aspiracji Litwy a niejasną postawą wobec Gorbaczowa. W nowej sytuacji trochę zmadrzeliśmy...

**- Skąd zatem tak wysokie oceny społeczne zarówno polityki zagranicznej, jak i ministra Skubiszewskiego?**

- To, że polityka zagraniczna miała i nadal jeszcze ma wysoką aprobatę społeczną, wynika z niedojrzałości politycznej społeczeństwa. Uważam, że polityka zagraniczna to jest jedno wielkie fiasko, ale ono nie jest dla ludzi tak dostrzegalne i dolegliwe jak polityka wewnętrzna. W polityce zagranicznej zawsze łatwo zwodzić pozorami. Sukcesem realnym jest umowa z Niemcami.

**- Jaki udział w fiasku polityki zagranicznej ma Skubiszewski?**

- Duży. Jest to jeden z tych gładkich profesorów, którzy nie mają kalibru męża stanu. Polsce potrzebny jest polityk, a nie ekspert. To, że Skubiszewski jest salonowym panem, który zawsze umie się nienagannie wypowiedzieć w telewizji i godnie wygląda w garniturze, nic nie znaczy. To jest kompletna pomyłka!

W tej zupełnie nowej sytuacji, w jakiej znajduje się obecnie Polska, ta część Europy i Związek Radziecki, potrzebny jest przenikliwy i dynamiczny polityk, czyli ktoś, kto urzeczywistnia skuteczną politykę, a nie reprezentuje kraj na salonach. Uważam Skubiszewskiego za bardziej trwale nieszczęście dla Polski niż wielu innych polityków, bardziej obrzydliwych w tym co mówią i jak wyglądają. Szkody, które wyrządził Skubiszewski nie dorastając do swej roli, lecz tworząc pozory, są już w dużym stopniu nieodwracalne. Moment historyczny korzystny dla Polski już był. Minął i nie wróci.

**- Czyżby nie było alternatywy dla Skubiszewskiego w rządzie Bieleckiego?**

- Zawsze jest alternatywa. Zapewniam panów, że o ministra spraw zagranicznych łatwiej niż o ministra przemysłu. MSZ-em kierować może każdy polityk, byleby to był polityk odpowiednio dużego kalibru, z wizją.

**- Widzi pan kogoś na miejscu Skubiszewskiego?**

- W stajni prezydenckiej nie ma nikogo takiego. A z zewnątrz? Może Micewski, może Andrzej Walicki - teraz już na emigracji, ale niewątpliwie zna się na polityce. Ludzi zajmujących się polityką międzynarodową znam tylko z lektur, ale w końcu to nie ja muszę kompletować gabinet.

**TEJKOWSKI Bernard - secundo voto Bolesław**

**- Dlaczego Tejkowskiego nie było w „Alfabcie“?**

- Zapomniałem o nim. Dopiero wysyłane przez niego memoriały sprowokowały wiele osób do wypowiedzi na jego temat i uczyniły go postacią publiczną.

**- Poznał go pan w Krakowie, w siedzibie partii na UJ.**

- Na początku roku 57 jako członka egzekutywy wojewódzkiej, czołowego działacza radykalnego nurtu październikowego w łonie PZPR. Tejkowski chodził wówczas w parze, w politycznej symbiozie, z Markiem Waldenbergiem, członkiem egzekutywy, sekretarzem partii. Reprezentowali obaj ten sam nurt. Mówię o tym tylko dlatego, że przyjaźń z Waldenbergiem świadczy, iż Benio nie brzydził się wówczas Żydami, tak jak się brzydzi dziś.

Później Tejkowski - jak zresztą cały ten nurt - został odsunięty od życia politycznego, wylano go też chyba z partii. Władza dbała o to, żeby oderwać radykalnych działaczy od ich naturalnego miejsca pracy politycznej. Cyrankiewicz jako partyjny patron Krakowa załatwił Tejkowskiemu mieszkanie w Warszawie, na Hożej, gdzie najprawdopodobniej mieszka do dziś. Na krótki czas został jakimś doradcą studentów czy kimś takim.

Kolejny raz usłyszałem o Beniu, gdy w KC powielano i szeroko rozsyłano dokument pt. „Dziennik Tejkowskiego“. W tych zapiskach były bardzo pikantne szczegóły polityczne i erotyczne. Cały aparat partyjny rajcował się tymi memuarami.

**- Kiedy to było?**

- Pod koniec lat 50. Tejkowski występował w tym dzienniku jako wielki przywódca, którym się czuł w swoich oczach. Dziennik był projekcją mega-lomańskich marzeń autora. Codzienne szare wydarzenia interpretował on w swojej wyobraźni jako działania o wielkim znaczeniu politycznym. Był on niczym dziecko, które jadąc na hulajnodze wyobraża sobie i udaje, że leci samolotem.

**- Dziennik rozpowszechniano jako dokument polityczny czy jako kuriozum?**

- Jako poważny dokument kompromitujący samego Tejkowskiego i co ważniejsze ludzi, o których pisał. On np. dokładnie opisywał, jak rżnie Irenę Lewandowską. Był to bardzo komiczny fragment, bo oboje podczas uprawiania miłości rozmawiali o polityce. Oczywiście nie wiem, czy to było wspomnienie prawdziwe w warstwie erotycznej, czy projekcja onanistycznych marzeń. Cały aparat z rechem się w to wczytywał.

Pamiętam też fragment dotyczący mnie. Byłem w Krakowie i prowadziłem z Tejkowskim zwykłą rozmówkę plotkarsko-polityczną. Gawędziliśmy o tym, co się dzieje w Związku Radzieckim, co z tego wyniknie i na różne tematy. On zaś zwykłą rozmówkę opisał sztabowym językiem. Było coś takiego: „Przyjechał Urban. Omawialiśmy możliwości oddziaływania na sytuację w Moskwie“ itd. itp. Po czym dorzucał własne refleksje: „Trzeba dotrzeć do radzieckiej generalicji“. No i z zapisków wynikało, że Urban z Beniem szykują wręcz zamach stanu w Moskwie. „Odbyliśmy naradę. Dokonaliśmy podziału zadań“. No, tak jakoś...

Później przechodził jakąś ewolucję polityczną, której szczegółów nie znam. Był działaczem ateistycznym, podejrzewano go o współpracę z MSW.

Tejkowski to folklor polityczny. Regularnie dostaję od niego odezwy o tym, że Żydzi rządzą światem, że wniknęli do Episkopatu, tak nam dopomóż Bóg. To takie zabawne...

Kieszonkowy przywódca kilku osób, osoba samokreująca się, mitoman. W każdym normalnym kraju takich Tejkowskich jest stu lub tysiąc i nikt nie zwraca na nich większej uwagi, bo wszyscy traktują ich politykowanie jako nieszkodliwe hobby domowe.

U nas, kiedy maniak objawia antysemityzm nadeptuje na tak czuły odcisk, że ma zapewniony rozgłos i traktowanie serio.

**- A zatem nie jest pan za tym, żeby zamykać go w kryminale?**

- Nie, nie. Publicznie powiedziałem, że śledztwo przeciw Beniowi jest zjawiskiem niepokojącym i niebezpiecznym, ponieważ stanowi próbę wszczęcia procesu politycznego o poglądy. «Próbą najłatwiejszą, bo poglądy Tejkowskiego są tak skrajne i niepopularne, że karne przeciwdziałanie im nie wzbudzi oburzenia Zachodu. Sam precedens byłby jednak groźny dla wszystkich. Nieszkodliwość Tejkowskiego jest dla mnie wręcz oczywista.



## Ściśle tajne / całkiem jawne

*W jubileuszowym, 1500. numerze „Polityki“ (luty 1986 r.) redakcja przypomniała trzy teksty, które ściągnęły gromy na zespół i jego redaktora naczelnego. Obok „Notatek“ Jerzego Andrzejewskiego i „Zezowatego szczęścia“ Krystyny Zielińskiej znalazł się słynny (później) artykuł Jerzego Urbana.*

*Daniel Passent napisał w okrągłym numerze „Polityki“: Burza wybuchła z powodu pamfletu Jerzego Urbana „Jego totalność doktor Marcinkowski“ (10/63). Reportaż o kontrowersyjnym działaczu antyalkoholowym, który w swej obronie dotarł bardzo wysoko, wzburzył W. Gomułkę - człowieka surowych obyczajów, który być może odebrał tekst jako paszkwil dziennikarski na społecznika oddanego słusznej idei. Redaktor naczelny, który tekstu w ogóle nie znał, gdyż nie było go wówczas w Warszawie, wezwany został na najwyższy szczebel, gdzie posypały się na niego gromy; musiał napisać przeprosiny, które I sekretarz osobiście zatwierdził, zaś Urban otrzymał zakaz pisania. (Pisywał nadal pod pseudonimem m. in. w POLITYCE i w ŻYCIU GOSPODARCZYM dzięki życzliwości i dyskrecji kolegów. Wtedy narodził się Jan Rem!)*

### Jego totalność dr Marcinkowski

Czym była międzynarodówka Żydów, masonów i cyklistów dla idei chrześcijańsko-narodowej, tym pijacka fraternalia dla boga trzeźwości i jego proroka. Pisuje doktor sążniste listy do gazet i czasopism. To żąda w nim obozów koncentracyjnych dla pijaków, to kary śmierci dla nadmiernie chutliwych młodzieńców, dybiących na honor polskich dziewczyc, to przymusowej sterylizacji, ówdzie „umoralnienia“ dzieła filmowego przy użyciu nożyczek.

Dr Włodzimierz Marcinkowski zrobi wielką karierę. Może nie w polityce, może nie w medycynie, może nie w życiu. W literaturze. I to niejako autor -jako bohater.

W naszej, zbyt mądrej już, epoce wszyscy nawzajem się znają, rozumieją

I coraz to bardziej nawzajem zgadzają. Powstaje deficyt typów nie przystosowanych ekstremistów. Jeśli potomni nas zapytają: „jacy byliście?“, sformułują to tak: „Z kogoście się śmiali?“.- Będziemy mogli odpowiedzieć: z doktora Marcinkowskiego. I będzie to dla nas doskonałą legitymacją zdrowia psychicznego. Dlatego zawczasu trzeba dr Marcinkowskiego docenić, chronić i pielęgnować, żeby się nam nie przeziębził. Telefonicznie umówiony, idę do jaskini lwa. Kamienicę wskaże każde dziecko: mieszka tu Drobner. Drapię się schodami pełen emocji. To tutaj sąsiad z góry spuszcza po nocy na sznurku butelkę od wódki i stuka w okno doktora. To tu nad ranem dzwonią pijacy: „Włodziu, przepraszam, że cię budzę, ale postanowiłem przestać pić“. To tu wreszcie powstają publicystyczne dzieła w formie broszur i ulotek pióra W. Marcinkowskiego, na które przez lata wydawano 10 proc. funduszy powstałych z pobierania opłat od alkoholu.

Przed drzwiami, uprzedzony, odrzuciłem papierosa. W hallu istotnie widnieje napis zakazujący palenia. Siedzę, czekam. Na ścianie landszaft. Martwa natura jak żywa: karafeczka z wiśniówką, kieliszek, dobra witaminowa zakąska z owoców. Jestem pełen

podziwu: nawet średniowieczni mnisi nie wieszali w swoich celach podobizn nagich dziwek, żeby pobudziwszy namiętności, tym większą mieć zasługę w ich zwalczaniu i chłostaniu.

„Proszę tylko nie pisać polemicznie“ - zaczyna rozmowę doktor. I uprzejmie wyjaśnia, że „nas“ postawiono „na“ zwalczaniu alkoholizmu. Więc gdy przedstawiciel jakiegoś pisma polemizuje z doktorem, to potem każą mu odszczekać, a pismo publikuje wywiad z Marcinkowskim. I to nie byle jaki, tylko długi i ze zdjęciem.

Doktor prezentuje poglądy. „Tak, ja jestem skrajny“. Społeczeństwo i państwo może wszystko nakazać jednostce dla dobra ogółu. „U nas w ogóle się nie karze. Należałoby podwoić wszystkie wyroki i zaostrzyć reżim więzienny. Dziś z więzienia ludzie się tylko śmieją“.

Niestety cytuję z pamięci. Nie stawało czasu na notowanie. Nawet dziennikarz zapomina notesu w rękę, kiedy mu pokażą w lunaparku głowę bez kobiety.

Uważamy koleiny życiowe człowieka za automatyczne świadectwo tego, jak umeblowana jest jego głowa. Z życiorysów, sposobu kształcenia i grupowej przynależności bezbłędnie czytamy myśli jednostki. Silny człowiek z dra Marcinkowskiego, skoro tak doskonale oparł się swojemu lewicowemu rodowodowi, zachowując pełną niezależność przekonań i postawy. Ba, nie ma go się nawet zawodowa tradycja - bo proszę: lekarz - miłośnik kary śmierci.

Spotkanie z dr. Marcinkowskim to przygoda poznawcza. Żyjemy w szklanej klatce, uważając tolerancję za naturalny stan człowieka w 1963 roku. W traktowaniu tego, jako zasady, umacniałoby nas nawet istnienie wyjątku pn. dr Marcinkowski, plamki kontrastowej, punktu odniesienia dla naszego liberalizmu i tolerancji, gdyby nie wiedza o tym, że wszyscy się śmieją, drwią, a nagle jego żądania znajdują posłuch i egzekutywę. I to mimo, że przecie nikt nie śmiałyby przyznać się do samej krynicy doktorowskich żądań - do wspólnoty z jego przekonaniami.

Gospodarz formułuje swój program w sprawach ściśle alkoholowych:

- 1) Podnieść ceny alkoholu o 100 procent,
- 2) Za bimber 10 lat więzienia,
- 3) Nagrody dla milicjantów za wykrycie bimbrowni,
- 4) Ministerstwa i wszystkie resorty prowadzą propagandę antyalkoholową (...)
- i 10) Nagrody dla działaczy przeciwalkoholowych, a usuwać z kierowniczych stanowisk pijaków.

Idziemy z dr. Marcinkowskim pod rękę przez Planty. Doktor zwierza się, że w okolicznościach uroczystych pija kieliszek wina. Rozumiem. Papieżowi wolno zakląć. Jest ponad potoczną grzecznością.

Jego Totalność żegnam w stylowej kamieniczce w Rynku. Towarzystwo Świadomego Ciotkostwa urządza tu pogadankę na tematy seksualne. Trzecim po alkoholu i nikotynie hobby doktora jest seks.

Kraków powiada: maniak. I zastrzega się: pożyteczny maniak. Walczy z pijaństwem, bezwzględnie kieruje alkoholików na leczenie, ograniczył liczbę spelunek, które z dawna już zapomniały, że mają nie tylko poić, ale i żywić! Ofiarny!

Kraków też dodaje: i owszem, Marcinkowski przesala. Kiedy w telewizji coś powiedzą o wódce, albo w jakiejś sztuce bohaterowie wzniosą kieliszek, od razu ktoś z personelu biegnie do telefonu, bo wiadomo, że Marcinkowski za chwilę się odezwie, by protestować. Gdy któryś z szanownych obywateli grodu upije się, Marcinkowski każe zamykać do pudła. Teraz sprawił, że w barach samoobsługowych nie można palić. Kraków się też martwi: doktor sprawił, że wycięto scenę gwałtu z filmu „Matka i córka“ - bardzo nieprzyjemna sprawa - w tyłu gazetach się z tego śmiano. No i dodaje Kraków - nudzi z tą wódką Marcinkowski.

Ale - tłumaczą mi w Krakowie - tak to już jest, że ofiarny społecznik „na niwie“ jest zwykle zapalonym maniakiem, fanatykiem sprawy. Przesadzanie - to normalny koszt własny działania. Tylko zapaleńcy odnoszą rezultaty. A zapaleniec, wiadomo, zawsze nie jest taki jak inni - rozumni zgaszeńcy.

Nie jestem tak bardzo pewien, że dobro w postaci zamknięcia kilku knajp i kilku pijaków stanowi ekwiwalentną zapłatę za zło w postaci podniesienia przez Marcinkowskiego antyalkoholizmu do rzędu ideologii, rodzącej dziwne poglądy szczegółowe (acz skądś już znane). Alkoholizm co prawda głowie szkodzi, ale nie tak, jak antyalkoholizm w krakowskim wydaniu: nie tworzy ideologii pijaństwa.

Tylko czy zgłaszając z powagą zastrzeżenia wobec apoważnego zjawiska nie staję się Marcinkowskim a rebours?

Nie wszyscy podzielają moje na Marcinkowskiego poglądy. Np. ojciec Marian Pirożyński pisze na łamach tygodnika „Odgłosy“, że odnalazł w dr. Marcinkowskim pobratymca, któremu przyświecają te same ideały, co jemu, kiedy pisał książkę „Co czytać“. List swój wielbny ojciec kończy tak: „Cieszę się z tej zgodności poglądów w sprawach tak zasadniczych. Wyrażam najwyższe uznanie dr. Marcinkowskiemu za prawość Jego etyki seksualnej, jak również za odwagę w głoszeniu zasad obecnie bardzo niemodnych“. Ktoś inny dopuszczał, by Marcinkowski dysponował ogromnymi funduszami na wydawanie w wielkim nakładzie swojej własnej twórczości.

Dr Marcinkowski sam produkuje i sam wydaje krótkie, ale rozliczne dzieła na tematy ekonomiczne, artystyczne, społeczne i polityczne.

Jego program artystyczny miał np. dwie edycje: zwykłą i luksusową. Nakład łączny 45 tys. egzemplarzy. Dziełko poza wyborem wierszy mieści przedmowę doktora tak „ułatwiająca“ literaturę: „Walka z alkoholizmem, to po prostu nauka: jak mądrzej, piękniej, szlachetniej, zdrowiej, pełniej i radośniej żyć. W propagandzie tego nowego, wyższego, wspaniałego stylu życia olbrzymią rolę ma do spełnienia nowa, awangardowa poezja, która przejąc powinna z dawniejszej, rewolucyjnej poezji i publicystyki ich głęboką humanistyczną treść i troskę - zamówienie ludzkie i społeczne. Prawdziwa poezja wyczuwa je zawsze“.

Z poprzedzającego cytowanego akapitu wynika, że chodzi tu o antyalkoholizm jako nowy dla poezji program i sposób kontynuacji rewolucyjnych tradycji. Dalej idzie wybór poezji nieco eklektyczny w stawce autorskiej, ale komponowany za to monotematycznie. Znajdujemy tam wiersze: Jerzego Harasymowicza, Włodzimierza Majakowskiego oraz niejakich: Aurelii Kwiecińskiej i Katarzyny Mazur z Igołomina. Oto fragmenty:

„Gospoda przeszkadza w pracy i myśleniu  
I gotuje zgubę w przyszłym pokoleniu

*Udamy się z prośbą do naszej Ojczyzny  
Ona nam pomoże i zagoi blizny  
O Polsko Ludowa ulituj się przecie  
Zlikwiduj gospody - będzie szczęście w świecie.  
Skończą się nieszczęścia zapłakanych matek  
Poprawi się dola nieszczęśliwych dzieci  
O Polsko Ludowa, ulituj się przecie  
Zlikwiduj gospody na swe tysiąclecie“.*

1 tak 45 tysięcy razy.

Obraz dra Marcinkowskiego: działacza, ideologa, twórcy, cenzora, milicjanta i publicysty należy bowiem uzupełnić fotografią dra Marcinkowskiego -mecenasa sztuki poetyckiej. Oczywiście jego program artystyczny jest szerszy, jak tylko upatrywanie renesansu poezji w antyalkoholizmie. Masy, powiada dr Marcinkowski, oczekują od sztuki „gotowych stereotypów postępowania“. „Młodzieży trzeba hasel silnych, optymistycznych, niedwuznacznych, naukowych, apelujących do jej honoru, ambicji i entuzjazmu“.

Wielka jest historyczna złośliwość i przekorność losu, który nasłanie przed kilkudziesięciu laty katolikom o. Pirożyńskiego rekompensuje im, nas z kolei karząc doktorem Marcinkowskim. Skala postaci jest podobna, ale i różnica da się zauważyć zasadnicza: Pirożyński był wykwittem, Marcinkowski jest paradoksem.

Ktoś powie, że życie byłoby blade, gdyby nie istnieli ekstremiści. Można to ująć mocniej: higiena życia zbiorowego wymaga ich istnienia. W świeckim, cnotliwym życiu umysłowym też potrzeba diabła. Nie występuję więc przeciwko publicznemu istnieniu dra Marcinkowskiego. Jest to fakt nie tylko obiektywny, również pożyteczny. Ale oto znaki na niebie i ziemi wskazują, że ani się kto obejrzy, gdy będziemy mogli wyjść na Marcinkowskim jak katolicyzm na Pirożyńskim, albo Zabłocki na mydle.

Polityczny niepokój budzi fakt, że ktoś (może nie człowiek - ale jakaś nieuchwytna i na pewno metafizyczna siła) istnieniu radnego Marcinkowskiego nadaje status serio. Afirmowany dr Marcinkowski, dr Marcinkowski zwycięski w bojach o kastrację dzieła sztuki czy relegowanie prawa do palenia papierosów w barach samoobsługowych - tym silniej potrząsa sztandarem. I oto w małej rzeczy, o której tu traktuję, rysuje się problem ogólny pierwszej wagi: samoobwo-ływanie się, autokreowanie zupełnie wystarcza do zajmowania miejsca pod upatrzonym sztandarem. Na pytanie „Kto jest kto?“ odpowiada sam tylko dr Marcinkowski. A i to nie pytany. Nie ma skuteczniejszego sposobu na zamazywanie obrazu, kto w Polsce jest kto! Boć Pirożyński naszych czasów, popierany przez żywego i autentycznego ks. Pirożyńskiego ogłasza się... spadkobiercą Boya.

O Boże! Czy nadmiar trzeźwości nie unicestwił w autorze poczucia humoru i proporcji?

Jerzy Urban

\* \* \*

Warszawa, dnia ... sierpnia 1982 roku

Minister Spraw Wewnętrznych  
Towarzysz gen. Czesław KISZCZAK

W oparciu o informacje MSW i CZZK oświadczyłem korespondentowi „New York Timesa“ Darntonowi, że w Kwidzynie co prawda użyto pałek gumowych, ale nikt nie był poszkodowany, **nikt nie znalazł się w szpitalu** i podałem szczegóły zajęć mówiące o tym, że prawie nic się nie zdarzyło. Zarzuciłem Darntonowi kłamstwo.

W następstwie cofnięto mu na parę dni akredytację. Departament Stanu USA protestował i odebrał akredytację naszemu korespondentowi, Darnton oświadczył, że wierzy swoim źródłom itd. Następnie Glemp w Częstochowie podjął sprawę Kwidzyna popierając wersję Darntona.

Przygotowywałem do publikacji tekst o Darntonie i Kwidzynie, który miał podtrzymywać naszą wersję wydarzeń. Posłałem go do MSW i CZZK, aby skorygowano ewentualne nieścisłości. **MSW nie wniosło do tekstu zastrzeżeń.** CZZK przysłał mi swój raport o wydarzeniach, z którego wynika, że wiele szczegółów (w jednostronnej skądinąd relacji Darntona) potwierdza się, że moja wersja odbiegała od prawdy, że **w szpitalu po zajściach znalazło się 11 osób** bitych, nie bitych, udających że oberwali, ale fakt faktem.

W związku z tym bardzo poważnym wypadkiem mimowolnego, z pewnością, wprowadzenia w błąd rzecznika rządu i MSW bardzo proszę o spowodowanie, aby podległy Towarzyszowi Ministrowi aparat z większą pieczołowitością ustalał fakty przekazywane do wiadomości publicznej. Rzecznik rządu i inne osoby informujące środki masowego przekazu z ramienia władz państwowych muszą dysponować rzetelną wiedzą o zdarzeniach. Brak tej wiedzy prowadzi do dezawuowania oficjalnych źródeł i może pociągać za sobą różne złe komplikacje polityczne, jak tego dowodzi sprawa Darntona. Można w różny sposób podawać wydarzenia, można w uzasadnionych wypadkach w ogóle nie informować lub przedstawiać informacje częściowe - ale informujący, który bierze na siebie odpowiedzialność musi znać prawdę. Szczególnie jeśli oficjalnie reprezentuje rząd wobec prasy.

W związku z tym gorąco proszę o spowodowanie kierowania do mnie tych, możliwie pełnych informacji wewnętrznych MSW, które dotyczą wszystkich zdarzeń o jakich może wiedzieć lub jest prawdopodobne, że będzie wiedzieć, prasa zagraniczna. (Dziś o głódówce w Częstochowie dowiedziałem się, jak zwykle od zagranicznego dziennikarza). To samo dotyczy dokumentów kolportowanych przez podziemie.

Dziękując za przychylenie się do wniosku o urządzenie konferencji prasowej mojej i przedstawicieli MSW w dniu 31 sierpnia (i potem ewentualnie następnych) proszę o wydanie zaleceń, abym naprawdę wiedział, co się będzie działo, gdyż tylko wtedy z informacji tych można czynić właściwy użytek propagandowy.

Przesyłam w załączeniu tekst przygotowany do publikacji zawierający wersję wydarzeń jaką dysponowałem oraz raport CZZK. Z góry dziękuję i łączę wyrazy szacunku

Jerzy Urban

Do wiadomości: Wicepremier M.F. Rakowski

## **Fabryka okropności**

19 sierpnia o godzinie 12.00 „Wolna Europa“ nadała opowieść zatytułowaną „Akcja porządkowa oddziałów ZOMO w ośrodku odosobnienia w Kwidzynie“. Powiedziano: „Doniesienia te oparte są na informacjach korespondenta gazety NEW YORK TIMES w Polsce, Johna Darntona“.

**Darnton:** „ZOMO pobiło około 60 więźniów z zakładu w Kwidzynie. Sześciu więźniów z powodu ciężkiego pobicia umieszczono w szpitalu.“

**Prawda:** Do ośrodka dla internowanych w Kwidzynie przyjechały z wizytą rodziny. Internowani zebrali się za ogrodzeniem z siatki i pragnęli odbyć spotkanie zbiorowe, wyjść z wyznaczonego im do przebywania terytorium. Zaczęli przecinać siatkę. Straż więzienna udaremniała gremialne opuszczenie ośrodka w ten sposób, że tarczami obronnymi odepchnęła podopiecznych od ogrodzenia i rozganiała ich wodą z węża przytwierdzonego do hydrantu. Nie było żadnego ZOMO. Wezwano na wszelki wypadek milicję, ale znajdowała się ona w pogotowiu poza ośrodkiem. Ani jeden internowany nie doznał żadnego szwanku, ani wtedy, ani potem. Nikt nie został „ciężko pobity“, ani nikogo nie umieszczono w szpitalu“.

**Darnton:** „Decyzja władz więziennych spowodowała niepokoje wśród więźniów. Niektórzy z nich wybiegli z cel i wspięli się na dach budynku. Władze wezwały straż pożarną polecając jej podjęcie akcji, w celu zdławienia niepokojów, ale strażacy odmówili obsługiwania armatek wodnych. Wówczas za kierownicami pojazdów zasiedli milicjanci.“

**Prawda:** Rzeczywiście powstały niepokoje. Na dach się jednak nikt nie wspinał. Strażaków nie było, więc niczego nie odmawiali. Armatek wodnych także nie było, ani pojazdów, ani milicjantów.

**Darnton:** „Strumień wody jednej z sikawek zniósł z dachu jednego z więźniów. Przewieziono go do szpitala z uszkodzonym kręgosłupem.“

**Prawda:** Wszystko to fantazja. Uszczerbku doznał tylko kręgosłup zawodowy amerykańskiego korespondenta, który zawiera tajemniczym, anonimowym źródłem, nie weryfikując swych informacji. Dalszy przebieg wypadków był zaś taki, że internowani urządzili demonstrację protestacyjną i szturmowali dyżurki strażników oraz podpalali materace. Najaktywniej rozrabiających służba więzienna uspokoiła używając gumowych pałek. Nic więcej się nie zdarzyło.

Oczywiście gdyby te środki nie wystarczyły użyto by i innych, by zaprowadzić spokój. Internowanie polega bowiem na przymusowym ograniczeniu wolności poruszania się i komunikowania ludzi ze światem zewnętrznym. Gdyby przymus ten nie był egzekwowany, internowani po prostu rozeszliby się do domów.

Istota rzeczy jednak polega na tym, że z tego rodzaju, niezbyt wiekopomnych zdarzeń, posługując się zmyśleniami, lepi się dramatyczne horrory. Amerykańskim czytelnikom i polskim słuchaczom „Wolnej Europy“ sugeruje się, że w Kwidzynie była masakra, a ranni jęczą w szpitalach. Wkrótce zresztą radio to informowało o „krwawej łaźni w Kwidzynie“. W oparciu o „podziemne źródła“ mówiło ono też o rozstrzeliwaniu ludzi, już nie w Kwidzynie, ale gdzie indziej. W podziemiu i „Wolnej Europie“ istnieje coś w rodzaju propagandowej tęsknoty do krwi i trupów.

John Darnton, laureat najwyższego amerykańskiego lauru dla dziennikarzy - nagrody Pulitzera, uzyskanej ostatnio za korespondencje z Polski, ukarany został przez polskie władze za szerzenie nieprawdy i podniecanie nastrojów w naszym kraju oraz sprzeczne z etyką zawodową nie sprawdzenie nadawanych informacji, odebraniem karty akredytacyjnej na kilka dni. Ostrzeżono go także przed podawaniem w przyszłości niesprawdzonych faktów. Wiadomość o tym agencji poniosły w świat. Były też różne zdarzenia natury dyplomatycznej, o co mniejsza. John Darnton poinformowany został urzędowo o prawdziwym przebiegu wydarzeń w Kwidzynie, po czym złożył oświadczenie dla prasy zagranicznej, że on wierzy swoim źródłom z podziemia „Solidarności“ i już.

„Źródła“ są anonimowe i nieuchwytnie. Darnton jest wierzący-wierzy w to, w co chce wierzyć i to jego intymna - twierdzi - sprawa. W „Wolnej Europie“ i podobnych rozgłoszeniach sprawa Kwidzynie i sprawa Darntona kilkanaście razy pojawiała się w programie. Rezultat takich, niemal codziennych, zdarzeń propagandowych jest poważny: w wyobraźni spokojnego Amerykanina Polska ocieka krwią, a polski słuchacz „Wolnej Europy“ poczyna żyć w innym kraju, niż ten realny, który widzi. Doniesienia części korespondentów zachodnich o „okropnościach“ stanu wojennego są ustawicznymi dawkami podniecenia niezbędnego, by stale uzasadniać sankcje reaganowskie przed amerykańską opinią publiczną. Te same sensacje emitowane przez „Wolną Europę“ czy „Głos Ameryki“ służą do podjudzania emocji w Polsce.

*„MSW - bez uwag“.*

*Przykład konfliktów na tle napuszczania mnie w wyniku dezinformacji - Jerzy Urban 1991.*

\* \* \*

Warszawa, dnia 2 lutego 1983 r.

Prezes Rady Ministrów  
Towarzysz gen. armii Wojciech JARUZELSKI

Zwracam się z prośbą o zwolnienie mnie z funkcji Rzecznika Prasowego Rządu.

Grupa posłów na Sejm wyraziła niezadowolenie z tego, że w jednym z moich felietonów w „Tu i Teraz“ wzmiankowałem o tym, że niektóre przemówienia sejmowe (nie wskazywałem które) wzbudzają u mnie ujemne impresje.

Prośba moja o zwolnienie mnie z pracy państwowej wynika stąd, że:

- po pierwsze nie chcę utrudniać kierownictwu rządu współpracy z Sejmem czy też choćby powodować absorbowania przedstawicieli wysokich władz państwowych sprawami nikłego dla kraju znaczenia;

- po drugie ja sam pragnę uzyskać swobodę wypowiedzi publicystycznej (w tym oceny przemówień poselskich) skoro pełniona funkcja państwowa, zdaniem niektórych osób, w tak wysokim stopniu powinna obywatelskie prawo do krytyki ograniczać.

Sądzę, że jako publicysta potrafię być równie użyteczny we wspieraniu misji rządu Towarzysza Generała, co jako urzędnik państwowy.

Jerzy Urban Warszawa, dnia 05 lutego 1983 r.

Ob. Prof. dr Halina SKIBNIEWSKA  
V Marszałek Sejmu PRL

Szanowna Obywatelko!

Z upoważnienia Prezesa Rady Ministrów, gen. armii Wojciecha Jaruzelskiego informuję, że przekazane kierownictwu rządu krytyczne uwagi wypowiedziane przez posłów bezpartyjnych o fragmencie felietonu J. Urbana („Tu i Teraz“ nr 1/83) zostały przeze mnie wnikliwie rozpatrzone. Skoro odczucie posłów jest takie jakie jest, należy to potraktować je z należytą powagą. W związku z tym, odbyłem rozmowę z J. Urbanem, w której wskazałem mu na niestosowność użytych sformułowań. J. Urban zgodził się z przekazanymi mu uwagami i złożył na ręce Prezesa Rady Ministrów prośbę o zwolnienie go z funkcji Rzecznika Rządu. Prezes Rady Ministrów nie przyjął prośby J. Urbana. Aby jednak uniknąć na przyszłość nie służących nikomu zadrażnień uznałem, że J. Urban powinien zaprzestać publikowania felietonów pod swoim nazwiskiem, dlatego aby poglądów które wyraża w swej publicystyce nie traktowano jako stanowiska rządu. J. Urban oświadczył mi, że w ostatnim jaki wydrukuję felietonie zajmie publicznie stanowisko wobec krytyki, jaką Ob. V-Marszałek przekazała na ręce Prezesa Rady Ministrów i moje.

Załącznik:

Odpis pisma J. Urbana do Prezesa Rady Ministrów

*Pamiętam, że afera była konsekwencją moich felietonów, m.in. tekstu, w którym przypomniałem, że „Rycerz Niepokalanej“ św. Maksymiliana Kolbe był pismem antysemickim - Jerzy Urban.*



## Usta

Ten felieton jest dubeltowy, ponieważ ostatni. Dorzynanie autora „Samosądów“ jako felietonisty i publicysty wyłania problemy na tyle interesujące, że warte przedstawienia. Doświadczamy bowiem agonii pewnego eksperymentu.

Pracuję jako rzecznik rządu. W całym świecie na posadach tych dominują dziennikarze z zawodu. Jest w zwyczaju, że na czas wykonywania zajęcia rzecznika, krótki zazwyczaj, gdyż to praca o saperskich właściwościach - rzecznicy nie publikują w imieniu własnym. Rzecznik jest ustami swego rządu. Różni się owszem od głośnika, marionetki, aktora czy lektora, gdyż współtworzy, a na konferencjach prasowych często tworzy nawet ad hoc, interpretacje polityki swoich mocodawców. Jednakże, gdy rzecznik mówi - rząd przezeń przemawia. Jeśli zaś urzędnik ten popełni istotny błąd polityczny i rząd nie chce aprobować jego interpretacji, dla zaznaczenia tego zwykło się w większości krajów zmieniać rzecznika. Gdyby więc rzecznicy publicznie wypowiadali poglądy rządów, mieszając je ze swoimi własnymi, mogłoby dochodzić do nieporozumień. U nas doszło do nich właśnie.

Mój eksperyment polegał na niezależnym od państwowej posady uprawianiu zajęcia ubocznego. Było nim właśnie pisanie felietonów z cyklu „Samosądy“. Inaugurując go wyjaśniłem z całą mocą, że w tym miejscu prezentowane są wyłącznie prywatne poglądy Urbana. Przypominałem to wielokrotnie i podkreślałem zawzięcie. Odrębne od urzędowego, dziennikarskie wcielenie autora było rozumiane, jakoś to się wszystko utarło. Czytelnicy nie uważali moich harców za wyraz linii rządowej ani też nie mylili wystąpień oficjalnych z felietonistyką. Nawet korespondenci zachodni, niekiedy bezwzględni w doborze środków umożliwiających atakowanie naszego rządu i mocno złośliwi nie sięgali do tych felietonów, aby moje prywatne myśli i gusty przedstawiać jako rządowe. Nie donosili więc, że rząd poprzez swego rzecznika zaatakował jakiś film, czasopismo czy osobę, zadeklarował sybarytyzm, ogłosił pochwałę rozpusty.

Ostatnio jednak znalazły się osoby i instytucje, które na felietony te reagowały protestami uzasadnianymi tym, że w wypowiedzanych tu opiniach - wbrew wszystkim moim zastrzeżeniom - dopatrują się urzędowego stanowiska. Nieporozumienie? Niech Czytelnicy to osądzą. Udając, że felietonista myli się im z rzecznikiem, zmierzali do wyeliminowania z prasy mych opinii. Woleliby, aby w ogóle nie były one publikowane. Ta próba rozszerzenia cenzury na kwestie, które nie są związane z ważnymi interesami państwa, dozna niepowodzenia, gdyż mój następcą będzie dobrze kontynuował felietonistyczną linię swego poprzednika.

## Kochankowie wolności

Zgon eksperymentu polegającego na moim funkcjonowaniu w dwoistej roli, rzecznika i felietonisty, wart jest podsumowania. Niepowodzenie próby, jaką podjąłem, ukazuje bowiem problemy wcale nie jednoosobowe, lecz ogólniejsze.

Czy osoba, z urzędu wyrażająca stanowisko instytucji lub organizacji, jaką reprezentuje, może zarazem głosić swoje indywidualne przekonania? Kwestia ta dotyczy przecież nie tylko rzeczników prasowych (których mamy w Polsce około 600), ale wszystkich reprezentantów państwa, partii, stronnictw, organizacji, osób działających na różnych szczeblach, a więc

wielkiego mrowia ludzi. Zastanowię się nad tym, opierając się na własnej pozycji rządowego rzecznika.

Gdyby Urban jako felietonista reprezentował linię polityczną generalnie sprzeczną z polityką rządu lub też krytykował posunięcia centralnych władz wykonawczych, byłoby to niedopuszczalne z moralnego i politycznego punktu widzenia. Oznaczałoby bowiem, że funkcję rzecznika pełnię wbrew osobistym przekonaniom, co innego mówię z urzędu, a co innego prywatnie. Rano jako osoba urzędowa przekonuję o słuszności czegoś, co sam deprecjonuję wieczorem. Takie sprzeczności dyskwalifikowałyby mnie i jako rzecznika, i jako felietonistę, gdyż w żadnej z tych ról dwulicowy najemnik nie może być przekonujący. Podobne dwoistości postaw nie są zresztą tylko hipotezą. Marny do czynienia z osobami, które co innego mówią na zebraniach, a odwrotnie wypowiadają się w towarzystwie. Często także urzędnicy, majestatycznie siedząc za biurkiem oznajmniają swoim interesantom, że decyzje, które sami podpisują, nie mają sensu, gdyż przepisy są absurdalne, zaś placówka, jaką reprezentują, to istna stajnia Augiasza. Owo niepoczucie się do obowiązku rzecznictwa swej instytucji, nawet w roli ściśle urzędowej, jest realnym schorzeniem. Nazywa się to nielojalność. Działacz polityczny czy państwowy, który prywatnie byłby ujemnego zdania o organizmie, jaki reprezentuje, powinien zrezygnować z uczestnictwa w nim i z funkcji.

Wróćmy jednak do przypadku rzecznika rządowego. Rząd jest organizmem, którego linia i polityka odnoszą się do obszernego, ale ograniczonego przecież wycinka rzeczywistości; nie ogarnia on wszelkich przejawów życia społecznego, kulturalnego, umysłowego, obyczajowego itp., itd. Rząd to nie instytucja, która w każdej sprawie ma opinię lub próbuje ją wypracowywać. Nie można więc dociekać stanowiska rządu wobec każdego filmu, książki, artykułu, zdarzenia, postępowania pojedynczej osoby, procesu obyczajowego itp., itd. Istnieje znowu inna kategoria spraw, w których rząd ma opinię, ponieważ owe sprawy pozostają w bliskim związku z jego polityką, stanowiąc jej afirmację, zaprzeczenie lub wypaczenie. Mimo to rząd jako instytucja często powstrzymuje się od wyrażania swej opinii, uznając to za niekonieczne. Ogranicza swe wypowiedzi do kwestii kluczowych. Owa wstrzeźliwość może dotyczyć np. artykułu w prasie, przemówienia poselskiego itp., jeżeli twór ów nie jest doniosły, jeżeli rząd nie wypracował jeszcze stanowiska w danej kwestii i pragnie pozostawić ją w zawieszeniu, albo jeżeli przemilczenie - proszę zauważyć! - uznaje za stosowną odpowiedź.

Jako felietonista mogłem więc poruszać się w trzech płaszczyznach myślowych: wyrażając moje poglądy spójne z linią rządu; oznajmiając swe prywatne zdanie w kwestiach, w których rząd nie wypowiadał żadnej opinii; nade wszystko zaś buszując w tych rejonach życia i komentując te zdarzenia, wobec których rząd nie ma zdania lub zamiaru wypowiedzania go publicznie. Nie czułem się więc w publikacjach skrepowany.

Sądzę, że reguły, które wyżej przedstawiłem, stanowią pewną propozycję kształtowania zasad życia publicznego w ogóle. Problemy, które musiałem rozwiązać celem funkcjonowania równoległe jako rzecznik i felietonista, dotyczą w różnym stopniu wielu osób, w tym także czołowych osobistości życia politycznego i państwowego. Ale nie tylko. Szef gminnego koła towarzystwa miłośników zwierząt nie może przecież, póki piastuje mandat, głosić publicznie prywatnej opinii zachęcającej do rzezi zwierzyny. Zachowuje jednak pełną swobodę mówienia o kwestiach nie mających związku z jego funkcją, np. o porządkach w GS lub wojnie iracko-irańskiej.

Wbrew pozorom kwestie, które tu podnoszę, dotyczą rzeczy ważniejszej niż tylko swobód mandatariuszy i funkcjonariuszy. Są to sprawy istotne dla ogółu, gdyż wiążą się z modelem życia politycznego, mechanizmem demokracji, procedurą wyborczą i doborem kadr. Istniał w Polsce okres, w którym osoby eksponowane w życiu politycznym w ogóle nie wypowiadały na szerszym niż prywatne forum żadnych osobistych poglądów na żadną sprawę. Władza mówiła jednym ściśle uzgodnionym głosem. Każdy jej przedstawiciel wyrażał publicznie wyłącznie treści urzędowe. Niedopuszczalna była nawet indywidualna interpretacja jakichkolwiek aspektów linii wspólnej, obowiązującej. Wysoki przedstawiciel władzy nie zdradzał też nigdy publicznie żadnych swych osobistych poglądów na takie kwestie, które z linią polityczną nie miały nic wspólnego. Oznajmienie, że lubi tulipany, a nie znosi bratków, uchodziłoby za szok.

Oczywiście depersonalizacja władzy nie była przypadkiem, lecz koncepcją założoną. Stosowanie się działaczy do unifikacyjnych rygorów wynikało również ze skomplikowanych między nimi układów. Pewnym tego echem jest częsty w sferach politycznych zarzut wobec niektórych osobistości, że „szukają popularności“, jak gdyby popularność społeczeństwa stanowiła wadę, a nie zaletę. Rzecz otóż w tym, że gdy ktoś staje się popularny, jego kolega czuje się względnie mniej popularny.

Nieodzownym atrybutem demokracji jest indywidualizacja polityków czy członków rządu. Skoro pomyślnie funkcjonowanie władzy wymaga społecznej dla niej aprobaty, każdy przedstawiciel partii i państwa powinien o nią zabiegać, jak tylko umie, wykorzystując osobiste walory. Jeżeli jakiegokolwiek gremia mają wybierać swych przedstawicieli, a potem oceniać ich działalność, mandatariusze muszą być zindywidualizowani. Wybór jest bowiem iluzją, jeżeli członkowie zespołu kierowniczego w oglądzie społeczeństwa różnią się tylko nazwiskami i fizjonomią, niczym więcej. A więc ludzie obdarzeni społecznym mandatem muszą wyrażać także własne poglądy, publikując czy przemawiając.

Kwestie te - dosyć fundamentalne dla ewolucji mechanizmów życia publicznego - nie mają bezpośredniego związku z moją osobą i problemem. Nie jestem bowiem politykiem, lecz urzędnikiem wykonawczym. Chociaż znów, ze względu na funkcje propagandowe rzecznika, jego indywidualna osobowość miewa jakieś tam znaczenie. Ale rzecz nie w tym.

Akcja przeciwko funkcjonariuszowi państwa, ponieważ publicznie ośmielał się prezentować własne poglądy na różne kwestie, wymierzona jest przeciwko mechanizmom demokracji. W swej wymowie i ogólniejszych skutkach przyczynia się ona do regresu zwyczajów politycznych, sprzeciwia postępowi w życiu publicznym.

Znamienne, że tę małą kampanię rozpętały osoby i instytucje domagające się głośno postępu demokracji w Polsce, narzekające, iż jej mechanizmy rozwijają się zbyt, jak na ich gust, powolnie. Miłośnicy swobód i demokracji w teorii, praktycznie tłumią ją oto na pewnym odcieczku, gdyż niszczą precedens, jaki wielu osobistościom oficjalnym otwierał drogę do systematycznych, osobistych wypowiedzi. Zabójcy tych felietonów żądają wolności wypowiedzi, ale tylko pod warunkiem, że nie będą one sprzeczne z ich własnymi poglądami. A już szczególnie z ich poglądami na samych siebie.

Warto jednak sprawom, o które poszło, przyjrzeć się bardziej konkretnie. /.../ Adoracja prawdy

Inną zgoła sprawą jest wyrażony przez czynniki kościelne protest przeciwko sformułowaniu zawartemu w innym felietonie, mianowicie „70 lat później“, poświęconemu zresztą filmowi „Austeria“. Chodzi o zdanie odnoszące się do „Tygodnika Powszechnego“, a mające takie brzmienie: „Wydaje się bowiem, iż nabożny filosemityzm krakowskiego pisma ma coś z chęci odrobienia grzechów przedwojennego «Małego Dziennika» czy «Rycerza Niepokalanej», skoro już trzeba bić czołem przed redaktorem owych plugastw“.

Przyznaję, że wzmianka o biciu czołem jest nietaktowna, nieestosowna nawet w obrębie konwencji felietonu i przepraszam za te słowa z całym przekonaniem.

Gdy chodzi zaś o pogląd, który w tym fragmencie felietonu wyraziłem, najlepiej będzie, jeśli jaśniej doprecyzuję i rozwinę to, o co mi chodziło.

Mój szacunek wobec pamięci osoby, do której w tym urywku piję, jest wielki i oczywisty ze względu na jej heroizm o bardzo humanistycznej wymowie. Gazetę i czasopismo, które wymieniam, oceniam dosadnie ze względu na ich antysemitizm. Mam też skrajnie ujemne o nich zdanie z innych również powodów: „Mały Dziennik“, „Rycerz“ itd. głosiły nietolerancję, miały nacjonalistyczną linię, prowadziły nagonki przeciw ludziom postępowym, zaspokajały bardzo niskie i niewybredne wymagania. Powyższe, delikatnie wyrażone oceny nie są oryginalne. Przed wojną były dominujące i uchodziły za oczywiste wśród wszystkich osób oświeconych, liberalnych lub lewicowych. Historia prasy i nurtów politycznych nie złagodziła tych ocen.

Męczeństwo i dobrowolne pójście na śmierć w Oświęcimiu wydawcy „Małego Dziennika“, „Rycerza“ i innych podobnych wydawnictw osobiście uważam za akt w płaszczyźnie politycznej ekspiacyjny. (Nie chodzi tu bowiem o osobę apolityczną przecież). Dla mnie przewartościowanie przez wydawcę własnych poglądów i działań prowadzące do męczeńskiej ekspiacji, tylko tę postać wywyższa moralnie. W niczym jednak nie zmienia oceny zawartości gazety i czasopism przezeń wydawanych.

Gdy wzmiankowałem o tej sprawie, chodziło mi jednak nie o samą postać uosabiającą niedościgły dla ludzi tuzinkowych wzorzec wyciągania konsekwencji i naprawiania błędów politycznych. Tekst dotyczył „Tygodnika Powszechnego“.

Pismo to ma ambicje „odkłamywania historii“. Znaczną część swoich stronice poświęca publikowaniu tekstów naświetlających przeszłość wedle poglądów politycznych redakcji. Ostrze tych artykułów, wspomnień, wywiadów pośrednio lub bezpośrednio zwrócone jest przeciwko partyjnej interpretacji dziejów. Sławi się nurty przeciwne do tych, z których PZPR wyrasta, lub też poprzez ukazywanie wdzięków protoplastów komunizmu sugeruje się, że zdradziła ona swoje tradycje. W okresie temu sprzyjającym dzieje PRL ukazywane były jako jeden wielki, nieludzki koszmar.

Obok tego „Tygodnik“ żąda wciąż prawdy historycznej oraz zapewnia o umiłowaniu prawdy w ogóle. Kiedy niedawno napisałem, że żyję w innym kręgu myśli, kultury, tradycji, faktów i dążeń niż krakowska redakcja katolickiego czasopisma (zresztą naszych odrębnych światów wcale nie wartościując, a tylko konstatując odmiennosc), Jerzy Turowicz ogłosił zapalczywą odpowiedź. Podnosił walory własnego świata akcentując przede wszystkim, że jest to świat prawdy.

Gdy jednak nie tak dawno temu „Tygodnik“ poświęcił znaczną część numeru na przedstawienie z detalami biegu życia wydawcy owych czasopism, które nazwałem plugawymi, ani słowa nie było o kierunku politycznym i ideologicznym tych wydawnictw oraz o funkcji społecznej, jaką spełniały, o ich zawartości jednym słowem. Mówiło się tylko o wzięciu czytelniczym wydawnictw Niepokalanowa i ich religijnym charakterze. A więc historię tej instytucji, z jaką „Tygodnik“ jest związany, fałszuje on bez mrugnięcia okiem. Gdy przychodzi co do czego, okazuje się, że umiłowanie prawdy ograniczone jest do wygarniania przeciwnikom prawd dla nich nieprzyjemnych.

Nie wiem, czy istnieje druga, poza PZPR, partia polityczna na świecie, która tyle razy, tak otwarcie, a nawet masochistycznie rozliczała się ze swoją przeszłością. Polska Zjednoczona Partia Robotnicza jest wręcz obtłuczona od tych rozrachunków, od ujawniania i oceniania wszelkich gatunków zła, które przewija się przez jej dzieje. Dokonywała samokrytyk sama, przeciągając je do granic politycznej wytrzymałości. „Tygodnik Powszechny“ mógłby zaczerpnąć jakies z tego wzory, zamiast wciąż wołać o swojej miłości prawdy. Studiując bowiem erupcje prawdy historycznej na łamach „Tygodnika Powszechnego“, prawdy zawsze wymierzonej w kogoś, a nie w siebie, zawsze też zgodnej z aktualną linią i intencją polityczną redakcji - warto zauważyć, że „Trybuna Ludu“ czy „Polityka“ stronią od niektórych rodzajów prawdy. Na przykład nie piszą o inkwizycji, kontrreformacji, roli Kościoła jako feudalnego wyzyskiwacza, losie robotników rolnych w przedwojennych dobrach kościelnych, kierunkach ongisiejszego zaangażowania politycznego katolicyzmu, antysemityzmie wspieranym z ambon i wielu innych rzeczach, które też, ponad wszelką wątpliwość, zaliczyć trzeba do prawdy historycznej. Tyle a propos „Małego Dziennika“, jego wydawcy, o protestowaniu tego, co napisałem, oraz umiłowania prawdy jako takiej.

Kończąc łabędzi śpiew oznajmiam więc, że nie udał się eksperyment polegający na łączeniu państwowej posady z działalnością felietonisty. Sądziłem, że skończy się on w wyniku niezadowolenia moich przełożonych z tego, że usta rządu otwieram na własny użytek, gdyż nie jest to w zwyczaju nigdzie na świecie. Zakaz robienia felietonów płynący od szefów rzecznika byłby więc czymś naturalnym zawsze i wszędzie. Tymczasem nie. Felietony te zarznęli ludzie nieurzędowi, głosiciele prawdy, demokracji i wolności słowa, ale: prawdy działającej na ich rzecz, demokracji dostępnej tylko dla grona integralnych demokratów i wolności słowa im schlebiającego.

*„Tu i Teraz“ 1983 r.*

\* \* \*

4 III 84

## **Ślub córki Urbana**

3 marca 1984, w sobotę odbył się ślub mojej córki, Magdy Urban, lat 26, absolwentki UW, zajętej przewlekłym pisaniem pracy magisterskiej, z Adamem Grzesiakiem lat około 30, absolwentem zasadniczej szkoły mechanicznej, z zawodu drukarzem. Grzesiak był internowany, następnie, na wiosnę 1983 nakryty pod Warszawą w nielegalnej powielarni, aresztowany; wyszedł z mocy amnestii. Aranżacją ślubu zajmowała się Wiesława Grochola,

moja była żona (do 69 roku), matka panny młodej, ostatnio pracująca jako publicystka w „Tygodniku Solidarność“.

Ślub odbył się o 15.00 z półgodzinnym opóźnieniem. Kiedy czterdzieści minut wcześniej jechałem przez Krakowskie Przedmieście zwróciłem uwagę na dwie kiluosobowe grupy młodzieży bardzo szybkim krokiem idące w kierunku Placu Zamkowego, a zwróciłem uwagę, ponieważ na czele kroczył młodzieniec we fraku i cylindrze z aparatem fotograficznym na szyi. Pomyślałem, że to może goście na ślub córki. Mimo to, gdy pod Pałacem Ślubów zobaczyłem tłum ludzi i kamery sądziłem, że odbywa się jakiś inny, znaczący ślub.

Przed Urzędem Stanu Cywilnego stał tłumek liczący około 200 osób. Wycelowana weń była stojąca na statywie kamera amerykańskiej sieci telewizyjnej NBC Druga, filmowa kamera pracowała z ręki. Działo kilku fotoreporterów, w tym jeden którego rozpoznałem jako naszego, „urzędowego“ fotoreportera. W niewielkim oddaleniu pod boczną ścianą Zamku stał „star“ z milicją w środku. Trzech czy czterech milicjantów widocznych było z drugiej strony, w perspektywie ulicy Jezuickiej, blisko tamtejszego komisariatu MO. Kiedy wysiadłem wszystkie kamery wycelowane zostały we mnie. Sądziłem jednak jeszcze, że „biorą“ mnie przy okazji. Wchodząc zorientowałem się, że wśród zgromadzonych dominuje opozycja rozmaita, jest też paru korespondentów zachodnich. Jednakże to, że powodem zgromadzenia jest ślub mojej córki zrozumiałem dopiero we wnętrzu, kiedy znana mi z widzenia Amerykanka podeszła dziękować, że zgodziłem się na wpuszczenie ich kamery na ślub. Odparłem, że na nic się nie godziłem i o niczym nie wiem. Zmyła się natychmiast skonfundowana, wyraźnie zalekniona, że spowodują ich usunięcie.

Cały Pałac Ślubów po przyjeździe młodej pary (błękitny mercedes) stał się zatłoczony, liczbę gości szacuję na 300 do 500 osób. Ślub odwlekał się, gdyż ekipa NBC roztawiała w sali ślubów kamerę na statywie i ustawiała światła. Z inną, profesjonalną kamerą, tyle że filmową, pracował facet, którego mi określono z dumą jako kamerzystę Wajdy. Poza tym pracowała kamera amatorska. Wśród fotografujących mnie bez przerwy był młodzieniec we fraku, którego moja córka określiła jako fotografa KOR-u.

Samo środowisko KOR także było reprezentowane. Nie znam wszystkich twarzy, ale był np. Jan Walc krzątający się ruchliwie w jakichś organizatorskich misjach, był Amsterdamski i inni, których twarzy, nawet mi znajomych, nie kojarzę z nazwiskami. Stawiła się licznie opozycja dziennikarska, byli chyba wszyscy z wyjątkiem Bratkowskiego, np. Fikus, Jagiełło, Jaszuski z żoną Kuratowską, E. Skalski, z innej paczki był prof Szaniawski z żoną, Jerzy Jedlicki, dominowała jednak zintegrowana młodzież z natury rzeczy nie znana mi z wyglądu, ani nazwiska. Żadnych jednak emblematów nie noszono i żadnych afrontów czynnych mi nie robiono.

Półgodzinne czekanie w tym gronie wymagało ode mnie skomplikowanego dyplomatyżowania i kalkulowania ruchów. Z jednej bowiem strony nie chciałem chować się w kącie, z drugiej - dostarczać im przyjemności, czyli sposobności do manifestowania afrontów. Przyjąłem zasadę kłaniania się wszystkim znajomym z wyjątkiem tych, którzy manifestacyjnie pokazywali plecy. Na ogół się nie odkłamano, były też skinienia lodowate, rękę podałem Fikusowi itd. itp. Ponieważ ja nie ściągałem żadnych swoich znajomych, byłem „politycznie sam“, więc zająłem się towarzysko swoimi rodzicami i różnymi starszankami z ich towarzystwa oraz np. była woźną z „Polityki“. Trafił mi się też były amant mojej byłej żony ze swoim synem - a o tym eks-amancie wiem, że był lub jest dyrektorem

fabryki i aktywistą partyjnym. Rzeczywiście mnie silnie poratował. Moja żona aktualna zaszyła się natomiast gdzieś w kącie z umiarkowanym centrum, czyli Radgowskimi, żeby uniknąć tej ekspozycji na jaką naraziłoby ją trzymanie się blisko mnie. Zawsze tchórzy. Zarazem dbałem, aby kamery i aparaty fotograficzne nie miały moich ujęć razem z gwiazdami opozycji. Do wszystkich nieszczęść dźwigałem jeszcze wielki bukiet kwiatów.

Gdy zaproszono na ślubną salę rozstawiona tam już była kamera NBC na statywie. Wobec tego, żeby im popsuć ujęcie nie usiadłem na miejscach zarezerwowanych dla rodziny, tylko stanąłem z tyłu w tłumie. Myślałem, że jeżeli kierownik USC wpuścił bez porozumienia amerykańską TV to jest osłem, ale po namyśle zmieniłem zdanie. Mam wrażenie, że NBC nie kręciło migawki do swojego dziennika TV, tylko cały reportaż. Czego by nie czynili w komentarzu - reportaż będzie korzystny dla nas, bo odbierający opozycji martyrologiczną powagę i nie tworzący wrażenia kraju represji. Opozycja się gromadzi, eleganckie stroje, kwiaty, nastrój ślubny, rzecznik rządu w tłumie opozycjonistów, wszystko ślicznie przemieszane. Jeśli o Zachód idzie raczej dobry wydzźwięk.

Po ceremonii uformował się gigantyczny ogon do składania życzeń. Kamery stosownie przegrupowano. Wszedłem bez ogonka na plan TV i cmoknąłem córkę. Pan młody, po tym jak podałem mu rękę i wymamrotałem stosowną formułkę głośno się zdziwił, że go nie całuję. Wobec tego zamarkowałem cmokanie w policzek, od którego drętwiałem nie ze względów politycznych, tylko ponieważ nie lubię całować się z mężczyznami, szczególnie przed kamerą. Mają Amerykanie ten obrazek i na zdrowie.

Kolejka do życzeń wolno zaczęła się posuwać. Walc biegał, organizował przypuszczalnie zbiorowy występ uliczny. Po dłuższych pogawędkach ze starszami apetyt na papierosa wypędził mnie z piętra na dół, w okolice szatni, co okazało się korzystnym trafem, bo podobno na górze w tym czasie zaczęto wznosić ręce ze znakiem „V“. Z czasem przez USC przewalały się już następne śluby, a mój się nie kończył, bo gratulacje wciąż trwały. Zniesiono na dół dwa wielkie snopy kwiatów. Zgodziłem się wziąć je do siebie do bagażnika, który wypełniły w całości. Moje wyrachowanie było takie, że jak je przyaresztuję i odjadę, to nie będą mogli ich składać w jakimś wrednym miejscu. Jednakże moja przezorność była zbędna, bo żadna taka chęć się nie objawiła. Kwiatów było chyba za dobre 100 tys. zł.

Goście się nie rozchodzili tylko zrobili tłum większy niż na początku. Uplasował się on na ulicy twarzami do kamer, robił szpaler dla państwa młodych itp. Żadnych głośnych demonstracji, czy w ogóle akcentów politycznych jednak nie było, chociaż do końca nie wiem, bo odjechałem wcześniej, jako pierwszy. Budy z milicją już wtedy nie było, a wcześniej uplasowała się ona niefortunnie, gdyż jakby na obstalunek amerykańskiej TV, żeby jednak ona miała akcent „represyjny“.

Przed odjazdem ukloniłem się bez wzajemności kolejno Jaszuńskiemu i Szaniawskiemu. Wzmianka o tym jest na rzeczy, ponieważ Jaszuński niedawno wydzwaniał do mnie do biura, per „panie Jurku“ i w ogóle w lansadach. Chodziło o pomoc w sprawach zawodowych jego żony. Prof. Szaniawski z kolei, który twarzą po raz wtóry mi się nie odklonił, w kilkanaście minut później, gdy stałem na chodniku na Krakowskim Przedmieściu, wręcz zawrócił na mój widok i odrabiał tamto kłaniając mi się grzecznie po pas. Na Krakowskim wszelako nikt z jego ludzi tego już nie widział, więc mógł to czynić.

Następnym aktem był obiad weselny dla rodziny urządzany w mieszkaniu brata pana młodego na Krakowskim Przedmieściu.

Córka informowała mnie z dumą, że trzypiętrowy tort warszawscy cukiernicy przysłali gratis dla Grzesiaka jako bojownika, że sos tatarski także darmo robiły jakieś struktury. Szykowało obiad i podawało go dwóch kelnerów także ponoć darmowych, działających z pobudek politycznych.

Wycofałem się przed deserem. Wieczorem przewidziany był bal młodzieżowy na 80 osób. Córka prosiła, żebym broń Boże, na to nie zostawał, bo dojdzie do kolizji politycznych.

Spęd w USC był organizowany.

Ślub kościelny nie jest przewidziany, gdyż pan młody jest szczęściem rozwodnikiem. Także ponoć ateistą, podobnie jak moja córka, ale to dziś żaden powód, by stronić od ślubu kościelnego.

Co prawda więcej dzieci nie mam, ale i jedna córka, jeżeli się postara, może mi za mojego życia jeszcze zapewnić parę takich ślubów politycznych. Gdybym przewidział ten spęd opozycji, to zastanowiłbym się czy nie sprowadzić córeczce z setką moich gości, którzy by ten zlot popsuli.

Jerzy Urban

*Tekst ten został napisany specjalnie dla gen. Jaruzelskiego w jednym egzemplarzu - Jerzy Urban*

\* \* \*

09.05.85

Tow. gen. W. JARUZELSKI

## **NOTATKA**

### **o rozmowie z ambasadorem brytyjskim**

W ostatnim czasie 2 razy przyjmowałem zaproszenie na lunch ambasadora W. Brytanii Morgana. Drugi raz byłem u niego przed przyjazdem Howa. Z tego powodu i z tytułu sąsiedztwa, a po konsultacji i uzyskaniu przyzwolenia min. Kuczy z MSZ zaprosiłem Morgana z żoną do siebie do domu na kolację. Formuła: ściśle prywatna wizyta sąsiada. Dzięki tej formule rozmowę cechowała duża szczerłość bliska brutalności.

Wizyta Howa na grobie Popiełuszki miała być-powiedziałem – dyskretna i nieostentacyjna - a co wyszło? Program prywatny w relacjach prasy zachodniej przyćmił oficjalny. Zależy nam na stosunkach z W. Brytanią, ulegliśmy brytyjskim prośbom. Efekt jest taki, że Andreotti powoływał się na przebieg wizyty Rifkinda, Howe na Andreottiego, następni już się zaczęli powoływać na Howa i jeśli idzie o programy wizyt zachodnich każdy gość powiada, że jest więźniem tego, co czynił poprzedni wizytujący Polskę. Byliśmy elastyczni, ale nie wyszliśmy



na tym dobrze. Do ukształtowania zaś takiego modelu zachodnich wizyt nie możemy dopuścić. Nie może istnieć dysproporcja między naszą polityką wewnętrzną a zagraniczną i zagraniczna nie może odbywać się kosztem wewnętrznej.

Morgan tłumaczył się, że to nie Brytyjczycy przygnali prasę i widzów na odwiedzinach Howa u Popiełuszki. Odparłem, że możliwe, iż przeciwnicy władz polskich sami zadbali o rezonans pobytu Howa na grobie ks. P., ale jeśli idzie o wynik, jest nam wszystko jedno, kto organizował spektakl.

Morgan wyraził zaniepokojenie o przyjęcie z okazji swojego święta narodowego: „niektórym ambasadorom zachodnim wasz MSZ grozi bojkotem przyjęć jeśli zaproszę dysydentów“. On zaś musi zaprosić „gości ministra Howe“. Odparłem, że proszę: jeden fakt pociąga za sobą następny, to co miało być wyjątkiem od reguły buduje samą regułę postępowania. Ponieważ Howe prosi mnie o radę co ma zrobić żeby zaprosić i Geremka, i Bratkowskiego i in. na przyjęcie do ambasady i nie narazić się na nasz bojkot, mam dla niego ściśle prywatny pomysł: niech w tym roku w Warszawie nie zaprasza Geremka, Bratkowskiego itd. Jeżeli na przyjęcia w Moskwie, Pradze, Budapeszcie itd. Anglicy zaproszą dysydentów, a mimo to goście oficjalni przyjdą, my w następnym roku w oparciu o te precedensy rozpatrzmy sprawę od nowa. (Żona ambasadora zaczęła pokładać się ze śmiechu). Morgan odparł, że Warszawa to co innego, niż Moskwa czy Praga, bo u nas był rok 1980. Odpowiedziałem, że po roku 1980 był rok 1981, który ukazał fiasko próby zalegalizowania działalności tych ludzi i ułożenia modelu stosunków w oparciu o porozumienia z nimi. Okazali głupotę polityczną, zagrozili bezpiecznemu istnieniu państwa, doprowadzili do ruiny gospodarke itd., itd. Z faktu więc, że był rok 1980 w Polsce godzi się wyciągać odwrotne wnioski: że próba legalizacji statusu przeciwników naszego ustroju nie udała się i to jest rozdział zamknięty. Sparzyliśmy się tak silnie, że teraz musimy dmuchać na zimne i przeciwdziałać wszelkim próbom podpierania statusu ludzi, których uznawanie w 1981 r. doprowadziło do groźnych dla kraju niebezpieczeństw.

Morgan (troszczący się głównie o swoje przyjęcie) powiedział, że prof. Gieysztor dał mu książkę historyczną, gdzie mowa jest o tym, że już za czasów króla polskiego Zygmunta poseł angielski spotykał się z polską opozycją wewnętrzną, o co król polski robił mu wtedy wyrzuty, a jednak Anglik postawił się twardo. Powiedziałem, że nie wiem o którego króla Zygmunta chodzi, ale w czasach kiedy u nas bywali królowie o imieniu Zygmunt, w Anglii co parę lat ścinało się łby setkom lub tysiącom magnatów i szlachty spiskującym przeciw swoim monarchom czyli opozycji, w Polsce zaś egzekucji takich nie było a tylko łagodne wymówki pod adresem zagranicznych dyplomatów. W rezultacie W. Brytania potem pięknie rozwijała swoją parlamentarną demokrację, u nas zaś doszło do takiej anarchii i osłabienia państwa, że Polska przestała istnieć.

Na to Morgan, że jakkolwiek to się historycznie ukształtowało oni mają demokrację i tak ją kochają, że starają się w innych krajach popierać elementy demokracji pluralistycznej. Ja na to, że W. Brytania władała do niedawna jedną czwartą świata i w krajach skolonizowanych wcale demokracji nie popierała, tylko zbrojnie tłumiała różne dążenia do' autonomii, niepodległości i demokratyzowania sposobu rządzenia. Posługiwała się przy tym argumentem o historycznej niedojrzałości podległych Anglii ludów do rządzenia się w taki sposób jak sama metropolia. Niech mi więc nie mówi o odruchowym niejako i ideowym umiłowaniu przez Anglię pluralizmu w każdym kraju świata. Rok 81 w Polsce pokazał skrajną głupotę i niedojrzałość polityczną tych, których on chce zapraszać. Rozwinałem przykłady. Wspomniałem też, że w Polsce była wąta i słaba demokracja typu zachodnio-

parlamentarnego w latach 1918-1926 i właśnie Anglia poparła zamach stanu Piłsudskiego z 1926 r. prowadzący do zdławienia parlamentaryzmu i silnego ograniczenia opozycji, więc niech mi nie opowiada o niezmiennej miłości Anglii do demokracji w Polsce. Anglia postępuje tak, jak w danej chwili rozumie swoje a nie cudze interesy. My zaś dbamy o polskie interesy.

Była też dłuższa rozmowa o 1981 r., o nieudanej próbie porozumienia, sensie 13 XII, o tym, że chcemy reform i idziemy w tym kierunku, chociaż czasem musimy się też cofać (szkoły wyższe, nasz a ich status szkół), 39 rok, 44-45 rok i polityka brytyjska, ile wieków W. Brytania budowała swój system parlamentarny i za cenę jakiego morza krwi.

Morgan w konkluzji powiedział, że jest „wstrząśnięty tym co usłyszał“, że rozmowa ma dla niego wielką wartość, że zna wiele krajów świata, ale Polska jest najdziwniejszym krajem ze wszystkich, że ciągle uczy się nas rozumieć i że prywatnie rzecz biorąc uważa cały mój tok rozumowania za „przejmująco przekonujący“, ale „on jest tylko ambasadorem“.

Był też w rozmowie fragment kiedy on mówił, że jak Olszowski będzie w Londynie może zaprosić na przyjęcie komunistów w rewanżu za Geremka i Bratkowskiego. Ja na to, że KP W. Bryt. to legalnie działająca partia i on też może zapraszać legalnie u nas działające organizacje polityczne i że komuniści nie zagrażają państwu angielskiemu. Co by jednak było, gdyby Olszowski zaprosił ludzi z IRA? Morgan się strasznie oburzył: oni podłożyli bombę pod jego premiera. Jakież tu porównanie z Geremkiem? Odparłem, że politycy typu Geremek podłożyli bombę pod państwo polskie jako takie i rozwinąłem to.

Przekazuję relację z rozmowy, która do niczego konkretnego nie prowadziła, ponieważ miałem silne odczucie, że Morgan szczerze wykrzykiwał, że jakieś klapki mu się otwierają (duże na nim wrażenie wywarła moja opowieść o własnej drodze politycznej od „Po prostu“ i wykład osobistej filozofii politycznej). Intencją spisania streszczenia długiej rozmowy jest sugestia, że warto nie zamykać się hermetycznie przed zachodnimi rozmówcami tylko stosować szeroko te metody urabiania. Fakt, że on może być u mnie w domu, że siedzimy w samych koszulach i że rozmowa jest naprawdę swobodna - już robi na Zachodnich silne wrażenie, to już jest dla nich „polska odmienność“ - a taka odmienność nic nas nie kosztuje w sensie politycznym. Poza tym taką nieoficjalną drogą mu uzyskujemy wiarogodność jako patrioci mający silne racje i dobre dla swego kraju intencje. Pryska więc ten schemat, w który oni wierzą: cała racja po stronie opozycji a po naszej stronie wyłącznie siła używana tylko dla zachowania władzy, siła nie związana z liczącymi się argumentami. Pryska przekonanie że my jesteśmy tylko instrumentem geopolitycznej konieczności.

Nie jestem taki naiwny, żeby przeceniać znaczenie podobnych fundamentalnych nawet rozmów z dyplomatami i gośćmi, nawet gdyby takich rozmów było 200 rocznie, ale też uważam, że jest to sposób wspomaganie polityki oficjalnej, który obecnie szczególnie warto stosować, kiedy stosunek Zachodu do Polski wciąż krystalizuje się dopiero i różnicuje w Europie Zachodniej. Zaktywizowanie rozmów prywatnych wymaga zaś impulsu odgórnego. Nasz aparat reaguje bowiem na zaostrzenie się różnych elementów oficjalnych stosunków Polska-Zachód lęklwym separowaniem się od przedstawicieli Zachodu. Te odruchy aparatu sprawiają, że opozycja ma niemal monopol na prywatne rozmowy polityczne z przedstawicielami krajów Zachodnich.

Jerzy Urban

\* \* \*

Warszawa, 1988-01-28

Towarzysz Generał Wojciech JARUZELSKI

Jedyną szansą jest stanięcie Towarzysza Generała na czele groźnie narastającego niezadowolenia społecznego, dokonanie dramatycznego zwrotu, w którym mało byłoby słów, dużo czynów. Proponujemy w obecnej sytuacji ogłoszenie stanu nadzwyczajnego w gospodarce, mającego na celu wtłoczenie reformy.

Jaka bowiem polityka i ekipa mogłaby się wyłonić po naszym odejściu i kolejnym kryzysie?

Ekipa prawicowo - „twarda“, eksponująca czynniki narodowo-katolickie, pragmatyczna, demonstrująca sprawność, odsuwająca na drugi plan samo pojęcie socjalizmu (choć nie odzęgająca się od niego) i całą warstwę polityczną, a będącą koalicją prawicy klasycznej z częścią naszej kadry (i reformatorskiej, i reprezentującej „beton“), którą szybko zasymiluje. Ekipa szłaby pod hasłami narodowymi. PZPR znalazłaby się na drugim planie zachowując monopol, ze względów międzynarodowych, w polityce zagranicznej i obronności. Na tej płaszczyźnie ekipa szukałaby aprobaty i zaufania radzieckiego, występując jako gwarant radzieckich interesów państwowych (nie ideologicznych) na obszarze Polski. Gwarantowałyby ona spokój i dyscyplinę w Polsce - czynniki niezbędne dla kontynuacji polityki Gorbaczowa w ZSRR i w świecie. W skład ekipy wchodziłoby oczywiście radzieccy „mężowie zaufania“ wywodzący się z PZPR oraz cieszący się ograniczonym zaufaniem radzieckim działacze katolic-ko-narodowo-prawicowi, przedstawiający siebie jako lepszych, niż komuniści polscy, gwarantów radzieckiej racji stanu.

W płaszczyźnie gospodarczej zrealizowałaby ona-mając po temu możliwości - w istocie rzeczy zmodyfikowany nieco (między innymi na rzecz prywatnego sektora) II etap naszej reformy. Szeroko dopuściłaby więc inicjatywę prywatną i różne formy gospodarki mieszanej, między innymi w wyniku wpuszczenia - na dobrych dla zagranicy warunkach - kapitału obcego. Powstałaby silna, bo mająca i społeczne, i obustronne zewnętrzne poparcie, władza państwowa. Demokracja, swobody, komponenty populistyczne stanowiłyby tylko tło autorytarnych rządów prawicowo-klerikalnych(...)

*Fragment jednego z wielu raportów „zespołu trzech“ pisanych dla gen. Jaruzelskiego.*

\* \* \*

Warszawa, 1989-03-13

POUFNE Tow. gen. W. JARUZELSKI

Rozmowa z A. Michnikiem

W kuluarach podstolika prasowego rozmawiałem z A. Michnikiem i zaproponowałem mu osobne spotkanie, gdyż nie było czasu omówić kwestii jakie podejmował. 11 marca w sobotę przyszedł do mnie do URM. Rozmowa trwała 3,5 godziny.

Rozpocząłem ją od przekazania Michnikowi, że generał Jaruzelski z uwagą i szacunkiem śledzi jego publiczne wypowiedzi na rzecz porozumienia, które cechuje umiar i realizm. Michnik nie miał zadowolenia. Powiedział, że on i np. Kuroń mogą bez lęku o depopularyzowanie się wśród opozycji bez osłonek popierać porozumienie, gdyż mają za sobą prawie 10 lat więzienia a to im daje niezależność i siłę polityczną. Zapytał, czy dostaliśmy informacje o tym co on, Michnik mówił o gen. W. Jaruzelskim do studentów w Krakowie. Odparłem, że ja nie. A. Michnik poinformował, że na wiecu studenckim powiedział, że gen. W. J. okazał się politykiem z wyobraźnią, patriotycznym (dokładnie komplementów nie zapamiętałem). Na to z sali padło pytanie: panie Michnik, jakiś czas temu Pan tu publicznie powiedział, że nie będzie porozumienia narodowego i „Solidarności“ zanim gen. W.J. nie odejdzie. Dlaczego Pan teraz mówi co innego? Michnik twierdzi, że odpowiedział na to publicznie, iż mylił się w ocenie gen. W. Jaruzelskiego, ubolewa, że tak mówił o generale.

Następnie Michnik zapytał mnie, dlaczego nie chcieliśmy jego i Kuronia dopuścić do okrągłego stołu. On chciał się wycofać, ale Wałęsa się nie zgodził, bo mówił, że musi iść do stołu z silną, szeroką reprezentacją.

Odparłem, że dlatego, iż nazwiska Michnika i Kuronia stały się z biegiem lat, w naszej propagandzie symbolem zła politycznego i były demonizowane. Stało się tak zaś dlatego, że: a) uważamy za trwałą i największą potęgę Kościół, więc przede wszystkim patrzyliśmy na ludzi mających poparcie Kościoła jako na partnerów,

b) ja osobiście nie wykluczam tego, że wizerunek działań jego i Kuronia kształtowany był przez oddolny system informacyjny pod wpływem antypatii ciągnących się od 1968 r.

Zarzuciłem Michnikowi skandaliczny postępek w postaci wplątania premiera Rakowskiego w niezręczną sytuację w teatrze „Powszechnym“, kiedy w jego obecności zaczął ze sceny czytać tekst w obronie Havela. Michnik odparł, że w tym tekście były komplementy pod adresem naszych władz i chciał je wygłosić przy Rakowskim. W świetle mojej oceny ujemnej przyznaje mi rację, ubolewa, nie pomyślał o tym, że wmanewrowuje premiera w sytuację dlań niezręczną.

Następnie przystąpiłem do uporządkowanego przedstawiania moich poglądów na sytuację, wpływ zjawisk gospodarczych, zagrożenia jakie powstaną dla funkcjonowania państwa po wyborach itd., itp.

Informuję, że cały czas w rozmowie osiągnęliśmy całkowitą zgodność ocen w stopniu o wiele większym, niż przy tego rodzaju rozważaniach we własnym gronie. Nie umiem oczywiście ocenić szczerości Michnika. Umówiliśmy się tylko, że rozmawiamy w cztery oczy szczerze, otwartym tekstem i że niczego z tej rozmowy żadna ze stron nie wykorzysta publicznie.

### **Sprawy grubsze**

1) Michnik oświadczył, że po zawarciu porozumienia okrągłego stołu Wałęsa zamierza pojechać do USA i publicznie domagać się pomocy gospodarczej dla Polski bez zwłoki i bez warunków. Chce zmobilizować amerykańską opinię publiczną, Polonię, Kongres itd. oraz naciskać w tym kierunku w rozmowach z Bushem i innymi przywódcami. Gotów jest zobowiązać się, że tak postąpi.

Wałęsa chciałby podróż do USA poprzedzić podróżą do Moskwy. Chciałby być przyjęty przez Gorbaczowa. Chciałby mieszkać w ambasadzie PRL. Towarzyszyłby mu ambasador.

Przed wyjazdem do ZSRR chciałby być przyjęty przez gen. W. Jaruzelskiego.

Odparłem: przekażę te sugestie. Wedle mojej opinii - dodałem - podróż do ZSRR byłaby możliwa po wyborach. (...)

Moja opinia: Wałęsa (w towarzystwie Michnika, który się do tego pali) mógłby pojechać do Moskwy po wyborach np. już jako marszałek Senatu, ale bez przyjmowania go przez Gorbaczowa. Podróż do USA oczywiście leży w naszym interesie.

2) Ostatnio na zaproszenie tow. Rakowskiego była w Polsce grupa 8 publicystów radzieckich. Na odjeźdnym wyrazili oni życzenie powtórnego przyjechania na 2 dni, aby po zakończeniu okrągłego stołu porozmawiać także z ludźmi z opozycji. Obiecałem powtórne zaproszenie. Powiedziałem Michnikowi, że taka grupa ma przyjechać i że ewentualnie mógłby się z nią spotkać.

Michnik: czy grupa ta mogłaby się spotkać z Wałęsą? Odparłem, że odpowiem.

3) W związku z listem 2 radzieckich intelektualistów do „Gazety Krakowskiej“, Michnik powiedział, że on i Drawicz chcą napisać odpowiedź i wydrukować w „Tygodniku Powszechnym“. Będzie to całkowite solidaryzowanie się z autorami listu.

Michnik: czy możemy zapewnić przedruk np. w „Życiu Warszawy“? Odparłem: sądzę, że tak, odpowiem.

4) Michnik zaproponował nam, żeby rząd uczynił gest wobec mniejszości litewskiej w Polsce dla rozładowania antypolskich nastrojów na Litwie.

Odparłem: dobry pomysł, kupuję. Przyjmie reprezentację polskich Litwinów premier, lub ktoś inny, ważny i odpowie na ich dezyderaty.

Moja konkluzja: Michnik w opozycji występuje jako promotor ich stosunków z ZSRR. Pęd do ich nawiązania i umocnienia jest zrozumiały, ale bardzo niebezpieczny. Wymaga bardzo starannego dawkowania.

### **Sprawy gospodarcze**

Powiedziałem, że ich propaganda wokół okrągłego stołu powiększa niewiarę w reformę gospodarczą i neguje każdy fragment polityki rządu i każdą decyzję. Jest to podcinanie gałęzi na której już razem siedzimy. Uważam-powiedziałem

- że gospodarka nie powinna być wykorzystywana do walki politycznej

- powinna być strefą wspólnie chronioną. Ich atak na nomenklaturę jest atakiem na środowisko organizatorów produkcji. Żaden kraj tego kręgu ludzi nie może gremialnie zmienić na innych - bo innych nie ma. Ci ludzie w zmienionych warunkach będą się ustawiać do realnego układu sił.

Michnik podzielił mój pogląd, uznał te uwagi za ważne. Powiedział, że przekaże ze swoim poparciem szefom opozycji sugestię, żeby sprawy gospodarcze były, do pewnego stopnia, strefą wspólnie chronioną.

### **Sprawy podstolika prasowego**

1) W Magdalence tow. Ciosek powiedział, że rozmiary (czas) autorskiego programu opozycji w TVP określi Urban. Ja na sztabie okrągłego stołu u tow. Czyrka zaproponowałem 30 minut tygodniowo.

Michnik naciskał, żeby dać 1 godzinę tygodniowo stałego dnia, w porze przed dziennikiem telewizyjnym np. 18.30-19.30. Byłby to program autorski Wajdy. Scenariuszy zatwierdza dyrekcja programu ITVP i potem gotowy program też.

Wajda mówi, że pół godziny to nie jest, bo oni nie chcą programu gadanego, ale także filmowy, satyryczny itd. Odparłem, że nie dopuścimy do kontrdziennika telewizyjnego. Mówiłem: zaczniacie od pół godziny. Będzie kampania wyborcza z Waszym udziałem, zajmie w TV dużo czasu. Po wyborach, jak wszystko będzie szło dobrze dodamy czasu, daję na to słowo. Michnik odparł, że dla nich utargowanie czegoś teraz w sprawie telewizji ma zasadnicze znaczenie. Robimy wielkie porozumienie. Ten program TV będzie je uwiarygadniał. Nie cofniemy się-powiedział-przed perswadowaniem ludziom, żeby nie strajkowali i przed niepopularnymi tezami. Uważa, że nie powinniśmy kropłomierzem wymierzać im minut w TVP, bo to jest dla nich konkretna weryfikacja porozumienia i zaufania. Poddają się kontroli dyrekcji programu TVP i cenzury. Podwójnej kontroli.

Uzgodniłem z Michnikiem, że program TV oni tworzyć będą poza budynkami TVP, żeby tam nie wkroczyło całe grono ich ludzi, co miałoby, nie ukrywałem tego, ujemne reperkusje wewnątrz zespołu TVP.

Odpowiedziałem: uzgodnię, dam odpowiedź. Proponuję: dać 45 minut pod konkretne potrzeby programowe wyjaśniane w składanym za każdym razem scenariuszu, w programie I w godzinach np. 18.15-19.00 raz na tydzień.

2) Na zebraniu podstolika prasowego A. Michnik zaproponował, żeby jako gest dobrej woli postanowić wyłączenie spod cenzury kilku miesięczników np. „Nowych Dróg“, „Literatury na świecie“, „Dialogu“, i w tym pisma II obiegu „Krytyka“ - miesięcznika, który on redaguje. Wtedy on by natychmiast je zalegalizował.

W czasie obrad podstolika prasowego powiedziałem, że to propozycja do pozytywnego podjęcia. Cenzura nadesłała ekspertyzę, z której wynika, że „Krytyka“, chociaż jest pismem poważnym, elitarnym, atakuje ostro komunizm jako taki oraz ustrój w ZSRR. Powiedziałem więc Michnikowi, że z punktu widzenia stosunków Polski z ZSRR i innymi krajami lepiej żeby to było pismo nielegalne, niż zalegalizowane przez nas i potraktowane w sposób preferencyjny przez wyjęcie spod cenzury.

Michnik: gotowy jest nadać pismu profil polityczny, biorący pod uwagę podniesione przeze mnie uwagi, np. pisać nie komunizm, a stalinizm, wyraźnie zaznaczać co jest przedrukiem lub tekstem dyskusyjnym zawierającym treści, których redakcja nie podziela itp., tak jak to robi nasz tygodnik „Forum“. Moja propozycja: po doprecyzowaniu zobowiązań Michnika

zwolnić „Krytykę“ w pakiecie czasopism od cenzury warunkowo na kwartał. Zobowiązałem się Michnikowi udzielić odpowiedzi. Proszę więc o dyspozycję:

Co mu odpowiedzieć w sprawie sekwencji zdarzeń: przyjęcie Wałęsy przez gen. W. Jaruzelskiego, wyjazd do Moskwy, przyjęcie przez Gorbaczowa, podróż do USA.

Proszę o decyzję:

- 1) Czy dopuścić do Michnika na rozmowę 8 dziennikarzy radzieckich?
- 2) Czy dopuścić ich do Wałęsy?
- 3) Czy przedrukować w „Życiu Warszawy“ list Michnika - Drawicza solidaryzujący się z listem radzieckim w „Gazecie Krakowskiej“ (jeżeli treść będzie taka jak Michnik mówi).
- 4) Czy dać im 45 minut zamiast 30 w TVP na program autorski na opisanych zasadach i czy przystać na to, aby był to program autorski Wajdy? (Tłumaczę, że program Wajdy oznacza, że nie jest to program opozycji jako instytucji, nie jest to program „Solidarności“ lecz program wybitnego twórcy, który w TVP robi różne programy artystyczne, a więc nie jest to w odbiorze społecznym „ich okienko“ ani nic spoza normalnego programu).

Bardzo proszę o odpowiedź.

Uważam, że warto, abym kontynuował formę prywatnych spotkań z Michnikiem.

Jerzy Urban

Do wiadomości: Tow. M. Rakowski

***Na wszystkie propozycje, pytania dostałem pozytywną odpowiedź - przypisek z roku 1991 - Jerzy Urban***

\* \* \*

Warszawa, 1989-03-13

POUFNE Tow. gen. W. JARUZELSKI

Wzmocnienie kierownictwa RTV wydaje się rzeczą pilną. Tow. Rakowski pytał mnie, czy objąłbym kierownictwo łącząc je z funkcją rzecznika zredukowaną do wtorkowych konferencji, lub nie łącząc (nowy rzecznik). Powiedział, że rzecz jest do mojej decyzji. Odpowiedziałem, że moim zdaniem łączenie tych dwóch funkcji nie wchodzi w grę, gdyż rzecznikowanie, szczególnie obecnie, wymaga szerokiego uczestnictwa w codziennym korowodzie spraw. Wzięcie w ręce Telewizji wymaga zaś tego, żeby zasiąść w tamtym gmachu i zająć się bez reszty tą ogromną instytucją. Mnie zaś szkoda odchodzić z kuchni politycznej w tak ciekawym momencie. Rzecznikiem może być jednak kto inny i jak każą to pójdę. Proponowałem pewną formę połączenia funkcji rzecznika z czuwaniem z gmachu URM nad kluczowymi sprawami RTV i premier odparł, że to rozważy.

Kandydatury na prezesa, jakie proponowałem Mietkowi, miały każda po kolei zasadnicze wady. Stało na tym, że Kwaśniewski przedstawi propozycje młodych ludzi, zdolnych jego zdaniem do objęcia prezesury. Przewiduję jednak, że przedstawi on Rakowskiemu nazwiska nic mu nie mówiące i że młodzi ludzie mogą być świetni, ale nie od razu na prezesa w obecnej chwili. Zresztą zobaczymy.

Piszę o tym wszystkim z prośbą, czy sugestią, żeby Towarzysz Generał jeszcze raz rozważył kandydaturę Daniela Passenta, o której Mietek wspomniał Towarzyszowi Generałowi za moją namową. Może to proponuję w złym momencie (rezonans jego felietonu o Pałacu Kultury), ale w miarę szukania kandydata na prezesa widzę, że Passent to - w mojej opinii - kandydatura najlepsza. Passenta b. dobrze i długo znam, co nadaje propozycji znamiona kumoterstwa, ale też pozwala mi ją wysuwać z pełnym przekonaniem.

Jerzy Urban

Do wiadomości: Tow. M. Rakowski

\* \* \*

## **Wstępuję do partii**

Zamierzam wstąpić do partii. Wstąpić to coś innego, niż ubiegać się o przyjęcie. Przynależność do każdej partii politycznej powinna wynikać po prostu z przystąpienia połączonego tylko ze zobowiązaniem się do przestrzegania reguł określonych statutem. Uznawać przecież należy za coś oczywistego, że wstępujący w niezbędnym stopniu utożsamia się z programem partii.

Obecnie stosowane rekomendacje pisemne, stawanie przed zebraniem podstawowej organizacji, uchwalanie przez nią, że ona przyjmuje do partii delikwenta - są to - moim zdaniem - mistyczne relikty przeszłości. Wynikały one z założenia, że niemal każdy pragnie wstąpić, zaś sama partia dobiera członków, nadaje im przywilej uczestnictwa w swych szeregach. To od dawna nie zgadza się z rzeczywistością.

Pragnę wstąpić do partii z przyczyn politycznych, o których powiem później, i z powodu prywatnego: ponieważ dziś po raz pierwszy nikt nie może podejrzewać karierowiczowskich motywów we wstąpieniu do PZPR. O zamiarze wstąpienia do PZPR ogłaszam w gazecie z trzech powodów. Po pierwsze dlatego, gdyż o aktach przystąpienia i ich dzisiejszych motywach w ogóle warto pisać w gazetach, bo wstępowanie do PZPR stało się godną propagowania rzadkością. Po drugie, ponieważ mam coś do powiedzenia o powodach mojej decyzji. Po trzecie zaś z tej przyczyny, że moja akurat niepartyjność od kilku lat rozważana była i komentowana w prasie polskiej i zagranicznej.

W sytuacjach rodzinnych, towarzyskich, niekiedy także na rozmaitych zebraniach, sporo ludzi skłanianych jest do wyjaśniania dlaczego należą do partii. Jestem chyba jedynym w Polsce człowiekiem, który na wielu już zgromadzeniach publicznych pytany był o coś odwrotnego: dlaczego nie należą. To pytanie pojawiło się także w dziesiątkach przeprowadzanych ze mną wywiadów prasowych krajowych i zagranicznych. Wytrenowano



we mnie przekonanie, że z bezpartyjności winienem się tłumaczyć, uznając, że w tym szczególnym przypadku jest ona interesującą zagadką i dysonansem w moim statusie politycznym. Tłumaczyłem się więc.

### **Współzycie z PZPR**

Po raz pierwszy, w 1949 r., skierował mnie do partii ZMP, którego byłem działaczem. Taka istniała wówczas procedura. Stało się to zresztą na polecenie egzekutywy PZPR dzielnicy Śródmieście-Lewa w Łodzi. Jako chłopak na owe czasy stosunkowo piśmienny pisywałem sekretarzowi dzielnicy fragmenty referatów i stąd to poszło. Z papierów okazało się jednak, że mam dopiero 16 lat i ten marny wiek ze względów formalnych, statutowych zachował mnie wśród bezpartyjnej większości uczniów. Kolejne powody nieprzyjmowania były także natury dziecinnej. Ubiegałem się o przyjęcie do partii na początku lat pięćdziesiątych, ale decyzję odłożono zalecając mi zredukowanie dwójek na studiach. Było to zadanie nierealne. Jako wybijającego się dziennikarza chciano mnie wkrótce przyjąć i z dwójkami, ale akurat wówczas, w miejscu nie całkiem prywatnym, ryczałem po pijanemu niestosowne piosenki i ten eksces wykluczył przyjęcie mnie do PZPR. Wspominam to dla rozrzewnienia dzisiejszych działaczy. Jakaż to kiedyś partia mogła być wybredna i przebierać sobie wśród młodych, żarliwych komunistów, do których się zaliczałem.

Wiosną 1956 r. po raz czwarty wniosłem o przyjęcie mnie do PZPR. Zrobiłem to pod impulsem XX Zjazdu KPZR i referatu Chruszczowa o Stalinie. Pracowałem wówczas w redakcji „Po prostu“. Sekretarz PZPR w tym zespole, Ryszard Turski, gotów był mnie przyjąć, ale usilnie odradzał wstępowanie. Moja publicystyka tak silnie denerwowała kierownictwo partii, że przewidywał, iż ledwie wstąpię, będzie mnie trzeba wyrzucać. Zastosowałem się do tej przyjaznej perswazji.

Później już nigdy nie zabiegałem o przyjęcie mnie do PZPR, ale rzecz ciekawa: władze represyjne partii uporczywie mniemały, że jestem partyjny. Przejawiało się to w tym, że aż trzykrotnie Centralna Komisja Kontroli Partyjnej wszczyniała przeciwko mnie procedurę karną, upadającą u zarania, gdyż jako niepartyjny byłem dla tej Komisji nieosiągalny. Raz w 1957 roku za „Po prostu“, raz 1963 r. za rzecz apolityczną - opublikowanie drwiny z pewnego działacza antyalkoholowego i gdzieś około 1966 roku za jedno zdanie w jednym reportażu ogłoszonym w miesięczniku „Odra“. Było to też zdanie apolityczne. Obraziłem otóż naród polski ujawniając, że pewnej gospodyni domowej z polonii amerykańskiej Oświęcim mylił się z rzymskim Koloseum, gdzie lwy chrześcijan żarły (co notabene jest historycznie nieścisłe). Można więc powiedzieć, że do 1970 roku nienależenie do PZPR było dla mnie zbawienną ochroną przed usuwaniem z partii.

Lata 1952-1970 scharakteryzowałbym więc jako taki stan, w którym ja do partii lgnąłem, ona zaś mnie odtrącała i to nawet aktywnie, bo w latach 1957-1960 i bodaj 1965-1968 centrala PZPR wydawała na mnie trzyletnie wyroki - zakazy pracy w dziennikarstwie.

W latach siedemdziesiątych niektórzy przedstawiciele kierownictwa partii przyciągali mnie do współdziałania w okresach przełomowych lub trudnych i odsuwali w okresach ustabilizowanych. Pracowałem wówczas, jak i w latach sześćdziesiątych, w tygodniku „Polityka“ Rakowskiego traktowanym przez centralę partyjną zmiennie: to jako kuźnię nowej myśli, to jako ognisko wrednego krytycyzmu. Podobnie falował stosunek do Urbana, którego określanie należało, co oczywiste, do kompetencji najniższych ogniów aparatu KC.

Z polityką pogrudniową ekipy Gierka identyfikowałem się silnie ze względu na jej pragmatyzm, deklarowany liberalizm, otwarcie na świat, program szybkiego postępu cywilizacyjnego oraz zerwanie z tendencjami nacjonalistycz-no-kombatanckimi, czyli z tzw. nurtem marcowym.

Byłem niedrugorzędnym współtwórcą programu dla kraju opracowanego w zespole „Polityki“ w 1969 r. Stał się on jedną z podstaw idei VI Zjazdu PZPR, czyli wyjściowych, reformatorsko-pragmatycznych koncepcji ekipy pogrudniowej. Staralem się, jak niegdyś powiadano, partii służyć, a traktowany byłem chwilami jako osobliwy nieco, ale sprzymierzeniec, zaś chwilami jako publicysta dolegliwy przez swój krytycyzm, a i bezczelny, drażniący. Określę tę epokę lat 70. tak, że relacje Biały Dom - Urban układały się jak w przeciętnych romansach: stosunki przerywane, a uczucia wzajemne - mieszane.

Od początków 1981 roku mogę mówić o spełnionym romansie, bo uzyskałem wysokie zaufanie wąskiego kierownictwa partii. W oczach jego aktywu stałem się zaś wkrótce czymś w rodzaju gladiatora reprezentującego jego barwy na publicznym ringu.

Mój stosunek do opozycji, tj. konsekwentne jej zwalczanie, wynikał z przyjęcia już w 1956 r. (w obrębie „Po prostu“) założenia, że skuteczne reformy w Polsce spowodowane mogą być tylko przez te siły polityczne, które znajdują się wewnątrz obozu władzy, nie są przezeń trwale odrzucane. Opozycja działająca na zewnątrz przeszkadza zaś i hamuje te przeobrażenia, które w różnych okresach wydawały mi się pożądane, a możliwe. Uważałem, że realne skutki nacisku zewnętrznego są odwrotne niż intencje grup, które go stosują. Czym opozycja zewnętrzna jest silniejsza, tym bardziej wzmacnia w partii tendencje i postawy zachowawcze. Pobudza reakcje obronne wobec zmian postępowych, dostarcza argumentów i pretekstów do niszczenia reform i ludzi do nich dążących w obozie władzy.

To, że zmiany mogą następować tylko pod naciskiem wewnątrzpartyjnym (czy szerzej: w obrębie oficjalnego życia politycznego) było prawdą do drugiej połowy dekady lat 70. Z wolna prawdą być przestawało, czego nie dostrzegłem aż do roku 1985 będąc zwolennikiem dzielenia opozycji i asymilowania jej części przez nurt reform w obozie władzy. Podobnie mylili się jednak opozycjoniści, którzy rozumowali także jednostronnie. Uważali oni, że „reżim“ przekształcać się może tylko pod naciskiem opozycji zewnętrznej. Mylili się, ponieważ bez wzmaganie się nurtu reform w PZPR, ZSL, SD itp. dojrzałe już w latach 80. gruntowne zmiany polityczne i ekonomiczne w Polsce mogłyby być tylko owocem gwałtownego przewrotu, być może krwawego starcia. Wolno mi jednak przypuszczać, że efekt takiego konfliktu byłby odwrotny - zamroziłby na długo wszelkie przemiany i doprowadził do zdławienia opozycji. Inna rzecz, że bez opozycji z zewnątrz tendencje reformatorskie w obozie władzy nie wzbierałyby tak bardzo na sile, aby doprowadzić do przemian, które w skomplikowanym splocie wydarzeń nastąpiły w latach 80.

W okresie kiedy byłem walecznym przeciw opozycji rzecznikiem rządu, a potem krótko prezesem radia i telewizji, kandydowanie do PZPR w ogóle nie wchodziło w grę. Każdy wstępujący do partii dygnitarz państwowy po pięćdziesiątce obciążałby ją i siebie. Ją - podejrzeniem, że źle trawi bezpartyjnych ministrów, dąży do upartyjnienia aparatu rządowego. Siebie obarczyłbym społecznym mniemaniem, że tak spóźnione powołanie wynika z konformizmu, że wstępuję dla kariery. Teraz te przeciwwskazania straciły aktualność.

Wyznam też, że status zaufanego bezpartyjnego sprzyjał mej próżności. Instruktorzy z KC z większymi referencjami traktują alianta, niż osobę wpisaną do partyjnej kartoteki.

Przez 40 lat we wszystkich epokach byłem w znaczniejszym stopniu polityczny i okołopartyjny niż większość członków partii. Czas dać temu formalny wyraz.

PZPR przeżywa wielki kryzys, częstą skłonnością jest odsuwanie się od partii. Mnie cechuje przekora i zamiłowanie do postępowania idącego pod prąd. Pragnę więc wstąpić: manifestacyjnie i prowokacyjnie.

O motywach ideowych i politycznych prawić nie mam zamiaru. Co trzeba wyraziłem w tysiącach publikacji, wystąpieniach i uczynków. Moje przyszłe członkostwo w PZPR zostało wcześniej i uzasadnione, i zapracowane. Umyślnie stawiam sprawę bezczelnie, bez żadnej pokory i merdania ogonem. Partia nie jest już żadną siłą metafizyczną, bytem sakralnym, strażnikiem świętego ognia, wcieleniem superidei, opatrnością narodu, aniołem stróżem państwa. Jest tylko organizacją polityczną dwóch milionów ludzi, która ma do odegrania nową rolę nie mniej ważną dla kraju, niż dawna misja. Bez silnej, zorganizowanej lewicy Polska żeglowałaby nie w kierunku demokratycznej gry różnorodnych sił, lecz przypuszczalnie prawicowej dyktatury.

*„Polityka“*